

Heather Graham
Pozzessere

POD
SŁO CEM
FLORYDY

1

- Poczekaj!

Danny Huntington zatrzymał się u podnóża schodów i spojrzał w górę.

Spencer stała w wyłożonym marmurem korytarzu na piętrze, opierając się o obie ramki mahoniowe poręczki. Miała na sobie kobaltową jedwabną koszulę nocną, a jej wzburzone podczas snu włosy okalały całą twarz. Wyglądała nieco egzotycznie, jak postać z jej własnej promocyjnej reklamy: piękna na tle pełnej elegancji. Za nią stała wiktoriańska kozetka, nad którą wisiało piękne, kryształowe lustro. Brązowy dywan, dopasowany kolorem do brokatowego obicia kozetki, kontrastował z jej bosymi stopami i jaskrawo polakierowanymi paznokciami. W tym starym domu, zbudowanym w stylu ródziemnomorskim, który odrestaurowała i przywróciła do dawnej świetności, sama prezentowała się wspaniale. Danny myślał czasem, że jest ona od urodzenia ideałem urody. Miała kryształowo niebieskie oczy, jasne włosy i klasyczne, delikatne rysy. Znał ją niemal od dziecka, a kochał od czasów szkolnych. Inni nie byli zapewne zbyt zaskoczeni, kiedy za niego wyszła, ale on sam przeżył szok. Nie tylko zgodziła się na niego, ale rozumiała jego potrzeby i zachowywała niezależność. Nie protestowała, kiedy zamiast zajmować się firmą - czego oczekiwała od niego cała rodzina - wstąpiła do policji. A gdy pojawiały się problemy, z uśmiechem stawiała im czoło i robiła co mogła, aby nie odczuwał wyrzutów sumienia. Czasem, kiedy mu wiadomym było, co gotowa jest zrobić dla niego Spencer, czuł, że pocieszenie mu się dłonie i drżał na samą myśl o tym, jak bardzo ją kocha i jak bardzo jest dla niego szalenie ważny.

- Danny, jestem niebieska! - oznajmiła z wielkim podnieceniem.

- Co? - Zmarszczył czoło, patrząc na nią ze zdziwieniem.

- Test na owulację, Danny. Kresczka zrobiła si niebieska! - powiedziała, miej c si z jego zmieszania.

- Och, niebieska! - powtórzył.

Przez chwil patrzył na ni z roztargnieniem. Był umówiony z Davidem Delgado. Mieli razem odby poranny bieg, a potem podzieli si informacjami dotycz cymi sprawy Vichy'ego. Ale skoro teraz Spencer jest niebieska...

To on tak bardzo chciał mie dzieci. Oboje ze Spencer byli jednakami, urodzonymi w bogatych, tak zwanych dobrych domach. Prawd mówi c, zamo no jego rodziny datowała si od niezbyt dawna, ale min ło do czasu, by ludzie zapomnieli, e ródłem jej bogactwa był nielegalny handel alkoholem. Oboje wychowywali si w Miami, w dzielnicy Coconut Grove, w której mieszkali ostatni przedstawiciele starej, południowej szlachty i bogaci przybysze z Północy, a która graniczyła obecnie z enklawami biedy i niedostatku. Danny zawsze miał wszystko co najlepsze i chodził do najbardziej ekskluzywnych szkół. Brakowało mu tylko ludzi, których mógłby kochać, a obserwuj c swych przyjaciół oraz ich rodze stwo, ju we wczesnym okresie ycia zdał sobie spraw , e szcz cie nie jest czymś, co mo na kupi w sklepie. Obiecał sobie, e jego dzieci nigdy nie b d samotne - a je li tylko mu si to uda, b dzie ich miał tuzin. Pó niej zrezygnował z tuzina, ale nadal chciał mie rodzin , dwoje lub czworo dzieci, w zale no ci od tego, co uzna za stosowne Spencer.

Od pocz tku mał e stwa próbowali zrealizowa ten plan, ale kiedy po dwóch latach od lubu nie zostali jeszcze rodzicami, Spencer zaproponowała, by przeszli badania. Poddała si im bez oporu, cho niektóre były bolesne i upokarzaj ce. Danny, siedz c w ciasnej klitce laboratorium, stwierdził z przykro ci , e pod wpływem tego miejsca jego penis staje si mi kki jak rozgotowane fettucini, ale wiedział, e musi przej badania, wi c bez szemrania wykonał wszystkie zalecenia lekarza. Jedynym jasnym aspektem całej sprawy była chwila, w której powiedziano im, e oboje s zupełnie zdrowi; lekarz sugerował,

e po prostu zbyt ci ko pracuj i s nadmiernie spi ci. Spencer, od kiedy jej dziadek imieniem Sly przeszedł na emerytur , sama w praktyce prowadziła Montgomery Enterprises, a on był jeszcze bardziej zaj ty ni ona. Lekarz powiedział, e by mo e po prostu nie umiej trafi we wła ciwy termin, umo liwiaj cy pocz cie dziecka.

- Czy mo esz wzi sobie wolny dzie ? - spytał Danny.

- Oczywiście cie - odparła. - A ty? - Zawahała si . - My lałam, e jeste umówiony z Davidem.

- Jestem, ale jako si z tego wykr c .

- A mo esz to zrobi ?

- Powiem mu po prostu prawd - oznajmił Danny, u miechaj c si pogodnie. - Powiem mu, e ty i ja próbujemy si rozmna a i wyda na wiat potomstwo.

- Danny!

- Spencer, ja tylko artowałem. Znajd jaki sposób, eby przeło y to spotkanie na inny termin. Nie martw si . - Był troch zły o to, e twarz jego ony zarumieniła si a po korzonki włosów, ale w gruncie rzeczy cała sytuacja raczej go bawiła. Kiedy Spencer i jego najbli szy przyjaciel prze yli gor c miło , ale przecie , na miło bosk , byli wtedy jeszcze w college'u! Spencer nie chciała o tym mówi za nic na wiecie, a David Delgado był równie dyskretny. Do niedawna David i Danny byli nie tylko wieloletnimi przyjaciółmi, lecz równie kolegami z pracy. Ale David zrezygnował z posady w policji, poniewa zebrał do pieni dzy, by otworzy własn firm ochroniarsk i jak dot d, dzi ki swemu do wiadczeniu, radził sobie bardzo dobrze. Nadal spotykali si cz sto na gruncie zawodowym; David wykonywał pewne prace na zlecenie władz miasta, wi c wymieniali niekiedy informacje i pogl dy.

Spencer i David zawsze byli dla siebie uprzejmi, kiedy si spotykali. Danny wiedział, e oboje chc uszanowa jego uczucia zwi zane z przeszło ci , wi c staraj si unika swego towarzystwa. Kiedy mimo to dochodziło do spotka , byli wobec

siebie uprzejmi i chłodni, on za , widz c, e robi wszystko co w ich mocy, by post powa taktownie, czuł si okropnie.

Wiedział, e naprawd s szlachetni, i tym bardziej ich za to kochał. Ale od czasu do czasu, kiedy musieli si wszyscy spotka , atmosfera była tak ci ka jak wilgotne sierpniowe powietrze w ich rodzinnym stanie, a on musiał przyzna , e w gł bi serca odczuwa l k. Bał si , e gdyby nie te ich cholerne zasady moralne, Spencer i David le eliby nago, spleceni w miłosnym u cisku, nie zwracaj c uwagi na to, e nie maj ju sobie nic do powiedzenia, e zerwali z sob gwałtownie przed wielu laty i nawet wtedy ró nili si od siebie jak dzie od nocy. Ona była jasn blondynk , a on niadym brunetem; ona pochodziła z najlepszego towarzystwa i miała drzewo genealogiczne si gaj ce czasów agłowca „Mayflower”, on za był synem biednego imigranta. Ale je li prawd było to, co opowiadano w maturalnej klasie...

Był z nimi w tej klasie, znał ich przez całe ycie. Teraz Spencer była jego on , a David najlepszym przyjacielem. Miał nadziej , e kiedy uda mu si nakłoni ich do ponownego nawi zania przyjaznych stosunków. Mo e kiedy on i Spencer zostan rodzicami...

Miał ju na sobie szorty, koszulk i sportowe buty. Zale ało mu na pomocy Davida w sprawie Vichy'ego, ale najwa niejsze na wiecie było to, by sp dzi ten poranek ze Spencer.

- Mam si spotka z Davidem na Main Street. Chcieli my pobiec do jego domu i przejrze akta podczas niadania. Spotkam si z nim w umówionym miejscu i wymy l jaki pretekst. Niewa ne jaki - w takich przypadkach David nie jest dociekliwy. Wróc za jakie dwadzie cia pi minut. Co ty na to?

- B d czeka - uroczy cie obiecała Spencer.

U miechn ł si szeroko i podniósł kciuk, ruszył w stron drzwi. Zacz ł biec, zanim jeszcze do nich dotarł.

Dwadzie cia pi minut! Spencer pobiegła do sypialni. W ci gu kilku sekund posłała łó ko i zach caj co uło yła

poduszki. Potem odwróciła się i poszła pod prysznic. Miał to być dzień Danny'ego, a ona postanowiła, że będzie to najmilszy dzień, jaki kiedykolwiek przeżył.

Praca! Pognała do telefonu.

Powiedziała sekretarce, że ma lekki gryp, ale przyjdzie do biura nazajutrz. Zarumieniła się lekko, kiedy sekretarka wyraziła ubolewanie z powodu choroby i nadzieję, że jej stan ulegnie poprawie. Jakże to dziwne! Była kobietą zamianowaną oraz prezesem Montgomery Enterprises i traktowała Audrey jak swoją przyjaciółkę, a mimo to nie mogła się zdobyć na powiedzenie jej prawdy. „Widzisz, próbujemy mieć potomstwo, ale nasze rozkłady są takie, że Danny spędza większość swoich nocy w pracy, a ja muszę w najważniejszych okresach wyjechać do innych miast. Zostaj w domu, żeby spędzić cały dzień na próbach porażenia dziecka.”

- Czy potrzebujesz czegoś, Spencer? Czy mogę ci coś przywieźć? - pytała Audrey z troską w głosie.

- Nie, nie, Danny wróci zaraz po swoim joggingu. Mam wszystko, czego mi potrzeba, bardzo dziękuję - powiedziała stanowczo, znów czując wyrzuty sumienia. Przecież jestem szefem! - przypomniała sobie. Pracuj ciężko przez cały tydzień i zasługuj na wolny dzień, który mogłabym spędzić ze swoim mężem.

- Tylko nie wstawaj z łóżka - ostrzegła ją Audrey.

- Ja... tak, oczywiście, nie zamierzam się z niego ruszać. - Patrzyła przez chwilę na słuchawkę, a potem odłożyła ją na widełki.

Co Danny powie Davidowi?

Poczuła w całym ciele ciepły dreszcz; nie chciała o tym myśleć. Nie chciała myśleć o Davidzie. Przez większość czasu robiła wszystko, co mogła, żeby nie myśleć o Davidzie.

Energicznie odkręciła kran.

- Kocham Danny'ego Huntingtona! - powiedziała głośno i z naciskiem. I była to prawda. Kochała go. Bardzo. Ale istniejej

najwyraźniej różnego rodzaju miło ci. Powiedział jej o tym kiedyś. I miał rację.

- Kocham Danny'ego!

Kochała go. Ich życie układało się doskonale. Lubili z sobą rozmawiać, mieli się z tych samych dowcipów. Danny był dobry, troskliwy, łagodny, cudowny. Miała wiele szczęścia. Weszła pod prysznic. Danny chce mieć dziecko. Tym razem zamierzali zrobić wszystko tak jak trzeba - i we własnym czasie.

Danny był już daleko od domu i wdychał czyste, poranne powietrze. Zapowiadał się upalny dzień, ale nie było jeszcze bardzo gorąco. Lubił wychodzić z domu o wczesnym rankiem, zanim miasto dostawało się w objęcia słońca. Lubił biegać, kiedy ptaki jeszcze spały, kiedy rosa nadal opadała na trawę i na liście powycieranych, rosnących wzdłuż drogi drzew.

Uśmiechnął się. Co, do diabła, powie Davidowi? Najlepsza byłaby prawda, ale obiecał Spencer, że wymyśli coś innego. Jak jednak może dotrzymać tej obietnicy skoro u niego się od ucha do ucha na myślenie o czekającym go dniu? Nie mieli takiej okazji od miodowego miesiąca. Od tego dnia w Paryżu, kiedy obserwowali słońce wychodzące zza ozdobnych budynków i oblewane złocistymi smugami Miasto wiatła. Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej wrócić do domu.

Był już na końcu prywatnej drogi prowadzącej od jego domu do ulicy i włączył samochód, kiedy ku swemu zdumieniu ujrzał znajomą postać, biegnącą w jego stronę. To ciekawe, pomyślał. Nigdy nie spodziewałbym się spotkać tej osoby w tych stronach...

David Delgado biegał w miejscu pod znakiem ulicznym, a potem zrobił kilka kółek na chodniku dla biegaczy, zbudowanej obok drogi. Miał prawie metr dziesięć wzrostu, czarne włosy i oczy tak ciemnoniebieskie, że wydawały się czasem czarne - był więc młodym mężczyzną, którego łatwo zauważyć. Tu, w Coconut Grove, spotykało się najróżniejszych biegaczy: tych i

chudych, umi nionych i tak w tłych, jakby cierpieli na anoreksj . Ale David wyró niał si nawet w ród zdrowych, umi nionych, opalonych, niekiedy bardzo młodych m czyzn, którzy biegali po tej starej, ale nadal modnej dzielnicy Miami. W wyniku dziwnej, lecz korzystnej dla niego mieszanki genów, był tak wysoki i silnie zbudowany jak szkoccy górale, przodkowie jego matki, za kruczoczarne włosy i delikatne, klasyczne rysy były spadkiem po hiszpa skich i kuba skich protoplastach ojca. Dzi ki hiszpa skiemu pochodzeniu atawistycznie kochał sło ce i szybko si opalał, a poniewa sp dził na tym sło cu wi kszo ycia, dobrze znosił upał. Przebiegł kolejne kółko, zerkn ł na zegarek i zacz ł si zastanawia , czy nie wróci do domu i nie zadzwoni do Danny'ego. Danny nie miał zwyczaju si spó nia . Jego nieobecno była tym bardziej dziwna, e mieszkał blisko. Domu Davida nie mo na było porówna z wybudowan w latach dwudziestych rezydencj , któr kupili, a potem odrestaurowali Spencer i Danny. Cho jego nowa firma doskonale prosperowała - tak doskonale, e chwilami niemal go to przera ło - nie mógłby sobie pozwoli na kupno takiej posiadło ci, nie mówi c ju o jej utrzymaniu. Musiał jednak przyzna , e w ich domu nie było nic, co tr ciłoby ostentacj . Był poło ony w spokojnej, zamo nej dzielnicy i miał styl, ale trudno byłoby nazwa go oszałamiaj cym. Wchodziło si do niego z przyjemno ci , ale David nie lubił w nim bywa , gdy nie chciał utrzymywa kontaktów ze Spencer Anne Montgomery, a raczej - poprawił si w my lach - ze Spencer Anne Huntington. Nie ł czyło go z ni ju nic od ponad dziesi ciu lat, a Danny był jednym z jego najlepszych przyjaciół. Nadal był zdumiony, e kto urodzony w tak bogatej rodzinie mógł wyrosn na tak uczciwego człowieka. Ale Danny zawsze był przyzwoitym facetem; David odkrył to ju w dniu ich pierwszego spotkania. Spencer natomiast traktowała go teraz z lodowat oboj tno ci . Do diabła, przecie to s ju stare dzieje. Ich wzajemne uczucia dawno wygasły i oboje uło yli

sobie ycie. Mogli wszyscy razem mia si z przeszło ci - ale nigdy tego nie robili. Mo e dlatego, e s w pewien sposób przewra liwieni. Jako dzieci poznali swoje słabo ci i by mo e nadal je w sobie dostrzegali. On i Spencer, mimo upływu lat, nadal byli wobec siebie nieufni, cho ze wzgl du na Danny'ego usiłowali traktowa si uprzejmie.

On za starał si nie okazywa swemu najlepszemu przyjacielowi, jak wiele wspomnie ł czy go ze Spencer Anne Montgomery.

Spencer Anne Huntington.

Przebiegł jeszcze jedno kółko, patrz c w gł b ulicy. Od czasu jego dzieci stwa niewiele si tu zmieniło. Pobocza kr tej drogi nadal poro ni te były g st ro linno ci , a stare domy stały niemal tu przy niej. Wyj tkiem były ukryte przed wzrokiem przechodniów wielkie rezydencje, do których prowadziły długie podjazdy. Kochał t dzielnic , odk d zamieszkał w niej jako czteroletni chłopiec, cho ycie nie zawsze było tu łatwe. Wtedy, w pocz tku lat sze dziesi tych, był to zaniedbany za cianek, nie przygotowany zupełnie na przyj cie fali gwałtownego rozwoju, która pozbawiła Miami raz na zawsze statusu małego, południowego miasta i zamieniła je w mi dzynarodow metropoli . Wtedy roilo si tu od „ nie nych ptaków”, bogatych ludzi z Północy, którzy przyje d ali do Miami tylko na zim . Pojawiali si tu nadal, ale teraz je dzili przewa nie do Naples, Palm Beach, na wyspy lub do miasta Disneyworld, le cego w samym centrum stanu. Ale Miami nadal prosperowało, a dzielnica Coconut Grove rozwijała si wraz z nim. Na przełomie lat sze dziesi tych i siedemdziesi tych rozkwitał tu ruch hippisów. W sklepach sprzedawano kurtki a la Nehru, kadzidla i czarne wiece. Arty ci, którzy czuli si tu jak u siebie w domu, palili haszysz, a powietrze wypełniała psychodeliczna muzyka. Ale potem wszystko poszło naprzód i miasto opanowali młodzi biznesmeni; teraz modne sklepy sprzedawały kosztown bi uteri i cenne dzieła sztuki, a w restauracjach dominowała

nouvelle cuisine. David z sympati porównywał sw dzielnic do bardzo sprytniej prostytutki; Coconut Grove zawsze zmieniała swe oblicze w zale no ci od tego, sk d wiał wiatr i sk d napływały pieni dze, zawsze robiła to, co umo liwiało jej prze ycie. Le ała nad zatok i nale ała do najstarszych dzielnic Miami; nadal yli tu nieliczni weterani, snuj cy opowie ci o dawnych czasach. Dziadek Spencer, Sly, potrafił opowiada o przeszło ci ze swad urodzonego gaw dziarza, a David t sknił niekiedy za wielogodzinnymi rozmowami ze starym niemal tak samo, jak t sknił za jego wnuczk .

Zakl ł w my lach, oburzony na samego siebie. Wcale nie t skni za Spencer. Jak mo na t skni za kim , z kim sp dziło si tak krótki wycinek ycia? T skni tylko za zapami tanymi uczuciami. Spencer jest cz ci jego wspomnie z okresu dorastania, podobnie jak pewnego rodzaju muzyka, pn ce kwiaty czy słony zapach wzburzonego morza. Jego pech polega po prostu na tym, e znali si wszyscy od zawsze.

Pobiegł kawałek dalej i znalazł si na ulicy, na której mieszkał tu po przybyciu do Miami. Bo e, co to był za okropny rok. Jego ojczystym j zykiem był hiszpa ski i pami tał, e przez długi czas wszyscy nazywali go „uciekinierem”. Nie chłopcem, tylko uciekinierem. Ale i tak miał wi cej szcz cia ni inni. Jego ojciec przebywał w kuba skim wi zieniu, skazany na kar mierci, matka umarła wkrótce po urodzeniu Revy, ale ojciec matki, stary Michael MacCloud, pojawił si w chwili kryzysu, by udzieli im pomocy. Nauczył Davida i jego siostr Rev angielskiego i od tej pory David mógł przynajmniej zrozumie tych Americanos, którzy patrzyli na niego z góry, cho sam mówił po angielsku ze szkockim akcentem dziadka. Bez rodziców znalazł si w wiecie, który nie chciał umo liwi mu awansu społecznego, wi c zacz ł walczy . Wtedy wła nie poznał Danny'ego Huntingtona. Danny, który po wyj ciu ze swej ekskluzywnej szkoły szedł do Yacht Clubu na spotkanie z rodzicami, został zatrzymany przez grup chuliganów. David obserwował to zdarzenie z parku, w którym akurat si bawił i

dostrzegł w postawie Danny'ego co , co zwróciło jego uwagę . Był on szczupłym chłopcem i z pewnością wiedział, że poniesie porażkę , ale łobuzom nie ustąpił. David po chwili wkroczył do akcji. Podbito mu oko, ale wyszedł ze starcia zwycięsko. Była to jedna z owych bójek, o których długo się potem opowiada, a kiedy dobiegła kochać, Danny patrzył na niego tak, jakby był bohaterem.

- Dziękuję ci, kolego!

David wzruszył ramionami, nie chcąc mu pokazać , że jest cały obolały.

- Jesteś po prostu chudym, bogatym smarkaczem. Widziałem, że potrzebujesz pomocy.

- O Jezusie, jakiego masz siniaka! - zawołał Danny, zupełnie nie zważając na jego odpowiedź . - Lepiej chodź ze mną , żeby ktoś ci opatrzył.

W taki oto sposób David po raz pierwszy wkroczył w świat Danny'ego i było to dla niego niezwykle przeżycie. Choć był zakrwawiony i miał podarte ubranie, został wprowadzony do klubu, którego nieskazitelnie czyste okna wychodziły na przystań i na rzędy pięknych, wysmukłych jachtów. Wszyscy na niego patrzyli. Damskie miały na sobie tradycyjnie białe suknie, a panowie sportowe ubrania. Nie mógł patrzeć na ludzi, którzy rozmawiali o degradacji miasta, wywołanej przez uciekinierów i wszelkiego rodzaju hołoty . Patrzył więc na łódzie i doszedł do wniosku, że chciałby kiedyś mieć własny jacht. Pragnął tego bardziej niż wystawnej imprezy, apetycznych potraw, jakie podawano w klubie, mo liwo ci gry w tenisa na idealnie przygotowanych kortach czy nurkowania w basenie. Dla niego szczęściem to była własna łódź .

Nie był zachwycony rodzicami Danny'ego, ale oprócz nich był tam Sły. Choć miał mieszane uczucia wobec reszty członków klubu, czuł, że Sły zasługuje na szacunek. Był o tym tak głośno przekonany, jak o tym, że pewnego dnia będzie miał własną łódź .

Sly znał si troch na polityce. Słyszał o ojcu Davida, a nawet znał jego dziadka. Zafundował chłopcu posiłek, a potem, patrz c mu w oczy, z których przebijało onie mielenie, powiedział:

- Ameryka, chłopcze. To jest Ameryka. Zaufaj mi. Tutaj trzeba walczy o to, czego si pragnie. Jedyna ró nica mi dzy tob a tymi lud mi polega na tym, e ich rodzice przyjechali tu wcze niej i przygotowali im grunt. -1 mrugn ł do niego porozumiewawczo.

Wychodz c z klubu był pewien, e nigdy wi cej nie spotka Danny'ego ani starego pana Montgomery. Ale w dwa tygodnie pó niej niespodziewanie otrzymał stypendium do ekskluzywnej szkoły, do której chodził Danny, a Michael MacCloud namówił go do jego przyj cia. Kiedy czuł si samotny albo stawał si przedmiotem drwin niektórych dzieci bogaczy, Danny zawsze stawał po jego stronie i traktował go jak najlepszego przyjaciela. Na szcz cie osi gał znakomite wyniki w sporcie, a to zasadniczo zmieniało sytuacj biednego chłopca. Uciekiniera. Jego siostra, Reva, otrzymała wrotce potem, równie niespodziewanie, stypendium do tej samej szkoły, a Danny równie wobec niej zachowywał si jak przyjaciel.

Spencer pojawiła si ... pó niej.

Raz jeszcze zerkn ł na zegarek, zastanawiaj c si , czy nie pobiec w kierunku domu Danny'ego, ale po namy le postanowił wróci do siebie. Wolał dzwoni do przyjaciela, ni pojawia si u niego osobi cie. Łatwiej mu było rozmawia ze Spencer przez telefon. Nie było zreszt wykluczone, e Danny z jakich powodów jest nadal w domu, wi c słuchawk podniesie on sam albo słu ca.

Była to dziwna sytuacja. Danny, urodzony w wiecie ludzi bogatych, został policjantem. Funkcjonariuszem wydziału zabójstw. Tam wła nie spotkali si ponownie, po wielu latach od uko czenia szkoły redniej. W ci gu tych lat ka dy z nich szedł własn drog . Danny chciał pewnego dnia zosta prokuratorem okr gowym. W gruncie rzeczy miał nadziej , e

zajdzie znacznie wyżej, ale chciał poznać wszystkie szczeble kariery politycznej. Pragnął zgłębić sekrety zawodowe zwykłego policjanta, a potem zaczął się nie tylko łapaniem przestępców, lecz wysyłaniem ich do więzienia. Kiedy Spencer dowiedziała się, że Danny podejmuje pracę w wydziale zabójstw, była początkowo zaniepokojona, ale szybko ją przekonał.

- Przypadki, do których będą używane, są naprawdę bezpieczne, Spence. Co mogą mi zrobić ofiary? Przecież są już martwe!

Spencer przypominała mu, że są martwe z powodu złej woli innych, ale musiała naprawdę kochać swego męża i mieć do niego pełne zaufanie, bo Danny nadal pracował w wydziale zabójstw. A David, myśląc o tym, że Spencer należała do kogoś innego, a nie do niego, czuł od czasu do czasu bolesny skurcz serca. Może wtedy, przed wieloma laty, nie był wobec niej do końca sprawiedliwy, a może Spencer się zmieniła. Tak czy owak, nie miało to już znaczenia. Była on Danny'ego, a ich małżeństwo wydawało się udane. Oboje pochodzili z tego samego miasta, wiedzieli, jak w nim żyć i jak z nim walczyć. Dla wszystkich było oczywiste, że się pobiorą; nikomu nie przychodziło nawet do głowy, że Spencer Anne Montgomery mogłaby zostać żoną Davida Delgado.

To była przeszłość. Dawne dzieje. David miał własne życie. Ale choćby nie wiadomo jak szybko uciekał od przeszłości, miał od czasu do czasu wrócić, i ona go dogania.

Do diabła, gdzie jest Danny? - pomyślał. Słowo bezlito nie prażyło go w głowę. Po raz ostatni się rozejrzył, a potem ruszył biegiem w kierunku swego domu.

Miał wygodny dom. Przestronny i nowoczesny, stojący tu nad wodą. Za nim przycumowany był jego jacht. Pchnął drzwi i podszedł do telefonu.

- Co się dzieje? Co tu, do diabła, robisz? – zapytał Danny.

W odpowiedzi padły strzały. Jedna z kul drasn ła Danny'ego w ucho, dwie ugrz zły w brzuchu.

Napastnik pobiegł dalej. Danny otworzył usta, by zaprotestowa , ale nie był w stanie wydoby g łosu. Upadł na ziemi .

Nie stracił przytomno ci. Jeszcze nie. Zacz ł si czołga . Krew tryskaj ca z jego ran padała na ziemi , na korzenie drzew, na opadłe li cie. Na trotuar i na wir.

Czołgał si dalej. Dom Davida jest ju niedaleko. Drzwi s otwarte. O Bo e, jak to boli, pomy lał. Jak mo e jeden człowiek straci tyle krwi... Moje ycie... och nie... nie mog jeszcze umrze ...

Spencer...

- Danny!

David upu cił słuchawk , któr przed chwil podniósł, i podbiegł do drzwi. Danny czołgał si w jego stron , brocz c krwi . David zacz ł go podnosi , odnotowuj c w pod wiadomo ci, e Danny został postrzelony. Przypomni ął sobie wszystko, czego nauczono go podczas szkolenia, podszedł do telefonu i nakr cił numer pogotowia policyjnego.

- Trzysta pi tna cie! - zawołał do słuchawki. Było to zaszyfrowane hasło, oznaczaj ce: „Nagły przypadek. Funkcjonariusz policji potrzebuje natychmiastowej pomocy!” Potem podał swój adres.

- Pospieszcie si , do diabła! - dodał. Było to zupełnie niepotrzebne; wiedział, e spieszyliby si do ka dego policjanta, ale tu chodziło o Danny'ego. Chryste, powtarzał w my lach, pomó nam, prosz , to naprawd wygl da okropnie.

Podbiegł do przyjaciela i obj ł go, usiłuj c ustali rodzaj obra e . Stwierdził, e Danny ma dwie rany postrzałowe i stracił wiele krwi. Ale puls był nadal wyczuwalny, serce biło, a płuca funkcjonowały normalnie. Miał nadzieję , e ekipa ratunkowa pojawi si szybko i zawiezie go do szpitala Jacksona. Tam naprawd robiono cuda.

Zatamuj krew, ty durniu, powiedział do siebie w myślach. Zatamuj krew. Musisz utrzymać go przy życiu.

Ale mimo wszystkich jego wysiłków krwawienie nie ustawało.

Danny otworzył nagle oczy, wyciągnął dłoń i objął Davida za szyję. Usiłował wypowiedzieć jakieś słowa.

- Spokojnie, Danny, spokojnie. Pomoc jest już w drodze. Znasz policjantów, wiesz, jak szybko się zjawiają, kiedy chodzi o swojego.

- Spen... czer-wychrypiął Danny.

- Tak, tak, wezw Spencer. Danny, posłuchaj mnie uważnie, musisz nam pomóc. Posłuchaj... kto to zrobił? Kto?

- Spencer - powtórzył Danny. Z jego ust zaczęła się sycić krew. Ponownie zdobył się na wysiłek i powtórzył: - Spencer!

- Trzymaj się, Danny! - zawołał David, widząc, że oczy rannego robi się szkliste. - Nie umieraj! Kocham cię, ty chudy, bogaty chłopcze! Danny!

Słyszał już syreny. Słyszał warkot migłowca. Zawiadomił ich, że potrzebny jest sprzęt do intensywnej terapii i uwierzyli mu. Pomoc miała nadejść w ciągu kilku sekund.

Sanitariusze rozrywali już paczki z bandażami i przygotowywali kroplówkę. David poczuł na ramieniu czyją dłoń i usłyszał głos:

- David!

Odwrócił się i zobaczył, że stoi przed nim porucznik Oppenheim, przełożony Danny'ego.

- David, pozwólmy im robić swoje. Jeśli ktokolwiek może uratować Danny'ego, to właśnie oni. Co się stało? Kto to zrobił?

Oppenheim, weteran pracy w policji, był siwy, wysoki i potężnie zbudowany.

- Nie wiem... David miał się ze mną spotkać na ulicy. Spotkał się. Wróciłem do domu, żeby do niego zadzwonić, a kiedy popatrzyłem w stronę drzwi...

Spojrzał na Danny'ego. Jego przyjaciel leżał już na noszach. Kto porozumiewał się przez radio z załogą migłowca, ustalał miejsce i dowożenia.

- David, co się stało, do diabła, stało? Czy coś wiesz? Czy Danny coś powiedział?

David potrząsnął głową, nie spuszczał wzroku z przyjaciela, jakby miał nadzieję, że w ten sposób zachowa go przy życiu.

- Miał się ze mną spotkać. Spóknij się. Wróciłem do domu, żeby do niego zadzwonić i zobaczyłem go w drzwiach. To wszystko.

- Czy coś powiedział?

David potrząsnął przecząco głową.

- Powtarzał tylko jedno słowo: Spencer. To imię jego żony.

Jeszcze dziesięć minut! Spencer zakręciła kran, wyszła spod prysznicą i zaczęła się energicznie wycierać. Na jej ustach był kał się lekko uśmiech. Odrzuciła ręcznik i wzięła szczotkę oraz suszarkę. Starła się jak najszybciej ułożyć włosy. Doszła do wniosku, że musi wyglądać wspaniale. Po prostu wspaniale. I wiedziała dokładnie, co musi zrobić.

W kilka sekund później miała już na sobie czarny pas z czarnymi podwiżkami, czarne półbuty i czarne buty na wysokich obcasach. Znalazła w szafie czarny, jedwabny krawat Danny'ego i obwijała nim luźno szyję. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Minimum czerni. Danny powiedział kiedyś, że podoba mu się w czerni i że wyglądałby najlepiej, mając na sobie czarny krawat i nic więcej. No cóż, w tym szczególnym dniu postanowiła spełnić jego marzenie.

Odwróciła się szybko od lustra i zbiegła na dół, upewniając się po drodze, że kotarys zaciągnięte.

Wpadła do kuchni, napełniła kubeczek lodem, wyciągnęła schowaną na specjalny okaz butelkę szampana Dom Perignon i popędziła do salonu. Przykryła koronkowym obrusem

wiktoria ski stolik, postawiła na nim kubełek z szampanem i wróciła do kuchni, by ułożyć w dwóch kryształowych wazach dwie kieliszki winogron - białych i ciemnych. Zerknęła na zegarek. Pięć minut. Danny powinien wrócić za pięć minut.

Zasiadła na stoliku, lokując się pomiędzy dwiema wazami winogron w taki sposób, że butelka szampana stała tuż za nią. Poderwała się, ponownie zerknęła na zegarek i podbiegła do drzwi. Muszą być otwarte. Zepsułaby cały efekt, gdyby musiała je otwierać, a przecież Danny nie ma przy sobie klucza, bo wyszedł w szortach.

Podeszła do stolika i usiadła na nim ponownie, krzyżując nogi jak Indianin. Czekwała z bijącym sercem. Nie była pewna, czy wygląda seksownie, czy po prostu głupio? Uśmiechnęła się, dochodząc do wniosku, że nie ma to znaczenia, bo i tak oboje uznają to wszystko za sztukę, a jej jest ostateczny zamierzony rezultat, będzie on wart wszystkich wysiłków. Danny tak bardzo chce mieć dzieci. Choć niewielu ludzi to rozumiało, był jako chłopiec bardzo samotny. Dopóki nie będą mieli dzieci, Spencer będzie się czuła winna, jakby go zawiodła. A przecież tak bardzo chciała go uszczęśliwić!

Spojrzała na drzwi z niepokojem. Co będzie, jeśli otworzy je listonosz? Nie, listonosz nigdy nie przychodzi przed południem.

Jaki wariat? Psychopatyczny morderca?

Spencer! - upomniała w myślach sam siebie. Przecież Danny ma wrócić już za kilka minut. Może pije kawę z Davidem. Może czuje się winny, że odwołał umówione spotkanie. Może - mimo danej jej obietnicy - powiedział Davidowi prawdę. Są przecież najlepszymi przyjaciółmi. Zawsze byli przyjaciółmi. Nic ich nigdy nie poróżniło. Nawet ona.

Nie chciała rujnować niczyjej przyjaźni, podobnie jak była pewna, że David Delgado zniknął z jej życia na zawsze. Że ból już przeszedł, burza minęła. Była taka młoda, kiedy zakochała się w Davidzie. Nigdy nie wyobrażała sobie, że może na przełaj co, co przeżyła z nim, co tak namiętnego, tak okropnego, tak...

- Przesta ! - powiedziała do siebie na głos i zamknęła oczy. Siedziała niemal naga na stoliku, czekając na swego męża, z którym zamierzała w końcu mieć dziecko. Dziecko, którego oboje chcieli. Czekwała niecierpliwie na męża, który był jednym z najlepszych ludzi na całym świecie.

Czekała na Danny'ego, ale wiedziała, że jeśli nad sobą nie zapanuje, zacznie wspominać swą pierwszą przygodę miłosną. Przygodę, którą przeżyła z jego najlepszym przyjacielem.

Z Davidem Delgado.

- Jeśli to będzie dziewczynka, chciałabym nazwać ją Kyra - powiedziała głosem. - Ciekawa jestem, co o tym sądzi Danny. Wiem, że nigdy nie powie mi prawdy. Będzie szczęśliwy, że mamy dziecko i nie będzie przywiązywał żadnego znaczenia do jego imienia.

To było w domu jej dziadka. Miała wtedy szesnaście lat, a on niewiele więcej. I jak we wszystkich przypadkach, które dotyczyły ich obojga, to ona przeforsowała swój wybór. On nie chciał jej nawet wtedy; była wnuczką pana Montgomery, którego uwielbiał od pierwszego spotkania. Ale zalecała się do niego bezwstydnie Terry-Sue, a Spencer nie mogła tego znieść. Wiedziała od początku, czego chce, więc sprowokowała go i dopiła swego. Wiedziała, czego chce...

Ale nie była przygotowana na to, co ją spotkało. Ani na to, co nastąpiło później...

- Jeśli to będzie chłopiec, nazwiemy go oczywiście Daniel - powiedziała głosem.

W tym momencie usłyszała głośne stukanie do drzwi. Uśmiechnęła się. Danny wrócił do domu, a ona naprawdę go kocha. Wspólnie potrafił przepędzić demony przeszłości. Niemal zmusiła go do odejścia na zawsze.

- Wejść ! - zawołała.

Drzwi otworzyły się i w ich kadrze dostrzegła na tle promieni słonecznych sylwetkę mężczyzny. Zrobił krok do przodu, a ona, zanim jeszcze ujrzała jego twarz, wiedziała, że stało się coś złego. Mężczyzna był za wysoki i za szeroki w

ramionach, a poza tym miał ciemne włosy. Nie przypominał Danny'ego, który był szczupłym, ylastym blondynem.

- David! - wykrztusiła z trudem. Miała wra enie, e nie oddycha, e jej serce przestało bi . Czuła si jak idiotka, siedz c ze skrzy owanymi nogami na stole. Poza tym była niemal naga, a czarny krawat pogarszał jeszcze sytuacj .

Poderwała si , przebiegła przez pokój i zarzuciła na siebie wisz cy na oparciu kanapy afga ski szal. Potem odwróciła si do obserwuj cego j m czynny. ałowała, e nie mo e zapa si pod ziemi .

- Ja... - zaczę ła mamrota - ja... wła nie czekam na Danny'ego. Miał z tob porozmawia . Czy by cie si min li? W kuchni jest kawa. Ja tylko si ubior i...

- Spencer - przerwał jej David. Nie powiedział nic wi cej. Jego ton był spokojny, ale przepojony bólem. Nie dokuczał jej ani nie komentował wygl du. Po prostu patrzył na ni , a ona nagle poczuła dotkliwy chłód. I domy liła si . Domy liła si , słysz c jego stłumiony głos, widz c wyraz jego oczu.

- Danny? - spytała szeptem. I nagle wszystko stało si jasne. Dostrzegła czerwone plamy na koszulce i białej obwódce czarnych spodenek Davida. I łyzy w jego oczach. Dotychczas tylko raz widziała, eby David Delgado miał łyzy w oczach: w dniu, w którym pochowano Michaela MacCloud.

- Danny, o mój Bo e, Danny! - wyszeptała. Nigdy w yciu nie była tak przera ona. Zrobiło jej si słabo, wszystko zaczę ło wirowa , stopniowo otaczała j ciemno .

- Spencer, musisz pojecha ze mn ! Szybko!

Słyszała jego słowa, ale docierały do niej jakby przez mgł . Chciała pokona ogarniaj c j ciemno i jecha z nim, ale była bezsilna. Opuszczała j wiadomo . Upadła na podłog , w czarnych butach, po czochach, krawacie... wszystko zrobiło si tak czarne, jakby kto zgasił wiatło...

Dotarła do szpitala na czas. David poło ył jej na głowie zimny kompres i potrz sał ni , dopóki nie odzyskała

przytomno ci. Natychmiast zaczęła mówić, że nie może ponownie zapaść się w ciemność. Przecież Danny nie był w pracy! Nie miał na sobie munduru ani nawet cywilnego ubrania.

- Spencer, on żyje. Pospiesz się.

To otrze wiło ją do reszty. Odzyskawszy resztki siły i resztki godności, błyskawicznie się ubrała. Eskorta policyjna umożliwiła im dojeżdżanie do szpitala Jackson Memorial w ciągu niecałych dziesięciu minut.

Danny był już na sali operacyjnej. Ona i David przez wiele godzin chodzili po szpitalnych korytarzach, pijąc ohydne kawki z automatu w papierowych kubkach, czekając...

Danny żyła. Zdumiewającym zrządzeniem losu przeżyła operację. Lista uszkodzeń ciała, spowodowanych przez kule, była nieskończenie długa: rany szarpane trzustki i w trochę, urazy płuc i jelit.

Ale trzymała się życia. Przez wiele dni trzymała się życia. Leżała na oddziale intensywnej terapii, a Spencer przez cały czas była przy niej.

Potem, w trzy tygodnie po napadzie, lekarze oznajmili jej, że zapadła w śpiączkę. Byli z nią David i Sly; tłumaczyli, co się stało, a ona nie chciała tego zrozumieć. Ogólny stan Danny'ego w gruncie rzeczy nie uległ pogorszeniu, ale infekcja, która wzięła się nie wiadomo skąd, dotarła do mózgu - a zmiany w mózgu były nieodwracalne. A więc Danny żyła, ale była martwa. Prosiła o zgodę na odłączenie go od aparatów.

Podpisała odpowiednie dokumenty i znów usiadła przy jego szpitalnym łóżku. Trzymała go za rękę. Jego dłoń wyglądała tak dobrze, tak normalnie. Wydawała się silna i zdrowa. Długie, opalone palce. Przycisnęła ją do twarzy i poczuła na policzku jego kostki. Wydawało jej się niesprawiedliwe, że Danny nadal wyglądał zupełnie tak samo...

W cztery tygodnie po strzelaninie wydał ostatnie tchnienie. David i tym razem był przy niej. Nie odzywał się, tylko patrzył i czekał. Był tam przez cały czas. Kręciła się te cięgiełko

policjanci - czekali, modlili się, strzegli rannego. David nie był już policjantem, ale to nie miało znaczenia. Gotów był skazać swoją firmę na bankructwo, byle siedzieć przy Danny'm. Przy niej. Na ogół milczał, ale był na miejscu. I przeszło została pogrzebana. Zawarli milczenie o zawieszeniu broni. Oboje kochali Danny'ego i ze względu na niego wszystko inne zeszło na dalszy plan. Przychodzili jej krewni, jej przyjaciele. Nie szczędzili słów pociechy; słów, które mimo ich najlepszych intencji nie na wiele się przydawały.

Jedyną rzeczą, która się naprawdę liczyła, była milcząca obecność Davida. Słyszała, jak rozmawiał z odwiedzającymi w szpitalu policjantami. Nikt nie miał pojęcia, kto strzelał do Danny'ego. Spencer nie zdawała sobie jeszcze sprawy, że Danny umrze, że w gruncie rzeczy już jest martwy. Nadal myślała, że się poruszy, odwróci głowę, posłucha jej, otworzy oczy. Powiedzieli jej, że jego mózg nie żyje, ale serce było silne i biło nadal. A David czuwał w milczeniu, siedząc za jej plecami.

Trzymał ją w objęciach, kiedy wszystko się skończyło, gdy zabierano ciało, a ona krzyczała przerażenie, nie mogąc mimo wszystko uwierzyć, że Danny naprawdę odszedł.

To David przemawiał na pogrzebie, w którym wzięły udział setki ludzi. Mówił o Danny'm jako chłopcu, o Danny'm jako matką czy nie, o tym, co znaczył Danny dla wszystkich, którzy go kochali. Mówił też o tym, że Danny był zawsze dobrym policjantem oraz najlepszym, najuczciwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał.

Gdy skończył, odszedł od mikrofonu, a jego miejsce zajął mistrz ceremonii.

- Detektyw Daniel Huntington jest obecnie zero sześciu - oznajmił cicho.

Zwolniony ze służby, skreślony z listy policjantów. Powietrzem wstrząsnęła salwa, oddana z dwudziestu jeden karabinów.

I już było po wszystkim. Danny mógł nareszcie odpocząć.

2

Czytał jakieś leżące na biurku akta, kiedy wpadła do pokoju jak niespokojny powiew wiatru. A raczej jak jakiś nieposkromiony huragan. Rzuciła na biurko poranną gazetę i przeszła go oskarżycielskim spojrzeniem swych pięknych, kryształowo niebieskich oczu.

Podniósł wzrok i zmarszczył brwi.

- Spencer! Ciesz się, a cię widzę - powiedział chłodnym tonem. Był naprawdę zadowolony, a jej widzi, choć wyglądała jak polująca lwica, gotowa w każdej chwili rzucić się do gardła. Ale Spencer zawsze prezentowała się imponująco, mimo że ostatni rok odbił się trochę na jej urodzie. Miała szczuplejszą twarz i nieco zapadnięte policzki, lecz na wygląd Spencer Anne Montgomery nawet tragiczne przeżycia wpływały korzystnie. Huntington, przypomniał sobie po raz nie wiadomo który.

Unikał jej i zdawał sobie z tego sprawę. Poczłukowo ułatwiała mu to. Zaraz po pogrzebie pojechała do Newport, do jednej z rodzinnych posiadłości swej matki. Potem wróciła i przez kilka miesięcy pracowała w West Palm, gdzie mieściło się jej biuro. W Miami przebywała już od ponad dwóch miesięcy, a teraz stała w jego gabinecie, patrząc na niego z nieukrywanym ciekawością.

- Codziennie kupuję „Miami Herald” - oznajmił.

- To, że kupujesz, nie znaczy, że czytasz - odparła. Podsunęła mu gazetę palcem o długim, starannie polakierowanym paznokciu, a on był przekonany, że jeśli wkrótce nie podniesie dziennika z biurka, Spencer podejdzie mu go pod nos. Wiedział, o który artykuł jej chodzi, bo go przeczytał i ubolewał z jego powodu.

Choć od zamordowania Danny'ego minął już rok, nie znaleziono sprawcy. Nie było nawet żadnych umotywowanych podejrzeń. Policja pracowała nad tym sprawą nieustannie, a David

po wi cił jej cał energi . Wykorzystywał swoje kontakty, przeszukiwał ulice. Nie ustalono nawet, jaki był motyw zabójstwa, gdy wszystkie dotyczące go koncepcje zostały odrzucone. Policja przesłuchiwała także Davida. I Spencer. Ona automatycznie jest głównym podejrzanym, a drugie miejsce zajmują ci sto najlepsi przyjaciele, chyba że gdzieś w tle istnieje szereg byłych on lub kochanek.

- Czy chcesz usi , Spencer? - spytał David, wskazując jej stojący przed biurkiem obity skórą fotel. - Czy te zamierzasz nadal stać i patrzeć na mnie z w cieko ci ?

- Chc , eby co zrobił!

- David, przyszła Spencer - oznajmiła Reva, pojawiając się w drzwiach gabinetu. Nikt inny nie był w stanie przedrzeć się przez barykadę stawianą przez jego młodszą siostrę. Reva wiedziała, jak zatrzymać ją dego niepo danego go cia - oprócz Spencer. David uśmiechnął się lekko. Tak było zawsze, nawet w czasach ich wspólnie przeżytego dzieciństwa.

- Dziękuję, Reva. Może poprosisz pani Huntington, eby usiadła?

- Spencer...

- Reva, czytała ten artykuł? - zapytała Spencer, odwracając się gwałtownie.

Ona i Reva są w tym samym wieku i obie odznaczają się niezwykle urodzeniem, pomyślał David, tracąc na chwilę zdolność koncentracji. Ostatnio ci sto mu się to zdarzało. Wiedział, że jest to wynik ogromnego stresu. Wyglądały jak para księżniczek ze współczesnej bajki, Biała Róża i Czerwona Róża. Spencer miała długie, złociste włosy i oczy koloru nieba. Reva była opalona na brąz i miała bujne, kręcone, ciemne włosy, a jej ciemnoniebieskie oczy ci sto wydawały się czarne, tak samo jak oczy jej brata. Zawsze się lubiły, ale nie zostały bliskimi przyjaciółkami ze względu na układ towarzyski, którego centralnym punktem był on sam.

- Czytałam to, Spencer - potwierdziła Reva. - Ale musisz wiedzieć , że David zrobił wszystko, co w jego mocy...

- To nie wystarczy!
- Ale , Spencer...
- On był twoim najlepszym przyjacielem - powiedziała Spencer, odwracając się do Davida. - Jak możesz tak po prostu o nim zapomnieć? Przeczytaj artykuł! Ten dziennikarz twierdzi, że policja jest nieudolna, a ta sprawa najwyraźniej nikogo już nie obchodzi!

- Spencer, czytałem ten cholerny artykuł -- oznajmił David. - Może tego nie zauważyłaś, ale ten dziennikarz twierdzi również, że policja powinna dokładniej przyjrzeć się tobie.

- A prawdziwy morderca nadal przebywa na wolności i miesi się z nas.

- Spencer - wtrąciła Reva, pragnąc uchronić brata przed zarzutami. - David tak był zajęty szukaniem mordercy Danny'ego, że omal nie doprowadził do upadku swojej firmy. Musisz...

- W takim razie wynajmij Davida i całą jego cholerną agencję! Wtedy nikt nie będzie się musiał martwić, że grozi jej bankructwo.

David wstał. Miał już do dyskusji utrzymanej w tym tonie i nie zamierzał pozwolić na to, by młodszą siostrę musiała go bronić. Nawet, a może zwłaszcza przed Spencerem.

- Nie bądź dla ciebie pracował, Spencer - oznajmił chłodno. - A teraz możesz albo usłyszeć i wysłuchać wszystkiego, co wiem, albo wyjść.

- Do diabła, David, nie wyjdź stąd!

- Wyjdiesz, albo wyrzucę ci siłę, a potem wezwę policję i powiem, że mnie nachodzisz i utrudniasz prowadzenie działalności zawodowej - oświadczył stanowczo. Potem westchnął bezradnie, widząc, że Spencer nadal jest blisko wybuchu. - Spencer, proszę cię, usiód!

Tym razem posłuchała. Reva wymieniła z bratem znaczące spojrzenia.

- Przyniosłam kawę - powiedziała.

- Je li zamierzasz podać Spencer, to wybierz kawę bez kofeiny! - zawołał za nią David. - Ona z pewnością ci nie potrzebuje żadnych środków pobudzających!

Spencer puściła uwagę mimo uszu. Kiedy David zasiadł ponownie za biurkiem, poczuł ogarniając go fala wyrzutów sumienia. Spencer była blada i szczupła. Przez całe życie ubierała się pięknie, ale skromnie, i to nie uległo zmianie. Miała na sobie suknię bez rękawów, sięgając niemal do kolan. Jej krój był idealny, a David domyślał się, że pochodzi ona z kolekcji jakiegoś znanego projektanta, choć Spencer zawsze kupowała to, co jej się podobało, a nie to, co opatrzone było słynnym nazwiskiem. Nigdy nie zachowywała się jak osoba od urodzenia bogata, ale i tak dawało się to wyczuć. David musiał jednak przyznać, że nie jest pewien, które z nich oparło się na naciskom rodziny: ona czy on.

Tak czy owak, Spencer prezentowała się wspaniale w prostej, ale idealnie uszytej sukni. Przed chwilą przypominała burzę, a teraz wyglądała jak eteryczna zjawka. Była zbyt szczupła, zbyt blada... W jej oczach malował się wyraz udręki. David pomyślał, że ten sam wyraz może na pewno dostrzec w jego spojrzeniu. Trudno się przyzwyczaić do życia bez Danny'ego.

I polowa na jego mordercę.

- Minął już rok, David - powiedziała bezbarwnym tonem.
- Spencer, czy była na policji...
- Oczywiście. Wiele razy. Zawsze się bardzo mili... z wyjątkiem tych okazji, podczas których zaczynają mnie na nowo przesłuchiwać.

- Oni muszą to robić, Spencer.

- Jak mogłabym go zabić? - zapytała po prostu.

David wahał się przez chwilę.

- Oni na ogół biorą pod uwagę wszystkie możliwości. Mogła wybiec za nim, zastrzelić go, wrócić szybko do domu i czekać na kogoś, kto przyniesie ci wiadomość.

- Ale przecie wiesz...

- Mówi ci, jak rozumuje prokuratura. Szukaj osoby, która miałaby motyw. Była jego on . Odziedziczyła po jego mierci znaczny majątek.

- Ale przecie zastała mnie...

- Niemal nag . Mo e dlatego, e pozbyła si zakrwawionej odzie y.

Spencer wstała i spojrzała na niego tak, jakby był wyrachowanym morderc .

- Ty draniu! A co powiesz o sobie? Umarł w twoich ramionach!

- Usi d , Spencer, bo za dwie sekundy zmusz ci do tego si .

Nie usiadła, dopóki David nie zakl ł i nie wstał. Wtedy wróciła na fotel i popatrzyła na niego z furi , której nawet nie usiłowała opanowa .

- Spencer, do diabła, przecie mnie te wielokrotnie przesłuchiwali, i to faceci, z którymi pracowałem przez wiele lat. Musz rozpatrywa wszystkie mo liwo ci.

W jej oczach zakr ciły si łzy. Wida było, e robi, co mo e, by nie wybuchn płaczem.

- Kochałam Danny'ego - wykrztusiła z trudem.

- Wiem o tym, Spencer. - Zacisn ł z by, czuj c si tak, jakby kto go uderzył prosto w serce. On te kochał Danny'ego. Ka dy, kto poznał Danny'ego Huntingtona, darzył go sympati . Oczywi cie z wyj tkiem mordercy. A mo e morderców?

- Spencer, czy pami tasz przypadek sprzed kilku lat, ten z Bayshore Drive? ona zadzwoniła na policj z wiadomo ci , e jej m został zastrzelony. e jacy ludzie włamali si do domu i zabili go. Okazało si , e sama wynaj ła morderców, wpu ciła ich do domu, a kiedy było po wszystkim, poczekała, a znikn i zadzwoniła po radiowóz. Pami tasz, Spencer?

- Tak, pami tam - odparła z irytacj . - Była znacznie młodsza ni on i chciała zagarn jego pieni dze. Te dwie sprawy nie maj z sob nic wspólnego.

- Spencer, policja nic nie może na to poradzić. Sprawcami wiesz kto ci mordęstwo osoby bliskie ofiarom. Ony znajdują się na pierwszym miejscu.

- Do diabła, David, nie przyszłam tu po to, żeby mi tłumaczył, dlaczego policja mnie przesłuchuje. Danny nie żyje od przeszło roku. Zamordowano policjanta i nikt nie jest nawet podejrzany, a ty siedzisz tutaj i tłumaczysz, dlaczego mnie przesłuchiwali! Chcę wiedzieć, co oni wiedzą, a oni mówią mi tylko: och, mamy kilka poszlaków, ledzimy taki a taki trop. Kpią ze mnie. Klepią mnie po plecach, ale nic nie robi!

- Spencer, oni robią, co mogą. To wymaga czasu...

- Musisz mi powiedzieć, co oni wiedzą.

- Spencer, jedź do domu. Spróbuj znaleźć coś, co zrekonstruować.

Nie był pewien, czy użył właściwego słowa. Firma Montgomery Enterprises nie była przedsiębiorstwem budowlanym ani instytucją zajmującą się dekoracją wnętrz. Słynął z działalności we wczesnym okresie istnienia miasta. Wykonywał wtedy różne detale - gzymsy, profile, kominki - zatrudniając najlepszych architektów i pracowników budowlanych. Lubił wspominać te odległe czasy, w których dzisiejsza ruchliwa metropolia była tylko małą, południową osadą, powstałą na ziemi wydartej bagnom. Teraz firma Slaya zajmowała się odnawianiem zabytków architektury. Restaurowała stare budynki a także do najdrobniejszych szczegółów, takich jak kafle, gzymsy i attyki. David nie mógł czasem uwierzyć, że tego rodzaju firma może prosperować w Miami, ale stary Slay tłumaczył mu niekiedy, że wiele budynków nabrało tu wartości historycznej. W ciągu ostatnich dziesięciu lat panowała moda na secesję, więc rekonstruowano niektóre hotele i obszary miasta, a wszystko co stare stało się cenne. Firma Montgomery Enterprises prosperowała więc znakomicie.

- Jedź do domu albo zajmij się odnowieniem jakiejś dziwnej, starej łazienki, czy czegoś w tym rodzaju - powtórzył, masując skronie.

- Byłam ju w domu, David - odparła i zmrużyła lekko oczy. - Zniknłam na rok, zostawiając wszystko w rękach policji. I w twoich rękach, rękach jego najlepszego przyjaciela, człowieka, który zna miasto od podszewki i potrafi się wszystkiego dowiedzieć! Zniknłam, ale teraz wydaje mi się, że jestem jedyną osobą, którą ta sprawa obchodzi! Je li mamy w ogóle znaleźć mordercę Danny'ego, to muszę się sama tym zająć. Twoja mowa była piękna, policjanci, którzy przyszli na pogrzeb, wyglądali wspaniale, salwa z dwudziestu jeden karabinów zrobiła wielkie wrażenie, ale tajemnica jego śmierci została pogrzebana razem z nim i chcę coś z tym zrobić. Chcę się dowiedzieć, co na ten temat wiecie. Był policjantem, pracował w wydziale zabójstw. Czym się zajmował? Po co miał spotkać się z tobą tego ranka?

- Kawa! - oznajmiła pogodnym tonem Reva.

David ucieszył się, kiedy siostra weszła do gabinetu i postawiła tacę na jego biurku. Chciał zyskać czas do namysłu, ale widok tacy uniemożliwiał mu koncentrację. Zawsze uywali w biurze kubków - mocnych, grubych kubków - tymczasem Reva wniosła na srebrnej tacy porcelanowe filiżanki, srebrny imbryk, srebrny dzbanuszek do mietanki i srebrny cukiernic.

Zerknął na siostrę, która wzruszyła ramionami i znacząco spojrzała w stronę Spencer. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Dziękuj, Reva - rzuciła z roztargnieniem Spencer, wstając i podchodząc do tacy.

- Spencer, proszę, uspokój się! - powiedział David.

- Nie mogę się uspokoić! - krzyknęła, sięgając po dzbanek z kawą i zerkając na Revę. - Nie chcę być niezdolną, ale czy nie mogłabym dostać jednego z tych wspaniałych kubków, których uywaliście dawniej?

- Ja... - zaczęła bezradnie Reva i znów spojrzała na Davida. - Oczywiście, zaraz ci przyniosę.

Reva wyszła. David rozsiadł się wygodnie w fotelu, nie wiedząc, czy ma ochotę wybuchnąć miechem, czy też złapać

Spencer za kark i wyrzucił się z biura. W końcu pochylił się i splótł palce na biurku.

- Spencer, jeśli wierzysz, że byłem przyjacielem Danny'ego, to wiesz, że robi co może. Poza tym wiadomo, że gliniarze zawsze wychodzą ze skóry, żeby złapać mordercę policjanta.

- Po co miał spotkać się z tobą tego ranka? - przerwała mu bezceremonialnie Spencer.

- żeby porozmawiać o sprawie Vichy'ego.

Weszła Reva z kubkami. Spencer uśmiechnęła się do niej z wdziękem.

- Dziękuję. Nie wiem, na czym to polega, ale kawa zawsze ma lepszy smak, jeśli pije się ją z kubka.

- A więc napijmy się kawy - zaproponował David.

- Ale to może potrwać do długo - uprzedziła go Spencer.

- Ja nalej - powiedział wstając. Nie miał pojęcia, jak się jej pozbyć.

- Mnie nie nalewaj. - Reva spojrzała na niego z uśmiechem. - Mam mnóstwo roboty - dodała i ponownie wyszła z gabinetu.

- Spencer, do cholery, jeśli zamierzasz zostać, to usiądź - mruknął David z irytacją. Usiadła, a on nalał kawę do dwóch kubków. - Czy nadal pijesz bez mleka, z jedną kostką cukru?

- Tak, dziękuję ci bardzo.

Bez mleka, z jedną kostką cukru. Tak było już za czasów szkolnych. Niektóre przyzwyczajenia nie ulegają zmianie. Tak jak uczucie, które zawsze do niej żywił.

Energicznie postawił przed nią kubek, a potem wrócił na swój fotel, otworzył szufladę i położył na blacie biurka gruby plik teczek z aktami.

- Oto czym się zajmowałem przez cały rok, Spencer. Słuchając protokołów rozmów z przeszło dwustoma osobami i notatki na temat ludzi, miejsc, kryjówek. Plik teczek dotyczy zamkniętych spraw, czyli zabójstw, nad którymi pracował Danny. Ich sprawcy zostali ujęci wcześniej i nie mogli mieć nic wspólnego

z jego miernicy. Sprawa Vichy'ego pozostaje otwarta i może pozostać taka na zawsze.

- Dlaczego?
- Znasz Eugene'a Vichy.
- Znam go?
- Jest członkiem twojego Yacht Clubu.

Spencer zmarszczyła brwi, a on zdał sobie sprawę, że pewnie nie była w klubie od dłuższego czasu.

- Ma pięćdziesiąt kilka lat, siwe włosy, jest przystojny i zawsze wygląda tak, jakby zszedł z planu filmowego. Jego żona, w tej chwili pani Vichy, miała ponad sześćdziesiąt lat i nie była tak przystojna, ale bardzo bogata. Zmarła na skutek uderzenia w głowę. Dom został splądrowany; ukradziono kilka brylantów. Vichy twierdzi, że zastał mieszkanie w nieładzie i jest złamany utratą swojej ukochanej Vickie.

- Vickie? Vickie Vichy? - spytała Spencer.

- Znała ją?

- Wydaje mi się, że gdzieś słyszałam to imię i nazwisko - które zresztą razem brzmi absurdalnie - ale może Danny opowiadał mi o tej sprawie. Nie pamiętam. A dlaczego dzisiaj, może ona pozostać nieznaną?

- Bo Vichy przeszedł pozytywnie badanie przez wykrywacza kłamstw i nadal upiera się przy swojej wersji wydarzeń.

- Może jest niewinny.

- Nie sądzę - stwierdził David, potrząsając głową. - Ani przez chwilę tak nie sądziłem. A Danny zgadzał się ze mną.

Spencer pochyliła się do przodu, a w jej oczach pojawił się nagle błysk czujności.

- A więc Danny usiłował przyprześć tego człowieka do muru? Vichy wiedział, że Danny nie da za wygraną, a ponieważ dowiedział się, że potrafił go zamordować ...

- Spencer, policjanci nie mogą nikogo aresztować, nie mają dowodów.

- Wskazywanie. Mów dalej.

- Dalej?
- Kto jeszcze jest na li cie podejrzanych?
- Spencer, powinna pojecha do domu...
- Nie pojed do domu, dopóki nie powiesz mi dokładnie, jak rol odgrywasz w tym ledztwie.
- Nie musz ci nic mówi . Nie pracuj dla ciebie.
- Wi c zacznij dla mnie pracowa .
- Nie.
- David, je li chodzi o finanse, to mog konkurowa z ka dym innym klientem, jakiego masz. Musz ...
- Do diabła, Spencer! - Chciał zachowa spokój i wyrozumiało . Nie byli dzie mi; ycie dało im ju mocno po głowie. Lecz w Spencer było co , co sprawiało, e miał ochot j obj lub potrz sn ni z całej siły. Potrz ni cie było o wiele bardziej bezpieczne. - Nie mo na mnie kupi , Spencer. Chyba o tym wiesz.
- Nie powiniene mnie zmusza do tego, ebym próbowała ci kupi ! - odburkn ła, usiłuj c powstrzyma gniew. - On był twoim najlepszym przyjacielem. On...
- Spencer, wyjd st d.
- Nie wyjd , dopóki nie sko czysz.
- Spencer, wezm ci za kark i wyrzuc za drzwi! - ostrzegł David.
- Wyjd z własnej woli - oznajmiła, mru c oczy.
- Chc tylko wiedzie , co jeszcze robicie, kogo jeszcze obserwujecie?
- Wyrzucili ci z posterunku, wi c przyszła tutaj, eby zn ca si nade mn -j kn ł.
- David...
- No dobrze. Vichy mógł mie do Danny 'ego, który si uparł, e dowiedzie jego winy - stwierdził chłodnym tonem, patrz c przez du e okno na ogród, który, otoczony drewnianym płotem, wydawał si ustronny i cichy. Pod płotem rosła zbita masa purpurowych kwiatów bugenwilli, powoje wdzierały si w wolne miejsca mi dzy ciemnozielonymi paprociami i

niecierpkami. Był to miły i kochany widok, ale David nie czuł się ani zadowolony, ani spokojny. - Wśród podejrzanych, których sprawę prowadził Danny, byli tylko dwaj ludzie mogący mieć motyw i sposobność zabicia go. Pierwszym jest Ricky Garcia...

- Widziałam gdzie to nazwisko - przerwała Spencer nerwowo. - Pamiętam dokładnie, kiedy Danny mi o nim opowiadał. To jeden z rekinów zorganizowanej przestępczości, szef kubańskiej mafii. Podlegał mu gangi zajmujące się handlem narkotykami, prostytutkami, hazardem...

- Wszystko się zgadza. Jest listki jak w gorz. Może na zawołanie znaleźć tuzin płatnych morderców.

- To musi być on - szepnęła Spencer, patrząc mu stanowczo w oczy. - I musi być jakiś sposób złapania go w pułapkę.

- Jeśli jest, to policja go znajdzie. Lub znajdzie go ja. Nie ma jednak żadnej gwarancji, kiedy Danny coś o nim wiedział ani kiedy on miał coś przeciwko Danny'emu. W istocie nawet go lubił.

- Lubisz?

- Nie masz pojęcia, jak często przestępcy darzą sympatię dla policjantów - odparł i wzruszył ramionami.

- Ale...

- Drugim człowiekiem jest Trey Delia. To nazwisko też musisz znać.

Spencer kiwnęła głową i zmarszczyła brwi.

- To ten przywódca sekty.

- Nie nazwałbym go przywódcą sekty.

- Był jednym z ludzi oskarżonych o rabowanie grobów i wyciąganie z nich różniczek i ciał! - zawołała Spencer. - Uwalili ich podczas rytualnych obrzędów.

- Oskarżono go o rabowanie grobów, ale policja nie była pewna, czy wyciągał z nich różniczek i ciała. Poszukiwał go o ukrywanie dowodów rzeczowych. Liczni członkowie jego sekty zmarli w tajemniczych okolicznościach, a on doprowadził do kremacji większości z nich. Danny poszukiwał go o akty wandalizmu na kilku cmentarzach. Wykopywał swoich

wyznawców, eby si upewni , e policja nic nie znajdzie w razie ewentualnej ekshumacji. To wszystko, Spencer. Podałem ci wszystkie nazwiska, jakie zostały na mojej li cie osób potencjalnie podejrzanych. Nie siedz beczynn timer, robi co mog . A teraz chc , eby pojechała do domu i postarała si o tym nie my le .

Wstała, oparła dłonie na biurku i popatrzyła na niego równie wrogo, jak on patrzył na ni .

- Nie potrafi o tym zapomnie .

- Musisz. - Zacisn ł z by, ponownie walcz c z pokus obj cia jej lub wyrzucenia za drzwi si ł . To pierwsze byłoby okropnym bł dem - na pewno zachowałyby si wobec niego tak czule i serdecznie jak je ozwierz. Ich stosunki nie mogły ju ulec poprawie; mier Danny'ego ostatecznie upewniła go w tym przekonaniu.

Musiał trzyma j z dała od siebie. Powinien był zawsze trzyma j z dała od siebie. Kiedy była blisko, z trudem opierał si pokusie, a w tym przypadku pokusa była udr k . Przekonał si na własnej skórze, e nic na wiecie nie jest silniejsze ni jego uczucie do Spencer. I nic na wiecie nie jest w stanie wypełni pustki, jaka powstaje w duszy m czyzny po odej ciu takiej kobiety. Wygl dała tak, jakby powinna sta na piedestale. Jasnowiąsa bogini o alabastrowej skórze. Anglosaska bogini o wspaniałym rodowodzie. Tak, Danny idealnie do niej pasował.

- Wyno si , Spencer.

- David, niech ci diabli wezm !

- Kiedy si czego dowiem, dam ci zna . Je li b dziesz mogła na co si przyda , zawiadomi ci . A tymczasem daj mi, do diabła, wi ty spokój i pozwól mi pracowa .

- David...

Zamilkła, bo zbli ył si do niej z gro nym wyrazem twarzy. Staraj c si - bez wi kszego powodzenia - zachowa spokój, chwycił j za r ce, potem odwrócił i wypchn ł z gabinetu najszybciej jak mógł, a łuj c w ci gu tych kilku sekund, e musi si do niej zbli y . Czuł jej zapach. Nie potrafił go okre li , ale

wiedział, że pachniała tak zawsze, odkąd zaczęła nosić biustonosz i że nie jest to jedynie aromat perfum czy wody kolońskiej, lecz również mydła i olejku do ciała. Ten subtelny, charakterystyczny dla niej zapach był zmysłowy i odurzający. Natychmiast ogarnęło go poczucie winy. Pragnął jej równie silnie jak wtedy, kiedy Danny jeszcze żył, jak wtedy, kiedy oboje byli jeszcze młodzi, trochę szaleni, ożywni siłą swej młodości i budzącej się zmysłowość. Pragnął Spencer zawsze, nigdy nie przestał jej pragnąć, nawet wtedy, kiedy poлюбиła jego najlepszego przyjaciela. Ale nigdy nie dotknęły jej, kiedy była on Danny'ego, a teraz, jako wdowa po Dannym, wydawała mu się dwa razy bardziej nietykalna.

- David, niech ci diabli wezmą - powiedziała ze złości, kiedy przechodził z nią szybko obok biurka Revy w stronę drzwi.

- Połóż się z Spencerem, Reva. Ona musi stąd wyjść i zająć się własnym życiem.

Reva, wyraźnie niespokojna, podniosła wzrok znad swego biurka. Spencer wyrwała rękę z dłoni Davida.

- Dzięki ci, Reva - powiedziała do jego siostry, a potem utkwiała w nim gniewne spojrzenie swych oczu, które były teraz lodowato niebieskie. - I oczywiście dzięki ci tobie. Za twoje bezinteresowne poparcie i za pomoc!

- Spencer, ile razy mam ci to powtarzać? Przysięgam, że robię wszystko, co mogę!

- To za mało, David. Za mało.

Wygłosivszy te połączn kwestie, zniknęła za drzwiami jego biura i ruszyła w kierunku małego parkingu, położonego tu przy Main Street, a David jeszcze przez dłuższą chwilę słyszał stukot jej obcasów.

Może powinienem był otworzyć biuro bliżej plaży, pomiędzy Miami Springs albo na Key Biscayne. W jakiej okolicy, w której Spencer nigdy nie mieszkała. Ale przecie to jest moja dzielnica, a Spencer nie odcepi się ode mnie, choćbym przeniósł biuro do jakiejś nieistniejącej krainy.

Odwrócił się, czując na sobie wzrok Revy. Czuł się tak, jakby jego serce zostało schwyte w pułapkę.

- No i co? - spytał ostro. - Czy mylisz, że ona ma rację? Czy mylisz, że mogłem zrobić coś więcej?

Reva ze smutkiem pokręciła głowę.

- Wiem, że spędziło rok nad sprawą Danny'ego - powiedziała przygnionym tonem. - Ale po prostu bardzo mi jej żal.

- To wspaniałe. Ona tu wpada jak furia, a ty łuziesz biednej Spencer.

- Nikt z nas nie może uwierzyć w to, co spotkało Danny'ego - odparła Reva, wzruszając ramionami i ignorując jego napastliwy ton. - Wydaje się, że wszyscy go kochali. Czy pamiętasz, żeby Danny kiedykolwiek odmówił komu pomocy? A Spencer była jego żoną. Nam wszystkim łatwiej pogodzi się z tym, że by może morderca nigdy nie zostanie schwytany, choć może liwo taka wydaje się przerażająca, ale Spencer... Spencer nie odzyska spokoju, dopóki sprawa nie zostanie definitywnie zamknięta.

David zaklął cicho, odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

- Dokąd idziesz? - spytała Reva.

- W jakie spokojniejsze miejsce. Idę odwiedzić Danny'ego.

Odwiedzić Danny'ego...

Kiedy zatrzymał samochód, istotnie znalazł się wreszcie w spokojnym miejscu. Jeździł podrasowanym mustangiem, który nie zwracał niczyjej uwagi, nie wyglądał jak wrak i był na tyle szybki, by nadążyć za każdym pojazdem, jaki David musiał akurat przejechać. Michael MacCloud zawsze twierdził, że należy kupować wyroby amerykańskie.

Cmentarz nie był daleko. Trzeba było przejechać przez Coconut Grove, minąć od północy dzielnic Coral Gables i skręcić w prawo, w kierunku różniactwa Miami. Grób Danny'ego, ozdobiony marmurowym aniołem, mieścił się w

centralnym punkcie. David stan 1 nad nim w zadumie. Był ju zaro ni ty traw . Mosi ny wazon, pełen wie ych kwiatów, stał tu obok kamiennej płyty, na której wyryto imi i nazwisko Danny'ego, jego rang oraz napis: „Najlepszy przyjaciel, ukochany m , pozostanie na zawsze w naszych sercach”.

Chwilami nie mógł uwierzy , e Danny odszedł.

- Dlaczego nie pogadała wtedy ze mn , kolego? - spytał cicho. - Nie powiedziała mi nic o tym mordercy, musiały wyszepta jej imi . Byłoby mi o wiele łatwiej, gdyby dała mi jak wskazówk .

Usłyszał za sob delikatny szelest. Nosił pod marynark rewolwer, ale poczuł instynktownie, e tu, w krainie umarłych, nic mu nie zagra a. Odwrócił si powoli, wyczekuj co.

Stał za nim Sly. Sly Montgomery. David nie wiedział dokładnie, ile Sly ma lat, ale był niew tpliwie bardzo stary. Przyjechał na Południe z pierwszymi pionierami, gdy tylko Henry Flager zbudował tu lini kolejow , musiał wi c mie dziewi dziesi t kilka lat -je li nie przekroczył setki - ale najwyra niej nie poddawał si wiekowi. Nadal był szczupły i wyprostowany jak struna. Nie stracił włosów. Były białe jak nieg, ale bardzo bujne. I miał najbardziej przenikliwe niebieskie oczy, jakie David kiedykolwiek widział - z wyj tkiem oczu Spencer.

Sly zarobił do pieni dzy, by przej na emerytur i osi w dowolnie wybranym miejscu wiata, ale tu był jego dom, a praca fizyczna była jego zawodem. Kiedy David był młody, Sly wyznał mu, e zamierza umrze przy pracy, i traktował te słowa powa nie.

- Ciesz si , e ci widz , Davidzie - powiedział Sly, u miechaj c si .

David uniósł brwi.

- Czy spotkali my si tu przypadkiem?

- Oczywiście e nie.

- A wi c...?

- Reva powiedziała mi, gdzie mog ci znale .

- Dlaczego mnie szukała ? - spytał David, a potem westchnął, raz jeszcze spojrzął na grób i zaczął mówić, zanim Sły zdecydował udzielić odpowiedzi na zadane mu pytanie. - Spencer była u mnie. Musiałem jej powiedzieć to samo, co wcześnie powiedziałem tobie. Nie możesz mnie wynajmować i kazać mi szukać mordercy Danny'ego. Robi wszystko co w mojej mocy. Musicie w to oboje uwierzyć. Był moim najbliższym przyjacielem i nie trzeba mi płacić za to, że dokładam wszelkich starań.

- Och, przecie ja w to wierzę - powiedział Sły. -I nie przyjechałem tu po to, żeby spytać, czy mogę ci wynajmować.

David spojrzął na niego uważnie.

- Nie jest to przecie wizyta towarzyska, bo bym nie składał jej na cmentarzu.

Sły uśmiechnął się szeroko. To nie mogłoby być jego własne zdanie, pomyślał David. Ale bez względu na to, czy miał rację, zdania były idealnie równe.

- Nie przyjechałem w sprawie Danny'ego.

- A więc...

- Przyjechałem, żeby porozmawiać o Spencerze.

- Co?

- Chcę ci wynajmować, żebyś się nim zaopiekował.

- Dlaczego?

- Myślę, że ktoś go ledzi. Nie, to nieprawda. Jestem pewien, że ktoś go ledzi. Tak naprawdę myślę, że ten ktoś próbuje go zabić.

Jerry Fried, ostatni partner Danny'ego w wydziale zabójstw, bębnił palcami po stole, patrzył z niesmakiem na tytuł zamieszczony na pierwszej stronie „Miami Herald”: W ROK PO MIERCI DZIELNEGO POLICJANTA JEGO MORDERCA POZOSTAJE NA WOLNO CI.

Autor artykułu dał się ponieść wyobraźni i rzucił podejrzenia na wszystkich, oskarżając miłośników innymi nieskazitelnymi paniami

Huntington, Davida Delgado, połow mieszkających w mieście przestępców i połow składu osobowego sił policyjnych.

Jerry jknął, sięgnął po duży flakon tabletek na nad-kwasotę dka i wrzucił do ust całą garść, jakby to były cukierki.

To przekleństwo zamieszanie wywołało powrót Spencer, pomyślał. Dlaczego nie pozwalają Danny'emu leżeć spokojnie w grobie? Wszyscy wiedzą, że kiedy zginie policjant, jego koledzy wychodzą z siebie, żeby odnaleźć sprawcę. I wszyscy wiedzą, że zdarzają się przestępstwa, których okoliczności ci na zawsze pozostają niewyjaśnione. Może nie zdajesz sobie sprawę, ile ich jest, ale wiedzą, że się zdarzają, zwłaszcza w tak wielkim mieście jak Miami.

Znowu poczuł pieczenie w gardle, więc połknął następną garść pastylek. Przekleństwo Spencer. Dlaczego nie została w Rhode Island? Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Gene Vichy przeczytał artykuł, siedząc przy niadaniu w swoim klubie i rozkoszując się widokiem kołyszających się na wodzie eleganckich jachtów. Umiechnął się lekko i pokiwał głową. No tak, musiał go pisać jakiś zakłamanym dziennikarz. Przedstawił policję jako bandę amatorów. Umiechnął się jeszcze szerzej. Społeczeństwo nie zawsze rozumie, na czym polega prawo. Tak było w przypadku jego biednej, zamordowanej żony. Policjanci byli przekonani, że to on ją zabił, ale nie mieli ani cienia dowodu. Prokuratura nie mogła wszcząć postępowania; nie dysponowała niczym oprócz przekonania, że motywem były pieniądze. A jeżeli chodzi o Danny'ego...

Biedni gliniarze. Nie mają nawet wyrażonego motywu. W przypadku zamordowania mężczyzny lub żony natychmiast zaczynają podejrzewać pozostałego przy życiu współmałżonka.

Spencer istotnie odziedziczyła fortunę w wyniku śmierci mężczyzny, ale jakie to miało znaczenie dla kobiety, która już była właścicielką wielu fortun? W grę wchodzi mogła zazdrość. A może kochanek?

Policjanci i tu mieli pecha. Spencer Huntington wydawała si bielsza ni wie y nieg. Kogo wi c mieli podejrzenia ? Najbli szego przyjaciela?

A mo e wszystkich oszustów, których cigał Danny?

Przyjaciela, wroga... donosiciela? Za miał si gło no. Wyczuwał instyktownie, e znów dojdzie do awantury.

Ricky Garcia zakl ł gwałtownie w swym ojczystym j zyku, po hiszpa sku, i rzucił gazet na podłog .

Merde! Policjanci znów zaczn si go czepia . Zamyka jego kasyna i prostytutki.

Wszystko przez to, e ta ona policjanta wróciła do miasta i zacz ła rozrabia !

Jared Monteith nie zd ył tego ranka przeczyta gazety w domu. Zobaczył tytuł artykułu dopiero wtedy, kiedy stan ł nad swoim biurkiem. Jeszcze nie zd ył usi , gdy zadzwonił telefon. Skrzywił si , podnosz c słuchawk , gdy wiedział dobrze, e to ona.

- Czytała t cholern gazet ? - spytała Cecily piskliwym głosem.

- Tak, wła nie mam j przed sob .

- Mówiłam ci, e ta Spencer narobi kłopotów.

- Cecily, przecie ten dziennikarz rzuca podejrzenia na ni !

- I my lisz, e ona si tym przejmie? - parskn ła gniewnie.

- Cecily, Sły mnie wzywa - westchn ł Jared. - Nie przejmuj si , zgoda? Musz lecie .

Trey Delia przeczytał gazet w swoim pokoju, w którym unosił si zapach kadzidła. Siedział na podłodze nago, ze skrzy owanymi nogami, pij c ziołów herbat zmieszan z krwi byka. Dwie młode kobiety, które przyszły przed chwil , by zaspokoi jego potrzeby, chichotały cicho za jego plecami. Przed nim le ały na talerzu surowe serca kurcz t.

Lepszy byłby jaki ludzki organ.

Rozumieli to dobrze staro tytni. Zjadaj c wroga, przejmowało si jego sił . Serce było ródłem odwagi i rozs dku, ko ci zwi kszwały sprawno ciała i umysłu.

A teraz jeszcze to...

Wszyscy znów chwyc za bro .

Policjanci dostan szał. ródłem całego zamieszania musi by wdowa po Dannym. Spencer, pi kna ona. Trey widział jej fotografi . Jasnowłosa, elegancka... Kusz ca.

Wetkn ł do ust serce kurcz cia i zaci gn ł si haszyszem. Dziewcz ta nadal chichotały.

Spencer...

Jest ródłem kłopotów. Taka ładna. Powa nych kłopotów. Taka błada, szczupła, wytworna.

Ciekawe, jaki mogłaby mie smak.

Audrey piła kaw i czytała gazet . Biedna Spencer. Rana, jak spowodowała mier Danny'ego, jest na nowo rozgrzebywana. Oczywi cie przyczyniała si do tego sama Spencer, ale było to smutne.

Wzbudzi to niepokój wielu ludzi, niebezpiecznych ludzi, ale Spencer nie zrezygnuje. Audrey znała j dobrze i w gruncie rzeczy nie miała jej tego za złe.

Zagryzła wargi i czytała dalej.

Jon Monteith, ojciec Jareda i wuj Spencer, ze znu eniem poło ył głów na poduszce.

Dlaczego nie zostawi tej sprawy w spokoju?

Nie było to co prawda przypadkowe morderstwo, ale wszyscy wiedzieli, e Spencer jest niewinna. Nie było to równie morderstwo na tle rabunkowym.

A wi c dlaczego zabito policjanta?

Jego zdaniem wszystko jest proste. Ten policjant zbyt wiele wiedział.

Dowiadawał się różnych rzeczy na ulicach. Był oficerem ledczym. Czasem dzielił się swymi odkryciami ze współpracownikami.

Dociekliwie może by niebezpieczna, a Danny był bystry i zajmował się wieloma sprawami. A teraz, kiedy Spencer robi szum, a dziennikarze dostają szału, wiele może się wydarzyć.

Tak...

Może dojść do otwarcia prawdziwej puszkii Pandory.

Zakładaj książkę.

Spencer wróciła do miasta i nie chciała zostawić spraw własnemu losowi. Po prostu nie wie, czym jej to grozi.

Spencer jest prawdziwym utrapieniem.

Podniósł słuchawkę i czekał.

- Widziałe ten artykuł? - spytał, gdy usłyszał znajomy głos.

- Tak - odparł jego rozmówca. - Zajmuj się tym. Zajmuj się tym od dawna, do cholery!

- To zajmuj się dalej. Zajmuj się tym starannie, bo je li nie...

Zawiesił głos i czekał, a jego groba dotrze do wiadomości adresata, po czym z głonym trzaskiem odłoży słuchawkę.

Każdemu może zdarzyć się wypadek. Tak. Każdemu może zdarzyć się wypadek.

3

Spencer zdawała sobie sprawę, że istnieje co najmniej sto powodów, dla których nie powinna znajdować się na cmentarzu w rodku nocy.

Im dłużej stała w ciemności, tym dłużej stawała się lista tych powodów i tym bardziej absurdalna wydawała się jej misja.

A uważała, że... po prostu musi coś zrobić. Kto musi coś zrobić. Próbowwała nie wtrącać się do działalności policji. Rozumiała nawet powody, dla których poddawano ją kolejnym, na przemian brutalnym i uprzejmym przesłuchaniom. Pochwalała wysiłki oficerów ledczych; miała wrażenie, że bior pod uwagę wszystkie ewentualności.

Wierzyła nawet - ba, wiedziała - że David Delgado nie cofnie się przed niczym, byle schwytać mordercę Danny'ego.

A jednak miała wrażenie, że wszyscy robią za mało.

Wyjechała na dłuższy czas, przestała nawet pracować, ale beczynność pogarszała jej samopoczucie. Wiedziała, że nie wskrzesi Danny'ego, ale wiedziała również, że nie potrafi zastosować się do wskazówek Davida i rozpocząć nowego życia, dopóki sprawiedliwie jej nie stanie się zadość.

Ale to... to była chyba głupota. Nie jest wcale pewne, czy coś odkryje, a może została napadnięta przez jakiegoś drobnego przestępcę. Rejestr przypadkowych wykroczeń jest w południowej części Florydy również długi, jak lista zbrodni popełnionych z premedytacją.

Wiedziała, że sły o ni martwi. Zaczęła się od belki, która w ubiegłym tygodniu oderwała się od stropu w restaurowanym przez ich firmę budynku. Dom ten był właśnie ciwie skazany na rozbiórkę, a ona zgodziła się go odnowić tylko dlatego, że kuzyn Jared obiecał zapewnić jej współpracę znakomitego architekta i jednego z najlepszych przedsiębiorców

budowlanych w mie cie. Poza tym był to wspaniały, stary dom, zaprojektowany przez DeGarmo; znajdowały si w nim fantastyczne, ogromne belki stropowe, oryginalne kafle i interesuj ce malowidła cienne, wi c z pewno ci zasługiwał na uratowanie. Ta belka mogła spa na ka dego, a zreszt ostatecznie przecie na ni nie spadała. Przeleciała o kilkana cie centymetrów od jej głowy. Nie przeje łaby si tym wcale, ale był przy tym Sly...

Chmura zasłoniła ksi yc. Było bardzo ciemno. Powiał nagle lekki wiatr, a ona poczuła podmuch wilgotnego powietrza i zrobiło jej si chłodno.

Dzisiejsza gazeta zawierała cenne informacje. Rabusie grobów znów dali o sobie zna , a policja podejrzewała członków sekty, której przywódc był Trey Delia. Sekta ta skupiała wyznawców santerii, dziwnej religii b dcej mieszanin katolicyzmu i ró nych kultów rodem z wysp południowych. Jej rytualne obrz dki wymagały ywych ofiar. Zwykle były to kozy lub kury, ale pewne grupy nie gardziły cz ciami ludzkiego ciała. Rabusie grobów obcinali zwłokom palce od r k i nóg.

Dzi w biurze Audrey stwierdziła, e pierwsza fala napadów na groby miała wyra nie okre lony przebieg. Rabusie zaczynali od podmiejskich cmentarzy, a potem przenosili si do centrum Miami. A teraz wiele rzeczy wskazywało na to, e wszystko przebiega według takiego samego schematu.

Miała pewnego informatora, o którym nikt nie wiedział. Ani policja, ani nikt inny. Nazywał si on Willie Harper, mieszkał na ulicy w ródmie ciu Miami i nie był narkomanem, ale lubił wypi od czasu do czasu butelk dobrej whisky. Spencer robiła kiedy Danny'emu wyrzuty, e płac c Willie'emu, ułatwia mu zapicie si na mier . Ale w gruncie rzeczy nie było a tak le. Willie miał dobre serce i kiedy otrzymywał od Danny'ego znacz n sum , kupował swoim kumplom ywno i koce, a nawet stawiał niekiedy nocleg w tanim hoteliku. Potem dopiero przepijał reszt . Willie lubił mieszka na ulicy. Lubił te

dostawa pieniędzy. Kiedy skontaktował się ze Spencer, obiecała mu płacić za wszelkie informacje, które mogłyby się przyczynić do ujęcia zabójcy Danny'ego.

Zadzzwonił do niej dzień po południu i podzielił się z nią tym samym odkryciem, którego dokonała Audrey.

Odetchnęła głębiej, opierając się o mały nagrobek, który zasłaniał ją przed wzrokiem kadego, kto mógłby jechać krótkimi drogami prowadzącymi w kierunku cmentarza. Kamień był bardzo zimny, a ona uznała swój pobyt na cmentarzu za dowód kompletnej głupoty. Nie miała nawet rewolweru, którym zresztą i tak nie potrafiłaby się posłużyć. Zwykle nosiła przy sobie pojemnik z gazem; Danny stanowczo tego nie dał i pokazał jej, jak się nim posługiwać, ale zostawiła go w samochodzie, nie spodziewając się kogośkolwiek spotkać. Przyszła tylko zobaczyć, co się dzieje, upewnić się, że rabusie, jeżeli się pojawi, nie naruszą grobu Danny'ego i nie sprofanują go w żaden sposób.

Zaczęła drzeć z zimna.

To czyste szaleństwo. Co mogłaby zrobić, gdyby ktoś się pojawił? Krzycze na ciemnym cmentarzu na jakiego wampira i błaga go, aby zaniechał swego procederu?

A przecie ten wampir mógłby mordercę jej mordercy.

Usłyszała jakiś szelest i niemal nie wskoczyła na nagrobek. Siłą woli zastygła w bezruchu i rozejrzała się. W jej wyobraźni pojawiły się wizerunki dziwnych zjaw wychodzących ze swoich grobów. Wilkołaków, mumii...

Czuła się jak idiotka, i zasługiwała na to. Nie powinna była tu przyjechać. Dojrzała w półmroku wieńcówki, która skoczyła z drzewa na ziemię, z ziemi na nagrobek, a potem na następne drzewo. A więc nie cigaj mnie zjawy wychodzącej z grobów, pomyślała. W gruncie rzeczy nie powinnam się bać umarłych, lecz żywych.

Chmura odsłoniła księżyc i cmentarz zalały potoki srebrnego światła. Spencer doszła do wniosku, że czas wracać do domu. W powietrzu pojawiła się lekka mgła, a jej było coraz bardziej zimno i nieswojo. Pora przejść przez mur i wracać do domu. I

tak nic się nie wydarzy, myślała. Chyba nie zostanie aresztowana za włamanie na cmentarz. Nie, policjanci mnie nie aresztują. Po prostu zasugeruję członkom mojej rodziny, że to ja jestem sprawczyni śmierci Danny'ego i że niestety należy mnie jak najszybciej umieścić w jakimś odosobnionym miejscu.

Już miała się poruszyć, kiedy ponownie ogarnął ją chłód i z niepokojem tego dla siebie powodu zastygła w bezruchu. Usiłowała zapanować nad wyobraźnią, ale mgła nadawała cmentarzowi jeszcze bardziej niesamowity wygląd. Teraz była to już gęsta mgła, spowijająca swymi oparami figury Chrystusa i aniołów.

Usłyszała jakiś szelest, ale tym razem brzmiał on inaczej. Coś znacznie większego niż wiewiórka obchodziło wielki dębostojący niedaleko nagrobka, za którym się schowała.

Zaczęła szybko oddychać, a jej serce biło jak młot. Usłyszała kroki i wkrótce dostrzegła jak postać, a potem drugą i trzecią. Wszystkie były ubrane na czarno, niosły łopaty i kilofy. Wynurzały się cicho z mgły, zmierzając w jej kierunku.

Uświadomiła sobie, że nie może jej widzieć, że po prostu przypadkiem idzie w jej stronę. Jej palce były zimne jak lód, a serce waliło coraz głośniej. Była pewna, że ktoś je usłyszy. Przykucnęła i przywarła do nagrobka.

- Gdzie? - spytał ktoś szeptem.

- Tu, w rodku - odpowiedziano mu cicho.

Spencer, nie podnosząc głowy, obejrzała się. Dostrzegła coś, czego w ciemnościach nie zauważyła: nowy grób, przysypany wiekiem ziemi. To szaleństwo, pomyślała. Jesteśmy w dwudziestym wieku. Przecież nikt nie wrzuca zwłok do mogiły, nie zabezpieczony w jakiś sposób przed przestępcami.

Ale rabusie najwyraźniej wiedzieli, co robi. Było ich sześciu i każdy niosł jakieś narzędzie służące do kopania w ziemi lub otwierania trumny.

Nie potrafiła nawet stwierdzić, czy wszyscy są mężczyznami. Byli podobnie jak ona ubrani na czarno, ale mieli na głowach czarne czapki i maski na twarzy. Wyglądali jak bandyci napadający na bank. Poczuli, że wzbiera w niej histeria.

Musiła okrężyć nagrobek, by ukryć się przed ich wzrokiem. Usiadła na ziemi, oparła się plecami o zimny kamień i czekała, patrząc w ciemność. Nie mogła zerwać się i uciec, bo została by przez nich zauważona. Mogła tylko siedzieć nieruchomo, starając się jak najciszej oddychać.

Usłyszała zgrzyt uderzających o ziemię łopat. Z niewiadomego powodu dźwięk ten przyprawił ją o drżenie. Przechyliła się, żeby wyjrzeć zza nagrobka i niechcący zawadziła butem o jakiś kamień.

Dźwięk nie był głośny. Powinien został zagłuszony przez donośny zgrzyt łopat. A jednak...

Jeden z kopających wyprostował się i spojrzał w jej kierunku.

- Co to było? - spytał stłumionym głosem.

- Nie wiem... co trzasnęło - odpowiedział mu któryś z towarzyszy.

Przywarła do nagrobka, bojąc się oddychać, ale pokusa, by zobaczyć, co się dzieje, była silniejsza. Jeden z kopaczy stał nieruchomo, patrząc w jej stronę. Było ciemno, ona siedziała w mroku, ale została zauważona.

Nie zastanawiała się, nie miała na to czasu. Wstała i zaczęła uciekać. Biegła główną alejką, zmierzając w stronę ulicy. Była szybka, zawsze była szybka, i знаła dobrze topografię cmentarza.

Ale ciganicy ludzie szybko się zbliżyli.

Opuściła główną alejkę, obiegła jakiś duży nagrobek, dotarła do bramy i stwierdziła, że jest zamknięta.

Słyszała zbliżające się kroki. Napastnicy biegli cicho, ale bardzo szybko. Zmierzali w jej stronę.

Pochyliła głowę i ukryła się za figurę Madonny, która nagle wyrosła z mgły. Zaczęła nadśledziwa. Ciganicy ludzie minęli Madonnę i pognali dalej. Spencer pozostała na miejscu, po raz setny dochodząc do wniosku, że jest kompletną idiotką. Skoro i tak mieszka w niebezpiecznym miejscu, nie musi szukać dodatkowych okazji do narażenia się na śmierć. Widziała, że ci

ludzie przyszli rozkopać nowy grób, żeby zdobyć fragmenty ludzkiego ciała. Podobno szczególnie cenili sobie włosy.

Pomyślała, że jej włosy będą bardzo cenne. Poderwała się, ogarnęła przerażeniem. Dostrzegła na jednej z alejek ciemną postać. Zaczęła biec w przeciwnym kierunku.

Ktoś nagle chwycił ją za kostki.

Chciała krzyknąć ze strachu, ale wydała z siebie tylko stłumiony jęk. Nerwowo chwytając powietrze, ruszyła na ziemi i wpadła w ciemność, w jaką gwałtownie przepadła.

Poczuła, że obok niej ktoś leży. Była tak sparaliżowana strachem, że nie potrafiła nabrać powietrza i krzyknąć. Miała wrażenie, że przeżywa jakiś koszmar.

Ktoś położył dłoń na jej ustach. Przypomniała sobie wszystkie okropne opowieści o wychodzących z grobów nieboszczykach. Wypełniający jej nozdrza zapach wiejącej ziemi wydawał się odorem mierci.

Poczuła, że ktoś ją podnosi i odwraca, a potem usłyszała rozkazujący głos:

- Cicho! Rób, co chcesz, tylko nie wrzeszcz! To ja, David.

Dygotała na całym ciele. Chyba nigdy w życiu nie była tak przerażona. Powoli zaczęła zdawać sobie sprawę, że to naprawdę David. Naprawdę wpadła w rodki nocy do wykopanej na rodki cementarza dziury w ziemi, w której on się ukrywał. Wydawało się to nieprawdopodobne.

- Uklknij! - powiedział stanowczym tonem.

Posłuchała go bez oporu, bo i tak ugięła się pod niego kolana. Z trudem łapała oddech, ale starała się za wszelką cenę zachować przytomność.

- Co ty tu robisz? - spytała szeptem. Miała wrażenie, że z jej ciała odpłynęła cała krew i że jej włosy muszą być kompletnie siwe. - Do cholery, David, odpowiedz mi - zaczęła, zaciskając dłonie w pięści.

- Zamknij się, Spencer! - wyszeptał obcesowo.

Zaczęła obserwować otoczenie i doszła do wniosku, że kolor czarny naprawdę jest modny. David też ubrany był na czarno.

Czarne dżinsy, czarna koszulka, czarna bawełniana kurtka. Podejrzała, że pod kurtką ukryta jest kabura z rewolwerem.

- Co ty tu robisz? - spytała ponownie, prawie nie poruszając ustami. Mimo ciemności była pewna, że ją usłyszał.

- A ty co tu robisz? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Szukam kilku druczków groby.

- No cóż, teraz oni szukają ciebie, Spencer, więc możemy porozmawiać po niej, zgoda?

Zacisnęła zębami i oparła się o mokry ziemię. Spojrzała w kierunku rozgwieżdżonego nieba i zdała sobie sprawę, że znajduje się w dwumetrowym dole. Nie było to miłe uczucie.

Noc była nadal bardzo ciemna. Prawie nie widziała Davida, ale wyczuwała jego ruchy. Sięgnął pod kurtkę. Była pewna, że wyciągnie rewolwer, ale potem usłyszała jego głos. Mówił cicho, niemal szeptem. Powtarzał jakieś cyfry, a potem podał nazwę i adres cementarza.

- Na południowy wschód od głównej kaplicy - powiedział w końcu.

Zdała sobie sprawę, że rozmawia przez telefon komórkowy i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Telefon zamiast rewolweru? - spytała cicho.

Schował aparat i wyciągnął rewolwer, patrz na niego drwił.

- Ich jest sześć, a ja jeden. Jestem dobry, Spencer, ale oni mają przewagę liczącą, nie uważasz?

Otworzyła usta, by mu odpowiedzieć, ale w tej chwili oboje usłyszeli z bliska szelest drzew i odgłos kroków. Spadło na nich kilka grudek ziemi. Spencer poczuła, że z jej twarzy odpływa krew.

David polecił jej gestem, żeby się schowała. Przywarła do ziemi, słysząc, że ktoś nadchodzi. Podszedł tak blisko, że mógł zajrzeć do rozkopanego grobu.

David oderwał się nagle od przeciwległej ściany i chwycił ją za nogę, tak samo jak poprzednio ją. Nieznajomy stracił równowagę i wpadł do dołu. Wylądował z głową

łomotem, obsypuj c twarz Spencer grudkami ziemi. Gdy podniósł głow , jego oczy, ukryte pod mask , zał niły w wietle ksi yca. Otworzył usta, ale zanim zd ył si odezwa , David odbezpieczył rewolwer.

- Wsta powoli i spokojnie! - rozkazał.

Nieznajomy wykonał polecenie. W tym samym momencie Spencer usłyszała wycie syren. Nadje d a policja, a ona nadal stoi w wykopanym niedawno dole, w towarzystwie Davida i człowieka zajmuj cego si rabowaniem grobów. Przestrze wydawała si zbyt mała dla nich trojga.

Usłyszała czyje podniesione głosy; to rabusie nawoływali si po angielsku i po hiszpa sku. Potem zapłon ły jakie wiatła i rozległy si inne okrzyki.

- Sta , policja! Sta , bo b dziemy strzela !

Cmentarz był teraz sk pany w blasku reflektorów.

- Czy mo emy ju st d wyj ? - spytała Spencer. David wzruszył ramionami i zerkn ł na dzieł cego z nimi grób rabusia.

- Policjanci ostrzegli wła nie wszystkich, e b d strzela - odparł, szczerz c z by w u miechu – wi c mo e lepiej poczekajmy tu jeszcze kilka minut. Potem poprosimy naszego przyjaciela, eby wyszedł pierwszy.

Sama nie wiedziała, czy oczekiwanie trwa sekundy, minuty, czy lata wietlne. W ko cu usłyszała czyj okrzyk:

- Delgado, gdzie jeste ?

- Tutaj! - odpowiedział David.

Po chwili ujrzała nad sob twarz jakiego umundurowanego policjanta, który przygl dał si im z nie ukrywanym zdumieniem. Zdała sobie spraw , e go zna. Ta czyła z nim kiedy na balu policjantów. Nazywał si Tom Winfield.

- Pani Huntington? - spytał z niedowierzaniem.

- Podaj damie r k , Winfield - zaproponował mu David.

- Och, tak, oczywi cie.

Tom Winfield był młody, silnie zbudowany. Uchwycił dło Spencer i bez trudu wyci gn ł j z grobu, a potem spojrział na ni ze zdumieniem.

- Teraz ty - powiedział David do swego wi nia i zerkn ł na młodego policjanta. - Jemu te mo esz poda r k , Winfield. Ale nie spuszcza j go z oka.

Zanim Tom Winfield wyci gn ł zamaskowanego przest pc , David o własnych si łach wyskoczy ł z dołu. Kiedy ju wszyscy stali na górze, podszed ł do nich jaki policjant w cywilnym ubraniu. Spencer nie widzia ł go nigdy przedtem, ale David najwyra niej go zna ł.

- Dobry wieczór, poruczniku.

- Dobry wieczór, panie Delgado - odpar ł oficer, ciskaj c jego d ł i patrz c na Spencer. - Polowali my na tych facetów od dłu szego czasu. Dzi kuj za telefon. - Znów spojrz ł na Spencer i u miechn ł si , widz c jej czarny strój.

- Czy by zatrudni ł nowego detektywa, David? - spyta ł, przygl daj c si jej z rozbawieniem. By ł wysoki i szczupły; mia ł ciemne, rzedn ce włosy i do ujmu j cy u miech.

Winfield parskn ł miechem, a potem zacz ł udawa , e kaszle.

- Nie, poruczniku Anderson, to jest pani Huntington, wdowa po Dannym.

- Och! - Porucznik spojrz ł na Spencer takim wzrokiem, jakby widzia ł j teraz w zupełnie innym wietle. Wiedzia ł, e zastanawia si gor czkowo, co, do diabła, robi ł na cmentarzu w stroju przest pcy rozkopuj cego groby.

- Spencer lubi spacerowa po nocy w dziwnych miejscach - wyja ni ł David.

- W niebezpiecznych miejscach - poprawi ł go Anderson, przygl daj c jej si z powa nym wyrazem twarzy. - Sk d pan wiedzia ł, e co ma si tu dzia dzi w nocy? - spyta ł nagle Davida.

- Nie wiedzia łem - odpar ł David spokojnie i schowa ł rewolwer do kabury na widok umundurowanego policjanta, który przyszed ł po wi nia i natychmiast zacz ł mu odczytywa jego prawa.

- A wi c...

- Jestem tu z powodu Spencer - uprzejmie wyjaśnił David.
- Widzi pan, obserwowałem ją - cięgnął, patrzcie na nią spod oka. - Pani Huntington nie wierzy najwyraźniej, że ja i stróż prawa z Miami naprawdę spełniamy swoje obowiązki najlepiej jak umiemy.

- Proszę pani - powiedział Anderson z troską w głosie - chyba pani wie, że nie powinna pani działać w tej sprawie na własną rękę.

- Nie chcę wcale działać na własną rękę... - zaczęła Spencer.

- To co pani tu robiła? - przerwał jej porucznik. - Kto pani uprzedził? Co się dzieje?

- Przyszłam tu, bo... - Urwała. Nie może im powiedzieć, że jej informatorem jest Willie. Nie może. Zresztą to nie ma znaczenia. Audrey doszła do takiego samego wniosku. Kiedy do niego dojdzie. - Przyszłam tu, bo myślałam, że mogą się pojawić ludzie rabujący groby. Nie chciałam, żeby zakłócili komuś spokój.

- I jak zamierzała im pani w tym przeszkodzić, pani Huntington?

Spencer otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Obaj patrzyli na nią z uwagą. David był zachwycony, że Anderson przesłuchuje ją w sposób tak obcesowy. Dziękował Bogu, że nie będzie musiał robić tego sam.

- Tak, Spencer, co chciała zrobić? - spytał irytującym tonem.

- Ja... - wyjąkała, patrzcie na Andersona.

- Zatajanie informacji przed policją jest przestępstwem, pani Huntington. Musi pani o tym wiedzieć.

- Ukrywanie informacji?

- Kto pani uprzedził? - spytał niecierpliwie Anderson.

- Nikt, poruczniku - odparła, zaczerpnęła powietrza. - Moja sekretarka zauważyła przypadkiem, że ostatnia fala okradania grobów przebiegała według pewnego porządku.

Przeczytała to w gazecie. Może policja powinna też od czasu do czasu czerpać inwencję z lektury gazet!

- Pani Huntington, b dziemy musieli niestety zabrać pani na...

- Nie s dz , eby to było konieczne, Anderson -wtrcił David. - Spencer nie powie panu nic więcej, a musi pan przesłuchać przynajmniej jednego z tych bandziorów. Być może pa scy ludzie złapią kilku innych. Odwiozł pani Huntington do domu.

- A wiecie si , co? - spytał Anderson.

- Niezbyt dobrze... - zaczęła Spencer.

- Od wieków - przerwał jej David.

- W każdym razie ubieracie się bardzo podobnie - stwierdził ze miechem Anderson. - No có , to na razie wszystko. Wiem, gdzie pana znalazł , Delgado. A jeżeli chodzi o pani Huntington...

- Nie zmieniłam adresu, poruczniku. Nadal mieszkam w domu Danny'ego i może pan dzwoni do mnie na ten sam numer. Poza tym byłam wiele razy na komendzie, więc wiem, dokąd się uda , gdybym doszła do wniosku, że mogłoby panu do czego przydatna.

- Chcemy tylko, eby nam pani nie utrudniała pracy, pani Huntington - oznajmił, chwytając jej dłoń . Przez chwilę myślała, że chce ją pocałować w rękę i niemal mu ją wyrwała.

- Chodźmy już do domu, Spencer - zaproponował David.

Ruszyli. Irytowała ją jego ręką, spoczywającą na jej plecach, ale jeszcze bardziej irytował ją porucznik Anderson,

- Pani Huntington! - zawołał, gdy zrobili kilka kroków. - Chodzenie noc po cmentarzach jest przestępstwem. Niech pani to nie wejdzie w zwyczaj.

- Przecież ci mnie złapali z tych przestępstw, zanim zdążyli po wiartować kilka dalszych ciał, prawda? - spytała, odwracając głowę .

Anderson nie znalazł najwyraźniej żadnej odpowiedzi. Spencer odwróciła się i ruszyła naprzód. David szedł tuż za nią .

Kiedy podchodzili do muru, pod którym stało kilka radiowozów, chwycił ją za ramię.

- Spencer...

Odrzuciła jego rękę. W wietle tych wszystkich reflektorów czuła się tak, jakby występowała przed kamerą telewizyjną.

- Wiem, że nie powinnam być tu przychodzić, David. Ale przynajmniej coś się wydarzyło.

- Tak, do diabła, co się wydarzyło. A mogło jeszcze więcej: mogliśmy rano znaleźć twoje szczątki porzucane po całym cmentarzu.

- Już po wszystkim, David. Chcę po prostu jechać do domu. Czy możesz zostawić mnie w spokoju i pozwolić mi odejść?

Wyrwała mu się i ruszyła naprzód, a on nadal szedł tuż za nią. Gdy doszła do bramy, zauważyła, że jest nadal zamknięta. Wszyscy policjanci musieli dostać się na cmentarz tak samo jak ona, przeskakując przez mur. Zaczęła się wspinać i zdała sobie sprawę, że ktoś jej pomaga. To David chwycił ją za biodra i podsadził w górę, a potem szybko wdrapał się na mur, zeskoczył na chodnik z drugiej strony i pomógł jej zejść, zanim zdążyła zaprotestować.

- Mój samochód stoi tam - oznajmiła, pokazując go palcem.

- Pojadź za mną do domu.

- Nie potrzebuję opieki...

- Spencer, minie cię druga w nocy. Potrzebujesz opieki.

- Jestem pewna, że dojadę bezpiecznie. W drodze do mojego domu nie ma żadnych innych cmentarzy.

- Owszem, jest jeden, w Coconut Grove - odparł, machając ręką. - Pojadź za mną, Spencer.

- Mówi ci, że...

- Do cholery, byłem najlepszym przyjacielem Danny'ego i mam zamiar pojechać za tobą do domu! Chodźmy!

Wzruszyła ramionami i poszła w kierunku swego samochodu. David nadal szedł za nią. Wszędzie było pełno

policjantów. Pozdrawiali Davida i przyglądali się jej z ciekawością. Ci, których znała, witali ją z wyrazem zainteresowania.

Była zadowolona z ich obecności. Tam, na chodniku, stała, ale ich nie ma.

I nie byłoby ich, gdyby nie David. Dostrzegła jego samochód obok swojego.

Ignorowała go, ignorowała jego samochód, ale gdy tylko ruszyła, zdała sobie sprawę, że jedzie tu za nią. I że nie odzepiła się od niej. Ostatecznie jednak poczuła ulgę. Nocami w wielkim mieście bywa niebezpiecznie.

Gdy znalazła się na swoim podjeździe, zatrzasnęła drzwi i podeszła do jego samochodu.

- Wejść do domu, Spencer - polecił jej, opuszczając szybę.
- Nie odjadę, dopóki nie zamkniesz za sobą drzwi.

- Dlaczego mnie dzisiaj ledziłeś? - spytała.

- Spencer, nie odjadę ...

- wścieknie. W takim razie będziemy stali tu przez całą noc.

David otworzył drzwi samochodu tak gwałtownie, że musiała odskoczyć.

- Daj mi klucze!

- David!

Wyrwał jej klucze, podbiegł do drzwi, otworzył je i wszedł do domu. Rozejrzał się po korytarzu i klatce schodowej. Dostrzegła na jego twarzy lekkie uśmiechy i zastanawiała się, czy drzwi z wytwornego wystroju wnętrza? Z jej pieniędzy? Przecież ten dom nie jest ostentacyjny, pomyślała z uśmiechem. Jest przytulny, ciepły, gościnnie.

- Oddaj mi klucze, David - zażądała.

- Nie zapomnij włączyć alarmu, zanim stąd odjadę - powiedział, spełniając jej życzenie.

- Daj sobie radę sama już od przeszło roku - poinformowała go agresywnym tonem.

Kiwn łą głow i ruszył w stron wyj cia. Oburzona na siebie sam , uderzyła go nagle pi ci w plecy. Odwrócił si , wyra nie zaskoczony.

- Co tam robiła ? - spytała z determinacj , przełykaj c lin .

- Ju ci mówiłem. Iedziłem ci , Spencer.

- Dlaczego?

- Bo prosił mnie o to Sly - odparł ze wzruszeniem ramion.

- A wi c... a wi c pracujesz dla mojego dziadka? - wykrztusiła z trudem.

David wahał si przez chwil , a potem ponownie wzruszył ramionami.

- Tak, pracuj dla twojego dziadka.

- Kiedy ci zatrudnił?

- Dzi po południu.

- Nie chc , eby mnie Iedził.

- Porozmawiaj o tym z nim.

- Do cholery, David...

- Porozmawiaj o tym ze swoim dziadkiem, Spencer. On uwa a, e grozi ci niebezpiecze stwo.

- Ale to nieprawda!

- A ja, od dzisiejszej nocy, skłonny jestem przyzna mu racj . Do diabła, Spencer, nawet je li nikt inny ci nie zagra a, to stanowisz zagro enie dla samej siebie. Nie zapomnij o alarmie.

- David, mówi ci...

- Nic mi nie mów, Spencer. Powiedz to swojemu dziadkowi.

- Niech ci diabli... - zacz ła, ale on ju zd ył wyj i wła nie zamykał za sob drzwi. Zatrzasn ła je z tak furi , z jak poprzednio uderzyła go w plecy, i zakł ła gło no.

- Alarm, Spencer! - zawołał, nie odwracaj c głowy. Powiedziała mu, co mo e zrobi .

- Alarm!

Włoczyła alarm, a potem poszła do kuchni. Stała tam butelka dobrego koniaku, a ona nigdy w życiu nie miała wikszej ochoty na łyk alkoholu.

Wychyliła pół kieliszka jednym haustem i stała w miejscu, dopóki nie poczuła, jak miłe ciepło rozchodzi się po jej ciele. Bo e, co za noc. Wiedziała, że postąpiła głupio. Najadła się strachu, ale w końcu kogo złapano, więc może sprawa ruszy teraz z miejsca.

Może. Nie rozkopywali grobu Danny'ego i nikt jeszcze nie wie, do czego zmierzali. Ale...

David już ledzi. Słyszał go i kazał mu już ledzić. Słyszał płacił Davidowi za to, żeby go obserwował. To była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę.

Nalała sobie jeszcze trochę koniaku i ponownie wypłała go jednym haustem. A potem wychyliła następny kieliszek.

Była już niemal trzecia w nocy, ale wiedziała, że tylko koniak może ją upić.

4

Czasem przeszło wydawała si odległa. A czasem, szczególnie w snach, była nadal namacalnie obecna.

Prze ywała niemal na nowo ten dawno miniony dzie , w którym wszyscy pojechali po szkole nad otoczony skałami staw. Miała wtedy szesna cie lat, a David i niektórzy z chłopców niemal osiemna cie. Jej sen był niezwykle wyra ny. Czuła wyra nie pal ce promienie sło ca.

Nie było to najlepsze miejsce do k piel. Nikt ich nie nadzorował. Woda była bardzo czysta, tak przejrzysta, e mo na w niej było zanurkowa i zobaczy na dnie liczne wraki zatopionych i porzuconych samochodów. Chłopcy straszili dziewcz ta, opowiadaj c im, e w бага никach tych samochodów nadal le ludzkie ciała, a na przednich fotelach siedz szkielety pasa erów.

- Ale wiemy dobrze, e to nieprawda - mówiła nad tym tonem Cecily. - Chłopcy lubi nas straszy . Łatwiej dobra si do dziewczyny, kiedy jest wystraszona, a przynajmniej oni tak my l .

Ich grupa powstała, kiedy mieli około dwunastu lat. Od tej pory trzymali si zawsze razem. Danny Huntington był przywódc chłopców, a Jared, kuzyn Spencer, jego zast pc . Nieodł cznymi członkami tej paczki byli tak e Ansel Rhodes i George Manger. Dziwnym zrz dzeniem losu nale ał do niej równie - cho zarazem nie nale ał - David Delgado.

Nie chodziło o to, e nie chcieli go przyj do klanu. Gotowi byli to zrobi , ale sytuacja wygl dała paradoksalnie. Kiedy Danny przyprowadził go po raz pierwszy, wszyscy zadzierali troch nosa. David po prostu nie pochodził z ich sfery. Mówił po hiszpa sku równie dobrze jak po angielsku. Miał niad cer , ciemne włosy i ciemne oczy, które, cho cz sto wydawały si czarne, były w istocie niebieskie. Nosił wielokrotnie łatane

ubrania i cz sto nie mógł przychodzi na ich spotkania, bo musiał wykonywa jakie prace na zlecenie dziadka. Ale najwyra niej nie miał nikomu za złe, e nie mo e sp dza czasu był cznie na rozrywkach.

Potem, ni z tego ni z owego, zacz ł chodzi z nimi do szkoły. Był bardzo pracowity i niemal codziennie zostawał po lekcjach, by si uczy . To była dobra szkoła - odrobienie zada domowych zajmowało około trzech godzin. Chyba e kto post pował tak jak Jared i płacił kolegom, by odrabiali lekcje za niego. Ale David Delgado zwrócił na siebie uwag nie dlatego, e dobrze si uczył, lecz dlatego, e miał wybitne uzdolnienia sportowe. Mała prywatna szkoła nigdy nie miała dobrej dru yny baseballowej czy futbolowej. Kiedy David został powołany do reprezentacji, zacz li nagle wygrywa mecze. W dniu, w którym pojechali nad ten staw, David był chyba najbardziej popularnym chłopcem w szkole. Akceptował uznanie kolegów, ale nigdy si o nie nie ubiegał. Nadal pomagał dziadkowi w pracy. Przył czał si do nich, kiedy chciał, i znikał, kiedy miał ochot .

Nigdy nie chodził z nimi na ta ce ani na inne spotkania towarzyskie, organizowane przez ich rodziców.

Nie miało to znaczenia, a nawet umacniało jego pozycj . Zarówno Spencer, jak i innym dziewcz tom - takim jak Cecily, Terry-Sue i Gin Davis - David Delgado wydawał si bardziej atrakcyjny wła nie dlatego, e nie był taki sam jak wszyscy. Ich rodzice nie aprobowali go, poniewa nie pochodził z ich sfery. To, e nie za ywał narkotyków, nie okradał sklepów i prowadził si o wiele lepiej ni wi kszo nale cych do ich paczki chłopców, nie miało adnego znaczenia. Wa ne było to, e nie wywodzi si ze starej gwardii, e jest uchod c .

Spencer wcale si tym nie przejmowała. Uwa ała, e jest to bardzo romantyczne i podniecaj ce. By mo e ju wtedy ywiła wobec niego zarodek jakich g łbszych uczu . Wiedziała, e Sły lubi Davida, naprawd go lubi, i to nie w sposób konwencjonalny, tak jak jej rodzice. Sły po prostu lubił Davida i nie obchodziło go to, czy przyjechał on z Kuby czy z ksi yca.

A Sly był zawsze ukochanym dziadkiem Spencer, skoro wi c on popierał Davida...

Ale tego dnia wcale o tym wszystkim nie my łała. Było lato i panował dotkliwy upał, wi c spakowali koszyki z jedzeniem i wyruszyli na piknik. Spencer wzi ła swego nowego, czerwonego jeepa, którego dostała na ostatnie urodziny, Jared po yczył od matki ubiegłoroczne volvo, Ansel Rhodes miał nowego firebirda, a David wielkiego chevroleta z 1957 roku. Kupił go za pieni dze zarobione w laboratorium fotograficznym, w którym sp dzał soboty i niektóre popołudnia.

Spencer niemal łaowała, e ma własny samochód.

Musiała wozi innych, podczas gdy Terry-Sue kleiła si do Davida, siedz c na przednim fotelu jego auta.

Tego dnia pojechała z nimi Reva. Chodziła do tej samej klasy co Spencer i została przyj ta do ich paczki ze wzgl du na swego brata. Dostała si do szkoły dzi ki temu samemu tajemniczemu „stypendium”, jakie otrzymał David. Za ich nauk płacił Sly, ale nie chciał si do tego przyzna . Spencer wiedziała, i robi to tylko dlatego, by ci ko pracuj cy dziadek Davida nie pomy łał, e sam nie jest w stanie zapewni swym wnukom najlepszego wykształcenia. Sly był pod tym wzgl dem wspaniały. Robił to, co uwa ał za słuszne, i nie potrzebował niczyich pochwał.

A Reva była urocza, wi c wszyscy lubili jej towarzystwo. Miała dobry charakter i miała si ze wszystkich opowiadanych przez nich dowcipów. Była te niezwykle ładna i cieszyła si uznaniem wszystkich chłopców, ale aden nie miałby jej tkn czy cho by pozwoli sobie wobec niej na jaki niewybredny art. David był wychowany przez szkockiego dziadka, ale nie brakowało mu kuba skiego „*machismo*”, zwłaszcza gdy w gr wchodziła siostra. Obserwował j czujnie jak jastrz b, cho w gruncie rzeczy wcale nie potrzebował tego robi . Wszyscy byli po prostu przyjaciółmi. Nikt nie chciał si z nikim wi za .

Z wyjątkiem Terry-Sue, która teraz, kiedy samochody zostały już zaparkowane, koce rozłożone, a koszyki z jedzeniem rozstawione, nadal kleiła się do Davida.

Spencer włożyła czerwone bikini, natarła ciało olejkami i wyciągnęła się na jednym z koców. Leżała w półcieniu, ale było jej coraz cieplej. Czuła bicie serca z nieba, a gdy zasłoniła się przesuwaną jaką chmurką, a otaczające ją sosny zaczynały się kołysać - chłodny powiew wiatru. Udawała, że chce po prostu leniwie leżeć, wystawiając plecy do słońca i opalać się.

Ale w gruncie rzeczy cały czas bacznie obserwowała otoczenie.

Obserwowała je i wrzała z wściekłości.

Terry-Sue bawiła się tak dobrze jak nigdy w życiu.

Była ładną dziewczyną, a najwskazywał jej urody stanowiła bujna grzywa kasztanowatych włosów. Choć drobna i niewysoka, miała bardzo rozbudowaną klatkę piersiową. W gruncie rzeczy, jak myślała o niej złośliwie Spencer, Terry-Sue składała się wyłącznie z ogromnego biustu. Jej bikini nie było wcale bardziej miało niż kostiumy innych dziewcząt, ale...

Ale ona nieustannie eksponowała ten swój cholerny biust i potrafiła nim co chwila przed nosem Davida.

- David! - Przenikliwy, bardzo kobiecy okrzyk przeszył powietrze, a Spencer poczuła dreszcz oburzenia. David uniósł Terry-Sue w górę i choć rozpaczliwie chwycił ją za ramiona, zamierzał wrzucić ją do wody. Na jego twarzy malował się pogodny uśmiech. Jeden z chłopców nie wyglądał tak pociągawczy jak David. Kiedy mogli mu dorównać. Kiedy może i tak, ale on dojrzał wcześniej niż oni. Miał szerokie ramiona i nawet włosy na piersiach. Jego brzuch był płaski i twardy. Wszyscy mieli niebawem osi gnę dojrzałość, ale David Delgado już miał to za sobą, przynajmniej pod względem fizycznym, i wyglądał bardzo atrakcyjnie. Spencer zawsze go lubiła i miała wrażenie, że on też darzy ją sympatią. Pomagała mu nawet kilka razy w gramatyce angielskiej, z którą nie miała żadnych trudności.

Wszyscy musieli uczyć się w szkole hiszpańskiego, toteż pewnego dnia z uśmiechem poprosiła go o rewanż, a on spełnił jej prośbę. Uważała, że ma szczególne prawo uważać się za jego bliską przyjaciółkę. David zniknął niekiedy z jej otoczenia, a ona wiedziała, że widuje się z innymi dziewczętami. Spędziła nawet kilka wieczorów patrząc w sufit i zastanawiając się, co robi z tymi innymi dziewczętami - nie, z kobietami. David z pewnością ci zadawał się z kobietami. Był niemal o dwa lata od niej starszy, ale zawsze jej mówiono, że dziewczęta dojrzewają wcześniej.

Na przykład Terry-Sue. Była już zdecydowanie dojrzalsza - tak cholernie dojrzalsza, że mogła potknąć się o własny biust.

- Oni po prostu się bawią - powiedział ktoś do Spencer. Zaskoczona, otworzyła oczy. Nikt nie powinien zdać sobie sprawy, że obserwuje zabawy w wodzie, ale ktoś to zauważył. Reva. Nadal była w ich towarzystwie trochę onieśmialona, ale miała stanowczo zbyt wyostrzoną intuicję.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdziła obcesowo Spencer. Przeciwnie usiadła, ziewając ostentacyjnie. Nie miała zamiaru przyznać się Revie, że obserwowała jej brata. - Czy możesz podać mi coś? - spytała, chcąc zmienić temat.

- On ci naprawdę bardzo lubi, Spencer. Zawsze ci lubił - oznajmiła Reva, przyklękając na kocu i sięgając do pojemnika po butelkę coli. Była może nie miała, ale nie dała się łatwo zbić z tropu.

- Pewnie, jesteście moimi dobrymi przyjaciółmi - odparła Spencer, po czym szybko wstała. - Nie zwracaj już sobie głowy o to. Ochłódz się w wodzie.

Dobrze pływała i wiedziała o tym. Potrafiła też nurkować. Nie było w tym nic dziwnego, gdy na wyrażenie życzenia matki wzięła sporo lekcji i teraz postanowiła wykorzystać wszystkie umiejętności. Nad stawem zwieszała się mała, skalna półka. Skoki z niej były niebezpieczne, ponieważ wokół najgłębszego miejsca wystawały nad powierzchnię wody tu i ówdzie kamienie, a dno pokrywały wraki samochodów.

Ale było to jedyne miejsce wznoszące się wysoko ponad powierzchnię stawu. Spencer podeszła leniwie do skalnej półki. Nie była głupia i nie chciała się zabić ani zostać kaleką, więc uważnie obejrzała teren, a dopiero potem zaczęła przygotowywać się do skoku.

- Spencer, co ty, do diabła, wyprawiasz? – zawołał ktoś do niej. Zaskoczona, o mało nie spadła w dół. Był to głos Davida, który nadal stał w wodzie.

A Terry-Sue nadal go obejmowała, przyciskając do jego klatki piersiowej swoje „atuty”.

- Skacz! - odparła z irytacją.

I zanim zdążył ją powstrzymać, odbiła się od skały.

Znalazła się w zimnej, orzeźwiającej wodzie i mknęła z fantastyczną szybkością w głąb. Ominęła z trudem karoserię rozbitego valianta, a potem zmieniła kierunek i zaczęła płynąć w górę. Była już niemal na powierzchni, kiedy poczuła na ramionach czyje dłonie, ciągnące ją w górę.

David.

O to jej właśnie nie chodziło. Chciała zwrócić na siebie jego uwagę i zrobiła to, ale nie spodziewała się z jego strony takiej reakcji.

- Co ty, do cholery, robisz, idiotko? - spytał ze złości. Jego włosy były mokre i przylegały do głowy.

- Wiem, co robię. Umiem pływać i potrafię dobrze nurkować.

- I lubisz się popisywać, ty zarozumiała smarkulo! Mogłaś się zabić!

- Nawet gdybym się zabiła, nie byłaby to, do cholery, twoja sprawa! - Czowała się upokorzona i dotknięta. Przez chwilę myślała, że David uderzy ją w twarz, zanim jeszcze wyjdzie z wody.

- Masz rację, panno Montgomery. To nie moja sprawa. Ale słyszebyś załamany, gdyby coś ci się stało, a ja przypadkiem bardzo go lubię, więc jeśli już musisz się popisywać, nie rób

tego w mojej obecności. Wszyscy wiemy, że jesteś niemal doskonała, Spencer. Nie musisz tego nikomu udowadniać.

Puścił ją, a ona była tak roztrzęsiona, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Na szczęście była zanurzona w wodzie, więc nikt tego nie widział. Wszyscy obserwowali ich z brzegu, ale David nie podniósł głosu, więc nikt nie usłyszał jego słów.

Wyskoczył z wody i poprosił ją, by rzuciła mu ręcznik. Spencer też wyszła na brzeg i podniosła głowę, pragnąc za wszelką cen zachować godność.

Danny podbiegł do niej z ręcznikiem. Był uśmiechnięty i unosił triumfalnie oba kciuki.

- Wcale się o ciebie nie martwiłem - zażartował cicho. Podobnie jak Reva miał dobry charakter i obdarzał ją tegoż zachęcającym uśmiechem, ale potrafił też być bardzo poważny. Danny pragnął zmienić świat. Zawsze był jedynym idealistą w ich gronie. - Chyba za dobrze cię znam.

- Nie mam już ochoty na ten piknik - oznajmiła z uśmiechem, biorąc z jego ręki ręcznik. - Mam zamiar się po cichu ulotnić.

- Ja też bym to zrobił, ale nie mam ochoty wracać do domu - przyznał, krzywiąc się z niesmakiem. - Mama zaprosiła na dzień członków swego klubu brydżowego. Rozmawiaj o jakiejś aukcji na cele dobroczynne.

- Wcale nie wracam do domu - oświadczyła z szerokim uśmiechem. - Jadę do dziadka. Jest w Key West. Ogląda stary budynek, który jakiś ekscentryk chce ocalić od ruiny. Będzie miała cały dom dla siebie.

Chciała by sama i liza rany bez wiadków. Danny zdawał się to rozumieć. Danny zawsze zdawał się wszystko rozumieć. Nigdy się z nią nie spierał.

Wymknęła się niespostrzeżenie.

Słyszy nie mieszkał w eleganckiej dzielnicy, w każdym razie nie w tak eleganckiej, jak wybrali jej rodzice. Jego dom był taki sam jak jego firma - stary. Był świadectwem wszystkiego, co osiągnął.

Stał na jednym z najstarszych pól golfowych w mieście, otoczony ładnymi, ale nie przesadnie ozdobnymi willami. Zbudowany był w tak zwanym starym stylu hiszpańskim - miał mnóstwo sklepów i balkonów. Wchodziło się do niego od strony dziedzińca, a do jego bocznej ściany przylegał mały ogród, w którym zbudowano niedawno basen kąpielowy.

Choć nowy jeep był wyposażony w klimatyzację, Spencer dojechała na miejsce zgrzana, spocona i wściekła. Zostawiła samochód na podjeździe, wyszła ze skrzynki pocztowej adresowanej do dziadka i położyła ją na stojącej przy drzwiach wejściowych wiktoriańskiej komodzie. Słyszał skromnie i nie miał słuchawki. Wierzył mocno w etos pracy, choć - jak wyznał kiedyś Spencer - był zadowolony, że rodzice nie pozwolili jej pracować podczas nauki w szkole średniej, gdy uważał stopniowo za rzecz najważniejszą w życiu.

- Pieniądze może stracić, młoda damo - mawiał jej często. - Miałem przyjaciół, którzy stracili wszystko podczas wielkiego kryzysu, ale wiesz co? Nawet wtedy niektórym z nich coś zostało. Zostało im wykształcenie. Wiedzieli, jak wygrzebać się z bagna i zacząć od nowa!

Nie miał jednak nic przeciwko temu, bo od czasu do czasu pracowała u niego. Gdy nie było go w mieście, opiekowała się jego domem, odbierała pocztę, płaciła rachunki i karmiła Tygrysa, grubego kota. Był to dla niej idealny układ. Lubiła dom dziadka - poznała dzięki niemu wiele tajników budownictwa i potrafiła docenić mistrzostwo tych, którzy wznieśli ten budynek.

Weszła po schodach do pokoju gościnnego, otworzyła szafę i znalazła w niej swobodny sukienkę oraz bieliznę. Potem udała się do łazienki, w której Slys zainstalował wannę z masażem wodnym, by podnieść wartość domu. Odkryła kran i skierowała bicze do góry, a potem zdjęła kostium kąpielowy i położyła się w gorącej wodzie, mając nadzieję, że zmyje z niej poczucie upokorzenia, jakie pozostało po konfrontacji z Davidem. Zanurzyła głowę, by zmoczyć włosy.

Nagle poczuła na ramionach czyje dłonie. Była tak przerażona, że niemal zachłysnęła się wodą, ale szybko wysunęła głowę nad powierzchnię. Ku swemu zdumieniu ujrzała Davida Delgado. Był nadal mokry i miał na sobie kielich.

- Co ty znowu wyprawiasz? - spytał.

- Myj głowę! - odparła w ciekłym tonem, patrząc na niego z zaskoczeniem.

- Co?

- A co twoim zdaniem mogę robić?

David wydawał się zbity z tropu. Speszony. Nawet zażenowany.

- Do diabła, Spencer, pukałem ze dwadzieścia razy, a kiedy wszedłem, leżałaś w wodzie i długo się nie wynurzałaś!

- I myślałam, że postanowiłam się utopi? Z twojego powodu? Och, mój Boże. A uchodzisz za człowieka niezwykle skromnego! - dodała złośliwie.

Przysiadł na stopach, zaciskając zębami i mrucząc lekko oczy.

- Ty naprawdę jesteś jedyną w swoim rodzaju, prawda, Spencer?

Nie podnosiła na niego wzroku, nie chciała widzieć jego pogardliwego spojrzenia. Patrzyła wprost przed siebie, zdając sobie sprawę, że jest całkiem naga. Poczuła się zupełnie bezradna. Podciągnęła kolana pod brodę.

- Skoro masz taką kiepską opinię na mój temat, to bądź dla ciebie uczynna, jeżeli zechcesz otworzyć sobie ponownie drzwi do mojego dziadka i zostawić mnie samego.

Wstał. Zdając sobie sprawę, że zamierza odejść. Tak po prostu. Ruszył w stronę drzwi. Oczywiście tego właśnie nie chciała. Ale czy na pewno?

Wyskoczyła z wanny i owinięła się ręcznikiem. David był już na korytarzu. Pobiegła za nim.

- Ludzie bogaci nie zawsze muszą być mili! - krzyknęła i poczuła, że brak jej powietrza. Nie wiedziała, czy ma ochotę go uderzyć, czy...

Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Przyjechałem, żeby się upewnić, że jesteś cała i zdrowa. Zniknęła tak nagle, że nie byłem pewien, czy coś ci się nie stało. Wiem, że jesteś zbyt dumna, żebyś się do tego przyznała.

Milczała przez sekundę, nie wiedząc, czy jest to zniewaga, czy dwuznaczny komplement.

- Ja naprawdę wiedziałam, co robi - wykrztusiła w końcu.

- To było niebezpieczne, Spencer.

- Może - odparła, oddychając głębiej. - Ale tylko trochę.

Stali na korytarzu, przyglądając sobie nawzajem. Dom był klimatyzowany, więc Spencer poczuła, że robi jej się trochę zimno. Równocześnie jednak paliły jej policzki, a przez ciało przelewała się fala ciepła.

- Wracasz nad staw? - spytała go w końcu.

- Raczej nie - odparł, wzruszając ramionami. - Już jest chyba po wszystkim. A ty się tam wybierasz?

- Chyba nie. Myślę, że wszyscy pojechali gdzieś zjeść.

- Przecież to miał być piknik - przypomniał jej z uśmiechem.

- Tak, ale znasz naszych kolegów. Rodzice nie dają im łodzi na piknik. Twierdzą, że jest w nich za dużo zarasków.

- Masz rację - przyznał i myślał nad czymś przez chwilę. - Chcesz ich poszukać?

Patrzyła na niego, nie znajdując właściwych słów. W gruncie rzeczy nie chciała nigdzie jechać. Chciała mieć go dla siebie. Bez żadnych przeszkód, odciągając jego uwagę.

Bez Terry-Sue.

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Słyszałaś zawsze pełną łodzi.

- Ma tu te wspaniałe baseny - dodał.

- Owszem. Chyba już z niego korzystacie, prawda? - Nie orientowała się dokładnie, co to czy Davida z jej dziadkiem, ale wiedziała, że bywał on w tym domu.

- Nie, nigdy jeszcze w nim nie pływałem - odparł.

- No có , zawsze mo na to nadrobi - oznajmiła, staraj c si zdoby na oboj tny ton.

- Posłuchaj, je li chcesz by sama...

- Nie - odpowiedziała, potrz saj c głów . - Sły wyjechał na weekend, wi c dom jest mój. Wyjd boczny mi drzwiami. Włó kostium i zaraz tam b d .

Wzruszył ramionami i poszedł w kierunku schodów. Spencer wbiegła do łazienki, podniosła z podłogi swój kostium, wło yła go błyskawicznie i sztucznie spokojnym krokiem poszła za Davidem.

Był ju w basenie i pływał miarowo od jednego ko ca do drugiego. Wskoczyła do wody tak nieostro nie, e omal si z nim nie zderzyła. Gdy wypłyn ł, by nabra powietrza, chwyciła go za kostk i wci gn ła pod wod .

Kiedy wynurzył głów , oddaliła si od niego na bezpieczn odległo i spojrzała w jego roze miane, ciemnoniebieskie oczy.

- Widz , e lubisz ryzyko, panno Montgomery - powiedział zdyszany.

- Bardzo lubi ! - odkrzykn ła. David odbił si od dna i ruszył za ni . Wydała lekki okrzyk i zacz ła ucieka wzdłu basenu. Płyn ła szybko, ale on był silniejszy i dogonił j w chwili, gdy znalazła si na gł bokiej wodzie. Pozwolił jej nabra powietrza, a potem wci gn ł j na dno.

Nie miała ochoty oddycha . Obj ta jego ramionami, przylg n ła do niego całym ciałem. Czuła mi nie jego barków, ko ci jego ud, jego ukryt pod k pielówkami m sko . Nigdy jeszcze nie prze yła czego podobnego. Tego dziwnego, niemal niezno nego podniecenia.

Razem wypłyn li na powierzchni . On mógł dotkn nogami dna, ale dla niej było za gł boko. Nadal trzymał j w obj ciach i przygl dał si uwa nie. W jego spojrzeniu nie było ani zło ci, ani rozbawienia. W jego oczach płon ło dziwne, odbite od wody wiatło.

- Spencer - powiedział stłumionym głosem. - Powinna ...

Z u miechem przytuliła si do niego jeszcze mocniej i lekko rozchyliła usta, jakby chciała co szepn .

Westchn ł, a potem ich wargi zetkn ły si . Ten zaborczy pocałunek wyzwolił w niej now fal prze y . Nigdy w yciu nie była tak podniecona, tak pewna, czego chce. Chciwie wci gn ła w gł b ust jego j zyk. wiat przestał istnie . Pojawił si na nowo dopiero wtedy, kiedy David poło ył dło na jej piersi. Poczua w całym ciele pulsowanie, którego centralny punkt znajdował si mi dzy jej udami. Była zachwycona. W zam cie uczu jednego była pewna, e nigdy niczego nie pragn ła a tak bardzo. Jego. Chciała, by nie przestawał. By j dotykał. By znów obudził w niej to cudowne uczucie.

Oderwał usta od jej warg, ale trzymał j w obj ciach.

- Spencer, o Bo e, ja nie mog ...

- David... - przerwała, nie chc c go dalej słuca .

Odepchn ł j i podpłyn ł do brzegu basenu, a potem wyskoczył z wody. Spencer ruszyła za nim, czuj c, e rumieni si ze wstydu. Znów poniosła kl sk . Niemal rzuciła si na niego, a on odchodził.

Wyszła z basenu upokorzona i załamana. Miała ochot pobiec na gór , pa na łó ko i wybuchn spazmatycznym płaczem. Nie miała jednak zwyczaju ucieka przed rzeczywisto ci i była na tyle w ciekła, e chciała załatwi cał spraw od razu.

- O co chodzi, David? - spytała cicho, pogardliwym tonem, opieraj c r ce na biodrach i odrzucaj c głów do tyłu. - Czy bym nie miała tak imponuj cego sprz tu jak Terry-Sue?

David był ju po przeciwległej stronie basenu, ale zatrzymał si i przez chwil patrzył na ni bez słowa, po czym ruszył w jej kierunku.

- Widzisz, Spencer, musz pami ta o tym, e jeste młodsza ode mnie. e jeste po prostu naiwnym, rozpuszczonym dzieckiem, które chce postawi na swoim.

- Jak miesz tak do mnie mówi ? Nigdy nie zachowuj si w taki sposób!

- To nieprawda! Zadzierasz nosa zawsze, gdy jeste przyparta do muru.

- Gdy jestem przyparta do muru, zaczynam walczyć !

- Jeste wnuczk pana Montgomery! - dodał szorstkim tonem.

- A wi c boisz si mojego dziadka? - spytała z niedowierzaniem.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku. Wygl dał gro nie, ale ona si nie cofn ła.

- Nie boj si nikogo, Spencer. Ale lubi twojego dziadka. Bardzo go lubi .

- Jest dobrym i yczliwym człowiekiem stwierdziła chłodno. - Dobrym dla uchod ców.

Był to cios poni ej pasa, ale nie mogła si ju powstrzyma .

Twarz Davida st ała. Kiedy do niej podchodził, widziała ył pulsuj c na jego szyi. Miała prawie sto siedemdziesi t centymetrów wzrostu, ale David spojrział na ni z góry, stoj c tak blisko, e ich ciała niemal si stykały.

- O co ci chodzi, Spencer? Czego chcesz? *Que ta quieres?*
- Znów poło ył dłonie na jej ramionach, zmuszaj c j do cofni cia si o krok. - Chcesz czego lepszego ni inne białe dziewcz ta, *inne gringa?* My lisz, e dam ci co lepszego? W porz dku, kład my si na podłodze. Czy o to ci chodzi?

- Przesta ! - krzykn ła. Trz sła si na całym ciele i chciała go uderzy , ale nagle zabrakło jej odwagi, Nieoczekiwanie wyzwoliła w nim co , czego nie potrafiła poj . Nie wiedziała, e David zdaje sobie spraw , i ; jest przedmiotem rozmów jej kolegów, którzy nie mogli si pogodzi z napływem cudzoziemców do Miami. Nie przypuszczała, e mo e by na tym punkcie a lak wra liwy.

- Przesta , do diabła! - warkn ła. - Nie ma si czego wstydzi ...

- Wstydzi ! - krzykn ł gło no i zakł ł. Po hiszpa sku. Nie była pewna, jakim epitetem j obdarzył, ale mogła si tego domy li . - Ja si niczego nie wstydz . Jestem za enowany

tylko wtedy, kiedy powstrzymuj się od powiedzenia twoim wa nym znajomym, e uwa am ich za obłudnych durniów! Spencer, w co ze mn grasz? Czy chcesz za kilka lat chwali się swoim przyjaciółkom z klubu bryd owego, e zadała się kiedy z Latynosem? O co ci, do diabła, chodzi? O to, e wszystkie twoje kole anki sypiają z facetami, a ty jeszcze nie?

- Nie wiem, co robi moje kole anki - odparła - i nic mnie to nie obchodzi. Obchodzisz mnie tylko ty. Zale y mi na tobie - wyszeptała cicho. - Zawsze mi na tobie zale ało, zawsze ci pragn łam... chciałam się z tob kocha ... tylko dlatego, e jeste taki, jaki jeste .

Patrzył na nią przez chwil , na przemian otwierając i zamykając usta. Potem nagle znowu znalazła się w jego silnym u cisku. Nigdy w yciu nie była potraktowana tak czule przez adnego m czyzn .

- O Bo e, Spencer! - wyszeptał. - O Bo e, czuj się jak idiota.

- Je li mnie nie lubisz...

- Nie lubi ci ? Ty wariatko. Od chwili, kiedy się poznali my, uwa am ci za najwspanialsz dziewczyn na wiecie.

- Naprawd ? - spytała cicho. Przytuliła się do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję , wdychając jego zapach. Czuliła zawrót głowy i bała się , e straci równowag . Trzymała się go z całych sił. Stan ła na palcach i pocałowała go w usta. Musn ła ko cem j zyka jego ucho, szyję , rami . Robiła rzeczy, które ogl dała dot d tylko na filmach lub znała z opowiada kole anek.

- Spencer - j kn ł cicho David - je li tego nie chcesz, pora przesta .

- Chc - zapewniła go uroczy cie.

Przez chwil patrzył na nią bez słowa. Nadal widziała ył pulsując na jego szyi. Potem wzi ł ją nagle na r ce.

- Gdzie jest łó ko? - spytał.

- W pokoju go cinnym. Na górze - odparła. Znów czuła si lekko za enowana. Bała si oddycha . Bała si oderwa od niego wzrok. Gdy niósł j po schodach, przylgł ła do niego z całej siły.

Kiedy znale li si w pokoju go cinnym, pomy łała przelotnie, e panuje w nim idealne o wietlenie. Nie zapadł jeszcze wieczór, ale sło ce ju zachodziło. Poło ył j na łó ku, w półcieniu. Usłyszała ciche pla ni cie jego mokrych k pielówek o drewnian podłóg . Potem poczuła, e zdejmuje z niej kostium. Zadr ła, cho nie było jej zimno. Obawiała si jedynie, e go rozczaruje, e nie oka e si dziewczyn , jakiej pragn ł.

Jego ciało było ciepłe, wprost cudowne. Jego pieszczoty obudziły w niej podniecenie, które było trudne do zniesienia, a równocze nie wspaniałe, poniewa dotykał jej wła nie on. Rejestrowała w my lach wszystkie prze ycia: szorstko włosów porastaj cych jego nogi, ciepło oddechu, twardo pleców, w które wpijała palce. Musiał u przedtem gum , bo pachniał mi t . Czuła na sobie jego ci ar, a dotyk jego m sko ci wydał jej si niemal bolesny.

Poruszał si wolno. Całował j w usta. wiadomie budził w niej coraz wi ksze po danie i podniecenie.

- Robiłe to ju kiedy ? - wyszeptła.

- Tak - odparł po chwili wahania. Miała nadziej , e nie z Terry-Sue.

- Czy chcesz, ebym przestał?

- Nie!

W chwil pó niej niemal łaowała, e nie powiedziała: tak. Zawsze słyszała, e seks jest niewiarygodnie cudownym prze yciem. My łała, e b dzie si czuła jak w niebie, tymczasem miała ochot umrze .

- Spencer?

Nie mogła wydoby słowa. Przylgł ła do niego i ból min ł. Kiedy było ju po wszystkim, zachował si wspaniale. Trzymał j w obj ciach tak czule, jakby była najcenniejszym skarbem na

wiecie. Pó niej le eli obok siebie w g stniej cym mroku. Spencer my lała, e David zasn ł, ale sama nie mogła sobie na to pozwoli . Musiała przed jedenast wróci do domu.

On jednak nie spał, bo nagle pochylił si nad ni z u miechem.

- Jak było? - spytał.

- Było...

- Okropnie?

- Nie! - Poczła na sobie jego rozbawione spojrzenie.

Wiedział o wszystkim.

- Było... - zacz ła od nowa, ale słowa zagłuszył wybuch jego miechu.

- Spencer, pierwszy raz nie musi by okropny, ale rzadko bywa wspaniały. Wspaniale jest dopiero za drugim razem.

Sam jego głos, jego zmysłowy ton, na nowo obudził w niej podniecenie. Zabrakło jej oddechu, zanim jeszcze dotkn ł wargami jej ust, zanim jego dło zacz ła pie ci jej piersi, a potem zsun ła si ni ej i rozpałiła w niej bolesny ogie . Całował jej piersi, brzuch, wewn trzn stron uda. Pó niej przesun ł usta troch wy ej. Chciała zaprotestowa , ale on ju znalazł si nad ni . Nie mogła si jeszcze zdoby na odwag i dotkn go, ale to było niewa ne. Całuj c j w usta, muskaj c j zykiem jej wargi, wszedł w ni po raz drugi. Czła si tak, jakby prze ywała jak fantastyczn przygod , której zakazany smak znaj tylko wtajemniczeni. Osi gn ła szczyt tak nagle, e sama była zdumiona gwałtowno ci swej reakcji. Nigdy w yciu nie była tak szcz liwa, nie prze ywała tak intymnej rozkoszy. A w dodatku dzieliła j z Davidem; odkryła j dzi ki niemu. Nadal le ała w jego ramionach, czuj c szorstki dotyk włosów porastaj cych jego nogi, zapach jego ciała. Le eli w zmi tej po cieli...

Obudziła si gwałtownie, maj c wra enie, e uderza głow w sufit. Słyszała przera liwy terkot budzika. Jej po ciel była tak

zmi ta, jakby rzucała si na łó ku przez ca ł noc. Poduszka le ała na podłódze.

Była szósta rano. Musi si przygotowa do kolejnego dnia pracy.

Spojrzała na przeciwny stron łó ka, na której powinien był le e Danny. Ale Danny ju nie y ł. Od jego mierci min ło sporo czasu.

Nie a tyle jednak, by mogła wspomina we nie swoje pierwsze zbli enie z jego najbli szym przyjacielem, mimo e miało ono miejsce na d ługo przed ich lubem.

Wstała, zdj ła nocn koszul i ruszyła w stron łazienki.

- Niech ci diabli wezm , David. Niech ci diabli! I ciebie, stary lisie, który jeste moim dziadkiem!

Weszła pod prysznic. Usłyszała stłumiony przez szum wody dzwonek telefonu i postanowiła go nie odbiera .

Zrobiła to za ni automatyczna sekretarka. Dosłyszała własne nagranie, a potem głos człowieka, który prze ładował j w snach, w koszmarnych snach. Głos Davida.

- Trey Delia jest w wi zieniu okr gowym. Przesłuchuj go. Powiedział, e chce si ze mn zobaczy . Je eli b dziesz grzeczna, zabior ci ze sob . Ale skoro nie ma ci w domu...

Nie si gn ła po r cznik. Wybiegła mokra spod prysznic, nie przejmuj c si tym, e poplami podłógi i dywany, i pospiesznie podniosła słuchawk .

- O której tam jedziesz?

- Mog po ciebie wpa o wpół do dziewi tej, je li...

- Tak, tak, zamierzam by grzeczna jak anioł.

Usłyszała jego niedowierzaj cy chichot.

- Mówi powa nie, Spencer. Masz milcze i pozwoli mi z nim porozmawia .

- Naprawd jeste m skim szowinist .

- Nazywaj to m skim szowinizmem, kuba skim machismo czy jak tam chcesz, byleby si nie odzywała. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparła niezbyt przekonuj co, po chwili wahania.

- I jeszcze jedno...
- No?
- Zaparz trochę przyzwoitej kawy, dobrze?
- Kawy? Przyzwoitej kawy? - wykrztusiła ze zdumieniem.

Ale David odłożył ją słuchawkę, a ona nie wiedziała, czy powodowała nim chęć zakpienia z niej, czy jego kubańskie machismo, czy te jedno i drugie.

Nie miało to znaczenia. Wyłączyła się. W braku innego wyjścia, z trzaskiem odłożyła słuchawkę. Niewiele jej to pomogło, ale poczuła się trochę lepiej.

Trey Delia. A więc ubiegłą noc przyniosła jakiś rezultat. Podejrzany jest w winie. Zapewne nie oskarży go o zabicie Danny'ego, ale może czegoś się przy okazji dowiedzieć.

Weszła ponownie pod prysznic, potem ubrała się i nuciła pogodnie, zeszła na dół. Zabrała się do parzenia kawy i nagle zamilkła, zastygając w bezruchu.

Zdała sobie sprawę, że przygotowała pełny dzbanek kawy, wcale o tym nie myśląc, a nie robiła tego od...

Od przeszło roku.

Włączyła elektryczny czajnik.

- A w dodatku jest to bardzo przyzwoita kawa! - powiedziała głośno i odwróciła się.

David już dzwonił do drzwi.

5

Sly Montgomery przeczytał o próbie pl drowania grobów nast pnego ranka.

Siedział obok basenu, pod palmami, pij c kaw bez kofeiny i wpatruj c si w pierwsz stron gazety.

Trey Delia, przywódca sekty, nie brał udziału w nocnej wyprawie na cmentarz, ale jeden z aresztowanych m czynn - nielegalny imigrant z Port-au-Prince -wpadł podczas przesłuchania w histeri i oskar ył go o najró niejsze przest pstwa - rabowanie grobów, morderstwa i wampiryzm. Okoliczno ci schwywania tego człowieka wydawały si niezwykle. Został zatrzymany przez prywatnego detektywa, który przebywał akurat na cmentarzu w towarzystwie swej anonimowej asystentki.

- Anonimowej! - mrukn ł Sly.

Odło ył gazet i spojrział na basen. Nadal lubił błysk odbitego w wodzie sło ca. Zachwyczał si nim zarówno nad swym basenem, jak i w zatoce, w której panowało wi ksze bogactwo kolorów - kobaltów, zieleni i bł kitów. Mo e dlatego wła nie od tylu lat nie chciał wyjecha z Miami, cho niektórzy twierdzili, e schodzi ono na psy. Jego zdaniem, przechodziło po prostu ewolucj . Jako człowiek dziewi dziesi cioletni wiele wiedział. I wiele widział. Cz sto zbyt wiele. Widział rozwój tego miasta, które z bagiennej osady przeobraziło si w jedn z najwi kszych metropolii wiata.

Spojrzał na swoje dłonie. Dr ały. Miały do tego prawo. Sko czyły ju ponad dziewi dziesi t lat. W tym roku miał sko czy dziewi dziesi t cztery. Sam nie mógł uwierzy , e nadal yje i dzi ki Bogu zachował zdrowie oraz sprawn o umysłu. Ale dziewi dziesi t cztery lata to powa ny wiek. Lucy odeszła ju dawno, ale zd yli wspólnie zrealizowa swoje

marzenia. Liczne wielkie, stare domy były jego dziełem; zbudował je na bagnach, błotach i rafach koralowych. Zawsze chciał mieć dzieci. Miałby ich dziesięć, gdyby zależało to od niego, ale na świat przyszedł tylko Joe. No cóż, wola boska. Potem Joe oenił się z tym małym bogatym snobem z Newport, Mary Louise Tierney, a ona nie potrafiła poradzić sobie nawet z jednym dzieckiem.

Spencer jednak była warta miliona wnuczek. Od samego początku należała bardziej do niego niż do matki czy ojca. Kochała i ceniła wszystko co stare, lubiła historię i choć dzieje Miami nie były długie, już w wieku pięciu lat potrafiła wymienić nazwiska wielu z nich i niejszych architektów i przedsioborców, którzy zabudowali południową Florydę. Bóg obdarzył ją inteligencją, przedsioborczością i urokiem osobistym. Kiedy czegoś chciała, sięgała po to oburczy, z uśmiechem na ustach. Danny Huntington był dla niej dobrym mentorem, choć Sły nie mógł czytać ich w parcie, kiedy byli jeszcze dziećmi.

Sły obserwował ich od lat. Poza pracę, dzieci były dla niego wszystkim. Widział, jak dorastają, jak mozolnie uczą się hierarchii, jak przemieniają się z niezdarnych młokosów w pewnych siebie ludzi dorosłych.

Przeżył śmierć Danny'ego i uważał ją za tragedię, ale to należało już do przeszłości.

Spencer była teraz niejszą dla niego. I przyszło jej. Sły po wielu latach nauczył się oddzielać sprawę od nieważnych i wiedział, że Spencer jest jedyną naprawdę ważną sprawą w jego życiu.

- Ała, nie jesteś już na tyle mała, abym mógł sprawić ci lanie, młoda damo! - mruknął do siebie.

Na tym właśnie polegało sedno sprawy. Spencer była dorosła i nie mógł sprawić jej lania. Nie mógł jej nakłonić do zamieszkania u siebie, choć by na pewien czas. Nie mógł wbić jej do głowy odrobiny zdrowego rozsądku, przekonał się, że lepiej

y pełni życia nie szuka mordercy Danny'ego, narażając się na śmierć.

Ponownie przejrzał artykuł. Zamierzał porozmawiać później z Davidem Delgado, ale na razie chciał odkryć to, co mu na było przeczytać między wierszami. Ponownie przejrzawszy artykuł doszedł do wniosku, że nie musi już rozmawiać z Davidem. Pojść, co się wydarzyło.

Spencer dowiedziała się w jakiś sposób, że rabusie grobów mogą odwiedzić cmentarz, na którym leżał Danny. Poszła tam, a David udał się za nią. Zrobił to, co mu obiecał, choć bardzo niechętnie. Nie chciał ledzić Spencer, a Sly wiedział dlaczego. Niektóre sprawy nie mijają z wiekiem. Człowiek może się zestarzeć, może sobie wmawiać, że nie odczuwa już pragnień i cierpień, które nękały go w młodości, ale one nadal czają się w głębi jego serca. Nie, pewnych spraw po prostu nie można zostawić za sobą.

Może była to korzystna okoliczność – a może nie. Sly jednak wiedział, że David bardziej uważa na ledź Spencer, bez względu na to, czy ma na to ochotę czy nie.

Zadzwoił telefon. Sly wstał i podniósł słuchawkę. Domyślał się, kto do niego dzwoni.

Jerry Fried, ostatni partner Danny'ego Huntingtona w wydziale zabójstw, siedział przy biurku i patrzył na leżącą przed nim notatkę słubową. Miał pięćdziesiąt pięć lat i czuł, że robi się za stary na tego rodzaju bzdury. Przesunął palcami po swych siwych włosach i zgarbił się, uwiadomiacz sobie, że powinien mieć więcej ruchu. Przynajmniej chodzi na spacer. Nadal wyglądał do zgrabnie, zarówno w mundurze jak i bez niego, ale przychodziło mu to z coraz większym trudem. Nad jego paskiem zaczynał już sterczeć brzuch.

Ubiegłej nocy nie pełnił służby, więc dowiedział się o aresztowaniu rabusia grobów dopiero dzisiaj rano, po przyjeździe do pracy. Teraz wszyscy o tym mówili, a na jego biurku leżała ta przekłama notatka słubowa, przysłana mu przez porucznika.

A więc Delia przebywa w areszcie, a przyczyniła się do tego wdowa po Dannym. Wysoka, szczupła, elegancka pani Huntington trafiła we właściwym czasie na właściwy komentarz, podczas gdy policja nie potrafiła dodać dwóch do dwóch. Dlaczego ta kobieta nie chce uwierzyć, że policjanci zawsze starają się złapać morderców swoich kolegów? Dlaczego nie może trzymać się od tego wszystkiego z daleka? Nie naraża swojego życia? Jeśli nadal będzie się wtrącać do nie swoich spraw, wynikną z tego kłopoty, poważne kłopoty, a ona sama znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Danny Huntington... Nie żyje już od przeszło roku, ale Jerry nadal czuje o nim myśli. Bogaty chłopiec bawił się w policjanta. Chciał poznać ulice, prawdziwe życie. Wszyscy go lubili. Wszyscy. Politycy, przełożeni, koledzy. Lubili go nawet groźni przestępcy. A Danny miał informacje, którymi nie chciał podzielić się ze swoim partnerem!

Jerry jednak i oparł głowę o blat biurka, wylewając przy tym swój poranny kawę.

Potem wyprostował się i raz jeszcze przeklął wdowę po Dannym. Zdaje się, że Danny Huntington nie może spokojnie leżeć w grobie.

Cecily Monteith siedziała w przylegającym do sypialni saloniku, pijąc kawę i jedząc śniadanie, przygotowane przez jej służącą imieniem Maria. Składało się ono z grzanek cienko posmarowanych margarynami - broń Boże nie masłem. Cecily czytała gazetę i czuła, że ogarnia ją coraz większy lęk i niepokoje.

W drzwiach stanął Jared. Zawizywał w niewłaściwym krawacie i walczył przez chwilę z jego węzłem, a potem zmarszczył brwi i paskudnie zaklął.

- Dlaczego Stry Montgomery nie chce zaakceptować zwyczajów panujących we współczesnym świecie? Jest dziś tak gorąco, że można by smażyć jajka na chodniku. Wszyscy

chodź w byle czym, a ten stary dure nadał ubiera się na posiedzenia tak, jakby szedł na kolację do prezydenta.

Cecily machnęła lekcewa c o r k , nie przyjmuj c do wiadomości jego skargi.

- Musisz to przeczytać - powiedziała.

Jared podszedł bliżej i wziął do ręki le c na jej kolanach gazet . Spojrzał na nią ze zdziwieniem, a potem ponownie zmarszczył brwi.

- Od jak dawna twoja kuzynka przebywa w mieście? - spytała Cecily, zastanawiaj c się nad czym g ł boko.

- Od kilku miesięcy? I w ciągu tak krótkiego czasu zd ła całkowicie przeci gn starego na swoją stronę , choć podczas jej pobytu w Newport ty byłe jego głównym doradc . Gdy tylko się pojawia, ty zaczynasz grać drugie skrzypce. A teraz to! - Cecily wstała i wyrwała m owi gazet . - Czy nie wiedziały , do czego ona zmierza? Uczepiła się Davida jak pijawka! Ona nie zrezygnuje, Jared. B dzie do wszystkiego się wtr ca .

Jared odebrał jej gazet i spojrzał na nią z uwag .

- Czy denerwuje ci to, e Spencer wypycha nos w nie swoje sprawy, czy to, e zadaje się z Davidem Delgado?

- Nie wiem, o czym ty mówisz - odparła Cecily chłodno.

Jared wzruszył ramionami i obrzucił ją taksującym spojrzeniem, a potem uśmiechn ła się złośliwie.

- Przypominam sobie dawne czasy, w których ty i Terry-Sue, podobnie jak wszystkie inne dziewczyny, zalecały ci się do Davida. Mo e miał ją za złotą, czy co w tym rodzaju. Nie wiem; zreszt ja grałem drugie skrzypce. Potem, dzi ki Bogu, on wst pił do wojska, a pó niej wyjechał do angielskiej szkoły. Osobi cie nic nigdy nie miałem przeciwko niemu. Tyle e kiedy on się pojawiał, my wszyscy schodzili my na drugi plan. Nie byli my kusz cym zakazanym owocem, a mo e nie mieli my odpowiedniego koloru skóry czy czego w tym rodzaju. Nawet Danny Huntington, który chciał zbawia wiat. Cecily, wiem, e odk d David wyst pił z policji i zało ył własną firm , kilka razy była u niego w biurze. Wiem, e wpisujesz go na list go ci

ka dego przyjcia, które organizujesz, i widziałem, jak pocieszała go na pogrzebie Danny'ego, oczekuj c zapewne tego samego z jego strony. - Zamilkł na chwil , a ona, wyra nie zaskoczona, patrzyła na niego ze zdumieniem. - Jeste idiotk - dodał cicho. - On nigdy nie b dzie miał romansu z tob .

- Jared, jak miesz sugerowa , e chciałabym mie z nim romans? - spytała Cecily z błyszcz cymi gniewem oczami.

Jared wzruszył ramionami. Mo e miała racj . Ich mał e stwo prze ywało wzloty i upadki. Czasem kłócili si jak dzieci, ale przecie jako dzieci zacz li si spotyka i w gruncie rzeczy byli dzie mi, bior c ze sob lub. Teraz mieli ju syna i córk i wspaniały dom w Coco-plum. On je dził ferrari, a ona woziła dzieci nowym mercedesem. Prowadzili wygodne ycie. Był z niego zadowolony.

Poczuł pod kołnierzykiem kropelk potu. Tak, był zadowolony ze swego ycia, ale teraz troch si bał. Spencer miała obsesj na punkcie mierci Danny'ego, a on wiedział, e jego kuzynka nie spocznie, dopóki nie postawi na swoim.

- Dlaczego my lisz, e David nie zdecydowałby si na romans ze mn ? - spytała nagłe Cecily, patrz c ponad jego ramieniem w wisz ce na cianie lustro. Niezale nie od liczby pochłaniaj cych j spraw, zawsze dbała o swój wygl d. Jared ponownie si u miechn ł. Stale martwiła si , e ma nadwag i zmarszczki. Nieustannie ubolewała nad tym, e jako głupie dziecko sp dzała tak wiele czasu na sło cu, ale jej obsesja miała swoje dobre strony. Po trzynastu latach mał e stwa i urodzeniu dwojga dzieci nadal wygl dała wspaniale. Z maniakalnym uporem stosowała diet i cho od czasu do czasu pozwalała sobie na nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, odpokutowywała to ze skruch i z po wi ceniem w jakim bardzo kosztownym kurorcie.

Wszystko dzi ki Spencer.

Cecily zapominała niekiedy, e Sly nie jest dziadkiem Jareda. Zapominała o tym, e nie yj ca od dawna matka Jareda była siostr matki Spencer i e cho jego ojciec nadal ył,

zawdzi czali swój luksusowy dom i wytworne samochody tylko determinacji Spencer, która dbała o pozycję Jareda w firmie. Ale prawdą było również to, że Jared pracował u jej dziadka od chwili uzyskania dyplomu uniwersytetu Harvarda, który ukończył dzięki jego pomocy. Czasem czuł się niedowartościowany, a teraz był piekielnie zdenerwowany z powodu Spencer.

Cecily zapomniała na chwilę, o czym rozmawiali. Wpatrując się w lustro, przesunęła dłoń po swej jedwabnej koszuli nocnej, sprawdzając, czy nie przybrała na wadze.

- Jared, dlaczegoś dzisiaj, że jakiś mężczyzna nie chciałby mieć ze mną romansu? - spytała.

Jared westchnął, czując nagły przyływ sympatii do swej żony.

- Nie mówiłem o jakimś mężczyźnie czy nie, Cecily. Powiedziałem, że David nigdy nie byłby miał z tobą romansu. Nie wiem, czy chciałby go mieć, czy nie, ale wiem, że do tego nie dojdzie. Jesteś moją żoną, a dla niego takie rzeczy mają znaczenie.

- Ale przecie Spencer była żoną Danny'ego! - stwierdziła agresywnym tonem Cecily.

- No właśnie nie. I dlatego nie spałby również z nią - odparł Jared, podniósł gazetę i zaczął jeszcze raz czytać artykuł.

- Po prostu nie mogą uwierzyć, że ona wybrała się na ten głupi komentarz. W nocy! - Cecily wzruszyła ramionami. - Straszne. I jestem przekonana, że to była właśnie Spencer. Ona nie zrezygnuje.

- Cecily, przestań martwić się o Spencer.

- Kto musi się o nią martwić!

- Sam poradź sobie z firmą... i ze Spencer - oznajmił Jared.

Cecily wiedziała, że to nieprawda. Nikt nie potrafił powstrzymać Spencer, kiedy zdecyduje się na coś. Cecily wyprostowała przekrzywiony krawat mężczyzny. Jared potrafił być czasem kompletnym głupcem. Czyżby to dochodziło do wniosku,

e kocha go w taki sam sposób jak Williama i Ashley: jak gdyby był jej dzieckiem. Spojrzała na niego i stwierdziła z satysfakcją, że nadal prezentuje się znakomicie. W jego bujnych włosach nie było ani odrobiny siwizny. Miał w domu salę gimnastyczną i dbał o formę, i choć w biurze odgrywał rolę wielkiego dyrektora, skłamałby mówiąc, że nie lubi swej pracy. Podobnie jak Sly i Spencer, czuł się najlepiej w tumanach trocin, odnawiając jakiś zabytkowy dom lub szperając po starych księgach i archiwach, by odkryć, kiedy zbudowany został taki czy inny zabytek architektury. Ta praca pozwalała mu zachować dobrą formę.

- Nie patrz tak na mnie! - warknął nagle z gniewem. - Potrafi poradzić sobie ze Spencerem. Jest moją siostrą ciocię.

- Twoja krew - przyznała Cecylia z uśmiechem, a potem wykrzywiła się do niego złośliwie. - Pamiętaj, że zawsze była moją najlepszą przyjaciółką. Dzieci mówią do niej: „ciociu Spence”.

- Cecylia, zmieńmy temat.

Poczuł się zirytowany, a ona lubiła go irytować. Lubiała, kiedy coś się działo.

- Jared...

Przerwała, bo zadzwonił telefon. Jared patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Usłyszeli trzask automatycznej sekretarki, a potem głos:

- Jared, odbierz telefon. Mówi twój ojciec. Wiem, że jeszcze nie wyszedłeś z domu. Czy widziałe gazetę?

Jared z westchnieniem podniósł słuchawkę.

- Tak, tato, widziałem. Spencer próbuje odkryć, kto zabił Danny'ego. Nie jest to chyba zbyt zaskakujące, prawda? - spytał ze znużeniem w głosie.

- Nie martuj się ze mną, chłopcze.

- Tato, zostaw Spencer w spokoju, zgoda?

- Ale ty miej ją na oku!

- Oczywiście, tato.

- I przyprowadź niedługo dzieci na kolację. Tęskni za nimi.

- W porządku, tato. Może wybierzemy się na ryby?

- Zgoda. Ale miej oko na wszystko!

Jared odłożył słuchawkę i zamyślił się. Zaczynał odczuwać piekielny ból głowy. Najpierw ona, potem ojciec...

Odwrócił się i stwierdził, że Cecyli przyglądał się z uwagą. Wyglądała tego ranka bardzo korzystnie. Miała krótkie, bardzo jasne włosy, ale jej główną ozdobą były oczy, duże i bursztynowe. Nie brzoźwi, lecz naprawdę bursztynowe. Teraz dostrzegł w nich błysk podniecenia.

- Potraktowałaś go właściwie - powiedziała.

- Czy podnieca ci to, że właściwie potraktowałem mojego ojca? - spytał z dwuznacznym uśmiechem.

- Może - odparła, wzruszając ramionami. Podeszła bliżej i pocałowała go, a potem musnęła czubkiem języka jego ucho. Poczuli na policzku jej ciepły oddech.

- Załóż się, że Spencer nie przyjedzie dziś do pracy.

- Hmm. - Odsunął się na tyle, by spojrzeć jej w oczy. - A więc o to ci chodzi! Mylisz, że Spencer na nowo nawiązała bliźniaczą znajomość z Davidem.

- Wcale nie!

- Owszem, tak właściwie nie mylisz. Mylisz o Davidzie Delgado. Może jednak chciałaby przeżyć z nim romans? A jeśli nie romans, to choćby jedno popołudnie z męskimi uściskami, który zawsze ci się podobał?

- Jared, jesteś wulgarny.

- Chciałaby, abym był o wiele bardziej wulgarny - powiedział lekkim tonem. Kiedy zaczęła protestować, dodał: - Cecyli, pamiętaj, że rozmawiasz ze mną. A mnie to nie przeszkadza. Nie mam nic przeciwko twoim urojeniom erotycznym, bo dzięki nim jest mi z tobą jeszcze lepiej.

Nadal patrzyła na niego bursztynowymi oczami, w których lśniło podniecenie. Sięgnął po jej rękę, zamierzając wyprowadzić ją z salonu do ich luksusowej sypialni, w której

podłóg przykrywał mi kki, brzoskwiniowy dywan, a wielkie, pokryte jedwabn narzut łó ko zdobily liczne poduszki.

Ale Cecily uchyliła si , a potem znów podeszła do niego bli ej.

- Chc to zrobi tutaj.
- Przecie mo e wej Maria.
- B dzie tak zaszokowana, e spadn jej majtki.
- Jeste ekshibicjonistk .

Cecily ju rozpinąła pasek od jego spodni. Zacz ł jej w tym pomaga .

- Nie, nie zdejmuj spodni - powiedziała. - Nie mo esz si a tak bardzo spó ni . Chc to zrobi szybko, mocno i bezwstydnie.

Przesun ł dłoni po jej jasnych włosach, potem zadarł jej jedwabn koszul nocn , str cił ze stołu kaw i grzanki, poło ył j na blacie i wzi ł jednym ruchem. Cecily chwyciła go za po ladki, przyci gaj c do siebie bli ej.

- Chyba chciałyby , eby teraz weszła Maria.
- Mo e...
- A mo e wolałyby , eby wszedł tu teraz David Delgado?

Nie musiał czeka na odpowied . Cecily prze yła kulminacj , gdy tylko wypowiedział te słowa, a potem czekała biernie, dopóki nie sko czył.

W kilka minut pó niej wło ył marynark . Cecily znów siedziała przy stole i czytała gazet . Nie zwracała uwagi na le ce na podłodze naczynia.

A mieli my by takim wspaniałym mał e stwem, pomy lał z irytacj .

- Post puj ostro nie ze Spencer! - ostrzegła go, kiedy ju miał wychodzi .
- Cecily - odparł wzdychaj c - ona jest moj cioteczn siostr . Znam j od dziecka i wiem, jak z ni post powa . I wiesz co? Ja naprawd j kocham. Nie ma w tym zupełnie nic złego. Moje uczucia s całkowicie platoniczne.

Patrzyła na niego przez chwilę ze zdumieniem, a potem uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Rozumiem ci - powiedziała.

Pocałował ją w czoło i ruszył w kierunku drzwi. Doszedł do wniosku, że być może jego małżeństwo nie jest aż tak nieudane.

Poranna gazeta trafiła równie do luksusowego apartamentu, mieszczącego się na szczycie wieżowca, który stał w South Beach.

Ricky Garcia spojrzął na pierwszą stronę, potarł policzek i zaklął w swym ojczystym języku, czyli po hiszpańsku.

- *Cono!* Znów ta przeklęta, głupia kobieta!

Odłożył gazetę, wstał i przeciągnął się, a potem wyrzucił przez wielkie okno, z którego roztaczał się wspaniały widok na okolice. Na jego przybranych ojczyzn. Zatoka lśniła w promieniach wschodzącego słońca, przyciągając wzrok gwałtownych i spokojnych, a równocześnie niewyraźnych barw. Nad horyzontem przesuwały się powoli drobne obłoki. Łodzie zgromadzone w znajdującym się u jego stóp porcie wyglądały jak stado ptaków, a sunące po zielononiebieskich wodach jachty pobudzały jego wyobraźnię. Kochał żeglarsstwo. Lubił czuć na twarzy powiewy słonego wiatru.

Przyjechał tu z pustymi rękami; nie miał nic oprócz podartej koszuli na grzbiecie. I patrzył na wszystko, co można tu było zdobyć - ale nie przez drobne kradzieże. Nie, cena, jak można było zapłacić za tak głupie przestępstwo, wydawała mu się zbyt wysoka.

Ricky wiedział od samego początku, że musi obrócić na swój korzyść zachcianki, marzenia, potrzeby innych ludzi. Zaczął od dziewcząt. Umiały tylko stać na ulicy, a on wiedział, co zrobić, żeby stojąc tam, wyglądały atrakcyjnie. Nadał im odrobinę klasy. Później, mając już niewielki kapitał, został bukmacherem, a potem zajął się hazardem. Nie lubił narkotyków; nie przyszłoby mu do głowy, żeby ich używać. Narkotyki jednak były częścią jego życia, podziemnego życia,

i mo na było na nich nie le zarobi . Mo na te było dzi ki nim sprawowa ciś kontrol nad lud mi, którzy dla niego pracowali.

To był jeden sposób...

Ale istniał również inny. Ricky nie miał nic przeciwko przemocy. Teraz tego rodzaju sprawy załatwiali za niego z reguły jego podwładni. Ale wszyscy wiedzieli, że jeśli trzeba wykona jakie naprawdę niebezpieczne zadanie, Ricky potrafi wykona je sam, i to bez zmu enia oka. Dzi ki tej opinii mógł panowa nad swoimi lud mi i wiatem swoich interesów.

A teraz... ta przekl ta sprawa.

David Delgado na cmentarzu z jak kobiet . Delia zatrzymany i przesłuchiwany. Wszystko zacznie si od nowa. Policjanci b d go ledzi w dzie i w nocy.

Odwrócił si od okna, z którego roztaczał si tak pi kny widok, podszedł do czarnego, politurowanego biurka i otworzył jego najwysz szuflad . Przerzucał jakie papiery, dopóki nie znalazł fotografii.

Danny Huntington na balu dobroczynnym policjantów. Ze swój on . Ze Spencer. W butach na wysokich obcasach miała co najmniej metr siedemdziesiąt pi wzrostu. Jej włosy były zaczesane do góry i odślaniały dług szyj . Miała na sobie niebiesk , koktajlow sukni bez r kawów i nawet na fotografii było widać , że pasuje ona do koloru jej oczu. Wyglądała ol niewaj co. Po królewsku.

Spencer Huntington.

Zatrzasnął szuflad i znów zakł po hiszpańsku.

Postanowił odby krótk pogawdkę ze Spencer Huntington.

Kto musi jej powiedzieć , że nie powinna wtyka nosa w cudze sprawy. Był może właśnie on jest odpowiednim człowiekiem.

6

David nalał sobie kawy, gdy tylko Spencer otworzyła mu drzwi. Znał drogę do kuchni, więc skierował się tam bez namysłu. Wiedział również, gdzie stoją kubki i obsłużył się sam. Spencer obserwowała go, gdy wypijał pierwszy łyk.

- Przyzwoita? - spytała.

- Umiem trochę gotować, ale nigdy nie udało mi się zrobić dobrej kawy - oznajmił, nie odpowiadając wprost na jej pytanie.

- Kubańska czy amerykańska?

- adnej. - Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. - Trey Delia poprosił swojego adwokata, żeby się ze mną skontaktował. Pojedziemy prosto do więzienia. Kto wie, kogo tam spotkamy. Kilku pijanych kierowców, paru włóczęgów, morderców, gwałcicieli i złodziei. Nie wspominaj już o tym, gdzie tam również Delia, a my nie mamy pojęcia, jaki on jest. Czy nie może się ubrać inaczej?

Spencer spojrzała na swój strój. Miała na sobie czarny kostium ze sztucznego jedwabiu i brzoskwińskich bluzek. Zerknęła pytająco na Davida.

- Spencer... - Przerwał i z głosem stuknięciem odstawił kubek na stół. - Ta... ta kreacja jest zbyt obcisła.

- To strój, w którym chodzę do pracy.

- Jest zbyt prowokacyjny na wizytę w więzieniu.

- Prowokacyjny?

- Przylega do ciebie jak druga skóra i kołczy cię nad kolanami. Co by powiedziała na dżinsy i bluzę?

- Umarłabym w nich z gorąca, zanim ktoś zdołałby mnie zabić.

- Tak, ale umarłabyś szybko, bez tortur.

Spencer mruknęła coś ze złości, ale odwróciła się na pięcie, wyszła z kuchni i ruszyła w kierunku schodów. Kiedy dotarła na

górze, zdała sobie sprawę, że David idzie za nią. Zatrzymał się u stóp schodów, zaglądając do salonu.

Przypomniała sobie, że bywał w tym domu do czterech tygodni. Danny uparcie go zapraszał, choć ona wtedy starała się być nieobecna.

Była ciekawa, co czuje, oglądając teraz to wnętrze. Czy wydaje mu się zimne? Czy zastanawia się, jak by wyglądały bogate, młode kobiety?

Spojrzał na nią nagle i zmarszczył brwi.

- Spencer, nie mam czasu.

- O, to dziwne. Przecież musisz mnie powiedzieć. Tak kazał ci służyć.

- Nie przyjmuj rozkazów od nikogo.

- Nawet od mojego dziadka?

- Nawet od twojego dziadka.

- Doskonale. W takim razie może przestać się za mną wściekać!

- Zgodziłem się przyjąć pracę, którą mi zaproponował. Wziąłem od niego czek. Powiedziałem ci już, Spencer: jeśli masz jakiś problem z dziadkiem, porozmawiaj o tym z nim.

- Mam taki zamiar.

- A jeśli chcesz porozmawiać z Treyem Delly, to się spieszy.

Zacisnęła zęby i spojrzała na niego z wściekłością, mając ochotę mu powiedzieć, co może z sobą zrobić. Ale nie chciała wdawać się z nim w kłótnię i stracić szansę porozmawiania z Delly.

- Bądź gotowa za dwie sekundy - oznajmiła lodowatym tonem.

Nie była gotowa za dwie sekundy, ale po chwili zeszła na dół w dżinsach i bawełnianej bluzce z krótkimi rękawami. David nie był zachwycony.

- Czy nie masz jakichś innych rzeczy?

- Te dżinsy wcale nie są obcisłe! - odparła z irytacją.

- W porz dku - powiedział, wzdychaj c bezradnie. -
Chyba b dzie dobrze.

Spencer sp dziła w tych stronach niemal całe ycie, ale dotychczas udało jej si unikn wizyty w okr gowym wi zieniu.

Ta instytucja, w której przebywało tak wielu wyrzutków społecze stwa - nieszcz liwych i gro nych - zawsze wydawała jej si przera aj ca. Kiedy si zbli ali, dostrzegła pierwszych wi niów. Stali na boisku, ogrodzonym podł czon do pr du metalow siatk . Czuła na sobie ich spojrzenia. David miał racj . Taksowali j , oceniali jej warto , niemal liczyli znajduj ce si w jej torebce pieni dze. Mo e posuwali si dalej? Na pewno rozbierali j oczami, gwałcili w my lach, a potem podrzynali gardło.

Kiedy weszli do budynku, poczuła unosz cy si w powietrzu odór nie mytych ciał, moczu i beznadziei.

Stała w oparach g stego powietrza, podczas gdy David pokazywał dy urnemu oficerowi swoje dokumenty i prosił go o przyrowadzenie Treya Delii do sali widze .

Min ł ich jaki skutym czyzna, prowadzony przez dwóch straników. Miał na sobie eleganckie szare ubranie jak od Armaniego. Dostrzegł stoj c obok Davida Spencer, ale nie przestał wulgarnie ubli a swym opiekunom.

- Musicie mnie pu ci , i to szybko! Czy nie wiecie, do cholery, kim jestem? Czy my licie, e dam si tu zamkn z tymi gnojami? Zwolnijcie mnie, zanim stanie mi si co złego. Zaskar was do s du, gówniarze, je li mnie natychmiast nie pu cicie!

Stranicy ignorowali jego słowa i szli dalej, prowadz c go mi dzy sob .

- Pijany kierowca - oznajmił Davidowi dy urny oficer, wzruszaj c ramionami. - W dodatku adwokat. Zna zasady. Zapewne wykr ci si z tego, a o mioletnia dziewczynka walczy teraz przez niego w szpitalu o ycie! Ale wiesz, jak to bywa. O, jest Caplan - dodał, wskazuj c umundurowanego stranika. - On

zaprowadzi was do wi nia. Je li my lisz, e Armani Joe wrzeszczał, to ałuj, e nie sły szał e wrzasku, jakiego narobił Delia, kiedy umie cili my go we wspólnej celi.

- Dzi kuj za pomoc - powiedział David, mrugaj c do niego porozumiewawczo. Potem mocno chwycił Spencer za r k i ruszył korytarzem. Caplan zaprowadził ich do małej sali widze , w której wi niowie spotykali si zazwyczaj ze swymi krewnymi i adwokatami.

- Hej, Delia! - zawołał, otwieraj c drzwi. - Masz go ci!

Spencer spojrziała na m czyzn stoj cego za drewnianym biurkiem, które stanowiło jedyne umeblowanie pokoju. Nigdy dot d nie widziała kogo , kto byłby do niego podobny.

Stanowił mieszkank wielu ras, a jego wygl d odzwierciedlał wszystkie ich cechy. Jego skóra nie była czarna ani nawet br zowa, lecz miała kolor kawy. ółtozielone oczy l niły dziwnym blaskiem. Miał na sobie kurtk , która wygl dała jak popularna w latach siedemdziesi tych tunika a la Nehru, i wyblakłe d insy. Z jego szyi zwisały złote, srebrne i drewniane krzy yki oraz co , co przypominało łap kurcz cia. Kiedy u miechn ł si do niej, ujrzała złote z by.

- Cze , szefie - zwrócił si do Davida. - Widz , e przyprowadziłe z sob pewn dam . Ciesz si . Chc z ni porozmawia .

- Zaczekam na korytarzu - oznajmił stra nik. - Kiedy b dzieci chcieli wyj , zapukajcie.

Spencer wmawiała sobie dot d, e pragnie za wszelk cen pozna prawd o mierci Danny'ego. Teraz nie była ju tego pewna. Powstrzymywała si sił woli od obj cia Davida kurczowym u ciskiem, ale czuła paniczny ł k. Była zamkni ta w małym pokoju z człowiekiem podejrzanym o robienie potwornych rzeczy z cz ciami ludzkiego ciała. Zawahała si , ale David nie zwrócił na to uwagi. Nadal trzymał dłonie na jej ramionach i przygl dał si wi niowi.

A wi zie przygl dał si Spencer.

Wszystko przez chwilę wydawało jej się odległe i zamglone. Z korytarza dobiegł jakiś odgłos. Ciężkie kroki i stukot obcasów. Młoda dziewczyna i kobieta. Słyszała niewyraźnie ich rozmowy; głębię basu i ostre, nerwowe dyszkanie. Zdała sobie sprawę, że kobieta jest adwokatem i że spiera się o coś z młodą dziewczyną. Musiała być młoda i atrakcyjna, bo do uszu Spencer docierały równie gwizdy i okrzyki wiśniów.

- Dajcie spokój, chłopcy! Przestaćcie! – zawołała kobieta. Wiśniowicze zareagowali wybuchem śmiechu i wiśniowiczką wulgarnych propozycji. Spencer zacisnęła zęby. Kobieta, słysząc ją po jej głosie, musiała być młoda, młodsza od niej, a mimo to dawała sobie radę w tym brutalnym, brudnym świecie. I to, zdaje się, całkiem nieźle. Cecylia nazwałaby ją babką z bigłem. Spencer doszła do wniosku, że mogłaby się od niej sporo nauczyć.

Delia uśmiechnęła się. Odgłosy dochodzące z korytarza zeszyły na drugi plan.

- A wiśniowicze to jest Spencer... - powiedział, niewyraźnie wymawiając jej imię. Miał cichy i melodyjny, ale zdecydowanie męski głos. Mimo jego osobliwego wyglądu i strachu, jakim ją napawał, czuła jego hipnotyzującą siłę oddziaływania. Zauważyła, że jest pedantem. Nawet tutaj jego długie paznokcie były czyste, a twarz starannie ogolona i umyta. Wyglądał znacznie lepiej niż młoda dziewczyna w eleganckim ubraniu.

Ale wymawiał jej imię w taki sposób...

- Zaproponowałbym pani coś do picia... *Café con leche?* Herbatka? Ale niestety, spotykamy się w takim miejscu... Chciałbym spotkać się z panią w moim domu. Nie u pani, u mnie. W swoim domu sprawdzałaby pani coś chwilę, czy alarm działa i zastanawiała się, czy nie kupić psa, prawda? - Zamilczał, potem przeniósł wzrok na Davida. - Ciesz się, że przyszedłeś.

- Ty zawsze widywałeś się ze mną, kiedy o to prosiłem - odparł David ze wzruszeniem ramion.

- Honor złodzieja! - powiedział Delia, kiwając głową. - Widzisz, oni mnie nie rozumieją. - Znów zerknął na Spencer. - Znałem dobrze pani matkę, pani Huntington. Stale siedział mi na karku. On też nie do końca mnie rozumiał, ale lubiłem go. Nie przeszkadzało mi całe to dochodzenie. On zadawał istotne pytania. Myślałem, że teraz zamkną mnie na jakiś czas i jeżeli się dobrze orientuję, będzie to zawdzięczała nie pani.

Spencer nerwowo wciągnął powietrze. Dłonie Davida zacisnęły się na jej ramionach.

- Posłuchaj, Delia - wtrącił David. - Nie wiem, co słyszałaś, ale...

Delia przerwał mu, wybuchając zaskakująco pogodnym i wesołym śmiechem.

- Nie mam pretensji do Spencer Huntington. Ona szuka odpowiedzi na pewne pytania, a wy nie umiecie ich znaleźć. Ona słucha prawdy, ponieważ pragnie ją usłyszeć. Chcę, żebyście oboje wiedzieli, że nie zabiłem Danny'ego Huntingtona. Robiłem rzeczy, które w waszym białym wiecie uchodzą za przestępstwa, ale nie zabiłem pani matkę. Szukałem ducha, siły i sensu życia. Miałem ludzkie kości, żeby je spożywać, i piłem krew, która dawała mi życie, ale nie zabiłem tego człowieka. Kiedy mnie zamknęli, będą usiłowali wmówić wszystkim, że jestem winny. Będzie poklepywała Spencer po ramieniu i zapewniają, że morderca jej matkę znalazł się za kratkami. Powtarzam więc: nie przelałem jego krwi i nie mam do pani matki, Spencer. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej, nieco przewrotnie, i przeniósł spojrzenie swych błyszczących oczu na Davida. - Na Ciebie też nie jestem zły, Delgado. Może powiesz o mnie coś dobrego, kiedy stanę przed sądem.

- W tpi - odparł rzeczowym tonem David. - Ale ja też nie mam do Ciebie matki, Delia.

- Do widzenia, Spencer - powiedział Delia.

Spencer, nadał urzeczona dziwnym, ółtozielonym wiatłem tym się w jego oczach, nie wiadomie wyciągnął do niego

r k . Doszła do wniosku, e jest on szale cem, ale nie głupcem. Wa ył ka de słowo i był w pewnym sensie zupełnie normalny.

- Jestem wdzi czna, e zechciał si pan ze mn zobaczy .

- Dawno ju miałem ochot pani pozna - odparł z u miechem. - Danny Huntington zawsze spieszył si do domu, do swojej ony. Modł si za jego dusz . I za pani .

David zastukał w drzwi i zawołał co do stra nika. Usłyszeli szcz k zamka i znale li si ponownie na korytarzu. Po kilku minutach wi zienie zostało za nimi, a Spencer siedziała na przednim fotelu mustanga, którego prowadził David. Nie chciała, by widział, e dr jej dłonie, wi c trzymała je splecione na kolanach. Patrzyła wprost przed siebie.

- No i co? - spytał David. - Uwierzyła mu?

Zawahała si . Nie chciała, eby wy miewał si z niej, twierdz c, e jest łatwowierna lub e padła ofiar dziwnego magnetyzmu zupełnie obcego człowieka. W ko cu jednak zdobyła si na powiedzenie prawdy.

- Tak.

- Ja te mu wierz - oznajmił ku jej zaskoczeniu David. - On naprawd lubił Danny'ego. Uwielbiał wdawa si z nim w długie teologiczne dyskusje. Danny był jednym z niewielu wykształconych policjantów, a Delia te chodził do kilku dobrych szkół. - Zerkn ł na ni badawczo. - Co teraz? Chcesz jecha do domu? Chcesz jecha do pracy? Chcesz co zje ?

- Chc wzi prysznic - odparła Spencer i mimowolnie zadr ała.

Ale David nie wybuchn ł miechem ani nie zacz ł szydzi z bogatych panienek, które nie potrafi stawi czoła rzeczywisto ci.

- Tak, rozumiem chyba, co czujesz. To miejsce naprawd jest przygn biał ce.

Spencer zacisn ła usta i nie odrywała oczu od szosy. David wiedział, o czym mówi. Poznał wi zienie z obu stron. Postarała si o to jej matka.

Na my l o tym skrzywiła si , ale cho poczuła bolesne napi cie, nie powiedziała ani słowa. On te si nie odzywał. Oboje czuli, e my l o tym samym. Nie mo na si cofn i zmieni przeszło ci! - miała ochot krzykn . Wiedziała o tym a nazbyt dobrze, podobnie jak on. Nie mogła powiedzie nic na temat zdarze , które miały miejsce przed wielu laty. On te nie miał nic do powiedzenia.

Siedziała sztywno, nadal patrz c wprost przed siebie i staraj c si o tym nie my le .

Ze ródnie cia nie było daleko do domu Spencer, wi c znale li si pod nim w ci gu kilku minut. Wsiadła szybko i stwierdziła ze zdziwieniem, e David stoi ju obok samochodu.

- Nic mi nie b dzie - powiedziała.

- Musimy porozmawia , Spencer - oznajmił stanowczo.

Przypomniała sobie, e zatrudnił go Sly. David przyj ł od niego pieni dze. Był w pracy.

- Jak chcesz, ale ja musz najpierw wzi prysznic - rzuciła z irytacj i ruszyła w kierunku domu.

Stał tu za ni , kiedy przekr cała klucz w zamku i przytrzymał r k drzwi, które w przeciwnym razie uderzyłyby go w twarz. Ignoruj c go, weszła na schody.

- Spencer, musisz sobie zda spraw , e nie mo esz biega po mie cie i robi głupstw, tak jak ubiegłej nocy! - krzykn ł.

Zatrzymała si z r k na por czy i spojrzała na niego z pogard .

- Głupstw? Ja przynajmniej doprowadziłam do arestowania Treya Delii! Osi gn łam co , czego wam wszystkim nie udało si osi gn w ci gu roku!

Nie chciała słuca jego odpowiedzi, wi c ruszyła ponownie w gór , ale on nie zamierzał pozwoli na to, eby miała ostatnie słowo. Była pewna, e nigdy jeszcze nie był na pi trze, ale teraz poszedł za ni a do sypialni.

- Spencer, mogła zgin w tym grobie!

- Ale nie zgin łam. Dzi ki pieni dzom mojego dziadka był tam wielki i szlachetny David Delgado, który uratował mi ycie.

- Spencer...

- Czy mo esz da mi spokój? - zawołała z w ciekło ci , weszła do łazienki i zatrzasn ła drzwi.

Usłyszała, jak zakł ł, a potem usiadł na kraw dzi jej łó ka, najwyra niej zamierzaj c czeka .

Pu ciła mocny strumie gor cej wody, rozebrała si , a potem wrzuciła d insy, bluzk i bielizn do stoj cego w łazience kosza na mieci, wiedz c dobrze, e nigdy ju ich nie wło y. Skoro David tak mówi, musi mie racj . Nie nadaje si do takich rzeczy. Nie pasuje do takich miejsc. Współczuła prostym ludziom, ale nienawidziła handlarzy narkotyków i brutalnych przest pców, próbuje cych zniszczy miasto, które kochała przez całe ycie. Gotowa była zrobi wszystko, by odkry tajemnic mierci Danny'ego, ale zdawała sobie spraw , e nie b dzie to przyjemne. Podziwiała młod adwokatk , która z takim opanowaniem potraktowała zaczepiaj cych j wi niów, ale czuła, e nie jest taka jak ona.

Stała pod strumieniem wody, pozwalaj c jej spływa po ciele.

Drgn ła nerwowo, słysz c, e David uderza głó no pi ci w drzwi. Nie były zamkni te na klucz, ale ich nie otwierał.

- Spencer! Nie pozb dziesz si mnie w ten sposób! - zawołał głó no.

Zakr ciła kran, owin ła si du ym, puszystym r cznikiem i otworzyła gwałtownie drzwi, nie wiedz c w gruncie rzeczy, dlaczego jest taka zła.

David stał teraz znowu obok jej łó ka. Miał na sobie d insy i rozpi t pod szyj niebiesk , bawełnian koszul . Wiedziła, e jest w ciekły, bo widziała pulsuj c na jego szyi ył . Jego l ni ce oczy nadal wydawały si bardziej czarne ni niebieskie. Spencer zatrzymała si w drzwiach, ociekaj c wod .

- Porozmawia , porozmawia ! O czym chcesz ze mn rozmawia ? Wyrzucił e mnie sił ze swojego biura, a teraz chcesz rozmawia ! Dlaczego? Czy by doszedł do wniosku, e

wy wszyscy - ty i koledzy Danny'ego z policji - wyszli cie przeze mnie na durniów?

- Spencer, prosz ci jeszcze raz, spróbuj to zrozumie . O mało nie zgin ła !

Podeszła do niego, mru c oczy i kieruj c palec wskazuj cy w stron jego nosa.

- Daj sobie spokój z tym głupim *machismo*, David! Danny był m czynn , twardym m czynn , był uzbrojony.. . A teraz nie yje. Wi c...

- Tym bardziej powinna da sobie spokój i trzyma si od tego z daleka! Danny wiedział, z czym walczy. Wst pił do policji i znał rozmiary ryzyka. O co ci chodzi, Spencer? Czy nie b dziesz szcz liwa, dopóki równie nie zginiesz?

Odepchn ła go, chc c podej do szafy.

- Odchrza si , David! -warkn ła ze zło ci .

Zamierzała przej obok niego, ale on chwycił j za rami i szarpn ł brutalnie do tyłu.

- Nie! To ty si odchrza , Spencer! – zareplikował stanowczo.

I wła nie w tym momencie spadł z niej r cznik.

Nigdy nie przypuszczała, e mo na przypadkiem wpa w czyje ramiona. Uwa ała, e post powaniem ka dego dorosłego człowieka zawsze kieruje wiadomo . I absolutnie nie mogła powiedzie , e nie wie, co robi. Niemniej zrobiła to.

Przez chwil w sypialni panowała kompletna cisza. Poczła, e krew napływa jej do twarzy i chciała ponownie owin si r cznikiem, ale David zahipnotyzował j wzrokiem, tak samo jak przedtem Trey Delia. Zabrakło jej tchu. Była tak podniecona, e gdyby jej dotkn ł, uległaby mu bez wahania.

Dotkn ł jej. Nadal był w ciekły. Zastanawiała si , czy wie, co robi.

Wiedział. I to doskonale. W gł bi wiadomo ci był przekonany, e popełnia jedno z najwi kszych głupstw w yciu, ale nie zamierzał si powstrzyma . Spojrzał na ni i zobaczył, e jest zupełnie naga. I nagle ujrzał w niej t sam niebieskook ,

długonog blondynk , w której jak głupiec zakochał si przed wielu laty. Nie miał teraz ochoty o tym my le , ale miał ochot jej dotkn .

A wi c wyci gn ł r k , obj ł j za szyj i poczuł pod palcami jedwabie ciemne włosy. Przyci gn ł j do siebie i pocałował.

Nie mo na było poprzesta na pół rodkach, kiedy miało si do czynienia ze Spencer.

Z on Danny'ego Huntingtona.

A raczej wdow po nim.

My li te kr yły po jego głowie przez kilka sekund, potem rozmyły si . Mo e doprowadził go do tego gniew, nagromadzony w ci gu przeszło dziesi ciu lat, a mo e wydarzyłoby si to tak czy owak. Zmuszała go do tego jaka siła. Mógł udusi Spencer albo kocha si z ni . Wiedział, e za chwil mu si wyrwie, odepchnie go brutalnie, kopni ciem zdławi w nim t przemo n sił .

Ale nie zrobiła tego. Pocz tkowo stała nieruchomo, kiedy całował j , rozchylaj c j zykiem jej usta. Potem nagle usłyszał cichy j k i poczuł jej palce w swoich włosach. Przywarła do niego sw nago ci , przyciskaj c zgłodniałe usta do jego warg. Zapomniała o wszystkim, co ich kiedykolwiek dzieliło. Nawet o Dannym.

Nigdy jeszcze nie prze ył czego podobnego. Sam nie wiedział, gdzie jest ani co robi. Spencer była jak zawsze szczupła i lekka. W ci gu kilku sekund przeniósł j na łó ko, a potem ponownie przywarł wargami do jej ust, przygniataj c j swym ci arem.

Jej usta miały smak kawy i mi ty. Muskaj c je j zykiem, si gn ł w dół. Poczuł pod dłoni włosy. Nie musiał sprawdza , czy s jasne. Jego palce znalazły ciepłe, mi kkie miejsce. Poznawał je, nie odrywaj c warg od jej ust. Czuł si dziwnie. Tak bardzo jej pragn ł, tak bardzo po dał, e powstrzymywał si od my lenia o niej. Ale teraz instynkt podpowiadał mu, e

nie wolno ulega gorczkowej dzy, e musi si postara , aby Spencer zapami tała ten dzie .

Wzi ł j nagle i zniewolił go odwieczny rytm. Usłyszał okrzyk i poczuł we włosach jej palce.

Przesun ł si ni ej, unosz c równocze nie jej biodra. Spazmatycznie chwytła oddech, wykrzykuj c słowa, których nie rozumiał, a mo e nie chciał zrozumie . Wypr yła si , a potem nagle przestała walczy . Rozlu niła uchwyt palców, wpl tanych w jego włosy. Jej ciałem wstrz sn ł gwałtowny dreszcz i znalazła si na szczycie, a on przykrył j sob , owładni ty po daniem, jakie zawsze w nim wyzwalała.

Potem wszystko przybrało nieoczekiwany obrót. Gdy osi gn ła pełni rozkoszy, wbiła mu palce w plecy i poruszała si razem z nim. wiat przestał istnie ; pozostała tylko potrzeba zaspokojenia po dania.

Osi gaj c punkt kulminacyjny miał wra enie, e eksploduje. Mo e tak zawsze jest z kim , o kim niło si przez całe ycie? Jego wiat zapadł si na chwil w ciemno , a kiedy odzyskał wiadomo , zdał sobie spraw , e nigdy dot d nie prze ył czego równie wspaniałego. W chwil pó niej, słysz c przyspieszone bicie serca i nadal z trudem łapi c oddech, u wiadomił sobie, e od dziesi ciu lat nie był tak szcz liwy.

Od rozstania z ni prze ył wiele przygód miłosnych, ale nigdy nie prze ył czego takiego, czego do wiadczał ze Spencer.

Wiedział, e w gruncie rzeczy nigdy o niej nie zapomniiał i nigdy nie zapomni. Wiedział te , e wchodz c ponownie w jej ycie post pił jak głupia ma, daj ca si schwyta w paj czyn . Wszystkiemu była winna jego obsesja na punkcie Spencer i lojalno wobec jej dziadka. Stracił poczucie odpowiedzialno ci i nie potrafił zada sobie w por rosz dnego pytania: Co, na miło bosk , tu robisz, Delgado?

Czuł, e skutki tego krótkiego uniesienia b d długie i bolesne.

Nie odepchnęła go, ale powoli się odsunęła i usiadła na łóżku plecami do niego. Drżała. Nie widział jej twarzy, ale wiedział, że sploty jej włosów po niej lizy.

Leżała w łóżku Danny'ego i trzymała głowę na jego poduszce. W jego pokoju. W jego domu.

Miała ochotę krzyknąć głośno, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się od tego.

Wstał i zaczął się ubierać. Spencer przestała już dygotać, ale siedziała nieruchomo. Chciała coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czuł się winny.

Ona tymczasem płakała - ponieważ przepała się z nim. Nie, nie spała, nawet się nie zdrzemnęła. Po prostu położyła się z nim do łóżka. Był winny, bo poszedł za nią na górę. Ona też była winna, bo nie wyrzuciła go w porę. Ale w gruncie rzeczy winien był tylko on.

A teraz płakała. Ukrywała to przed nim, ale po jej twarzy płynęły łzy. Czy płakała dlatego, że nie był Dannyem?

A może była zadowolona z tego, że nie jest Dannyem? Widząc jej drgające ramiona, stracił nagle cierpliwość.

- Przestań, Spencer - powiedział.
- O co ci chodzi?
- Przestań płakać.
- Wcale nie płacz.
- Nie zrobiła nic strasznego.
- Przecież nie twierdzę, że zrobiłam.
- Ja też nie zrobiłem nic okropnego, Spencer - oznajmił,

widząc, że chce zrzucić całą winę na niego. - Danny nie żyje. Nie zdradziła go. Ja też tego nie zrobiłem. Jesteś już dorosła, a ty od dawna żyjesz samotnie. Ludzie mają pewne potrzeby.

- Czy możesz się zamknąć? - krzyknęła nagle, wstając i patrząc na niego z gniewem. Nadal była naga. Nadal była doskonała. Nadal była sobą.

Nadal miała wzburzone włosy, lekko rozszerzone nienaturalnie wypięki na policzkach. Jej piersi nadal falowały, a brodawki były twarde...

Po jej policzkach za spływały łzy.

Spojrzała mu w oczy i zdała sobie sprawę, że jest ubrany, a ona naga. Otarła łzy, podeszła do niego na podłodze i cznika i owinięła się nim.

- Chcę, żebyś się wyświadczył, i to natychmiast. Nie mam ci niczego za złe...

- Mam nadzieję! - warknął ostro, chwytając ją za ramiona i odwracając się ku sobie.

- David, proszę, żebyś się wyświadczył.

- Spencer, to dobrze, że nie mam kompleksów, bo inaczej poczułbym się przez ciebie jak łajdak. Czy nadal rozumiesz tak samo jak przed laty? Pragniesz czegoś, czego nie wolno ci pragnąć, czego nie wypada pragnąć osobie z twojej sfery, więc mi się nie wiesz, że możesz po to sięgnąć, a potem wyrzucić do mnie? Potrzebujesz w swoim wzorowym życiu odrobiny brudu, a ja mam ci go zapewnić? Możesz się do tego przyznać...

- Przestań! Byłam on twojego najlepszego przyjaciela!

Wiedział, że sprawia jej ból, ale nie mógł nad sobą zapanować.

- Czego, do diabła, chcesz, Spencer? - spytał ostro. - Małej erotycznej przygody? Jakie masz wymagania? Szybko i tak bezwstydnie jak to jest możliwe w ciągu dziesięciu minut, a potem do widzenia?

Nabrała gołęboko powietrza. Wiedział, że podnosi rękę, żeby uderzyć go w twarz, i mógł ją powstrzymać, ale nie zrobił tego. Może był równie niekonsekwentny jak ona, bo chciał poczuć na policzku jej dotyk, chciał go zabrać z sobą, wychodząc z tego domu.

Sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Może zło cięło go to, że gotowa była oddać mu tylko część siebie, a on pragnął mieć wszystko albo nic?

Nigdy nie miał wszystkiego. Ani przed dziesięć laty, ani teraz.

Ból, jaki mu zadała uderzeniem w twarz, wolno mijał. Jej oczy były teraz puste i matowe. Patrzyła na niego czujnie, jakby zastanawiając się, jak może zrewanżować się ten za policzek.

- B d na dole, Spencer.

Zbladła, oblizwała wargi i potrzy sn ła głow .

- Chc , eby wyszedł.

- Zamierzasz roztkliwić się nad sobą ? Przykro mi, ale nie mam zamiaru wychodzić . B d co b d , Sły mi zapłacił.

- A ty zawsze robisz to, za co ci płac ? - spytała z gniewem.

- Tak. Zawsze.

- Mogłabym zadzwonić po policję .

- Zrób to. Je li telefon odbierze który z moich dawnych kumpli, pozdrów go ode mnie.

Odwrócił się i wyszedł w ko cu z jej sypialni. Przez cały czas przeklinał siebie za to, e w ogóle do niej wszedł.

Kiedy Spencer zeszła na dół, zastała w salonie Davida, który przegłdał jak gazet .

Ignorując go, zniknęła w kuchni i wypła dwie szklanki wody. Miała w szufladzie rodek uspokajający, który zapisano jej po śmierci Danny'ego, i zastanawiała się, czy nie zażyła kilku tabletek. Doszła jednak do wniosku, że ani nie skłoniłoby to Davida do wyjścia, ani nie ugasiło żadnej emocji tłoczonych w jej sercu, zrezygnowała więc z tego pomysłu.

Weszła do salonu. Włożyła jedwabną suknię bez rękawów z wysokim kołnierzykiem, pończochy i buty na bardzo wysokich obcasach. Upięła te włosy na czubku głowy, jakby chciała nadać sobie inny wygląd.

- Może i płacę ci za to, żeby przez cały dzień siedział beczynnym - powiedziała najbardziej lodowatym tonem, na jaki umiała się zdobyć - ale ja muszę jechać do pracy.

Popatrzył na nią przeciągle, a ona nie potrafiła nic wyczytać z jego opalonej twarzy. Wyczuwała jednak w jego spojrzeniu pogardę. Czuli ją już dawniej, kiedy była młoda. I może na nią zasługiwała.

Nie chciała o tym myśleć. Zamierzała udawać, że nic się nie stało i w żadnym wypadku nie chciała dać po sobie poznać, że nadal dręczy ją to wspomnienie, że nienawidzi jego i siebie...

I może wbrew sobie chciałaby kochać się z nim jeszcze raz. W domu Danny'ego, na jego łóżku.

- Zawiozł ci - oznajmił bezbarwnym tonem, wypranym z wszelkich uczuć. Jakby już zapomniał, co się stało, jakby nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia.

Być może istotnie tak było. Niewiele wiedziała o jego życiu. Po ukończeniu szkoły jej kontakty z Revem zostały w praktyce

zerwane, a od lubu z Dannym widywała Davida jak mogła najrzadziej. Miał swoje własne życie i pewnie wiodło mu się bez niej nie najgorzej. Seks wydawał mu się czym równie naturalnym jak oddychanie. Zbyt go lubił, by nie cieszyć się nim w ciągu tych lat.

Poczuła, że się rumieni. Przecież były już lata dziewięćdziesiąte. Sama nie wiedziała, co jej się stało. Nie pomyślała nawet o środkach zabezpieczających, chciała poczuć go w sobie jak najprędzej. A teraz się wstydziła. Nikt nie powinien wskazywać na nią w sposób tak nieodpowiedzialny.

Ona to zrobiła, a potem pragnęła o tym zapomnieć, tymczasem nie mogła przestać o nim myśleć. A David był zimny jak bryła lodu i patrzył na nią z dziwnym błyskiem w oczach... Z rozbawieniem? A może z pogardą?

- Pojadę własnym samochodem. Nie sędzisz, żebyś mogła ci powstrzymać przed ledzeniem mnie, ale przynajmniej zmusz cię do opuszczenia mojego domu.

- Masz na myśli dom Danny'ego? - spytał cicho.

Nie znalazła odpowiedzi. Odwróciła się szybko i ruszyła w stronę wyjścia, stukając obcasami po marmurowej posadzce holu. Ale zanim zdążyła uciec, rozległ się dzwonek u drzwi. Stała jak wryta, czując paraliżujące napięcie.

David zrobił coś więcej. Wyciągnął spod marynarki rewolwer, minął ją i wyrzucił przez judasza. Zmarszczył brwi, natychmiast schował broń do kabury i otworzył drzwi.

- Fried! Co ty tu robisz?

W progu stał ostatni partner Danny'ego. Miał na sobie zmiętą, brązową marynarkę z tweedu i wydawał się do spieszony. Zaskoczony widokiem Davida, spojrzął bezradnie na Spencer.

- Przyszedłem, żeby z nią porozmawiać. - Wyprostował się, jakby w duchu ganił się za to, że tak szybko ujawnił cel swej wizyty. - Ciesz się, że tu jesteś, Delgado. Zamierzałem wbić jej do głowy odrobinę rozsądku.

David uniósł brwi, otworzył drzwi trochę szerzej i skrzy ował ręce na piersiach.

- Bardzo ci proszę - powiedział. - To powinno być interesujące.

- Wejść, Jerry - dodała znużonym głosem Spencer.

Jerry przekroczył próg i rozejrzał się. Spencer była ciekawa, czy podziwiał stary, elegancki, przytulny dom, czy też jest oburzony faktem, że Danny mógł sobie pozwolić na mieszkanie w takich warunkach. Ich stosunki układały się nie najlepiej, ale mogło to być w dużym stopniu winą Danny'ego. Przedtem jego partnerem był David, a on uważał, że nikt nie może być z nim równy. Twierdził, że Jerry jest miły i uczciwy, ale nie tak bystry jak David.

- Napijesz się kawy, Jerry? - spytała uprzejmie.

- Chyba artujesz! Na dworze jest gorąco jak w piekle!

- To może czego zimnego? Wody sodowej, herbaty z lodem?

Jerry potrząsnął głową i przeszedł do rzeczy.

- Spencer, musisz z tobą porozmawiać. To, co robisz, może zaszkodzić wszystkim.

- Zaszkodzi? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Wszystkim?

- Nie udawaj, Spencer, była przez długi czas on policyjant. Wiesz, że robimy coś ważnego. Niemal rozbili my obóz pod drzwiami Treya Deli. Zbadali my dokładnie wszystkie sprawy, nad którymi pracował Danny przed śmiercią. Nie zrezygnowali my i chcemy dorwać tego mordercę, tylko musisz dać nam szansę.

- Ale ja przecie nie wtrącam się do tego, co robicie! - zaprotestowała.

Jerry wzruszył bezradnie ramionami.

- Spencer, na miłość boską, włącz się do nocnego komentarza!

- Miałam przecucie.

- Przecucie?

- Jerry, wiem, że nie powinnam była tam chodzić, ale moje przecucie się sprawdziło, a Delia siedzi w więzieniu.

- Tak, i cieszymy się z tego, Spencer. Ale musisz wierzyć, że zamierzamy cię zabójcą Danny'ego przy użyciu wszystkich możliwych środków. Wytłumacz jej to, Delgado, proszę ci!

David stał ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Teraz wzruszył ramionami.

- Spencer, to prawda, i sama o tym wiesz. Policjanci zawsze cię zabijają swoich kolegów. Do cholery, przecież kaźń z nich wie, że może być następny!

- Jerry, obiecuj ci, że nie będzie cię włączyć po komentarzach - oznajmiła Spencer, podnosząc obie ręce na znak poddania się.

Jerry ruszył ku drzwiom, a potem odwrócił się do niej ponownie.

- Spencer, jeśli wiesz coś, o czym nam dotychczas nie powiedziała, to musisz to wyjawić. Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

- Ja... nic nie wiem - odparła niepewnie, czując na sobie wzrok Davida.

- A więc do zobaczenia. Uważaj na siebie. Przysięgam, że będę ci z tobą dzielił wszystkimi informacjami, jakie uda mi się zdobyć - obiecał Jerry.

- Dzięki - odparła Spencer.

David spojrział na nią badawczo, a potem odprowadził policjanta do nieoznakowanego samochodu.

- O co właściwie chodzi? - spytał go po drodze.

Jerry wsunął się za kierownicę i potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Wszystko wskazuje na to, że ona coś wie, ale nie chce tego ujawnić. Musi mieć jakieś kontakty, o których nie wiemy, lub coś w tym rodzaju. - Spojrział na Davida.

- Chryste panie, musimy na czymś się oprzeć! Nie mamy nic, David. Ani odcisków palców, ani narzędzia zbrodni, ani

wiadków. Danny był przecie policjantem, ale umarł, nie daj c nam adnej wskazówki, chocia miał tyle sił, eby wyszepta imi swojej ony. - Znowu potrz sn ł głów . - Dałbym sobie wyrwa wszystkie z by, eby rozwi za t tajemnic , cho by po to, eby porucznik i pani Spencer Montgomery Huntington odczepili si ode mnie! Przepraszam, Delgado. Wiem, e był twoim przyjacielem, dobrym facetem i lojalnym partnerem, ale podejrzewam, e nie dzielił si ze mn wszystkim, o czym wiedział, i cholernie mnie to zło ci!

- Danny był dobrym policjantem - powiedział David, nie daj c si wci gn w wymian zda .

- Tak - mrukn ł Jeny. - Czy pracujesz teraz dla niej?

David potrz sn ł głów .

- Dla starego pana Montgomery?

- Tak. Do zobaczenia.

Kiedy Jerry ruszał spod domu, Spencer wsiadała ju do swej małej mazdy. David podszedł do mustanga, ale nie zd ył jeszcze uruchomi silnika, kiedy ruszyła z miejsca.

- Dziwka! - mrukn ł cicho, gwałtownie naciskaj c pedał gazu, by szybko opu ci podjazd i znale si tu za jej plecami. Nie zamierzał da si zgubi .

Jechał za ni , niemal dotykaj c jej zderzaka swoim. Oba samochody wygl dały tak, jakby były zro ni te. Czekał na jaki podst p, ale ona chyba naprawd jechała do pracy.

Podniósł słuchawk komórkowego telefonu i wystukał zastrze ony numer. Sły natychmiast si zgłosił.

- Spencer wje d a ju na parking. B d teraz przez jaki czas w swoim biurze.

- Doskonale. Dzi kuj - odparł Sły.

- Zadzwo do mnie, kiedy b dzie wyje d ała.

- Dobrze - obiecał Sły. - Czy my lisz, e uda ci si ledzi j przez cały czas?

David otworzył usta, by mu odpowiedzie , ale zawahał si . Wiedział, e Spencer nie b dzie zadowolona z jego towarzystwa, ale doszedł do wniosku, e nie ma to znaczenia.

Mo e dy urowa na ulicy przed jej domem, a ona nie jest w stanie mu tego zabroni .

- Tak, Sly. Ty b dziesz si ni opiekował w ci gu dnia, a ja b d ledził jej wszystkie ruchy. B d ostro ny. My l , e co zaczyna si dzia . Je li zechcesz pilnowa jej w pracy, wykorzystam ten czas i odwiedz kilku starych przyjaciół... oraz wrogów.

- Nie spuszc jej z oka - obiecał Sly i odło ył słuchawk .

Sly dotrzymał słowa, ale David obawiał si weekendu. Sly zapewniał go jednak, e Spencer sp dzi wi kszo czasu z nim i z tuzinem jego współpracowników - ani sobota, ani niedziela nie były w jego firmie dniami odpoczynku.

David pojechał za ni w niedziel do ko cioła, a potem towarzyszył jej w drodze powrotnej do domu, zachowuj c spor odległo . Je li zauwa yła, e j ledzi, to nie okazała tego.

W niedziel , pó nym popołudniem, poło yła si nad swym basenem. Troch pływała, a on, widz c j , znów poczuł pragnienie i ból, które w nim na nowo obudziła. Przeklinał i drwił z siebie, ale nie przestawał jej ledzi . Kiedy niebo pociemniało, usiadła na le aku i cisa skronie palcami. David podejrzewał, e znowu płacze - opłakuje mier Danny'ego, a jego uwa a jedynie za marn namiastk . A mo e nie potrafi sobie wybaczy , e si gn ła po t namiastk ? Nie wiedział, która ewentualno wchodzi w rachub , ale nie mógł powiedzie , e nic go to nie obchodzi, bo tak naprawd bardzo go obchodziło.

Dni powszednie były troch łatwiejsze, ale zanim nadszedł pi tek, czuł, e jest u kresu wytrzymało ci nerwowej. Nic si nie wydarzyło. Juan, jeden z jego pracowników, informował go, co robi Ricky Garcia. Ricky nie pokazywał si ostatnio publicznie, mo e dlatego, e policja bacznie obserwowała ka dy jego ruch.

David wykorzystał swe kontakty w policji i postarał si , eby firma zakładaj ca alarmy skierowała do domu Spencer ekip maj c rzekomo dokona rutynowej kontroli urz dze . W

istocie jej pracownicy gruntownie unowocze nił cały system. Co wieczór David osobi cie sprawdzał drzwi, a potem dzwonił do firmy, by upewni si , e monitoruje posiadło Spencer.

Był pewien, e co si niebawem wydarzy. W rezultacie czuł si tak spi ty, e tydzie mijał mu niezwykle wolno.

ałował, e nie mo e trzyma si z dala od Spencer.

W pi tek pojechał za ni do pracy, utrzymuj c dyskretny dystans. Nadal nie wiedział, czy zdaje sobie spraw , e przez cały czas jest tu za ni . Zreszt nie miało to znaczenia.

Pozostał na głównej drodze, kiedy ona skr ciła na parking Montgomery Enterprises, potem podjechał pod swe biuro, które mie ciło si na tej samej ulicy, nieco dalej. Reva siedziała w recepcji za biurkiem i kiedy wszedł, spojrzła na niego z ciekawo ci .

- Jak idzie? - zapytał.

- Marty pracuje nad tym oszustwem ubezpieczeniowym. Dzwonił przed chwil i mówił, e nasze podejrzenia były słuszne. Juan jest w Little Havana, próbuje dowiedzie si jak najwi cej o interesach Ricky'ego Garcii. Kto chciał nam zleci spraw rozwodów .

- Ale odmówiła .

- Tak, braciszku, odmówiłam. Przecie jak ognia unikamy spraw, na których mogliby my doskonale zarobi .

Wzruszył ramionami, wszedł do swego gabinetu i wyci gn ł akta dotycz ce sprawy Danny'ego. Reva pod yła za nim.

- Kawy?

- Ju piłem.

- Mo e zjadłby lunch? Mog podgrza w kuchence mikrofalowej czarn fasol z ry em.

- Nie jestem głodny - odparł.

- Spencer wyra nie le wpływa na twój apetyt, braciszku. Czy co si wydarzyło od dnia, w którym zawiozłe j do wi zienia na widzenie z tym facetem?

Splótł palce, spojrzął na ni i pokr cił głow .

- Zło yłem mu drug wizyt .

- I?
- Po prostu nie jestem w stanie uwierzyć, że Delia mógł zabić Danny'ego. Uważam go za kompletnego szaleńca i jestem pewien, że zamordował kilku członków swojej sekty, ale nie sądzę, żeby zabił Danny'ego.
- Po wi casz tej sprawie cały swój czas.
- No, no! Ja tu jestem szefem!
- Odmówiła przyjąć pieniądze od Montgomery'ego, prawda?
- Tak - odparł David, patrzcie na niego uważnie. - Tak. Nie mogłem wziąć od niego pieniędzy, Revo.
- Wiem. Przecież on pokrył koszty naszej nauki. Byłam pewna, że nic od niego nie wezmiesz.
- I tak przecież zajmuj się tymi sprawami od niepamiętnych czasów.
- David... - powiedziała Reva, wstała i ruszyła w stronę drzwi.
- Co?
- Uważaj na Spencer, dobrze? Ona przysporzyła ci już dosyć kłopotów.
- Revo, nie możesz powiedzieć, że nic w życiu nie zrobiłem.
- Owszem, osiągnęło chyba wszystko co chciałeś, ale jesteś samotny.
- Moje piątkowe wieczory upływają bardzo przyjemnie.
- Tak, wiem. W jednym tygodniu Anglosaska, w następnym Latynoska. Modelka, sędzina, barmanka, adwokatka. Nikt nie może ci zarzucić, że masz jakieś uprzedzenia. Ale gdzie jest twój dom, David? Gdzie są te sobotnie popołudnia, które powiniene spędzać na meczach, obserwując grę swojego syna? Mam niekiedy wrażenie, że zrezygnowałaś z tego wszystkiego, kiedy pogodziłaś się z utratą Spencer. Nie chcę, żebyś się znowu wplątał w taką historię. Czas minął, ale my jesteśmy dalej tacy, jacy byliśmy, a państwo Montgomery też się z pewnością nie zmienili!

David zerwał si na równe nogi.

- Sły zajmuje drugie miejsce na li cie najuczciwszych ludzi, jakich znam. Wyprzedza go tylko Michael MacCloud. Nie powinna zapomina , e...

- O niczym nie zapominam! - zapewniła go arliwie Reva.

- Wiesz przecie , e go kocham! Ale ciebie kocham bardziej.

Przez chwil siedział nieruchomo, patrz c na ni uwa nie.

- Musz wybra si na mecz z moim siostrze cem, Revo.

- Chc , eby był szcz liwy.

- Jestem szcz liwy jak skowronek.

- Rób jak chcesz - mrukn ła, ruszaj c ku drzwiom. - Ale pami taj o jednym: kiedy znów b dziesz miał ochot tłuc głów o cian , nie zawaham si powiedzie ci: „A nie mówiłam”? A je li wkrocz do tego jej krewni, to nie spodziewaj si , e wykupi ci z wi zienia po raz drugi!

Wyszła, zanim zd ył jej odpowiedzie .

Spencer nie zrobiła w gruncie rzeczy nic straszego. Tyle e...

Kuba czycy s znani z zazdro ci i zaborczo ci, a on był w niej zakochany.

Wszyscy koledzy wiedzieli, e s par . Zakochan par . Czuł si tak, jakby ył tylko po to, eby si z ni widywa , cho nie zaniedbywał innych wa nych spraw. Musiał zdobywa dobre stopnie; był to winien panu Montgomery'emu i pami ci Michaela MacClouda. Michael odszedł przed rokiem. Przez pi tna cie ostatnich lat swego ycia robił co mógł, eby Ameryka stała si ziemi obiecana dla jego wnuków. David musiał si opiekowa młodsz siostr . Reva nie miała nikogo oprócz niego, a on nie mógł dopu ci do tego, by moc wyroku s du znalazła si w jakim sieroci cu. Był te opiekunem małego chłopca, który po mierci rodziców dopłyn ł z Kuby na tratwie.

Zacz ł chodzi do college'u, który Spencer miała niebawem uko czy . Odk d sp dzili dzie w domu jej dziadka, ich

związek stał się bliższy. Kino w kadym tygodniu, weekendowe wyprawy na plażę, pikniki w gronie przyjaciół. David niemal zaczął wierzyć, że w Ameryce wszyscy ludzie naprawdę są równi. Został zaproszony na kolację do domu Spencer i jej rodzice potraktowali go do przyjaźni, choć usłyszał przypadkiem, jak pani Montgomery mówi: „ten uchodźca, którego przyprowadziła Spencer”. Postanowił się tym nie przejmować. Wiedział, że Strygo lubi i wierzy w niego. Zresztą, liczyła się tylko Spencer; to w niej był zakochany.

Przez rok ich miłość była głąboko i namiętna.

Oczywiście dochodziło czasem do burz; Spencer zarzucała mu, że przygląda się Terry-Sue, a on zrobił jej awanturę o jakiego chłopca, z którym przekomarzała się na korytarzu. Ale te kłótnie pozwalały im docenić chwile, które spędzali potajemnie tylko we dwoje, kradnąc czas przeznaczony na inne zajęcia. Musieli wygospodarować ten czas. Kiedy pojechali do jakiegoś hotelu w North Miami Beach, innym razem odbyło się to na plaży; słońce zachodziło, morzem kołysały fale przyływu, a cały świat był w brzozie, purpurze i złocie.

Kiedy Michael zmarł, David przeżył tylko dlatego, że miał przy sobie Spencer. Chciał uciec od niej, uciec od wszystkich, być sam, ale okazało się, że tego wieczora potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek. Kochał się z nią tego dnia namiętniej niż dotychczas, niemal zapamiętał. Ona rozumiała uczucie, jakiego żywił do Michaela, choć nie wiedziała, co to jest samotność. David był niemowlęciem, kiedy zmarła jego matka, a dzieckiem, kiedy wymachując rewolwerem opuścił wraz z siostrą jedyny dom, jaki znał, i uciekł z Kuby. Miał osiem lat, gdy Michael MacCloud łagodnie przekazał mu wiadomość o śmierci ojca, który spędził ostatnie miesiące swego życia w kubańskim więzieniu, pisząc broszury o wolności. A teraz Michael również od niego odszedł i David został sam. Poza tym miał siostrę, którą musiał się opiekować. Dalsi krewni traktowali go zyczliwie, ale nie byli mu naprawdę bliscy. Nie

liczyli się. Musiał sam zarabiać na życie. Musiał zatrzymać przy sobie siostrę, nie dopuścić, by ich rozdzielono.

Wiedział, co to jest ciężka praca, bo pracował ciężko od niepamiętnych czasów. Kochał Spencer i potrzebował jej, ale ona nie miała pojęcia, co to jest alienacja, i kłó się przed nią. Rodzice ją rozpieszczali, Stryker ją kochał, wszyscy ją chronili. Nie mogła narzekać na brak pieniędzy czy poczucia bezpieczeństwa.

Był może właśnie wtedy, po pogrzebie Michaela, wzniósł pierwszy cegiełki ich mur. Może zaczął go wznosić już tego wieczora, kochając się z nią tak zapamiętale.

Do zerwania doszło jednak dopiero wtedy, kiedy jej rodzice zaprosili do domu gościa z Rhode Island, Bradforda Damona.

Był w wieku Spencer. Anglosas, bogaty jak Krezus. Spędził całe życie, ucząc się angielskiego i grając od czasu do czasu w golfa. Jego stopnie nie budziły zachwytu, ale ojciec ofiarował w ich sumę jednemu z najlepszych uniwersytetów, zapewniając mu w ten sposób wstęp na tę uczelnię.

Początkowo Spencer kłó się z Bradfordem. Narzekała, że musi go zabawić i tłumaczyła się za każdym razem, gdy odwoływała ich spotkanie, twierdząc, że musi wykonać polecenie rodziców i dotrzymać mu towarzystwa.

David pracował wtedy w szkolnym teatrze jako maszynista. W ten fatalny piątek przyjechał po nią po pracy zgodnie z umową, około dziewiętej, ale jej matka obcesowo odprawiła go od drzwi.

- Spencer nie będzie dziś wieczorem w domu. Pojechała z Bradem na tańce do klubu i wróci dopiero po północy. To jakieś prywatne przyjęcie, David. Mam nadzieję, że nie pojedziesz tam i nie narobisz zamieszania.

Nie narobił jeszcze wtedy wiadomości o żadnym zamieszaniu, niemniej pojechał do klubu i, stojąc w przylegającym do niego parku, przyglądał się przyjęciu. Spencer istotnie tam była i rzeczywiście towarzyszył jej Bradford Damon. W gruncie rzeczy trudno byłoby go nazwać człowiekiem budzącym litość.

Był wysokim, szczupłym, nieco wymoczkowatym blondynem, lecz kosztowny garnitur leżał na nim nienagannie.

Ta czyż ze Spencer, trzymaj się bardzo blisko siebie i stał się do niej uśmiechał. Co gorsza, ona nie pozostawiała mu dłużną.

Pocałował ją i wyglądało na to, że odwzajemniła jego pocałunek.

To wystarczyło. David opuścił teren klubu i przez cały wieczór spacerował po ulicach.

Po północy dotarł pod dom Spencer. Stał pod jej oknem i zebrał kilka kamyczków, które zamierzał rzucić w szyb, by zwrócić na siebie jej uwagę. Zamarł, kiedy usłyszał chichot Spencer, a potem miechmierzny.

Mimo to rzucił kamyczkiem. Mocno. W sekundę później wyjrzała przez okno. Była blada, jasne włosy okalały jej twarz jak złota chmura. Miała na sobie szlafrok podkreślający krągłości piersi. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- David!

W tej samej chwili usłyszał syreny. Nadal wpatrywał się w Spencer, kiedy nadjechali policjanci i aresztowali go.

Jeśli protestowała, to nigdy się o tym nie dowiedział. Po chwili był już za kratkami, narażony na ataki groźnego wyglądu cichych współwinników o różnych kolorach skóry, bezbranych mierznych ładami igieł na przedramionach.

Wydostał go Sły.

Następnego dnia Spencer zjawiła się w jego domu. Po prostu pchnęła drzwi i wpadła do wnętrza.

- David! David, strasznie mi przykro!

- Id do diabła, Spencer.

Zastygła w bezruchu, patrzyła mu prosto w oczy.

- David, nie miałam z tym nic wspólnego. Dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano.

- W porządku. Dobrze. - Był gotów ją zabić. Miał ochotę chwycić oburczy jej piersi i udusić ją. - Była do zajęcia

ubiegłej nocy, prawda? Jaki jest ten Bradford Damon, Spencer? Czy z blondynami robi się to inaczej?

Nerwowo zaczerpnęła powietrza i chciała uderzyć go w twarz, ale chwycił ją za rękę i westchnął, czując się nagle bardzo zmęczony.

- Idź do domu, Spencer.

Jej niebieskie oczy błyszczały gorączkowo, a równe, białe zębiny były mocno zaczerwienione.

- Niech ci diabli wezmą! Nie masz prawa...

- Mam niewiele praw, Spencer, ale mam prawo mieć dziewczynę, która nie będzie mnie oszukiwała.

- Nie oszukuj mnie.

- Widziałem cię z nim, Spencer.

Zaczerwieniła się, ale niczemu nie zaprzeczała. Może to w końcu ją zabolowało najbardziej.

- *Putę!* - powiedział cicho. Dziwka! Bogata dziwka, ale dziwka.

- *Cuchnę!* Uchodźca! - zawołała Spencer z wściekłością.

Nagle przytrzymał ją do siebie i pocałował. Mocno, namilnie, zazdrośnie.

Może myślała wtedy, że wszystko jako się ułoży, że będzie mogła się zabawiać z wybranym przez jej rodziców, nie rezygnując z niego. Ale on był rozwinięty. Sam nie wiedział, czy to, co robili tego dnia, ma nazwę kochaniem się, ale nigdy nie przeżył czegoś, co byłoby bardziej bolesne. Dotykając jej, zastanawiał się przez cały czas, co robił z nią Bradford Damon. W pewnym momencie krzyknęła, ale potem przywarła do niego i nie protestowała. Kiedy było po wszystkim, nie czuł się spokojniejszy. Jego ból i niepokój przybrały na sile. Wstał, odszedł od niej i wyrzucił przez okno małego domu, który kupił dla nich Michael MacCloud.

- David, moi rodzice na pewno nie chcieli, żeby do tego doszło.

- A ty, Spencer? Czy ty tego chciała?

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Ja chyba te nie jestem tego pewien. - Zacz 1 chodzi po pokoju jak tygrys po klatce. - Wiem tylko, e potulnie poddajesz si swoim rodzicom, którzy s par bogatych bigotów.

Gł boko wci gn ła powietrze, wstała i zacz ła zbiera porozrzucane cz ci swej garderoby. Ubierała si szybko i nerwowo.

- Jak mieszkasz? - spytała z gniewem. - Jak mieszkasz mówi takie rzeczy o moich rodzicach? Pochodzenie z bogatej rodziny nie jest przestępstwem.

- Ale osoby, które uzurpuj sobie prawo do oszukiwania i ranienia innych tylko dlatego, e urodziły si w bogatych rodzinach, postępuj niemoralnie, cho nie popełniaj żadnego przestępstwa.

- Mówiłam ci już, e oni nie chcieli...

- A ty, Spencer? Czy chciała si przeprosić z ich go ciem?

I tym razem nie zaprzeczyła. Wstała, podeszła do Davida i uderzyła go mocno w twarz.

Patrzył na ni , bojąc si wykona jakikolwiek ruch. Chciał j objąć , bo 1 kał si , e je li tego nie zrobi, nie zobaczy jej już nigdy w yciu, ale trzą sł si z gniewu, bólu i upokorzenia.

- Chyba oboje zostali my wystawieni do wiatru, prawda, złotko? - spytał cicho.

- Ty draniu! - sykn ła, odzyskawszy zdolno mówienia.

W końcu po prostu odepchn 1 j i wyszedł z domu. Z własnego domu, gdzie zostawił j sam .

Tego popołudnia dowiedział si , e wyjechała z Florydy.

Oszołomiony, postanowił zrobi to samo. Metodycznie załatwił wszystkie sprawy związane ze wstaniem pieniędzy jego siostry do college'u i poprosił ciotkę , by pomogła jej przenie si do domu akademickiego. Kiedy był już pewien, e Reva da sobie radę , wykonał ostatni ruch uniemożliwiający mu poszukiwanie Spencera, podejmowanie prób naprawienia ich wzajemnych stosunków, bicie głów w cian .

Wstąpił na ochotnika do armii Stanów Zjednoczonych.

Usłyszał brzęczenie interkomu, ocknął się z zamyslenia i nacisnął guzik.

- Odbierz telefon na pierwszej linii, David - powiedziała Reva. - Dzwoni Sły i chyba jest zamordowany.

- Słucham, Sły - odezwał się David, podnosiąc słuchawkę.

- Ona zniknęła, David. Nie ma jej.

- W porządku, zaraz...

- Nie, nie rozumiesz mnie! Nie poszła na lunch ani do fryzjera, ani nawet nie zrobiła sobie wolnego popołudnia!

- Sły, powiedz wreszcie, o co chodzi.

- Pojechała na lotnisko! Jej samolot odlatuje za niecałą godzinę!

- Co?

- Kupiła bilet do domu. Do Newport przez Boston.

- A więc pojechała do rodziców - stwierdził David, starając się mówić pogodnym tonem, mimo że jego dłoń zacisnęła się na słuchawce. - Będzie tam bezpieczna.

- Nie możemy na to liczyć! Znasz Spencer. Nie pojechała do domu, żeby się z nimi zobaczyć. Uciekła, żeby nie spędzić weekendu w Miami!

- Spróbuj złapać ją na lotnisku, ale w Rhode Island nic jej nie grozi - powiedział David. Wiedział, że jego zapewnienia nie brzmi przekonująco. Wiedział też, że pojedzie w ład za nią.

- Nie jestem pewien! - krzyknął Sły. - Do diabła, chłopcze, ja po prostu nie chcę, żeby była sama. Nie mam prawa ci o to prosić, ale... David, proszę cię, leć do Newport!

Skrzywił się i cisnął słuchawkę tak mocno, że jego palce zbieleły.

- Na miłość boską, David, błagam cię - powiedział Sły. - Mam jakieś złe przeczucia... Czy pojedziesz za nią?

David nie mógł wydobyć głosu przez dobre pół minuty. Potem westchnął głębiej.

- Dobrze, Sły. Pojadę.

Odłożył słuchawkę i wpatrywał się w telefon przez dłuższą chwilę.

Niech j diabli wezm ! - pomy lał. Wyjechała i znowu narobiła mi kłopotów!

8

W domu państwa Huntington panował spokój. Niepozorny mężczyzna w niebieskim ubraniu obserwował go od dziesięciu tej rano przez okna samochodu, zaparkowanego przed jednym z siedmiu willi. Wiedział, że jej mieszkanie nie zwróci na niego uwagi, bo przyglądał się tej okolicy od dłuższego czasu. Ci ludzie funkcjonowali jak zegarki. Pan domu całował ją na do widzenia o ósmej i odjeżdżał brązowym volvo. Pani domu wyruszała z dzieckiem o ósmej trzydzieści.

Ona nie wracała w piątek przed wpół do dziesięciu tej wieczorem, a kiedy się pojawiała, miała na sobie lśniący, obcisły dres. Piątek był dniem zajęć w klubie sportowym. On wracał dopiero o dziesięciu tej, gdy w każdy piątek zawoził dziecko do dziadków.

Mężczyzna w niebieskim ubraniu wiedział o nich niemal tyle, ile o poczynaniach Spencer Anne Montgomery Huntington.

Spencer Huntington nie grzeszyła punktualnością i nigdy nie można było przewidzieć, co zrobi. Czasem pracowała w biurze, czasem odwiedzała plac budowy, ale wracała zwykle około piątku. Wiedziała, że potem robi sobie straszne korki, więc przyjeżdżała do domu i opuszczała go ponownie około siódmej, by zrobić zakupy lub coś załatwić. W ciągu kilku ostatnich miesięcy nie prowadziła swojego towarzyskiego. Wieczorami lubiła pływać. Miała co najmniej tuzin kostiumów kąpielowych, a jemu wszystkie się podobały. Szczególnie to niebieskie bikini, które wkładała zazwyczaj w piątek. Pływała i skakała do wody, czasem kładła się na nadmuchiwanym materacu i leżała, wpatrując się w niebo. Obserwował ją przez szczeliny w drewnianym płocie okalającym basen. Posiadło

otoczona była bujnoro linności, co ułatwiało mu pracę. Mógł ledzi Spencer, nie rzucił się nikomu w oczy.

Miło było na nią patrzeć. Taka piękna, taka smutna. Może czuła się samotna? Może tęskniła za panem Huntingtonem?

Mieczyna w niebieskim ubraniu chętnie zastąpiła jej utraconego męża.

Ostatnio jego praca stała się trochę trudniejsza. Do akcji wkroczył David Delgado, były komandos, były policjant, obecnie prywatny detektyw. Ten w końcu musi zauważyć parkujące regularnie w okolicy obce samochody, musi usłyszeć trzask gałęzi w krzakach otaczających posiadłość. Mieczyna w niebieskim ubraniu już dwukrotnie opuścił przez niego swój posterunek.

Wiedział, że choćby zachował wszystkie rodki ostrości, Delgado w końcu go zauważy, jeśli będzie nadal ledził kobiety. Na razie nic się nie działo i może Delgado dojdzie wkrótce do wniosku, że ktoś ma obsesję na punkcie bezpieczeństwa pani Huntington, więc on może zrezygnować ze swej misji. Ale nie jest to takie pewne. Mieczyna w niebieskim ubraniu uznał, że jeśli

Delgado stanie się zbyt natrętny, trzeba będzie przedsięwziąć jakie kroki.

Kiedy Spencer nie pokazała się o piątej, nie był szczególnie zaniepokojony. Miał ją ledzi przez cały wieczór, ale nawet Spencer Huntington mogła utknąć w korku ulicznym.

Minęła piąta trzydzieści, potem piąta czterdzieści pięć. Trochę za długo jej nie ma.

Wziął do ręki komórkowy telefon i połączył się z wybranym numerem.

- Niech ktoś powie szefowi, że nasza bombowa blondynka nie wróciła jeszcze do domu.

- W porządku. Został na miejscu. Zadzwońmy do ciebie. Został na miejscu. Czekaj.

Telefon zadzwonił jeden raz. Odpowiedział natychmiast, bo nadal trzymał go w ręku.

- Tak?
- Wracaj. Ona wyje d a na weekend z miasta.
- Zaraz b d .

Odło ył telefon i wł czył silnik. Czł si zawiedziony. Lubił patrze na on tego faceta, kiedy wracała do domu w błyszcz cym dresie. Wygl dała w nim wyj tkowo ładnie.

A Spencer wkładała w pi tki niebieskie bikini. Wiedział, e ten widok równie go ominie.

Weekend zaczynał si fatalnie.

Spencer siedziała ju w pierwszej klasie airbusa 300, lec cego do Newport przez Boston, kiedy u wiadomiła sobie, e prze ywa po raz drugi t sam przygod . Wychowywała si w Miami, ale jej rodzice zatrzymali dom w Newport, na wypadek gdyby chcieli wyjecha z Florydy. Wtedy, przed wielu laty, postanowiła si w nim schroni .

Było to tak dawno... a mimo to, kiedy zamkn ła oczy, przypominała sobie to wydarzenie a nazbyt realistycznie. Pami tała okropne rzeczy, które mówił David. Wiedziała, e nigdy nie zapomni wyrazu jego twarzy, e nigdy nie zrozumie, jak człowiek tak w ciekłe rozniewany mo e zarazem okazywa tak zimn determinacj .

A wi c uciekła. Była zła na niego i na swoich rodziców i ucieczka wydawała si jej jedynym wyj ciem.

Tym razem uciekała nie w wyniku jakiej wiadomej decyzji. Po prostu biuro wydało jej si nagle nudne i przygn biał ce. Nie było nowych zamówie , a realizacja dawnych przebiegała bez adnych zakłóce . Gdy tylko weszła dzi rano do swego gabinetu, rozległo si pukanie i na progu stan ła u miechni ta Audrey z plikiem teczek.

- Spencer, pan Matson obejrzał swój oczyszczony i odnowiony kominek i wysłał ci ju bukiet ró . Architekt sp dza dzisiejsze popołudnie w Hillbora House, nadzoruj c stolarzy i elektryków. Porozumie si z tob w rod . Dzwoniła twoja po redniczka od handlu nieruchomo ciami; wydawała si

bardzo podniecona. Chce, żeby obejrzała dom w Coral Gables, który właśnie nie wystawiono na sprzedaż. Stoi w Colonial Village, obok pól golfowych, ale można go zobaczyć dopiero za tydzień, bo właściciel musi najpierw wyprowadzić z niego swoją matkę. Ona twierdzi, że nie wolno ci przegapić tej okazji! Tyle jej nie idzie o sprawy służbowe. – Audrey przysiadła na krawędzi biurka, przygotuj się do dłuższej pogawiedki. – Po raz pierwszy od dnia tej afery na cmentarzu mam okazję porozmawiać z tobą w cztery oczy. Co się tam naprawdę stało? Powiedz mi. W końcu to ja podsunęłam ci ten pomysł!

Spencer siedziała na swoim wygodnym obrotowym fotelu za pięknym drewnianym biurkiem i usiłowała zachować powagę, ale miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Audrey była ucieleśnieniem tak zwanej „ładnej panienki”. Miała około czterdziestu lat, nieco zbyt obfite kształty i krótkie, modnie ostrzyżone włosy. Uśmiechała się chętnie i często; potrafiła spacyfikować uśmiechem i machnięciem ręki nawet najbardziej zirytowanego klienta. Pod jej powierzchownością ładnej, beztroskiej kobiety kryła się jednak inteligencja i Spencer wiedziała dobrze, że umysł Audrey funkcjonuje bardzo sprawnie. Rozmawiała z nią o śmierci Danny'ego czy jej niemiłych kimkolwiek innym, czy jej niemiłych członkami swej najbliższej rodziny.

- Prawdę mówię ci, nie stało się nic, o czym nie mogłaby przeczytać w gazetach - odparła Spencer, przerzucając jakieś dokumenty. Chciała być tego dnia zapracowana, a nie miała przed sobą żadnych spraw niecierpiących zwłoki.

- Spencer! - zawołała Audrey. - To nieuczciwie! W zeszłym tygodniu słyszałeś od nas powołanie na krok, przez cały weekend była na budowie, w tym tygodniu odbywała codziennie jakieś spotkania, ja miałam wczoraj wizytę u dentysty. Dziś po raz pierwszy mogę wrócić do domu w twoje życie prywatne!

- Przepraszam cię, Audrey. - Spencer podniosła wzrok znad papierów i roześmiała się. - Moje życie prywatne nie jest dla ciebie interesujące, chyba warto było w tym momencie nie nosić!

- Akurat w tej chwili jest - odparła Audrey. - Opowiedz mi o tym, zanim wyleci ci to z pamięci.

Spencer pomyślała, że jej pamięć i tak jest już nadmiernie obciążona wspomnieniami.

- Czy nie była przerażona, kiedy zjawili się ci ludzie? Czy nie bała się już przedtem, kiedy chodziła sama po ciemnym cmentarzu? Ja wyobrażałabym sobie, że z grobów wystają ludzkie relikwie, że umarli byliby próbowali mnie złapać! Wyobrażałabym sobie...

- Przyznam, że przeżyłam kilka niemiłych chwil - wyznała Spencer ze smutnym uśmiechem. - Tam właśnie nie pochowany jest Danny.

- Wiem, ale co było potem?

Spencer wzruszyła ramionami. Wydawało jej się, że było to już dawno temu.

- Rąbusie grobów zorientowali się, że tam jestem. Zaczęłam uciekać ... i z grobu wynurzyła się jakaś rękawka.

- Ja umarłabym ze strachu.

- Wykluczone! - stwierdziła z rozbawieniem Spencer. - Ty przyłożyłabyś tej relikwie.

Audrey pokazała zamyślenie.

- Daj słowo, że to wszystko. Znasz resztę. To był David Delgado. Zadzwoił po policję ...

- Zadzwoił po policję z grobu? - spytała z niedowierzaniem Audrey.

- Miał telefon komórkowy. To jedyny mężczyzna, który jest zawsze na wszystko przygotowany - stwierdziła Spencer beztrzęsłym tonem. Zawsze. Ale nie był przygotowany na to, co wydarzyło się następnego dnia. Wcale nie był przygotowany. Ona też nie.

- A więc nadal się z nim spotykasz?

- Z kim?

- Z Davidem Delgado. Z panem Sex. Z panem Macho. Jest ciemnowłosy i masywny. Wysoki. Przystojny. Ma wspaniały głos. Posiada wszystkie zalety.

- Nie wiedziałam, że go znasz.
- Był w tym tygodniu kilka razy w naszym biurze. Musz przyzna, że moje serce zaczęło bić szybciej.
- Audrey, twoje serce zaczyna bić szybciej za każdym razem, kiedy przyjeżdżasz na plac budowy.
- Ale tym razem było inaczej - zapewniła jej Audrey z uśmiechem. - Czy spotykasz się z nim?
- Nie.
- Ale spotykała się?
- Wiele lat temu. Zanim zaczęła to odmierzanie czasu.
- Hmm. Ja wiem tylko tyle, że w ubiegłym tygodniu przyjechała do pracy bardzo późno. Wiadziała, co robiła przez całe rano?

Spotkałam się z dawnym kochankiem w łuku mojego mieszkania, pomyślała Spencer. Czy to powinnam jej powiedzieć?

Nigdy.

- Przecież wiesz, gdzie byłam. Pojechałam do więzienia na spotkanie z Treyem Delia.

Audrey kiwnęła głową i nagle spowaśniała.

- Kiedy w końcu weszła, była okropnie zdenerwowana. Czy on jest tak przerażony, jak się wydaje?

- W pewnym sensie tak. Ale nie sądzę, żeby zabił Danny'ego, wiadomo chyba to był lepszy trop, który nie ułatwił odkrycia prawdy. Oczywiście moim zdaniem nie ma nic złego w tym, że Delia wysłuchał w więzieniu. Policja nie okazuje mi wielkiej wdziaczności, ale...

Wzruszyła ramionami, tracąc w ten sposób. Nie miała już siły siedzieć tak długo i odpowiadać na pytania.

Czuła na sobie ciężar minionego tygodnia, ale nie to było najgorsze. Wiedziała, że David ją ledzi, że ją bezustannie obserwuje, choć trzyma się od niej na dystans. No cóż, po tym, co zrobiła, nie mogła mu tego zarzucić. Problem polegał na tym, że nie chciała go widzieć, a równocześnie nie bardzo tego pragnęła, tyle że nie umiała się do tego przyznać.

- To naprawdę wszystko - oznajmiła. - Prawidłowo ustaliła rejon działania członków tej sekty.

- To było oczywiste - odparła skromnie Audrey.

- No cóż - stwierdziła Spencer z uśmiechem - nie było to oczywiste dla chłopców z komendy i chociaż się cieszy, że Delia siedzi za kratkami, są trochę zakłopotani.

Audrey przytaknęła, a potem ruszyła w kierunku drzwi, jakby czując, że Spencer potrzebuje chwili samotności.

- Gdybym wpadła na kolejny wspaniały pomysł, dam ci znać - obiecała.

- Dziękuję! - odparła Spencer.

Przejrzała jeszcze na jej biurku dokumenty, potem odłożyła je, wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. Na ścianie wisiała wykonana w latach trzydziestych fotografia jednego z hoteli, które odnawiali w Miami Beach. Kochała ten hotel, ale nie mogła jeszcze przystąpić do pracy; inspektorzy budowlani musieli sprawdzić, czy nadaje się on do konserwacji. Uparł się przy tym Stryker. Odkąd przed kilku dniami spadła ta cholerna belka, stał się niewiarygodnie apodyktyczny. Zawsze był ostrożny, ale teraz przybierało to niemal groteskowe rozmiary.

Mogła załatwić sprawy papierkowe. Korespondencja. Na przykład odpowiedź na stosy zalegających jej biurko zaproszeń.

Tylko że po prostu nie miała na to ochoty.

Nieco później, po południu, doszła do wniosku, że mogłaby wyjechać na weekend. Do Newport. Wydawało się mało prawdopodobne, że David podąży za nią; nie miał ku temu powodu. Danny został zabity tutaj, a ona nie może narobić w Newport żadnych głupstw.

W dodatku David nie znosił jej rodziców.

Nacisnęła guzik interkomu.

- Audrey, sprawdź, czy udało ci się dostać dla mnie miejsce w samolocie do Rhode Island, dobrze?

- Wybierasz się z wizytą do rodziców? - spytała ze zdziwieniem Audrey.

Spencer kochała ojca i matkę, ale miłość ta była przemieszana z wieloma innymi uczuciami.

- Chcę po prostu trochę odetchnąć.
- Przecież niedawno tam byłaś.
- Toteż nie wybieram się na długo.
- Ja... - zaczęła Audrey, a potem szybko się wyłczyła.

Spencer podejrzewała, że Audrey chciała spytać, czy jej wyjazd ma coś wspólnego z Davidem Delgado, ale potem zmieniła zdanie.

Audrey była najbardziej zorganizowaną osobą, jak Spencer знаła. Nie skończyła jeszcze przeglądać po raz drugi dokumentów, kiedy Audrey weszła do gabinetu, by oznajmić, że zarezerwowała miejsce w samolocie odlatającym o osiemnastej trzydzieści pięć.

Cudownie. Spencer postanowiła nie wracać do domu. Od czasu do czasu musiała niespodziewanie wyjechać na kilka dni w odległe rejony Florydy i oglądać znajdujące się tam nieruchomości, więc zawsze miała w biurze podróżnych torbę z niezbędnymi rzeczami garderoby. Mogła zatem udać się wprost na lotnisko. Jeśli David zechce jechać za nią, zobaczy, że wsiada do samolotu, ale z pewnością się nie zdecyduje się na lot do Newport.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Jared.

- Cześć, siostrzyczko.
- Cześć - odparła, czekając na coś dalszego.
- Co znowu knujesz?
- Nic. Naprawdę nic.
- Audrey przygotowuje twoją podróżną torbę. Obiecuj mi, że nie będziesz się wleźć po adnych komentarzach.
- Obiecuję. - Kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

On również się uśmiechnął, ale potem na jego interesującej twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

- Spencer, mów poważnie. Musisz być ostrożna.
- Będę.
- Wić powiedz mi, co znowu knujesz.

- Nic. Naprawdę. Jadę po prostu do rodziców na weekend.
- Tak? - spytał i uniósł brwi.

Kiwnęła głowę.

- Czy słyszy o tym wie?
- Wpadłam na ten pomysł przed chwilą.
- Po co jedziesz?
- Sama nie wiem. Po prostu chcę się od wszystkiego

oderwać.

- To może dobry pomysł, ale... Newport? Weekend na wyspach Bahama byłby o wiele przyjemniejszy.

- Nie dojrzałam jeszcze do weekendu na wyspach Bahama.

- No tak - stwierdził ironicznym tonem. - Chcesz znowu pogrzeby się w cierpieniu. Rodzice z pewnością ci to ułatwią.

- Jared! - zaprotestowała z oburzeniem, ale nie była wcale pewna, czy jej cioteczny brat nie ma racji.

- Przecież tylko artowałam. No dobrze, być może nie do końca artowałam, ale wiesz, co mam na myśli. Osobiście uważam, że weekend na wyspach Bahama dobrze by ci zrobił, ale rodzice na pewno chętnie ci zobaczą. Wiesz, Cecyli i ja teatrujemy, a tak rzadko u nas bywasz. Dzieci przepadają za tobą. A nie widzieliśmy cię od... - Przerwał i wzruszył ramionami. - Od śmierci Danny'ego.

- Tak, wiem. Postaram się im to wynagrodzić.

- Nie o to mi chodzi. Nie musisz nikomu niczego wynagradzać, my po prostu... chcielibyśmy cię widywać. Ojciec stale o ciebie pyta. Chce niedługo zaprosić dzieci i zorganizować wyprawę na ryby. Czy możemy na ciebie liczyć?

Chciała mu powiedzieć, że nie byłaby dla nikogo dobrym kompanem, ale doszła do wniosku, że może powinna zdobyć się na wysiłek i odnowić swoje kontakty towarzyskie.

- Jasne, chętnie przyjadę.

- Nawiasem mówiąc, jak miewa się David?

- Co? - Gdy usłyszała to pytanie, jej serce zaczęło bić tak szybko, jakby popełniła jakieś przestępstwo. To absurdalne.

- David Delgado. Cecily stale zaprasza go na wszystkie przyjacia, które organizuje. Dzieci Revy graj w piłk w tym samym parku co nasze, ale prawie nie widzimy Davida. Pamiatasz, jakim był silnym chłopakiem?

Spencer nie wiedziała, czy Jared chce jej dokuczy, czy po prostu ogarnął go wspomnienia.

- Zdaje si... e miewa si dobrze - odparła.

- Chyba chtnie si z nim znów spotykasz. Jak za dawnych czasów. Tylko e teraz...

... e teraz Danny nie yje. Słowa te pozostały nie wypowiedziane i zawisły w powietrzu.

- W gruncie rzeczy widuj go rzadko. Cz ciejspotyka si z nim Sly.

Jared wzruszył ramionami.

- No có, pewnie musisz jujecha. Ucałuj ode mnie wuja i ciotk. Albo ucałuj ciotk, a wujowi uci nijdło. My z dziadkiem Atlasem bziemy czuwa na miejscu - a do twojego powrotu.

- Dzi ki. Powiedz Cecily, e jprzepraszam. Kiedy wróc, b d bardziej towarzyska. Obiecuj.

Uniósł kciuk i wyszedł. Spencer zerknła na zegarek. Je li ma zd y na lotnisko, musi si pospieszy. Nie mo e jednak wyjecha, nie wtajemniczajc w swoje plany dziadka. Weszła do jego gabinetu. Rozmawiał przez telefon, wi c przysiadła na skraju biurka i czekała. Rozja nił si na jej widok, a ona odwzajemniła jego uśmiech. Sly wygl dał na sze dziesiociolatka, i to dobrze si trzymajcego. Spencer zsun ła si z biurka i pocałowała go w policzek. Zasłonił słuchawk r k.

- Dlaczego mnie całujesz? - spytał.

Spencer słyszała w słuchawce głos jego rozmówcy.

- Wyje dam. Na weekend. Jestem zdenerwowana, a nowych zlece nie mam. Poprosiłabym ci, eby karmił mi kota, ale go nie mam.

- Dok d jedziesz? - spytał z niepokojem. Przez chwil wydawał si stary.
- Do Newport.
- Chcesz jecha teraz do Newport?
- Sly, wiem, e kazał Davidowi mnie ledzi , cho to nie jest wcale konieczne...
- To okazało si konieczne, kiedy włączyła si po cmentarzu!
- Chc sp dzi weekend z mam i tat . Co mo e mi si u nich sta ? Najwy ej udusz si nadmiarem uczu lub uton w wodzie mineralnej!

Podeszła do drzwi, machaj c mu na po egnanie r k .

- Całuj ci . Musz i , bo spó ni si na samolot.
- O której... - zacz ł, ale ona zamkn ła drzwi, udaj c, e go nie dosłyszała. Jest b d co b d dorosła. Dawno sko czyła dwadzie cia jeden lat.

Dopiero kiedy samolot znalazł si na pasie startowym, zacz ła zadawa sobie pytanie, po co, do diabła, jedzie do Newport? Kochała swych rodziców, ale przebywanie z nimi przez dłu szy czas pod jednym dachem bywało tortur .

Matka postarzała si znacznie w ci gu ostatnich kilku lat. I przecie nie mogła by odpowiedzialna za to, e wychowano j tak, a nie inaczej. Sly Montgomery ci k prac zdobył fortun , mógł wi c posyła ojca Spencer do najlepszych szkół i zapewni mu pozycj , dzi ki której poznał jej matk .

Rodzina matki miała pieni dze od tak dawna, e nikt ju nie był pewien, jakie było ich ródło. Wiedzano tylko, e jej przodkowie zaczynali od handlu ziemi . Matka Spencer nale ała do Stowarzyszenia Cór Rewolucji Ameryka skiej i była z tego bardzo dumna. Nadal uwa ała Irlandczyków, którzy przybyli do Bostonu przed stu laty, za imigrantów wie ej daty.

Wszyscy mówi cy po hiszpa sku Latynosi, zamieszkuj cy południow cz Florydy, byli dla niej „imigrantami”; nawet ci, którzy urodzili si ju w Ameryce.

Spencer westchnęła i rozsiadła się wygodnie w fotelu. Pojawiła się stewardesa, proponując szampana przed startem. Spencer z uśmiechem przyjęła z jej ręki kieliszek. Szampan był dobry, ale postanowiła nie pić go zbyt szybko. Zamierzała wynająć w Bostonie samochód i dojechać nim do Newport.

Zamknęła oczy i poczuła ogarniając ją fal ciepła. Jak trudno pozbyć się wyrzutów sumienia!

Kochała się z Davidem Delgado. Na sam myśl o tym wilgotniały jej dłonie, a oddech stawał się nieregularny. Pamiętała wszystkie intymne szczegóły z przejmującą wyrazistością. Pamiętała nawet jego zapach, dotyk jego ciała. Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego, czegoś tak pospiesznego, gorączkowego, namiętego. Tak intensywnego i żywego. Pod tym względem nic się między nimi nie zmieniło, nawet od ostatniego razu, od dnia, w którym zwolniono go z aresztu.

Wiedziała, że nigdy nie zapomni o tym, co się wtedy stało. To był koszmar. Matka obiecała, że wytłumaczy wszystko Davidowi, jeśli Spencer zgodzi się pójść z Bradem na przyjęcie.

Ale ona przecie nie znosiła Brada, i to od samego początku. Uważała się za supermana; z jego relacji wynikało, że jest mistrzem gry w polo i w golfa oraz wspaniałym ogrodnikiem. Jego ojciec był potentatem prasowym, matka członkini Stowarzyszenia Cór Rewolucji Amerykańskiej, a on sam otrzymał już notarialne tytuły własności trzech domów, ofiarowanych mu przez rodzinę. Miał zapewnioną przyszłość bez względu na to, czy zechce kiedyś pracować, czy też nie.

Jej rodzice prosili, żeby była dla niego miła. Byli przekonani, że jeśli zapewni jej towarzystwo „odpowiedniego” młodego człowieka, zakocha się w nim przedwcześnie czy później. Ona jednak nie zdawała sobie sprawy z ich intencji. Na przyjęciu po raz pierwszy okazał odrobinę skromność, przyznając, że jego przechwałki podyktowane były chęcią przedstawienia się w jak najlepszym świetle.

Nie zamierzała go całować. Był to zresztą ałosny pocałunek, pozbawiony wszystkiego, co odczuwała, kiedy

dotykała ustami warg Davida. Pocałunek Brada nie sprawił jej najmniejszej przyjemności, a gdy porównała go z innymi pocałunkami Davida, zrobiło jej się słabo.

Kiedy wróciła do domu, matka nie wspomniała ani słowem o wizycie Davida, doszła więc do wniosku, że widocznie nie dotrzymał obietnicy i nie zjawił się u niej po pracy.

Myśląc o tym później, musiała przyznać, że powinna była domyślić się, o co chodzi. Jej matka darzyła szczególnie niechęć wszystkim, którzy mieli w sobie choć kroplę krwi latynoskiej, zwłaszcza od czasu masowej emigracji z Kuby. Sprawa ta narobiła w swoim czasie wiele szumu. Jedni powoływali się na prawa człowieka, inni byli wściekli, że Castro zdołał pozbyć się kryminalistów i przemieścić ich na Florydę. W Miami odnotowano gwałtowny wzrost przestępczości. Spencer usilnie próbowała tłumaczyć matce, że nie może winić wszystkich Kubańczyków za poczynania ich nielicznych rodaków, którzy łamali prawo. Ojciec czytał gazety i miał racjonalny stosunek do całej sprawy, ale matka obstawała przy swoim i choć Spencer nie zdawała sobie z tego sprawy, gotowa była zrobić wszystko, aby zniszczyć jej związek z Davidem.

Spencer była młoda i naiwna i dlatego boleśnie odczuła zawód, jaki sprawił jej David, nie przychodząc na umówione spotkanie.

Wypiła więc z Bradem kubek gorzej czekolady i zagrała z nim w monopoli. Tego wieczora zachowywał się nienagannie i nawet był do zabawy.

Potem usłyszała pod oknem jakiś hałas, a kiedy przez nie wyjrzała, zobaczyła policjantów, którzy prowadzili Davida do radiowozu. Rodzice nie reagowali na jej protesty, ale miała nadzieję, że David domyśli się prawdy.

Potem dowiedziała się, że David obserwował ją podczas przyjęcia i zareagował w ten sposób, nie dając jej szansy wytłumaczenia mu, co zaszło. Pamiętała dotychczas swoje oburzenie. Pamiętała też, jak ją objął... pamiętała jego furję, która była równocześnie nieprzejawiona i podniecająca.

A do końca. Dopóki nie nazwał jej dziwką, nie zepchnął ze swej drogi i nie wyszedł z domu. Z własnego domu - i z jej życia.

Biedna Reva. Wróciła właśnie w chwili, gdy David zatrzasnął drzwi. Spencer była tak wściekła, że obrzuciła go wszystkimi wyzwiskami, jakie przyszły jej do głowy. Nazwała go uchodźcą, brudnym Latynosem, czarnuchem. Zrobiło jej się przykro, kiedy zobaczyła, że Reva jest blada jak ściana. Bardzo przykro. Nie była jednak w stanie powiedzieć o tym Revie, bo czuła, że puka jej serce.

A więc uciekła...

Do Newport, pomyślała teraz, uciekając się z ironią. Wspaniale. Zdaje się, że po prostu zbliżeniu z Davidem nie może znieść siebie samej i ucieka do Newport. Za chwilę razem...

Nie! Nie może dojść do następnego zbliżenia! Ostatnim razem stało się to w łóżku Danny'ego, którego polubiła, wiedząc dobrze, że nigdy nie będzie budził w niej takiego poruszenia, jakie wzniewał w niej David, i to do tej pory. Musi się opanować, bo kochała Danny'ego. Może nie było jej z nim tak jak z Davidem, ale nigdy nie dała mu tego po sobie poznać. Była dla niego dobrą żoną, a ich życie układało się szczęśliwie...

Tylko że wszystko wyglądało inaczej.

Doszła do wniosku, że życie jest cholernie dziwne.

Wtedy, przed wielu laty, uciekła, bo była pewna, że ma rację. David nie dał jej szansy wyjaśnienia niczego. Może nie potrafiłaby wytłumaczyć się przekonująco z tego pocałunku, ale powinien był przynajmniej jej wysłuchać, tymczasem on oskarżył ją o coś gorszego: o to, że przespała się z Bradem.

David był dla niej najwłaściwszą wieścią. Nauczyła się widzieć wszystko jego oczami, myśleć tak jak on. Polubiła kubanki i *arroz con pollo*.

Myślała, że pojedzie za nią, że będzie błagał o przebaczenie, ale tego nie zrobił. Dopiero po pewnym czasie zdała sobie

spraw , jak musiał si e czu , kiedy policjanci odci gn li go sprzed jej domu i wsadzili do aresztu. Nie przyjechał po ni . Upokorzyła go, wi c jej nienawidził. Wolał wst pi do armii. Obóz wojskowy wydawał mu si bardziej poci gaj cy ni perspektywa spotkania z ni .

Tego lata pojawił si w Rhode Island Danny. Przyjaciel. Przyjechał, eby sp dzi z ni wakacje. Nigdy nie rozmawiali o Davidzie i nic mi dzy nimi nie zaszło. Oboje zostali nauczeni, e najwa niejszy jest college, wi c pod yli swoimi drogami. Po uko czeniu nauki Spencer wyruszyła w towarzystwie kilku kole anek z klasy na wycieczk po Europie, pó niej wróciła do Miami i przyj ła posad w firmie swego dziadka. Była w kraju ju od kilku lat, pracuj c, chodz c na pla , sp dzaj c od czasu do czasu wieczory w klubach, kiedy ponownie spotkała Danny'ego i zdała sobie spraw , e on j kocha. U wiadomiła sobie, e do siebie pasuj , e ich ycie powinno uło y si idealnie.

Potem jednak współpracownikiem Danny'ego został David...

Bolała j głowa - wypiła szampana zbyt pospiesznie. Przycisn ła palce do skroni, próbuj c u mierzy ból.

Kto usiadł obok niej i westchn ła zawiedziona. Liczyła na to, e b dzie miała cały rz d foteli dla siebie.

Jeste egoistk ! - zarzuciła sobie w my lach. Nie mo esz zaj dla siebie całego samolotu tylko dlatego, e masz problemy osobiste.

Postanowiła traktowa swego s siada uprzejmie, lecz z rezerw .

Ale kiedy spojrzała w jego stron , zdawkowe słowa powitania zastygły jej na ustach.

Szeroko otworzyła oczy. To niemo liwe.

Obok niej siedział David, obserwował j i czekał na reakcj .

J kn ła i ponownie zamkn ła oczy. Kiedy znów je otworzyła, nadal siedział przy niej. Tym razem najwyra niej postanowił pojecha za ni .

B d co b d , Sły płaci mu za to.

- Czy kupiła bilet pierwszej klasy na koszt dziadka? - spytała z irytacją .

- Oczywiście cię - odparł z pospynym uśmiechem.

Stewardesa zaproponowała mu szampana i obdarzyła go oszaleńciami uśmiechem. Przyjął kieliszek i odwzajemnił uśmiech. Jego błękitne oczy rozbliły się, a na lewym policzku ukazało się niewielkie wgłębienie. Spencer chciał ją zobaczyć . Chciała go uderzyć . Chciała krzyknąć . Chciała uciec.

Przecież wolała nie próbować uciec!

Ale choć bardzo tego potrzebowała, nie było jej to dane.

Ponownie zetknęła się z demonem przeszłości i miała wrażeń, a razem spadając do piekła.

- Chyba nie wiesz, że wybieram się do domu mojej matki.

- Tak mi powiedziano.

- W tym celu, aby był tam mile widziany. Moi rodzice nie są twoimi największymi wielbicielami. Jak zawsze.

- Co za spostrzegawczość! - stwierdził ironicznie. - Chociaż powiesz, że odkrycie tego zajęło ci sporo czasu.

- Nie masz prawa ich oszukać .

- A kto im dał prawo oszuczania mnie?

- Nie pozwól ci tam zamieszkać - oznajmiła, ignorując jego pytanie. - Nie jestem człowiekiem, z którym chcieliby mnie widywać .

- Jesteś już dorosła, Spencer. Czy nadal nie wolno ci dobrać sobie przyjaciół według własnego uznania?

- Dlaczego myślisz, że kiedykolwiek uważałam cię za przyjaciela?

- W porządku. Jestem wrogiem, z którym raz na dziesięć lat lubisz się przespacerować .

Spencer zacisnęła zęby i zeszywniała.

- Czy naprawdę nie potrafisz odejść? - spytała.

- Owszem, Spencer, potrafię - odparł cicho. Patrzył wprost przed siebie, a jego twarz była zupełnie nieruchoma. - Kiedy odszedłem do armii. Odszedłem i zostałem w wojsku. A kiedy wróciłem, wstąpiłem do policji i zostałem partnerem mojego

najlepszego przyjaciela. Robiłem co mogłem, eby trzyma si z dala od ciebie. Chyba mi si to udawało, cho musz przyzna , e blizny, które nosiłem przez tyle lat, znacznie ułatwiały mi to zadanie. Potem Danny zgin ł, a ty postanowiła si zabawi w detektywa w spódnicy. Owszem, odejd . Ale dopiero wtedy, kiedy to wszystko si sko czy.

- To znaczy kiedy? - spytała szeptem.

- Chyba wtedy, kiedy morderca zostanie schwytyany.

- To mo e potrwa . Nikt jeszcze niczego nie odkrył.

- Ale teraz sprawa nabiera rozp du, Sherlocku. Pami taj, e Delia wyl dowal ju dzi ki tobie w wi zieniu.

- Z czego niektórzy bardzo si ciesz .

- Cieszysz si wielu ludzi. I wielu ludzi wie, e jeste gotowa wtr ca si w ich ycie z powodu Danny'ego. Mo e jeste katalizatorem, który przyspiesza reakcj . Ale je li tak jest istotnie, to znaczy, e grozi ci niebezpiecze stwo.

- A wi c zamierzasz nadal mnie ledzi . Nawet w domu moich rodziców, bo tak kazał ci Sly.

- Jeste dzi niezwykle spostrzegawcza.

Zacz ła wstawa , ale przycisn ł jej r k do oparcia.

- Spencer, jeste my w samolocie. Tu nie mo esz przede mn uciec.

- Czy jeste pewien, e masz bilet pierwszej klasy?

- To wła nie jest okropne. Oni sprzedaj bilety pierwszej klasy ka demu, kto za nie zapłaci. Nawet imigrantowi.

Odwróciła si do niego plecami, uderzaj c pi ci w poduszeczk , któr podała jej stewardesa.

- Fatalnie - mrukn ła z niech ci .

Poczwała, e zeszytniał. Wiedziała, e yła na jego szyi zaczyna pulsowa , a oczy staj si niemal czarne.

- *Arpis!* - powiedział cicho.

Zacisn ła z by, odchyliła głow do tyłu i zamkn ła oczy. Kiedy , przed laty, nauczyła si wiele o jego wiecie. Interesowała si Fidelem Castro oraz Kub i doła yła stara , by

pozna biografi jego ojca. Polubiła kuba skie potrawy i nauczyła si wielu kuba skich słów.

To, w swobodnym przekładzie, znaczyło: suka.

Nic nie rozumiesz! - chciała zawoła . Ale nie rozumiała samej siebie, wi c nic nie mogła powiedzie .

W gruncie rzeczy przeszło nigdy dla nich nie min ła. A Danny nadal ich dzielił, tak namacalnie, jakby siedział teraz mi dzy nimi.

Czuła ciepło bij ce od Davida i jego zapach. Mimo woli przypomniała sobie, jak jego pieszczoty sprawiły, e zapomniała o całym wiecie. Jak bardzo kiedy go kochała. Jak nami tnie. Nawet teraz potrafił j skłoni do zapomnienia...

O Dannym.

Musi znale jego morderc . Po prostu musi. Wiedziała, e je li tego nie zrobi, nigdy nie b dzie pewna, e Danny jej wybaczył.

Bo e! Gdyby mogła uciec...

Ale David miał racj . S w samolocie, dziesi tysi cy kilometrów nad ziemi .

Nie miała dok d uciec.

9

Spencer, ku własnemu zdumieniu, przepała wi ksz cz lotu. Była wdzi czna Bogu za szampana.

Przepała nawet kolacj . Gdy wyl dowali, czuła dotkliwy gład. Kiedy wysiadali z samolotu, David nie próbował pomaga jej w niesieniu torby czy kurtki. Szedł za ni krok w krok i stan ł obok, gdy zbli yła si do okienka firmy wynajmuj cej samochodu.

- Czy mam wynaj samochód i jecha za tob , czy zabierzesz mnie? Tak czy owak, rachunek pokryje Sly.

Zerkn ła na niego z irytacj i podpisała formularz.

- Czy oprócz pani samochód b dzie prowadził kto inny? - spytała ładna, młoda urz dniczka.

- Nie - odparła Spencer.

- Tak - wtr cił w tej samej chwili David, otwieraj c portfel i kład c swoje prawo jazdy obok dokumentów Spencer.

Poczwała dudnienie w głowie i zapagn ła jak najpr dziej wyj na powietrze.

- A zatem dwóch kierowców? - spytała urz dniczka.

- Wszystko jedno - mrukn ła Spencer, usiłuj c nie podnosi głosu. Zauwa yła pełne sympatii spojrzenie, jakim dziewczyna obrzuciła Davida, najwyra niej współczuj c mu, i musi odbywa podróż w tak niemiłym towarzystwie. Dostrzegła te uwodzicielski u miech, jakim jej si odwdzi czył.

Spencer ruszyła w kierunku ruchomego chodnika. David szedł tu za ni , rozgl daj c si czujnie wokół siebie.

- Czy byłe ju kiedy w Bostonie? - spytała.

- Byłem w Nowym Jorku, Chicago, Londynie, Madrycie, Pary u i Rzymie, ale nigdy w Bostonie - wyrecytował.

Po kilku minutach opu cili ruchomy chodnik i Spencer podeszła do kolejnego okienka, by odebra klucze. David

towarzyszył jej w drodze do samochodu, odruchowo zbliżył się do niego od strony kierowcy i wyciągnął kluczyki.

- Pozwalam ci jechać ze mną, ale nie pozwól prowadzić - oznajmiła Spencer.

- Spencer, czy musimy się kłócić o to ka dy...

- To mój samochód!

- To wynajmij ty samochód!

- To mój wynajmij ty samochód. Jesteś w moim mieście, które ja znam, a ty nie. I nie wiesz nic o tutejszych kierowcach. Jedynym człowiekiem, którego boisz się nowojorski taksówkarz, jest bostoński kierowca.

- Jestem pewien, że ci nie wysłuchaliby twojej opinii na ich temat.

- Nie powiedziałam, że nie umiesz jeździć, tylko że jesteś agresywny.

- Naprawdę? Ja też potrafię być agresywny, i to jak. A teraz daj mi kluczyki.

Uznała, że dalsza wymiana zdań do niczego nie doprowadzi, więc rzuciła je na ziemię u jego stóp. Kiedy się po nie schylił, obeszła samochód, wsiadła i zatrzasnęła drzwi.

David wsunął się za kierownicę i włączył silnik.

Ruch w okolicy lotniska Logan bywa zabójczy, zwłaszcza w piątkowe wieczory. Davidowi udało się przedrzeć przez korki z taką swobodą, jakby mieszkał w tych stronach od urodzenia.

- Prosto do Newport? - spytał.

- Tak! - warknęła Spencer, a potem zawahała się, przypominając sobie, że chciała coś zjeść. - Nie.

- Czy by była głodna? - spytał z ironią. - Ach, prawda, nie tknęła tego wielkiego kotleta, który podano w samolocie. Myślę, że znasz wszystkie najdroższe lokale w tym mieście. Nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie do któregoś zabrała.

- Znam zupełnie niewiarygodne lokale - odparła słodko.

Informowała go, jak dojechać do Hard Rock Cafe, a kiedy tam dotarli, wyskoczyła z samochodu, gdy David przyglądał się jeszcze wejściu. Podszedł portier, który parkował samochody

klientów, David wysiadł i, ogłuszony muzyką, z furii spojrzął na Spencer.

Widząc jego wzrok, szybko weszła do baru. Muzyka była tu jeszcze głośniejsza niż na zewnątrz, a w przejściu stała długa kolejka. Wszyscy jednak czekali na stoły czteroosobowe lub większe, a oni byli tylko we dwoje. Energiczna kelnerka, która natychmiast wskazała im wolne miejsca, zapewniła ich niemal krzykiem, że mają niezwykle szczęście.

Spencer sama nie wiedziała, co robi. Czując, że głowa jej pęka. W Hard Rock bywało zabawnie; lubiła tu przychodzić i oglądać rockowe pamiątki, ale nie wtedy, kiedy bolała jej głowa. Przyproceedziła tu Davida, bo wiedziała, że jest zmęczony i zdenerwowany; chciała, żeby odpoczął, a postanowił spłacić dług wdzięczności wobec Sliwy i zgodził się na ledzi, a tymczasem znalazła się w równie beznadziejnej sytuacji jak on.

Przed wszystkim jednak była głodna. Zamówiła kawę i sałatkę z kurczaka, on tylko kawę; widział, że jedno z nich najadło się w samolocie.

Muzyka była ogłuszająca, a lokal pełen pićkowych gości. Urzędnicy w garniturach, młode panienki w bardzo krótkich spódniczkach. David nie próbował nawet podejmować rozmowy. Siedział rozparty w fotelu, pijąc kawę i obserwując bić się tłum.

Spencer tego nie miała ochoty mówić, ale ponieważ on milczał, postanowiła rozpocząć rozmowę.

- Jak spędzasz zwykle pićkowe wieczory? – spytała po chwili.

Wzruszył ramionami. Zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nic o nim nie wie. Dopóki Danny żył, unikała Davida, ale bardzo chciała się czegoś o nim dowiedzieć. Danny starał się jednak nie wspominać o nim, a ona nie miała go o nic pytać. Teraz z irytacją uwiadomiła sobie, jak bardzo interesuje ją szczegóły dotyczące jego życia, z jaką zazdrością nadal o nim myśli. Było to absurdalne. Przecież nie wyobrażała sobie, że David spędza życie samotnie. Nie było to do niego podobne.

Mogła po prostu milcze , ale nie umiała si do tego zmusi .

- Czym si teraz zajmujesz? - spytała. - To znaczy wtedy, kiedy nie włączysz si za kim jak go czy pies.

- To zale y - odparł, wzruszaj c ramionami.

- Od czego?

- Od tego, z kim jestem.

Spencer wypła łyk kawy, usiłuj c zachowa nieodgadniony wyraz twarzy. David pochylał si ku niej nagle, by mogła go usłysze mimo ogłuszaj cej muzyki.

- Spencer, dlaczego nie zbierzesz si na odwag i nie spytasz mnie wprost o moje ycie erotyczne?

Zdołała zachowa kamienny spokój.

- Mam prawo si tym troch interesowa - rzuciła oboj tnie.

- Doprawdy?

Poczuła, e jej policzki czerwieniej .

- Nie uwa ali my wtedy...

Och, nie kryguj si , Spencer, zgromiła w my lach sam siebie. Jeste ju dorosła.

Ale nie potrafiła opisa tego, co zrobili. Okre lenie „kochali my si ” było miłe, ale jako nie pasowało do sytuacji. Pasowałyby do niej bardziej dosadne słowa, ale Spencer nie chciała ich u ywa , cho mo e miałyby na to ochot .

W ko cu nie powiedziała nic.

David długo patrzył na ni w milczeniu, ale nie oczekiwał dalszego ci gu.

- Nie musisz si martwi o adn chorob , Spencer - powiedział w ko cu. - Sko czyła ju ?

- Co?

- Czy sko czyła ju swoj kolacj ? Boli mnie głowa i nie mam ochoty krzycze .

- Gdyby mnie obudził, zjadłabym w samolocie.

- Była w takim nastroju, e nie miałem ochoty ci budzi . Poza tym uwa am, e mogła wybra inny lokal.

- Czy by nie lubił ju rock and rolla? - spytała ze zdziwieniem.

- Lubi , ale nie dzi . Czy mo emy poprosi o rachunek i wyj ?

Rachunek przyniesiono ju wcze niej i Spencer wsun ła go pod talerz. Teraz zacz ła go studiowa .

- Daj mi ten cholerny rachunek.

- Dlaczego?

- Bo jestem m skim szowinist , czy jak tam zechcesz mnie nazwa . Daj mi rachunek!

Ku własnemu zdziwieniu, spełniła jego polecenie. Wyszli z restauracji w milczeniu. Kiedy portier przyprowadził ich samochód, była ju niemal północ.

- To ja znam drog - powiedziała Spencer.

- Wsiadaj! - warkn ł David. - Prosz ci - dodał, widz c jej pełne oburzenia spojrzenie. Posłuchała go.

O tej porze ruch był niewielki. Spencer pocz tkowo z napi ciem obserwowaa drog , potem jej oczy zacz ły si zamyka . W ko cu oparła głow o fotel i zasn ła.

Obudziła si , czuj c, e kto ni potrz sa. Otworzyła oczy i stwierdziła, e le y na kolanach Davida. Było jej tam wygodnie. Przyływ nostalgii przyprowi ł o przyspieszone bicie serca. Tak, było jej dobrze, kiedy czuła jego zapach, jego dotyk, jego uda przez spodnie.

Szybko usiadła i zamrugaa oczami.

Stali przed bram jej rodzinnej posiadło ci, któr otaczały wielkie rezydencje, otwarte dla zwiedzaj cych. Spencer uwa ała, e dom jej rodziców nale y do najpi kniejszych w okolicy. Został wzniesiony w 1920 roku i od tej pory stale go rozbudowywano. Był absurdalnie wielki jak na dwie osoby, lecz jej rodzice mieszkali w nim sami - a raczej tylko ze słu b - a do pierwszych niegów.

- To tu? - spytał David.

Spencer, zaspana i zdeorientowana, kiwn ła głow .

- Jak tu trafiła ?

- Sly podał mi adres, tyle e w tej okolicy adres nie wystarcza. Spytałem jeszcze na stacji benzynowej.

- Och...

- Jak mo na wjecha do rodka, nie nara aj c si na arestowanie?

Spencer odgarn ła z twarzy potargane włosy i wskazała domofon.

- Naci nij guzik.

- Jest dosy pó no.

- Moja matka yje nocami, jak sowa.

Bez komentarza nacisn ł guzik. Spencer przechyliła si w jego stron , by mówi do mikrofonu. Po chwili usłyszeli pełen rezerwy m ski głos.

- Tak?

- Henri, to ja, Spencer. Czy mo esz otworzy bram ?

- Tak, pani Huntington. W tej chwili.

- Henri? - spytał David, patrz c na ni badawczo.

- Nasz lokaj.

- Czy on te yje w nocy, jak sowa?

- Chyba nie. Ale jest bardzo dobrze opłacany. - Brama rozsun ła si . - Jed my.

Ruszyli alej w kierunku domu, który stał na parceli wielko ci niemal pół hektara i miał chyba z tysi c metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej. Jego fasad zdobiły ogromne, greckie kolumny. Zatrzymali samochód na szerokim podje dzie.

- Je li mam zapewni ci opiek w tym domu, to chyba b d musiał zatrudni jeszcze kilkuset ludzi.

- Jasne - odparła, rzucaj c mu zło liwe spojrzenie. - Mo e mnie napa kamerdyner.

- No wła nie. Ja go nie znam, a co ty o nim my lisz?

- My l , e Sly marnuje pieni dze.

- Co mam zrobi z samochodem? - spytał, ignoruj c jej uwag .

- Zostaw go. Rano zajmie si nim szofer.

Hol był ogromny. David pomyślał, że za widzi nad jego głow kandelabr mo na by dosta sum pozwalaj c wy ywi połow bezdomnych mieszka ców Dade County przez cały rok. Po lewej stronie znajdowała si okazała sala balowa, po prawej - biblioteka, wi ksza od wielu znanych mu bibliotek publicznych.

W samym rodku holu zaczynały si marmurowe schody, biegn ce łukiem na otwarty korytarz pierwszego pi tra. Tam wła nie, za balustrad , pojawiła si matka Spencer. Miała na sobie powiekn nocn koszul i dobrany do niej kolorem szlafrok. Jej m , w aksamitnej bon urce, szedł tu za ni . David miał wra enie, e ogl da tandetny serial telewizyjny.

- Spencer! - Mary Louise Montgomery, zachwycona widokiem córki, zarzuciła jej r ce na szyj . Potem spojrziała nad jej ramieniem i dostrzegła Davida.

- David! - zawołała ze zdumieniem, zupełnie innym tonem, staraj c si zachowa na twarzy co w rodzaju u miechu.

David widział oczywi cie rodziców Spencer na pogrzebie Danny'ego. Wszyscy byli tam dla siebie uprzejmi, a nawet serdeczni - jak e inaczej mogli si zachowa nad grobem takiego człowieka jak Danny? Zwłaszcza e musieli bra pod uwag ból Spencer.

Ale teraz...

Mary Louise, nadal usiłuj c zachowa spokój, odsun ła si od córki, by na niego spojrze .

- Spencer, ty... przywiozła z sob Davida.

- Nie zrobiła tego dobrowolnie, pani Montgomery - odezwał si David, nadal trzymaj c w r kach бага e.

- Jestem jej ochroniarzem - dodał obcesowo.

- O czym on mówi? - spytał stanowczym tonem Joe Montgomery, post puj c krok do przodu. Wyrwał Spencer z obj ony i serdecznie j u ciskał, nie przestaj c patrze na Davida.

- O niczym, tato.

Spencer odwróciła si i spojrziała badawczo na Davida, on za wzruszył ramionami, daj c jej wyra nie do zrozumienia, e

powinna powiedzieć prawdę. Rodzice powinni wiedzieć, że zdaniami starego pana Montgomery, zagraża jej niebezpieczeństwo, zamiast trwać w przekonaniu, że przywiozła go z sobą na wesoły weekend.

- David, proszę cię, wyjaśnij mi, o co tu chodzi - zadała cichym głosem Joe.

David ponownie wzruszył ramionami, a choć nieco, nie odezwał się tak szorstko. Nie lubił ani nie szanował Joe'ego, ale dostrzegał w nim niektóre cechy jego ojca. Był podobnie jak on wysoki, szczupły i dystyngowany. David przypuszczał, że Joe w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko niemu. Jego matka zdecydowała po prostu, że David nie jest odpowiednią partią dla Spencer, a on zgodził się z nią i zrobił to, co uważał za korzystne dla swego dziecka.

- W gruncie rzeczy niewiele jest do wyjaśnienia. Słyszę się niepokoi, bo ledźstwo w sprawie śmierci Danny'ego ujawniło kilka dodatkowych okoliczności. Prosił mnie, abym pilnował Spencer.

- Nawet tutaj? - spytała z lekką irytacją pani Montgomery

- Słyszysz jest człowiekiem ostro nym.

- Wiecie co - wtrąciła Spencer - jest już naprawdę późno. Jestem przekonana, że w tym domu znajdzie się jakiś pokój dla Davida. Poza tym umieram ze zmęczenia. Możemy o tym wszystkim pogadać jutro rano. Idź spać.

Podeszła do Davida i wyjęła z jego ręki swój torbę.

- Dzięki - mruknęła zdawkowo i ruszyła po marmurowych schodach w górę.

Czuła na sobie spojrzenie trzech par oczu. Nie, czterech. To Henri, którego blondurka była tylko odrobinę mniej elegancka od blondurki pana domu - pojawił się bezgłośnie, niemal magicznie, by zadbać o Davida.

- Dobry wieczór, Henri! - zawołała, machając do niego ręką.

- Witamy w domu, pani Huntington.

- Dzięki.

Spencer szła nadal w gór i zastanawiała si , czy jej rodzice i David b d stali przez cał noc w holu. Tymczasem usłyszała gł os ojca:

- Czy wypijesz ze mn kieliszek koniaku, Davidzie? Henri zabierze twoje baga e, a ja poka ci pokój go cinny, kiedy wejdziemy na gór .

- Ja... ch tnie - odparł David.

- Ja te chyba si czego napij ... - zacz ła Mary Louise.

- Nie - odparł jej m . - Chyba powinna i spa Niedługo przyjd .

Spencer odwróciła gł ow , nie chc c przegapi sceny która rozgrywała si na dole.

Matka była zaskoczona, ale ojciec wydawał si zdecydowany.

- No có , chyba w takim razie... - wyb kała Mary Louise, przykładaj c dło do szyi. W jej głosie pobrzmiwała dezaprobata.

Spencer współczuła matce. Sama umierała z ciekawo ci i bardzo chciaaby usłysze , co b d sobie mieli do powiedzenia obaj panowie. Była niemal gotowa zbiec na dół i za da dopuszczenia jej do rozmowy wiedziała jednak, e zostanie odprawiona równie stanowczo jak matka.

Poza tym była naprawd zm czona. Czowała, e je li zaraz si nie poło y, zwali si z nóg. Była miertelnie wyczerpana. miertelnie...

Co za okropne słowo. Zadr ała gwałtownie i poszła do swojego pokoju.

Zawsze wygl dał tak, jakby na ni czekał. Nie zmienił si prawie od czasów, gdy jako mała dziewczynka przyje d ała tu na lato. Teraz pasował do niej bardziej, bo w gruncie rzeczy nigdy nie był pokojem małej dziewczynki. Draperie, baldachim nad ł o em z wi niowego drewna i poszewka na kołdr uszyte były ze złotego adamaszku. Parkiet przykrywał mi kki perski dywan. eliwne grzejniki, które pozostawiono instaluj c ogrzewanie podłogowe, pomalowane były na be owo. ciany

wyło ono do pewnej wysokości boazeri, nad którą przyklejono jasne tapety, dochodziła do gzymsu okalającego sufit. Był to miły, atrakcyjny pokój, urządzony przed laty przez jakiegoś zdolnego projektanta w trzech. Spencer dosyć go lubiła, ale czuła, że brakuje w nim ładów jej osobowości. W gruncie rzeczy naprawdę lubiła jedynie łazienkę, w której stała wielka, staro-wiecka wanna z antycznymi kranami, oraz balkon, z którego widać było ogród różany i basen kąpielowy. Woda podgrzewana przez cały rok - na wypadek, gdyby komu przyszła ochota popływać.

Postawiła torbę obok łóżka i wyszła na balkon. Patrząc na basen, czuła unoszący się w powietrzu zapach róż. Balkon zajmował całą tylną część domu, ale panowała taka cisza, jakby na wiecie nie było nikogo oprócz niej. Wróciła do pokoju, szybko wzięła prysznic i weszła do łóżka, przekonana, że natychmiast zasnie.

Ale sen nie nadchodził.

Gdy tylko zamknęła oczy, przypomniała sobie noc, podczas której aresztowano Davida.

Jego oczy. Wiedziała, że nigdy nie zapomni spojrzenia, jakim ją wtedy obrzucił i poczuła lodowaty dreszcz. Chciała zbiec na dół i dowiedzieć się, o co chodzi, ale na schodach zatrzymał ją ojciec. Mocowała się z nim, bliska hysterii, a on powtarzał uparcie, że nie ma z tym spraw nic wspólnego. Zanim mu się wyrwała, policjanci już odjechali, zabierając z sobą Davida. Matka była nieugięta. Twierdziła, że oczywiście nie wzywałaby policji, gdyby wiedziała, kto stoi pod oknem, ale David musi się nauczyć, że wchodzenie na cudzy teren i rzucanie kamieniami w okna jest przestępstwem.

Była to najgorsza noc w jej życiu. Ponieważ do matki nie docierały żadne argumenty, Spencer oznajmiła rodzicom, że nie chce ich nigdy więcej oglądać na oczy.

Tym łatwiej było jej wyjechać następnego dnia, kiedy David wyszedł z własnego domu, zostawiając ją samą.

Cho od tej pory min ło wiele czasu, cho oboje sporo prze yli i zetkn li si ze mierci , nadal dr ała na wspomnienie tego dnia. David, który był jej całym yciem, odszedł. Broniła rodziców, lecz zarazem ich nienawdziła. Upłyn ło wiele lat, zanim była w stanie im wybaczy . Pocz tkowo nie przyje d ała do domu nawet w okresie wakacji. Gdyby nie Sly, nigdy by chyba nie wybaczyła ani im, ani sobie. Zbyt bolało j to, e ludzie, którym ufała, dopu cili si zdrady.

To było tak dawno. Wyszła potem za Danny'ego, była z nim szcz liwa. Ale teraz...

Teraz znów walczyła z sob , bo zbyt łatwo przyzwyczaiła si do blisko ci Davida. Kiedy była z nim, wspomnienia o ich zwi zku natychmiast wracały, spychaj c okres mał e stwa do zakamarków pami ci. Zagryzła wargi i przyznała sama przed sob , e nigdy nie przestała kocha Davida - co nie znaczyło, e nie kochała Danny'ego. Kochała go, ale mo e nie tak, jak powinna. Chwilami jej poczucie winy malało; wtedy miała wyrzuty sumienia, e nie czuje si do winna. Czasem zapominała o wszystkim i po prostu chciała by znowu z Davidem, ale byli teraz starsi, prowadzili nowe ycie, a onanie miała odwagi rozbudza w sobie zbyt g ł bokich uczu , dopóki...

Dopóki wspomnienia o Danny'm nie odejd w niepami . Wtedy mo e...

Otworzyła gwałtownie oczy, usłyszawszy jaki hałas.

Skrzypni cie, szept? Spojrzała na drzwi balkonu. Za koronkow firank , faluj c w lekkich podmuchach wiatru, dostrzegła poruszaj cy si cie .

Serce podeszło jej do gardła. Nie potraktowała serio ostrze e dziadka, e kto usiłuje j zabi , tymczasem majacz cy w wietle ksi yca cie wydawał si gro ny: podchodził do drzwi i stawał si coraz wi kszy.

Wyskoczyła z łó ka, przemkn ła przez pokój i zastygła w bezruchu pod cian , obok drzwi wychodz ych na balkon.

Jedno ich skrzydło zacz ło si otwiera do wewn trz. Chciała krzykn , ale była sparali owana strachem. Dostrzegła

stojąc na toalecie, porcelanowe figurki i chwyciła ją w momencie, w którym się wchodził do pokoju. Uniosła swój broń i opuciła ją, mierząc w głowę. Cię odwrócił się błyskawicznie i jednym ręką odparował cios, a drugim zacisnął na jej ustach, tłumiąc krzyk.

- Spencer, oni kazali mnie aresztować za rzucanie kamieniami, a za włamanie do twojego pokoju po prostu mnie do celi mierci!

- David! - wyszeptała, wrywając się z jego ręk. - Ty draniu! O mało nie umarłam ze strachu! Dlaczego nie zapukałaś?

- Nie chciałem cię budzić. Chciałem się tylko upewnić, że nic ci nie jest.

Drąc i czując przyspieszone bicie serca, odstawiała figurki na miejsce. David był bardzo atrakcyjnym cieniem. Wziął ją prysznic i miał na sobie tylko dżinsy. Zachwyciła się zapachem jego czystego ciała i przez chwilę miała ochotę rzucić mu się w ramiona, powiedzieć, że się boi i chce, żeby spędził z nią noc. Pragnęła rozgrzać się w promieniującym od niego ciepła, poczuć go po daniu, zapomnieć o całym świecie.

Ale nie wiedziała, jak on na to zareaguje. Czy nie powie jej, że obudziliby się przed plutonem egzekucyjnym? To w gruncie rzeczy nie miało dla niego znaczenia. Nie obchodziło go, co myślała o nim jej rodzice, bo nauczył się - drogo płacić za te nauki - że najważniejszą rzeczą jest szacunek dla samego siebie.

Zamknęła oczy. Było jej trochę słabo i wstydziła się sama przed sobą, że tak łatwo zapomniła o swej miłości do Danny'ego, że przeszło i teraz niejszo tak szybko odchodzi w niepamięć, kiedy znajdzie się zbyt blisko Davida. Pozostawało tylko po daniu. A potem...

Potem pamiętała tylko ból.

Danny był jednym z najwspanialszych ludzi na świecie i kochała go. Naprawdę go kochała.

Ale kiedy kochała również Davida.

Gdyby jej dotknął, tylko dotknął...

Ale nie zrobił tego, lecz odwrócił się w stronę balkonowych drzwi.

- To zdumiewające, ale umie cili mnie w swoim pokoju - powiedział ironicznym tonem. - Widocznie ufaj mi, kiedy występuję w charakterze anioła stróża. Gdyby cokolwiek się działo, krzycz. Zostawię otwarte drzwi.

- Tutaj nic mi się nie stanie.

- Dlaczego tak się dżisz?

- Czy stało się cokolwiek od tego incydentu na komentarzu? A jeżeli groziło mi wtedy niebezpieczeństwo, to sama byłam sobie winna, o czym wielokrotnie zresztą słyszałam - od ciebie i od innych.

- Spencer, bądź grzeczną dziewczynką i zachowuj się rozsądnie.

- Nic się nie stanie. Nie tutaj. Jesteśmy o milion kilometrów od Miami.

- No cóż, mam nadzieję, że się nie mylisz... Może powinna przemieścić się tu na jakiś czas - dodał po chwili namysłu.

- A może nie! - odparła z irytacją.

- Potrafisz szybko uciekać.

- Ja wcale nie uciekałam.

- Owszem, uciekała. Zawsze uciekasz, i to bardzo szybko, ale tym razem może nie był to zły pomysł.

- David, przyjechałam tu na weekend. To wszystko.

- No cóż, jest późno - odparł i wzruszył ramionami. - Może się kłóci jutro.

Ruszył w kierunku drzwi, lecz zawołała go.

- David!

- Słucham?

- Czego chciał ojciec?

- Porozmawia ze mną w cztery oczy.

- Czego chciał? - powtórzyła przez zaciśnięte zęby.

David wahał się przez sekundę.

- Przeprosił mnie. Wyraził al, e kazał mnie wtedy aresztowa .

Podmuch wiatru poruszył koronkow firank .

- A co ty mu powiedziała ?

- e to było dawno i nie ma ju znaczenia. Dobranoc, Spencer.

Przez chwil stał nieruchomo, patrz c na ni z uwag . Potem znikn ł, a ona poło yła si do łó ka i zacz ła o nim my le .

Spał w s siednim pokoju. Tak blisko.

Zdrzemn ła si i przypomniała sobie...

Obudziła si gwałtownie, usiadła i zadr ała nerwowo. J kn ła. Potem próbowała ponownie zasn .

To była długa noc.

Kiedy obudziła si nast pnego ranka, stwierdziła, e pozostali domownicy ju wstali i jedz niadanie na werandzie. Dzie był chłodny, ale słoneczny. W taki dzie przyjemnie jest siedzie na dworze i czu powiew wiatru zmieszany z promieniami sło ca. David trzymał w r ku fili ank z kaw . Nie wygl dał mo e jak serdeczny przyjaciel jej rodziców, ale przynajmniej siedział z nimi przy jednym stole i popijał kaw , spogl daj c na rozległy trawnik.

- Spencer, kochanie! - zawołała matka. - Wygl dasz na wyspan i wypocz t . Zastanawiałam si , czy skoro ju tu jeste , nie pojechałaby ze mn na lunch do Daisy Eaton?

- Wybacz, mamó, ale chc dzi zobaczy pla i obejrze kilka rezydencji. ci gn pomysły do nowych projektów.

- Spencer, przecie ty nie musisz pracowa - powiedziała matka z wyra nym niezadowoleniem. - A dom Daisy Eaton jest o wiele ładniejszy ni te zatłoczone rezydencje, przez które przewalaj si tłumy zwiedzaj cych. Gdyby Danny ył, mo e byłaby teraz w ci y, a on zrezygnowałby ze swoich niem drych pomysłów i przestał walczy z przest pczo ci . Wy oboje...

Spencer sama zdobyłaby si ę na protest, bo słowa matki sprawiły jej okropny ból. Czuła si ę tak, jakby kto wbijał jej w serce metalowy gwó d .

Zerkn ęła ze zdziwieniem na ojca. Pochylał c si ę w kierunku ony, mówił stanowczym tonem:

- Spencer i Danny mieli prawo wybra ę sobie własny model ycia, podobnie jak ty masz prawo d ęnienia do spełniania swoich marze ę. Przypominanie Spencer o mierci m ęa do niczego moim zdaniem nie prowadzi.

Mary Louise spojrzała na m ęa, oddychaj c szybko. W jej oczach pojawił si ę wyraz bolesnego zaskoczenia. Była gotowa zala ę si ę łzami.

Spencer siedziała nieruchomo, przypominaj c sobie wszystkie przypadki, w których matka wtr ęcała si ę do jej ycia. Zawsze jej to wybaczała, poniewa ę nie chciała jej zrani ę. Ale ojciec ma racj ę. Mary Louise widziała zawsze tylko jedn ę drog ę ... Mo ę e nadszedł czas, by zmusi ę j ę do pogodzenia si ę z istnieniem innych.

Spencer wstała. Rodzice i David spojrzeli na ni ę z zaskoczeniem.

- Musz ę jecha ę - oznajmiła cichym głosem. Szła ju ę w kierunku gara u, kiedy zdała sobie spraw ę, e David idzie dwa kroki za ni ę.

Odwróciła si ę i stan ęła z nim twarz ę w twarz.

- Jak to, nie ma oklasków? - spytała z gorycz ę. -A ja my lałam, e odegrałam t ę scen ę doskonale.

- Spencer...

Nie chciała słucho ę go dłu eej. Otworzyła gara ę i zobaczyła, e stoi w nim wynaj ty samochód z kluczykami w stacyjce. Wsun ęła si ę za kierownic ę i zatrzasn ęła drzwi.

David usiadł obok niej.

Ruszyła podjazdem w kierunku bramy, patrz c prosto przed siebie. Czuła si ę nieszcz ęliwa. Tak wiele zawdzi ęczała Danny'emu, a teraz sprawiała mu zawód. Sama nie wiedziała, co robi.

David siedział w milczeniu.

- Powiedz co ! - za dała.

Milczał jeszcze przez chwilę , a potem zaczął cicho:

- Nie mogła udawać , że szanowałam twoją matkę .

- Nienawidziłam jej.

- Nie przepadałam za nią . Ale teraz jest mi jej żal i może wreszcie coś zrozumiałem. Ona nie ponosi winy za to , że jest taka , jaka jest. Ty miałaś większe szanse poznania życia. Wysłano cię do prywatnej szkoły, ale w jej pobliżu znajdowały się dzielnice nędzy. Przez całe życie obserwowała uchodźców, widziała , że inni nie mają tego co ty, a twoja matka nigdy tego nie doświadczyła. Dorastała w bogactwie i otaczali ją tylko ludzie zamożni. Nie umiała zaakceptować tego, czego nie знаła i do tej pory nie akceptuje rzeczy, które budzą w niej lęk. Ale może się zmieni , Spencer. Kiedyś może się zmieni . A ona bardzo cię kocha.

Spencer odwróciła głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Uwaga na wiatła, Spencer!

Dostrzegła przed sobą czerwone wiatło na końcu stromego zjazdu. Naciśnięła pedał hamulca. Nic.

- Hamuj!

- Hamulec nie działa!

Wiatła były coraz bliżej, a samochód, tocząc się z góry, nabierał rozpędu. Widzieli pojazdy, przesuwały się powoli prostopadle do nich. Za wiatłami wznosił się biały płot ogrodzący skalisty cypel, porośnięty trawami i dzikimi kwiatami. Dalej, znacznie niżej, leżał postrzępiony brzeg Oceanu Atlantyckiego.

Nadal mknęła w dół. Spencer, krzycząc głośno, raz po raz naciskała hamulec. David gwałtownie przesunął się na fotel kierowcy i postawił stop na jej nodze.

Ale nawet on nie był w stanie nic zrobić .

Samochód nabierał szybkości, a ona z przerażeniem wpatrywała się w skrzyżowanie.

wiatła zmieniły się na zielone, zatrzymując i blokując im drogę pojazdy. Przed nimi był tylko mały, biały, drewniany płótek, a za nim cypel poroń ty ska p ro linno ci .

Woda i skały.

Wpadli na skrzyżowanie.

Przed nimi otworzył się nieskończony przestwór nieba i morza.

10

David gwałtownie szarpnął kierownicę w prawo. Skręcił, burząc połowę płotu i włączył się w ruch uliczny, który na szczęście nie był zbyt wielki. Rozległy się klaksony. Ich samochód toczył się na dwóch kołach, nie mogąc odzyskać równowagi.

Droga nadal prowadziła lekko w dół. Była na tyle stroma, że nabierali prędkości. Spencer, obserwując z przerażeniem zbliżające się pojazdy, nacisnął z całej siły klakson.

Nadjeżdżające z przeciwka samochody uciekały z piskiem opon na pobocza. Rozległy się dalsze klaksony. Zobaczyli przed sobą łagodny zakręt, a za nim poroniły głośnymi krzakami nasyp.

- Jedź w te krzaki! - nerwowo wykrztusił David.

Chciała zaprotestować, ale słowa uwiły jej w gardle. Miał rację. Wiedziała, że za chwilę natrafi na następną zakręt, następną drewnianą płotek, a potem czekał ich los w próbie uderzenia o skaliste wybrzeże.

Albo zderzenie z samochodem, autobusem lub motocyklem. Z jakim pojazdem. Zderzenie mogło być za sobą początkiem innych ludzi.

Trwała w milczeniu, że nie tym gardłem. Pokonali łuk, a potem David szarpnął kierownicę i wpadli w krzaki. Spencer krzyknął z przerażeniem, słysząc trzask łamanych i uderzających o samochód gałęzi. Przednia szyba pękła, a jej odłamki zasypały ich jak krople mierzwiłnego deszczu. Spencer instynktownie zamknął oczy. Potłuczone szkło nie tknęło jej twarzy, spadając na rękę.

Ku jej zdumieniu samochód zatrzymał się.

Siedziała bez ruchu, bojąc się otworzyć oczy i czuć na sobie jakiś ciepły ciar. David. Czy by nie był?

O miała si otworzy oczy w chwili, w której wła nie si od niej odsuwał, strz saj c z siebie odłamki szkła.

- yjesz? - spytał cicho.

Patrz c t po przed siebie, zmusiła si do kiwni cia głow . Ujrzała we włosach Davida kawałki szkła. Chciała je usun , ale chwycił j za r k .

- Ostro nie. Nie ruszaj si . Podejd z drugiej strony.

Z trudem otworzył drzwi. Stali w k pie krzewów.

Przednia szyba przebita była grub gał zi , która min ła głow Davida o kilka centymetrów.

Okr ył samochód, szarpn ł za klamk drzwi kierowcy, zakł ł, uderzył w nie całym ciałem i szarpn ł ponownie.

Spencer usłyszała wycie syren i zamkn ła na chwil oczy. Nie znosiła tego d wi ku. Wzdrygn ła si , cho wiedziała, e tym razem samochody jad do nich i cho powinna si cieszy , e jakim cudem oboje prze yli.

David otworzył wreszcie drzwi i podał jej r k . Na jego twarzy malowało si skupienie i napi cie.

- Nic nie złamała ? Jeste pewna? Nie czujesz bólu w karku, w plecach...

- Nic mi nie jest - wykrztusiła, z trudem opanowuj c dr enie głosu. David wzi ł j za r ce.

- Ostro nie. Powoli. Uwa aj na szkło.

Samochody zatrzymywały si . Spaceruj cy po nadmorskiej promenadzie ludzie pospiesznie przechodzili na drug stron ulicy.

Radiowóz policyjny dotarł jako pierwszy na miejsce wypadku i zatrzymał si za ich samochodem. Jego kierowca, wygl daj cy najwy ej na dwadzie cia lat, podbiegł do nich błyskawicznie i zacz ł pyta , czy nic im si nie stało.

- Jezu, to cud, e yjecie! - powiedział, drapi c si po głowie i ogl daj c ich samochód. - Co si , do diabła, stało?

- Wysiadły nam hamulce - odparła Spencer.

- Wynaj ty samochód? - spytał policjant.

Kiwn ła potakuj co głow .

- Wynaj li my go wczoraj wieczorem w Bostonie - wyja nił David, gdy nadjechała karetka pogotowia.

Młoda piel gniarka o krótkich, k dzierzawych, ciemnych włosach i ujmuj cym, młodzie czym u miechu zaj ła si natychmiast Spencer i oznajmiła jej, e maj specjalny odkurzacz, wysysaj cy z włosów cz steczki szkła.

Spencer podeszła z ni do karetki, a David pozostał z policjantem przy samochodzie. Widziała, jak wyci ga swoj licencj prywatnego detektywa oraz umow wynajmu. Potem zauwa yła, e ma podart koszul . W jego ciemnych włosach nadal l niły o wietlone przez sło ce odłamki szkła.

- No i co? Wszystko w porz dku? - spytała piel gniarka, przygl daj c si jej z uwag . - My l , e na wszelki wypadek powinni cie oboje pojecha do ambulatorium.

- Naprawd nic mi nie jest.

- B dzie pani obolała od stóp do głów. Przy tego rodzaju wypadkach ka dy napina mi nie, czekaj c na zderzenie. Pomaga na to ciepła k piel. I prosz si du o rusza . To u mierza ból.

Spencer z roztargnieniem kiwn ła głow , nadal obserwuj c Davida, który uparcie czego dał. Policjant drapał si po głowie, ale w ko cu przytakn ł. David ruszył w kierunku Spencer.

Przyjechały dalsze radiowozy i do Spencer podszedł jaki starszy policjant w cywilnym ubraniu. Sympatyczna piel gniarka znikn ła.

- Czy to pani prowadziła ten samochód? Spencer kiwn ła głow .

- I mówi pani, e hamulce przestały działa ?

- Tak. Po prostu nagle wysiadły.

- Bez wzgl du na okoliczno ci, odpowiedzialny za pojazd jest kierowca. Zapłaci pani mandat za wykroczenie drogowe. Miała pani niewiarygodne szcz cie, młoda damo.

- Chce pan ukara mnie mandatem? - powtórzyła z niedowierzaniem Spencer. - Przecie wynaj li my ten samochód

dopiero wczoraj wieczorem! Ukarzcie mandatem t firm ! To oni dali mi taki samochód - dodała z irytacją .

- Chwileczk , sier ancie! - zawołał jeden z policjantów, który rozmawiał poprzednio z Davidem. - Sier ancie, ta pani nazywa si Spencer Montgomery Huntington.

- Pochodzi pani z rodziny Montgomery? - spytał starszy policjant, mru c oczy.

- Tak - odparła zwi le, patrz c ponad jego ramieniem na Davida.

- Zobaczymy, co b dziemy mogli zrobi - mrukn ł sier ant i odszedł. Młody funkcjonariusz u miechn ł si do niej promiennie.

- Prosz da mi zna , gdybym mógł si na co przyda , pani Huntington.

- Dzi kuj - powiedziała cicho. Ju chcieli j powiesi , ale David zadbał o to, by dowiedzieli si kim jest. Reszt zrobiło jej nazwisko.

Przyjechała pomoc drogowa. David jeszcze przez chwil rozmawiał z policjantami, a potem podszedł do Spencer.

- Czy nie my lisz, e powinna pojecha do szpitala? - spytał.

Potrz sn ła stanowczo głow .

- A ty?

- Za nic w wiecie - odparł z leniwym u miechem. - Posłuchaj, ten policjant zaproponował, e odwiezie nas do domu twoich rodziców. Chciałbym si wyk pa i przebra .

Młody funkcjonariusz, nadal u miechaj c si promiennie, wskazał im tylne siedzenie swego samochodu.

- Chcieli mi da mandat - powiedziała z rozbawieniem Spencer, kiedy ju byli w rodku. - O mało nie zgin li my, a oni chcieli mi da mandat!

- Takie s przepisy.

- Ale ty im powiedziałe , e pochodz z rodziny Montgomery.

David wahał się przez chwilę, a potem potrzęsł głowę.

- Nie powiedziałem im, że nosiła kiedyś nazwisko Montgomery. Powiedziałem im, że jesteście wdowami po policjancie. Kto znał twoje nazwisko. Zapewne wpłaciła dużo pieniędzy na fundusz pomocy dla wdów po policjantach, które nie pochodzą z rodziny Montgomery, i dla ich dzieci.

Spencer poczuła, że się rumieni. Opuściła wzrok i spojrzała na swoje zaciśnięte dłonie, które trzymała na kolanach. Palec, na którym nosiła prosty, złoty obrączek od Danny'ego, był lekko rozciśnięty.

- Danny i ja nie mieliśmy dzieci, ale inni zabici policjanci je mieli. Ich syny cierpią po stracie matki i wychowują dzieci same. Zasługują na pomoc.

- Nie musisz mi tego tłumaczyć. Sam byłem gliniarzem. - Przerwał na chwilę, a potem zmienił temat. - Może teraz będziesz miała do rozumu i wreszcie przyznasz, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

- Co?

- Spencer, o mało nie zginęli my...

- Bo wysiadły hamulce! Nie jesteście w Miami, jesteście w Rhode Island! Uspokój się, David!

Kiwnął głowę i czekał, aż przebrzmi echo jej słów, po czym spojrzał na niego stanowczo.

- Ricky Garcia jest milionerem, Trey Delia ma wyznawców w całym kraju, a Gene Vichy pławi się w pieniądzech swojej siostry. Czy nie sądzisz, że kiedyś z nich mógłby dosięgnąć do Rhode Island?

- To absurd! - odparła, nie patrząc mu w oczy. - Przecież ja o niczym nie wiem.

- Ale, jak lubisz podkreślać, Trey Delia został dzięki tobie aresztowany - stwierdził obcesowo. - Może Garcia myśli, że będzie następny.

- Przecie sam powiedziało, że Ricky Garcia jest bardzo bogaty i ma wielkie wpływy. Gdyby naprawdę chciał mnie zabić, już by to zrobił.

- Nie sądzisz chyba, że podejdzie do ciebie na ulicy i zastrzeli ci? Nie, on jest o wiele bardziej subtelny. Na tyle subtelny, by zaaranżować wypadek samochodowy.

- W takim razie mógł mnie wykończyć w Miami.

- Gdyby zginęła w Rhode Island, wzbudziłoby to o wiele mniej podejrzeń.

- Doprowadzasz mnie do rozpaczy - jęknęła.

- Spencer...

Traciła go nagle w ramieniu, nie zauważając, że skrzywił się z bólu.

- Dojeżdżamy do domu. Powiedz mi, gdzie ma skręcić w prawo.

David zacisnął zęby, pochylił się ku kierowcy i wskazał mu podjazd. Młody policjant kiwnął głową i ponownie się uśmiechnął. Kiedy zatrzymał radiowóz przed bramą, Spencer wysiadła, by nacisnąć guzik domofonu, a potem pokazała im, że mogą wjechać. Postanowiła przebyć resztę drogi na piechotę i wytrzeć z włosów resztki szkła, a mimo to zastanowił się nad słowami Davida. Kiedy dotarła na miejsce, obaj czekali na nią obok samochodu. Policjant patrzył na rezydencję z nie skrywaną ciekawością.

- Czy mogę zaproponować panu coś zimnego do picia albo filiżankę kawy? - spytała Spencer.

- Nie, dziękuję, jestem na słuchu - odparł. - Ale chętnie skorzystam z zaproszenia innym razem.

- Bardzo mi bardzo miło - zapewniła, ciskając jego dłoń.

- Bądź z panem w kontakcie, panie Delgado - oznajmił policjant, salutując.

- Dziękuję - odparł David.

- W jakiej sprawie chce się z tobą skontaktować? - spytała w chwilę później.

- Obiecałem, że da mi znać, co było z tymi hamulcami.

- Co to znaczy?
- B d próbowali stwierdzi , jak i kiedy je uszkodzono.
- Dlaczego s dzisz, e je uszkodzono? Mogły po prostu by popsute.

- Owszem, mogły - odparł David. - Jest to równie prawdopodobne jak to, e ja mógłbym nauczy si lata . Wejd my do domu.

Popchn ł j lekko w kierunku schodków, gdzie przy drzwiach czekał na nich Henri. Wydawał si zdeorientowany.

- Mieli my drobny wypadek z tym wynaj tym samochodem - oznajmiła nonszalanckim tonem Spencer, prawie si nie zatrzymuj c.

- Czy mog pa stwu co poda ? Lub cokolwiek zrobi ? - spytał Henri. - Rodzice pojechali ju na lunch, wydawany przez pani matk . Wróc dopiero pó nym popołudniem.

- To dobrze - mrukn ła pod nosem. David usłyszał jej słowa i uniósł brwi ze zdziwienia. Zignorowała go i ruszyła w kierunku schodów.

- Nic mi nie trzeba, Henri.

- A ja poprosz o bardzo du y kieliszek koniaku - powiedział uprzejmie David.

- Zaraz panu przynios , sir - skłonił si Henri.

David, który mijał wła nie Spencer na schodach, mrugn ł do niej porozumiewawczo.

- To zagoi wszystkie moje rany - powiedział, podchodz c do drzwi swego pokoju.

Spencer długo stała pod gor cym prysznicem, maj c nadzieję , e woda zmyje z niej resztki szkła. Potem bardzo starannie umyła włosy.

David musi si myli . To był po prostu jaki problem techniczny.

Była w prawdziwym niebezpiecze stwie tylko raz, na cmentarzu, ale wtedy sama si na nie naraziła. Musiała przyzna , e post piła głupio, ale nie mogła przyzna racji swemu dziadkowi, który obsesyjnie twierdził, e oderwanie si

belki, która omal nie spadła jej na głowę w tym remontowanym domu, nie było dziełem przypadku. Przecie hamulce czasem zawodzą. Klóciła się wtedy z Davidem; może niechcąc sama coś popsuła.

Teraz już naprawdę przesadzasz, Spencer, ofuknęła w myślach sam siebie. Niemniej nadal nie mogła uwierzyć, że zagra o jej bezpieczeństwo, zwłaszcza tutaj.

Zakręciła kran i włożyła płaszczkę pielowską. Czesząc się, dostrzegła w lustrze swój bladą twarz. Odłożyła szczotkę, wyszła na balkon i stanęła przed otwartymi drzwiami do pokoju Davida. Słyszała, jak śpiewa w łazience jak starą piosenkę Beatlesów. Doszła do wniosku, że ma niezły głos.

Nie miała wchodzić do jego pokoju. Instynkt ostrzegał ją, że popełnia błąd, że naraża się na prawdziwe zagrożenie, ale i tak przekroczyła próg. Próbowła przywołać w pamięci twarz Danny'ego. Próbowła wmówić sobie, że z Davidem chce tylko porozmawiać, że oboje są już starsi i młodszy - na tyle dojrzały, by wiedzieć, że dzielą ich różnice charakteru i tysiące innych barier, które wznoszą się między nimi jak ceglany mur.

Nagle odwróciła się, bo dotarł do niej jego podniesiony głos.

- Kto tam?

Ty idiotko, przecie jesteś detektywem, więc musiał dosłyszeć czyje kroki w swoim pokoju, pomyślała, szydąc z samej siebie.

- To ja, Spencer - odparła. Uznała, że skoro posunęła się już tak daleko, to może zrobi następny krok.

Podeszła do drzwi łazienki i stanęła w nich, opierając się o framugę.

Łazienka została niedawno przebudowana i zainstalowano w niej jacuzzi: pod cianą widniała ogromna, wpuszczona w podłogę wanna, wyposażona w połączone kurki i urządzenie do masażu wodnego. Wchodziło się do niej po marmurowych schodkach. David był zanurzony w wirującej wodzie. Wystawał z niej tylko na tyle, by móc trzymać nad powierzchnię rękę z

kieliszkiem koniaku. Zerkn 1 w jej stron , a ona zorientowała si natychmiast, e przerywa mu moment skupienia.

- Kiedy ju wszystko zawiedzie, zostaniesz zapewne gwiazdorem filmowym - powiedziała.

- Dzi kuj . B d o tym pami tał. Czego chcesz, Spencer?

- David, musicie obaj zachowa zdrowy rozs dek; ty i Sly. On przestraszył si , bo spadła jaka belka. Belka! - Zapomniała na chwil , jak dziwnie si poczuła, wchodz c do łazienki i zastaj c go w wannie... Podeszła do niej i przysiadła na marmurowych schodkach. - Słuchaj, ja nie chc umiera . Naprawd chc dalej y , ale nie mog uwierzy , e to, co stało si dzi , miało jaki zwi zek ze mierci Danny'ego. Danny był policjantem. Policjanci maj wrogów...

- A wdowy po nich lubi czasem wkłada kij w mrowisko.

- David... - westchn ła z rozpacz .

- Co ty tu w ogóle robisz? - spytał nagle z irytacj . - Le ałem sobie spokojnie w ciepłej wodzie i popijałem koniak. Czy byłaby łaskawa st d wyj ? Co powie twoja matka, je li wróci wcze niej do domu i zastanie ci z nagim latynoskim uchod c ?

Spencer poczuła, e sztywnieje z gniewu, ale David nie wydawał si tym przejt y. Przygl dał si jej spod przymru onych powiek, yła na jego szyi lekko pulsowała.

- Przecie to ty broniła moj matk dzi rano, prawda? - spytała chłodno.

- To jest jej dom - przypomniał David. - Cho nie s dz , eby wtedy podejrzewała ci o sypianie ze mn . Chyba umarłaby na sam my l o tym, e jaki latynoski uchod ca mógłby dotkn twojego białego jak lilia ciała.

- Id do diabła! - powiedziała wstaj c. Nagłym ruchem wyrwała mu z r ki kieliszek. -A je li masz zamiar mówi w ten sposób o mojej matce, to odczep si od jej koniaku.

- I od jej córki? - spytał uprzejmie.

Odwróciła si gwałtownie, a on złapał za poł płaszczka pielowego i silnie szarpn ł. Spencer straciła równowag ,

krzyknęła ze strachu i wpadła do wody. Siedziała na kolanach Davida, a jej nogi wystawały poza obudowę wanny. Dostrzegła w jego oczach metaliczny błysk.

- Zobaczmy, czy uda ci się rzucić winę na mnie - powiedział. - Wpadła do mojej wanny i miała na sobie tylko rącznik.

- Płaszcz kąpielowy.

- Rącznik z rączkami.

- David...

- Czy przyszła tu dlatego, o czego chciała, Spencer? Moja by tak pomyśleć, ale ty przecie nie potrafisz przyznać, że masz ochotę na coś tak naturalnego jak seks, zwłaszcza że jesteś wdową dopiero od roku. Zdarzyło ci się to jeden raz, ale wtedy o mało nie umarła. Teraz chcesz tego znowu.

- David, pomóż mi wstać! - zawołała.

Ale on wyjął z jej dłoni kieliszek i pocałował ją, zanim zdążyła się zastanowić, co z nim robi. Zamknęła oczy i rozkoszowała się smakiem jego ciepłych, wilgotnych warg. Miała wrażenie, że tonie w wirującej wodzie i kłó bach pary.

Jego rącznik z rączkami wypłynął na powierzchnię. David wsunął dłoń pod jej udę i zaczął ją pieścić. Jego dotknięcia były miłe i zdecydowane. Szukał. Znajdował. Dawał. Wydawało jej się, że para przenika do wnętrza jej ciała. Odchyliła głowę do tyłu i oddychała z coraz większym trudem. Rozkosz stawała się niemal nieznośna. Chciała jęknąć, ale znów dotknął wargami jej ust, tłumiąc wszystkie dźwięki. Przywarła do niego, chcąc odzyskać swobodę ruchów, chcąc przeżyć jeszcze więcej. Gwałtowna kulminacja wstrząsnęła nią jak konwulsyjny dreszcz. David cofnął dłoń, uniósł Spencer w górę i posadził na sobie. Patrzył jej w oczy, powoli wniknął do jej wnętrza.

Nie mogła wytrzymać jego spojrzenia, wtuliła więc twarz w jego ramię. Znowu zbudziło się w niej podniecenie. David dotykał jej ramion, bioder, potrafił nielękko, dopóki nie wpadli oboje we właściwy rytm. Potem przycisnął ją do siebie, chwytając

oburcz za jej ramiona, westchnął głośno i znieruchomiał, a potem zadrżał, przyprawiając ją o paroksyzm rozkoszy.

Oparła się o niego, czując gwałtowne bicie serca. Słyszała jego oddech i szum wirującej wody.

Potem znów ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ból. Zmieszanie. Co ona zrobiła? Na szczęście tym razem nie stało się to w łóżku Danny'ego, lecz w domu jej matki, a ona nie bała się matki. Gotowa była w każdej chwili stawić jej czoło, a nawet zarzucić bigoterię, ale mimo to miała wyrzuty, że postąpiła nieuczciwie. Nie czuła się winna w stosunku do rodziców, lecz w stosunku do Danny'ego, ponieważ ...

Ponieważ nawet za jego życia wspominała czasem okres, w którym spotykała się z jego najlepszym przyjacielem. A teraz, kiedy Danny już nie żył, znów spotykała się z jego najlepszym przyjacielem. Potrzebowała go, nienawidziła, po daniu, a zarazem nim gardziła.

Doszła do wniosku, że może powinna pójść do psychiatry.

Nikogo nie oszukiwała. Powtarzała sobie, że jest wdową. Danny powinien nadal żyć, ale los zrządził inaczej. Mimo to nie kałżał szarpący ból. Może, gdyby to nie był David...

Gdyby to nie był David, nie odczuwałaby takiej dzy, takiego bólu, takiej potrzeby. Nie byłaby obciążona wspomnieniami, nie byłoby w niej wrogości, która podsycala trawicząc ją ogień. Kiedy kochała Davida, potem on ją znienawidził, a ona jego. Teraz wiat wyglądał inaczej, oni też byli inni, ale nie do końca.

David westchnął nagle, uniósł ją w górę i spojrzał w jej oczy. Potem klękł, posadził ją na krawędzi wanny i dotknął jej twarzy. Nie wiedziała, że płacze, dopóki nie otarł łzy z jej policzka. Na jego twarzy pojawił się posępny chłód. Zakłamał cicho po hiszpańsku, ale ona mieszkała w Miami wystarczająco długo, by zrozumieć wymówione przez niego słowo. Znowu nie było ono dla niej pochlebne.

W pewnej chwili wstał, wyjął ją z wirującej wody jej mokry płaszcz kąpielowy i przycisnął go do jej piersi, potem pociągnął

j za sobą i stanął w otwartych drzwiach balkonu, przez które syczał się chłodny wiatr. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos nie był już łagodny, lecz zduszony i szorstki.

- Spencer, jeśli kiedy będziesz gotowa kochać się ze mną i nie wybuchasz potem płaczem, daj mi znać. Ale dopóki to nie nastąpi, nie wchodź rozebrana do mojej łazienki, zgoda? Przyszłaś tu, bo tego chciałaś, ale zawsze udajesz, że nie brałaś udziału w tym, co mi działo się z nami. Naucz się, do diabła, że jeśli coś robisz, to widocznie tego chcesz!

Ku jej zdumieniu zostawił ją na balkonie, odwrócił się i szybko zniknął w łazience. Stała nago, przyciskając do piersi mokry płaszcz kpielowy i czując na ciele podmuchy chłodnego wiatru.

11

Spencer dopiero po dłuższej chwili uwiadomiła sobie, że stoi rozebrana na balkonie, zwrócona tyłem do basenu.

Odwróciła się gwałtownie, mając nadzieję, że w ogrodzie nie pracują ogrodnicy, a Henri nie krzyciła się po patio. Drzewa otaczające posesję kołysały się na wietrze. Na krystalicznie czystej wodzie basenu tworzyły się drobne zmarszczki.

Spencer przemknęła do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Wrzuciła mokry płaszcz i pieluski do wanny i wzięła suchy ręcznik. Potem odłożyła go, znów weszła pod prysznic i stała nieruchomo pod strumieniem wody. Chłodnej wody. Wody, która miała złagodzić ból jej zranionej duszy.

Po powrocie do pokoju włożyła dżinsy oraz duży, włochaty sweter, pospiesznie uczesała mokre włosy i umalowała się, a potem wyszła ponownie na balkon.

Słyszała jego głos. Nadal klął po hiszpańsku. Nie mogła uwierzyć, że ci głębiej jest na nią w ciekle.

Zrobiła krok w stronę jego pokoju. Tym razem nie była owinięta ręcznikiem, a on nie leżał w wannie. Stał przed antycznym toaletką, oglądając swoje plecy.

- Czy coś się stało? - spytała pogodnym tonem.

Przestał kląć i odwrócił się. Miał na sobie tylko dżinsy.

- Owszem, stało się. Wejdz.

- Wejdz? - spytała, imitując jego rozkazujący ton.

- Proszę ci, wejdz.

Minęła próg, a on znów odwrócił się do lustra. Po raz pierwszy ujrzała na jego plecach strugę krwi.

- Jesteś ranny! - zawołała.

- Wiem. Jaki odprysk metalu. Nawet tego nie zauważyłem, dopóki nie otarłem się plecami o wannę. Zadawanie sobie z tobą może być ryzykowne.

- Chcesz powiedzie ... - zaczęła i gwałtownie urwała. Oczywiście było, że to właśnie nie chciał powiedzie .

- Jesteś już tym chłopcem - przypomniała mu cicho. - Nie zmuszałam cię do niczego pod groźbą użycia broni.

- Nie, Spencer, ty po prostu lubisz uwiśnięć czyhających, a potem walnąć go w głowę za to, że dał się uwiśnić .

- Powtarzam ci, że jesteś już tym chłopcem, więc lepiej postępuj ze mną ostro, jeśli chcesz mojej pomocy.

- Wić zobacz, co możesz zrobić .

- Chodź do łazienki. Tam jest lepsze światło.

W chwilę później David siedział na taborecie, a Spencer przemywała jego plecy namoczonym w rodku dezynfekującym kawałkiem gazy, próbując uchwycić odprysk metalu, który wbił się w ciało.

- Och! - jęknął po chwili. - Przestań tam grzebać .

- Musz .

- Ale rób to delikatniej.

- Gdyby przestała lecieć krew, byłoby mi łatwiej.

- Bardzo ci przepraszam!

- Nie ruszaj się ... Mam!

W tej samej chwili ktoś załomotał głośno do drzwi i natychmiast otworzył je na oścież .

- David, Spencer, gdzie, na Boga, jesteście?

W drzwiach łazienki pojawił się Joe Montgomery. Jego idealnie ostrzyżone siwe włosy były zmierzwiłone, a w niebieskich oczach malował się wyraz panicznego strachu. Przez chwilę wydawało się, że chce objąć córkę, ale potem dostrzegł krew na plecach Davida.

- Och, mój Boże, więc jednak jest pan ranny! - wykrztusił.

- To tylko drażni cię, sir - odparł David.

Spencer była wystarczająco zaniepokojona wizytą ojca, tym bardziej więc zmartwił ją widok matki, która, wykrzykując histerycznie jej imię, wbiegła tuż za nim i spojrzała na nich z przerażeniem. Ujrzawszy krew, jęknęła i zachwiała się na nogach.

- Mamo, David jest silny... - zaczęła Spencer.
- Ona zaraz zemdleje - oznajmił rzeczowym tonem Joe.
Odwrócił się i chwycił ją, która właśnie nie osuwała się na podłogę, przeniósł ją na łóżko i delikatnie na nim położył.

- Przyniosła sobie trzy wiązki - zaproponowała Spencer.
Pobiegła do pokoju Mary Louise, wróciła z fiołkami w rękach i podsunęła je pod nos matki.

Mary Louise odzyskała przytomność, uśmiechnęła się blado do córki i wyciągnęła rękę, by ją objąć.

- Och, Spencer - zatknęła cicho - zatrzymał nas w drodze jakiś sympatyczny oficer policji i powiedział, że mieliście wypadek, że samochód jest rozbity, a ty... ty...

- Mamo, nic mi nie jest - oświadczyła stanowczo Spencer, poklepując ją po dłoni. Poczowała nowy rodzaj wyrzutów sumienia. Wiedziała, że Mary Louise kocha ją bezgranicznie, choć okazuje to niekiedy w dziwny sposób. - Naprawdę, nawet nie jestem drażliwa. A David... to tylko mała rana, ale muszę ją zabandażować, zanim zakrwawi twój wschodni dywan.

- Spencer, jak sobie robisz? - z wyrzutem w głosie zaczęła Mary Louise, z trudem siadając na łóżku. Potem zerknęła na matkę. - Joe, czy naprawdę im nie jest?

- Wydaj się zupełnie zdrowi - odparł Joe, patrząc w oczy swej córce. Spencer dostrzegła błyski w kącikach jego ust uśmiechu.

Przez chwilę myślała o tym, co by się stało, gdyby rodzice wrócili pół godziny wcześniej.

- Czy dobrze się pani czuje, pani Montgomery? - spytał David.

Mary Louise spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Tak, dziękuję. Nic mi nie jest. Przepraszam, że zachowałam się jak... histeryczka.

- Mieliśmy w policji facetów, którzy wzięli sto dwadzieścia kilo, ale mdleli przy oddawaniu krwi - odparł David, wzruszając ramionami. - Niektórzy ludzie po prostu nie znoszą jej widoku, więc proszę się nie przejmować swoim

zachowaniem. - Przeniósł wzrok na jej córkę. - Czy może emy sko czy, Spencer?

Spencer, zdumiona, a David przemawia tak uprzejmie do jej matki, zastygła w bezruchu.

- Spencer!

Kiwnęła głową i weszła w łazienkę za nim do łazienki, by skończyć opatrywanie rany. Kiedy wrócili do pokoju, jej rodzice nadal siedzieli na łóżku. Joe Montgomery odchrząknął.

- Czy mielibyście ochotę pojechać z nami na kolację do miasta? O ile oczywiście czujecie się na siłach. Mary Louise i ja chcielibyśmy was zabrać do jednej z naszych ulubionych restauracji. - David chciał coś powiedzieć, ale Joe uniósł rękę. - To skromny lokal. Tak skromny, a przychodzi się do niego z własnym winem, ale podaj w nim najlepsze homary, jakiego można dostać w Nowej Anglii.

David zerknął na Spencer, unosząc brwi, a ona niedostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Tak. To brzmi niezłe. Dziękuję - powiedział David.

- Musz tylko zadzwonić do mojego adwokata - oznajmił Joe.

- W jakiej sprawie? - spytała Spencer.

- W sprawie tej firmy wynajmującej samochody.

- Policja przesłuchuje jej pracowników - wtrącił David - a także pańskiego szofera i inne osoby zatrudnione na terenie posiadłości.

- Moich pracowników? - spytał ze zdziwieniem Joe.

- To chyba nie jest konieczne... - zaczęła Spencer.

- Może któryś coś widział albo coś wie - wyjąknął David.

- Czy sugeruje pan, że to, co się dziś wydarzyło, mogło nie być dziełem przypadku? - dociekał Joe.

Matka Spencer nerwowo zaczerpnęła powietrza, przyciskając dłoń do piersi. Sprawiała wrażenie, że gotowa jest zemdleć ponownie.

- Nie! - zawołała Spencer, patrząc na Davida porozumiewawczo. - Znacie policjantów, choć oczywiście nie

znacie ich tak dobrze jak ja - dodała artobliwym tonem, chc c rozładowa napi cie. - Czuj si w obowi zku przesłuchiwa wszystkich. Poza tym ten oficer, który nas odwiózł, był zachwycony domem. Chce chyba mie okazj dokładniej go obejrze .

- Spencer, nie zaprosiła go do rodka?

- Oczywiście cie, e go zapraszałam, mam, ale był na słu bie i nie miał czasu.

Mary Louise wstała, a Joe z pewnym oci ganiem poszedł w jej lady.

- Wi c jedziemy na kolacj - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Nigdy nie przepadałam za tym szoferem - dodała, patrz c z wyrzutem na m a. Potem zerkn ła na Davida i Spencer. - On chyba ma problemy z alkoholem.

- Miał problemy z alkoholem. Jest niepij cym alkoholikiem - wyja nił Joe.

- Czy to w ogóle mo liwe? - spytała cierpko Mary Louise.

- Owszem! - odparł stanowczo Joe. - Zbadamy t spraw dokładnie - zapewnił Davida i Spencer.

- Tak, zrobimy to - zgodził si David.

Joe i Mary Louise wyszli z pokoju, a David stwierdził, e Spencer wymkn ła si przez balkon. Podszedł do telefonu i nakr cił numer komisariatu. Powiedziano mu, e rozpocz to ju sprawdzanie systemu hamulcowego samochodu.

- Trudno b dzie czego dowie - poinformował go dy urny sier ant. - Znale li my mały otwór w przewodzie hydraulicznym. Mógł to by zbieg okoliczno ci, ale mógł te kto wywierci go celowo. Prawd mówi c, gdyby nie chodziło o was, uznaliby my to za mechaniczn awari i nic wi cej. Ale ta firma wynajmuj ca samochody twierdzi, e sprawdza je bardzo dokładnie. Z drugiej strony tak drobny wyciek byłby prawie niewykrywalny.

- A wi c jak mogło wyciec niepostrze enie tak du o płynu?

- Mógł si wylewa przez cał drog z Bostonu do Newport. Odbyli my krótk rozmow z szoferem pana Montgomery, który przysi ga, e wprowadził tylko samochód do gara u, a poza tym wcale go nie dotykał. Twierdzi tak e, e cała posiadło jest dobrze strze ona. B dziemy oczywi cie rozmawiali równie z innymi osobami. Prosz da mi zna , gdyby pan jeszcze czego potrzebował.

David podzi kował i odło ył słuchawk , a potem zadzwonił do starego pana Montgomery, opowiedział mu o wypadku i o raporcie policji.

- A co ty o tym my lisz? - spytał Sly.
- Sam ju nie wiem, co my le .
- Podobnie jak Spencer, uwa ałe mnie za opanowanego przez obsesj starego głupca.

- Nigdy nie uwa ałem ci za głupca, Sly - odparł sucho David.

- Hmm. Czy wracacie w niedziel ?
- Taka data wypisana jest na biletach.
- Informuj mnie o wszystkim.
- Dobrze.

Miał zamiar odło y słuchawk , kiedy usłyszał w niej cichy trzask.

Kto z domowników podsłuchiwał jego rozmow .

Jared i Cecily Monteith oraz ich dzieci sp dzali sobotnie popołudnie w domu ojca Jareda.

Cecily nie przepadała za takimi spokojnymi, rodzinnymi spotkaniami. Była osob towarzysk . Uwielbiała przyj cia na jachtach, wystawne obiady i koktajle oraz kluby w South Beach. Lubiała te bankiety na cele dobroczynne, a tak e spektakle baletowe i sztuki sprowadzane z Nowego Jorku.

Posiadło jej te cia nie była jednak pozbawiona zalet. Le ała tu nad wod i miała długie molo si gaj ce w gł b zatoki. Mogła spacerowa po nim z dzie mi i przygl da si pływaj cym w pobli u jachtom. Poza tym nie przyje d ali tu

zbyt cz sto, cho lubiła te cia. Zarzucała mu czasem brak fantazji, ale to samo zarzucała równie swemu m owi.

Jon Monteith pracował u Slya, dopóki dwa kolejne ataki serca nie zmusiły go do przejcia na cz ciow emerytur . Przebył je przed kilku laty, a teraz jego stan poprawiał si tak szybko, e zacz ł mówi o rychłym powrocie do firmy. Grał ze swym szefem w golfa co najmniej raz na dwa tygodnie i sporo trenował w swoim niewielkim ogrodzie. I, podobnie jak Cecily, uwielbiał swe molo. Trzymał przy nim mały motorówk , któr od czasu do czasu wypływał na morze, lecz jego yciow pasj były wnuki. Cecily musiała przyzna , e był bardzo dobry dla siedmioletniego Williama i pi cioletniej Ashley. Musiała te z rado ci przyzna , e jej dzieci s pi kne. Miały jasne włosy i odziedziczone po niej du e, bursztynowe oczy. Jared, przy wszystkich swych wadach, był dobrym ojcem. Poza tym zatrudniali znakomit niani , wi c Cecily nie musiała zbyt cz sto łagodzi hała liwych sporów mi dzy dzie mi.

Tego wieczora Jon piekł na ruszcie eberka, kurcz ta, hamburgery i hotdogi. Ugotował te kilka parówek, bo Ashley nie lubiła „czarnej sadzy”, jaka pozostawała na nich po upieczeniu. Wszyscy siedzieli nad basenem i czekali, a Jon upora si z kolacją .

Cecily, wyci gni ta na le aku, rozmy lała o swoim ostatnim dylemacie. Przez całe ycie kochała sło ce. Wiedziała, e wygl da o wiele lepiej, kiedy jest opalona, zreszt podobnie jak wszyscy. Ale nie była ju dzieckiem i cho stosowała ró ne od ywki i kremy, opalenizna ujawniała jej zmarszczki. Musiała wi c chroni si przed sło cem. Mogła przebywa na nim tylko przez godzin dziennie, obficie smaruj c si uprzednio specjalnymi preparatami.

Pogr ona w tych rozmy laniach, prawie nie usłyszała dzwoni cego telefonu.

- Ja odbior , tato - zaoferował si Jared.

Cecily zazdro ciła czasem m owi. On nie musi si przejmowa opalenizn . M czyzna mo e mie lekko

pomarszczon twarz. To dodaje mu charakteru. A pomarszczone kobiety wygl daj po prostu staro.

- Sied spokojnie, synu - pogodnym tonem poprosił Jon. - Ju upiekłem ostatniego hamburgera. Zaraz odbior .

Cecily pomy lała z zazdro ci , e Jon, mimo swych problemów ze zdrowiem, jest przystojnym m czynn . Podobnie jak jego syn. Nadał był wysoki i szczupły. Miał siwe, ale g ste włosy. Cz sto przebywał w wodzie i na sło cu, na tym swoim przekl tym polu golfowym, ale wcale mu to nie szkodziło. Matka Jareda umarła przed wielu laty w stosunkowo młodym wieku, a Jon stał si obiektem po dania wielu kobiet.

Nawet młodych, pomy lała z niech ci Cecily.

Jon, który wszedł przed chwil do domu, pojawił si w drzwiach prowadz cych do patio. Był przygarbiony i jakby przybity.

- Zdarzył si wypadek.

Jared zerwał si na równe nogi, patrz c na ojca z niepokojem. Cecily nie wyczuła napi cia, jakim przepojony był głos jej te cia, i wstała z le aka troch wolniej.

- Co si stało? - spytała.

- Tato, do diabła, co si stało? - powtórzył jak echo Jared.

- W Rhode Island. W samochodzie wynaj tym przez Spencer wysiadły hamulce.

- I...?-niemal krzykn ł Jared.

- Był z ni Delgado.

- W samochodzie?

- Tak. Udało im si wjecha w k p krzewów.

- Czy nic im nie jest? - spytała szeptem Cecily. Nagle usłyszała cichy płacz. Ashley, która podbiegła do niej cicho, chwyciła j za r k . Słyszała rozmow dorosłych i z dzieci c intuicj wyczuła ich napi cie.

- Czy cioci Spencer co si stało?

Cecily nie potrafiła jej odpowiedzie . W milczeniu patrzyła na te cia.

- Nic im nie jest. Dzwonił Sly. Powiedział, że oboje wyszli bez szwanku.

Cecily spojrzała na Jareda i przytknęła oczy, czując, że robi jej się słabo. Potem przytknęła obok swojej popłakującej córki.

- Nic jej się nie stało. Czuje się dobrze. Czy nie słyszała, co mówił dziadek? Miała kłopot z samochodem, ale teraz nic jej nie grozi.

Ashley, nadal pochlipując, przytuliła się do matki.

- Nie chcę, żeby ciocia Spencer umarła, mamo. Nie chcę, żeby umarła jak wujek Danny.

Cecily miała wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła. Przygarnęła do siebie Ashley jeszcze mocniej i spojrzała nad jej głowami.

Spencer postanowiła sama załatwić kilka spraw. Była przekonana, że David jest zajęty i nie będzie jej ledził.

Tu, na terenie posiadłości swoich rodziców, czuła się bezpieczna.

Wyszła z domu i wolno ruszyła w kierunku garażu. Jej kroki chrząkały na wyłożonym podjeździe. Zapukała głową do bocznych drzwi, prowadzących do mieszkania szofera.

Nikt nie zareagował.

- Hallo! Panie Murphy! - zawołała. Nadal nie było odpowiedzi. Pchnęła drzwi i otworzyła je.

Murphy był niemal sześćdziesięcioletnim, tępym, łysiejcą mężczyzną i miał obwisłe, siwe włosy.

Siedział w starym, bujanym fotelu i wyglądał jak człowiek, którego cały wiatr runął w niego. Obok niego stała nieotwarta butelka whisky.

- Panie Murphy! - zawołała Spencer.

Spojrzał na nią zszawionymi oczami i uniósł rękę, ale natychmiast opuścił ją bezwładnie na oparcie fotela.

- Pani Huntington, ciesz się, że widzi panią. Naprawdę się cieszę. Proszę Boga, żeby przynajmniej pani mi uwierzyła!

- Dziękuj. Oczywiście, że panu wierzę - odparła niepewnie. - Przyszłam tylko po to, żeby pana spytać ...

- Przyszła pani spytać mnie o to, o co pytała mnie policja. A pani ojciec przyszedł po to, żeby mnie zwolnić.

- Ale ... - Spencer poczuła, że brak jej tchu.

Murphy wstał i ruszył w jej kierunku. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że jest tak potężnie zbudowany. Miała ochotę się cofnąć, ale pozostała na miejscu, on zaś stanął tu przed nią i ze smutkiem potrząsnął głową.

- Nie skrzywdziłbym pani za żadne skarby świata. Jest pani wspaniałą kobietą; gotów jestem powtarzać do śmierci. Wstawiłem samochód do garażu i to było wszystko, proszę pani.

Spencer patrzyła na niego, a już nie potrafiła odgadnąć, kto mówi prawdę, a kto nie. Była jednak pewna, że szofer nie kłamie.

- Pani Murphy, nie jest pan zwolniony.

- Ale, pani Huntington...

- Proszę mi oddać ten whisky, żeby pokonać problemy z alkoholem, trzeba być silnym człowiekiem. Niech pan nim pozostanie. Proszę mi oddać butelkę, a ja powiem ojcu, że je li nie zechce pana zatrzymać, wezmę pana do Miami i dam panu pracę u siebie.

W pierwszej chwili nie uwierzył jej, a potem uśmiechnął się i podał jej butelkę. Po jego czerwonych policzkach zaczęły spływać łzy.

- Niech pani Bóg błogosławi, pani Huntington.

- Bzdura! To moja wina, że ojciec był na pana zły.

- Ale...

- Wszystko załatwi - obiecała Spencer i wyszła.

David, który szedł właśnie na rozmowę z szoferem, ukrył się za drzwiami, widząc nadchodzącą Spencer. Nie zauważył go, wkroczyła do eleganckiego gabinetu swego ojca.

- Murphy jest niewinny - oznajmiła stanowczo.

- Ale, Spencer, ty nie rozumiesz tych...

- Mam ju ponad trzydzie ci lat i potrafi dostrzec ró nic mi dzy dobrem a złem. Prosz ci , eby zatrudnił go ponownie.

- Zgoda - powiedział Joe po dłu szym milczeniu.

- Porozmawiam z mam i przekonam j .

- Nie, nie zrobisz tego, młoda damo. Zawsze słucham jej rad, ale sam podejmuj decyzje.

David wiedział, e nie powinien podsłuchiwa , ale na tym wła nie po cz ci polegała praca prywatnego detektywa. A on był bardzo zadowolony, e podsłuchiwał t rozmow .

Wyszedł z domu, cicho zamykaj c za sob drzwi.

Nadal chciał porozmawia z szoferem

Mimo obaw Spencer, kolacja na mie cie przebiegała pomy lnie. Mary Louise wydawała si troch speszona, ale Joe panował nad sytuacj . Mówił o tym, jak dorastał w latach trzydziestych, opowiadał o india skich wioskach mieszcz cych si na terenach zajmowanych obecnie przez wielkie centra handlowe.

- Trudno sobie wyobrazi , e kiedy było to małe, prowincjonalne miasteczko. Powinni cie posłucha , jak Sly opowiada o gondolach, które pływały mi dzy Tahiti Beach a Baltimore.

- Słyszeli my - powiedzieli chórem Spencer i David. Nawet Mary Louise u miechn ła si z lekkim rozbawieniem.

Homar był doskonały, a David kupił wino. Matka Spencer wypła pierwszy łyk do nieufnie, ale potem stwierdziła z wyra n przyjemno ci , e David zna si na winach. Spencer od dawna nie czuła si tak dobrze.

Od chwili mierci Danny'ego.

Wszystko szło dobrze, dopóki nie zjawili si pa stwo Gresham, przyjaciele jej rodziców. Nale eli oni do ciłej elity towarzyskiej Newport. Ona sponsorowała niezliczone imprezy dobroczynne, a on zasiadał w niesko czenie wielu radach nadzorczych. Ich najstarszy syn był senatorem, drugi syn -

zmieniającym wiat biochemikiem, a córka, prawniczka, miała równie ambicje polityczne. Mary Louise, wyraźnie speszona tym przypadkowym spotkaniem, niezręcznie zaczęła przedstawiać sobie obecnych.

- Pamiętasz chyba moją córkę Spencer, a to jest...

Po słowach „to jest” dostała zaniku pamięci i nie była w stanie wykrztusić nic więcej.

- David Delgado. Byłem przyjacielem moim a Spencer - wyraził David.

- Ach, tak! - Pani Gresham odwróciła się głową i zerknęła na Spencer. - Moja droga, strasznie nam było przykro z powodu tej tragedii.

- Dziękuję - odparła Spencer i spojrzała na matkę.

- David jest również moim przyjacielem, pani Gresham - stwierdziła z lekkim naciskiem.

- Och, tak, kochanie, oczywiście - wybrała jej matka. Była wyraźnie zadowolona, kiedy parostwo Gresham odeszli od ich stolika.

Mary Louise, Joe i David zamówili zwykłą kawę, Spencer zdecydowała się na espresso. David obserwował ją z zainteresowaniem. Miała ochotę mu powiedzieć, że ludzie na całym świecie piją espresso i że zamawiając kawę przyrządzaną podobnie jak na Kubie, nie zamierzała robić aluzji do jego pochodzenia. Wydawał się rozbawiony, a ona czuła rosnącą irytację.

Chciała wstać od stołu i oznajmić mu, że w Ameryce, a ona ma prawo zamawiać to, co jej się podoba, i że on nie ma z tym nic wspólnego.

Nie było to prawdą. Spencer polubiła espresso w maturalnej klasie, kiedy spróbowała kawy po kubańsku.

David nadal jej się przyglądał. Spojrzała na niego badawczo, a on wzruszył ramionami i odwrócił głowę, by odpowiedzieć na jakieś pytanie, zadane przez jej ojca.

Kiedy wyruszyli w drogę do domu, stosunki między jej rodzicami a Davidem zdawały się układać doskonale.

Gdy znaleli się w rezydencji, Spencer szybko opuścił towarzystwo, oznajmiając, że jest zmęczona. Słyszała dochodzący z dołu głos Davida. Tego wieczora popijał nie tylko z jej ojcem, lecz również z matką. Włożyła flanelową pijamę i weszła do łazienki. Zasnęła, a potem obudziła się nagle, zdając sobie sprawę, że za drzwiami prowadzącymi na balkon stoi jakiś cień. Usiadła, walcząc z sennością.

- Dobranoc, Spencer - powiedział David.
- Jak minął wieczór?
- W porównaniu z tym wypadkiem samochodowym?
- Czy dobrze się bawiła?
- Nie było źle. Przedstawiła mnie jako swojego przyjaciela. To lepsze, niż gdyby powiedziała, że jestem wrogiem, z którym sypiasz dwa razy na dziesięć lat... albo raz na tydzień.

Spencer rzuciła w niego poduszkę, a on, mając się głownie, zniknął.

Powiew wiatru poruszył zasłonami. Spencer opadła z powrotem na łóżko, lekko się uśmiechając.

Ale kiedy zasnęła, niósł jej się, że znów jest w tym samochodzie, że zjeżdża po zbiegu, rozpaczliwie pragnąc się zatrzymać, ale nie może tego zrobić. Przed nią rozciągało się niebo i morze, a ona mknęła w dół z oszalałymi prędkością. Widziała przed sobą nagie głazy.

Spadła ze stromego urwiska w próżnię, w nicość, ale wiedziała, że na dole czekają na nią skały. Słyszała szum uderzającego o nie zimnego oceanu.

Nagle samochód zniknął, a wraz z nim skały i morze.

Ujrzała Danny'ego. Był mokry i pokryty wodorostami i siedział w jej stronę. Uśmiechał się łagodnie i czułe, tak jak zawsze.

- Spencer, wszystko jest w porządku - powiedział. - Zawsze wolała jego. To nie ma znaczenia.

Obudziła się w rodku nocy, drżąc z zimna, a potem leżała przez kilka godzin, bojąc się zasnąć, bojąc się jazdy tym samochodem.

Bała się te , e wróci do niej Danny. Nie m ciwy czy agresywny, lecz dobry.

Dobry Danny.

Ten, który j kochał, który zawsze był przyjacielem.

Który zawsze jej ufał.

łowała, e nie ma do odwagi, by wej do s siedniego pokoju i opowiedzie Davidowi o tym nie, eby si z niego otrz sn . Poczuj si lepiej. Zrozumie ...

Musiała znale spokój i zrozumienie, ale musiała to osiągn sama. Nawet David nie mógł jej pomóc.

Nadal pragn ła by przy nim. Po prostu le e obok niego i czuj jego łagodny dotyk na swojej skórze. Na swojej duszy.

Ale nie mogła do niego i .

Nie teraz, pomyślała.

Mo e nigdy.

12

Kiedy Spencer weszła do biura w poniedziałek, siedząca przy biurku Audrey wskazała ruchem głowy jej gabinet, by ostrzec ją, że ktoś w nim czeka. Spencer otworzyła drzwi i ku swemu zdziwieniu zobaczyła Cecylę, zajęta oglądaniem wiszących na ścianach obrazów.

- Cześć, Spence! - Cecylę podeszła do niej pospiesznie i serdecznie ją ucałowała. - Co za weekend, prawda? - Spojrzała na kuzynkę uważnie. - Czy naprawdę nic ci nie jest?

- Naprawdę - odparła Spencer, odwzajemniając ucałowanie.

Cecylę nigdy nie nosiła tak typowych dla Miami rzeczy czy garderoby jak koszulka czy prosta bluzka z krótkimi rękawami. Lubiła chodzić po sklepach, miała dobry gust i umiała sobie pić ubierać. Teraz miała na sobie granatowy kostium marynarski. Kciuk był pozbawiony rękawów, a spodnie rozszerzały się lekko u dołu. Wszystko ozdabiały złote lamówki, podkreślające kolor jej włosów, w których nie było ani śladu siwizny. Była kobietą niezwykle atrakcyjną, ozdobioną wszystkimi imprezami towarzyskimi, organizowanymi przez firmę. Cecylę i Spencer zaprzyjaźniły się jeszcze w szkole. Były na swoich ulubionych przyjęciach. Nadal były blisko, ale bliskie stosunki, choć oczywiście od czasów szkoły znacznie się zmieniły. Wtedy gawędziły z ożywieniem i entuzjazmem, a potem, kiedy mijające lata nie przyniosły spełnienia wszystkich marzeń, ich rozmowy zaczęła zabarwiać nuta goryczy.

- Skąd wiesz o tym wypadku? - spytała Spencer, siadając za biurkiem i wskazując Cecylę stojącą po jego drugiej stronie krzesła.

- Skąd wiem? - zapytała Cecylę. - Czy w tej rodzinie coś może pozostać tajemnicą? Chyba nie. Słyszy natychmiast zadzwonił do ojca Jareda, a twoja matka kilka minut później.

Spencer, przecie dobrze si znamy. Nawet gdyby kichn ła w Rhode Island, dowiedzieliby my si o tym.

- Zgadza si . - Po chwili namysłu Spencer kiwn ła głow .
-I co słyszeli cie?

- Twoja matka uwa a, e powinna zosta w Rhode Island. Oczywi cie wła nie tam o mało nie zgin ła , ale znasz logik matek, prawda? Tak czy owak powiedziała mojemu te ciowi, e je li zostaniesz, b dzie cały czas przy tobie, eby ci pilnowa . Potem wpadła na pomysł, eby przylecie tutaj.

Spencer j kn ła cicho i oparła głow o biurko.

- Rzeczywi cie była stale przy mnie. Przez cały niedziel . Ani razu nie oddaliła si na wi cej ni kilka metrów.

- To interesuj ce - stwierdziła Cecily, diabolicznie unosz c brew. - Jak układały si stosunki z Davidem?

- Dobrze.

- A twoje stosunki z Davidem?

- Sły wynaj ł go, eby mnie ledził. To jedyny powód, dla którego si za mn włóczy.

- Wi c gdzie jest teraz?

Spencer wzruszyła ramionami. Zachowanie Davida było dla niej ostatnio zagadk . Przez cały niedziel przebywał w zasi gu jej głosu - co zreszt nie było trudne, bo Mary Louise urz dziła piknik nad basenem. David zachowywał si niezwykle spokojnie, a jego oczy były przez cały czas ukryte za ciemnymi okularami. Niewiele mówił podczas lotu do Miami, a potem odwiózł j do domu. Przejrzał posiadło centymetr po centymetrze i odjechał, przykazawszy jej przedtem głow, eby włączyła alarm.

Tego ranka, wyje d aj c do pracy, zastała pod domem jakiego przystojnego, dwudziestokilkuletniego m czyzn , który stał obok starego, zakurzonego BMW. Miał co najmniej metr osiemdziesi t wzrostu i był zbudowany jak bokser. U miechn ł si do niej przyja nie i oznajmił, e nazywa si Jimmy Larimore i jest pracownikiem Davida, przydzielonym do jej ochrony.

Pojechał za nią do biura i zaparkował obok jej samochodu. Nie wszedł do budynku, tylko pomachał jej ręką, a potem wyciągnął gazetę i zaczął ją czytać.

- Spencer?

- Myślę, że chyba obserwuje w tym momencie kogoś innego - odparła.

- A co będzie w weekend? - nalegała Cecylia.

- A co ma być?

Cecylia westchnęła z niesmakiem.

- Spencer, chciałabym usłyszeć pikantne szczegóły, a ty wszystko ukrywasz.

- Nie ma żadnych pikantnych szczegółów - skłamała Spencer.

- Nie wierz mi - z pewnością oświadczyła Cecylia i pokręciła głową. - Kiedy chodziliśmy do szkoły, byliście w sobie zakochani jak koty na wiosnę.

- Cecylia, może tego nie zauważyłaś, ale skończyliśmy szkołę już przeszło dziesięć lat temu.

- Zauważyłam! - jęknęła Cecylia. - Wierz mi, że zauważyłam. Niedługo będzie miała na twarzy kurcze łapki! Wyobraź sobie? Ja i kurcze łapki! Oczywiście, pozbędę się ich jak najprędzej. Jeśli można to załatwić chirurgicznie, jestem za tym!

- Cecylia, przecie ty wyglądasz wspaniale! Niepotrzebna ci żadna operacja.

- Owszem, potrzebna - stwierdziła Cecylia z westchnieniem. - Natomiast ty, moja droga, jesteś nadal w świetnej formie. Ale to dlatego, że nie miałaś dziecka. Rodzenie może fatalnie wpłynąć na figurę.

Spencer poczuła w sercu ostre ukłucie bólu i na chwilę zabrakło jej tchu. Miała ochotę uderzyć Cecylię, ale potem przypomniała sobie, że ona jej cioteczno brata nie może wiedzieć, jak bardzo oboje z Dannym pragnęli dziecka.

Nie mogła tego wiedzieć, bo i skąd, że Danny zginił w dniu, który przeznaczyci na zapewnienie sobie potomka.

- Dzieci są warte nawet drobnego zniekształcenia ciała - powiedziała cicho. - Zazdrozcz ci twoich z całego serca.

- Och, Spencer, jeste wspaniała! Oczywiście cie, e s warte! Zachowałam si jak okropna egoistka, prawda? Mam dwoje cudownych dzieci, a ty nie masz ju nawet Danny'ego. Naprawd bardzo ci przepraszam. To wszystko przez to, e człowiek traci z wiekiem poczucie rzeczywistości ci. Kiedy wysłałam za Jareda, wiedziałam, e ma bzika na moim punkcie, a ja szalałam za nim. Teraz, kiedy widz , jak na jakim przyjd ci ogl da si za dwudziestolatk w mini, mam ochotę wydrapa mu oczy, cho nie mog powiedzieć , ebym sama nie marzyła o kilku przygodach.

Spencer nie mogła powstrzymać uśmiechu. Szczerze Cecily była równocześnie nie zabawna i przynajmniej trochę.

- Cecily, macie mnóstwo pieniędzy oraz dwójkę wspaniałych dzieci, a poza tym nadal wyglądacie jak Barbie i Ken. Uspokój się .

- Dobrze. Wi c opowiedz mi o swoim weekendzie z Davidem. Pozwól mi prze y zamiast przygody za twoim pośrednictwem.

- Cecily, nie ma nic podniecającego w tym, e o mało nie rozbili my się o skały.

- Nie chodzi mi o ten fragment, tylko o reszt .

- Cecily... - jej kciuki opadły na oparcie fotela.

- W porządku, w porządku, rozumiem, e nie chcesz mi nic powiedzieć . Była o wiele zabawniejsza w szkole. Ale trudno. Posłuchaj, zostaw sobie wolny przyszły piątek. Mój teści chce urządzić rodzinny piknik w swoim ogrodzie. Jared, ja, dzieci, ty i Sły. I oczywiście ochroniarz, którego bierziesz tego dnia za sobą . Dobrze?

- Przyjad na pewno - obiecała Spencer.

Cecily wstała i ruszyła w stronę wyjścia, ale zatrzymała się w drzwiach.

- Powinna wykorzystać twoją wspaniałą figurę , zanim ją stracisz.

- B d o tym pami ta . Dzi ki.

Spencer westchn ła z ulg , kiedy Cecily w ko cu wyszła. Niemal natychmiast Audrey wsun ła głow przez drzwi.

- Czy chcesz mi opowiedzie o swoim weekendzie? - spytała z nadzieją w głosie.

Spencer pokr ciła głow . Audrey wahała si przez chwil .

- Wiesz co, Spencer? - powiedziała w ko cu. -Masz prawo do ycia.

- Przecie yj .

- Mam na my li ycie erotyczne.

- Audrey...

- Tak, tak, wiem. W porz dku, wracamy do spraw zawodowych. Masz si spotka na lunchu ze swoim dziadkiem i kilkoma członkami rady nadzorczej firmy Anderson, Tyrell and Cummings. Chc rozmawia o starym secesyjnym hotelu, który kupili niedawno w South Beach. Twoja po redniczka handlu nieruchomo ciami dzwoniła, eby ci przypomnie o tym domu obok pola golfowego, a Sly chciał si z tob zobaczy , gdy tylko wejdiesz do biura... I tak jeste spó niona.

- W takim razie ju do niego id - oznajmiła Spencer i wstała.

David wszedł do budynku ródmiejskiej komendy policji, otworzył drzwi wydziału zabójstw i przysiadł na biurku Jerry'ego Frieda. Jerry spojrział na niego z wyrzutem i j kn ł.

- Odwró my role, Delgado. Jakie masz informacje na temat mierci Danny'ego?

- Mam tylko jeden interesuj cy szczegół. Sp dziłem ten weekend z wdow po Dannym w Newport, w stanie Rhode Island. Zgadnij, co si stało.

- Nie mam poj cia, Delgado. Co?

- Mieli my wypadek. Powa ny wypadek. Samochód wynaj ty przez Spencer omal nie wpadł do oceanu.

- Ale nie wpadł.

- Mało brakowało.

- W takim razie - oznajmił Jerry, wyci gnij c w kierunku Davida palec wskazuj cy - powiniene wykorzysta wpływ, jaki na ni masz i zabroni jej wtr ca si do tej sprawy. Wy lij j na Syberi , namów, eby zacz ła robi swetry na drutach albo sprzedawa stokrotki. Trzymaj j z daleka od komendy i od spraw, które jej nie powinny obchodzi .

- mier Danny'ego trocheja obchodzi.

- Ale tropienie mordercy to nie jej sprawa.

- Czy by to miała by gro ba pod adresem Spencer?

- Oczywiście, e nie! - odparł Jerry z irytacj . - Dobry Bo e, Delgado, czy bezczynno po odej ciu ze słu by doprowadziła ci do obł du? Czy zapomniałe , jak si patroluje ulice? Przecie je li zabójca Danny'ego podejrzewa, e ona co o nim wie, grozi jej niebezpiecze stwo.

- Zabójca lub zabójczyni.

- Nie łap mnie za słowa, Delgado. - Jerry wpatrywał si przez minut w blat swego biurka, a potem podniósł wzrok. - Do cholery, nie pracowałem z Dannym długo. Miał przede mn sekrety. Ty wiesz lepiej ni ja, czym si zajmował!

David przygl dał mu si przez chwil w milczeniu. Potem wstał z biurka.

- Gdzie jest porucznik?

Jerry wskazał mu głow drzwi gabinetu szefa. Kiedy David wszedł, Oppenheim rozmawiał wła nie przez telefon. Na widok go cia zawahał si .

- Zadzwo ni do ciebie pó niej - powiedział i odło ył słuchawk . - David, czy masz zamiar odwiedza nas w ka dy poniedziałek? Je li tak, to wst p na nowo do policji. Przynajmniej b d ci płaci za to, e tu przychodzisz.

- Nie, dzi kuj .

- Nie przyszedłe chyba tylko po to, eby si ze mn przywita i powiedzie , e za mn t sknisz?

- Spencer Huntington o mało nie zgin ła w wypadku samochodowym.

- Gdzie?

- W Rhode Island.
- Rhode Island? - powtórzył z niedowierzaniem Oppenheim. Wychylił się do przodu i potrząsnął głową. - David, pracuj w mieście, które uchodzi za jedno z najbardziej niebezpiecznych na terenie całego kraju. Jak mógł mieć wpływ na to, co się dzieje w Rhode Island?

David oparł dłonie o biurko i pochylił się nad porucznikiem.

- Na razie jako sobie radz, ale przecie prowadz tylko małą firmę detektywistyczną. Macie wobec mnie kilka długów wdziaczno ci. Zawsze dawałem wam wszystko, o co prosiliście. Tym razem ja potrzebuję pomocy.

- David, robić coś mógł. Ale wiesz, że nie mam tylu ludzi, żeby...

- To niech pan ich znajdzie! - zażądał David i dodał:

- Proszę.

Oppenheim głębiej w boku zaczerpnął powietrza.

- Pomogę ci mi złapać zabójcę policjanta - cięgnął David.
- Do diabła, poruczniku, wie pan, że jestem dobrym detektywem. Mam kilku niezłych informatorów i potrafię dotrzeć do miejsc, do których nie trafiłby gliniarz. Sprawa zbliża się do finału. Zaczyna się rozwijać, odkąd Spencer zrobiła ten numer na cementarzu, a ja potrzebuję od was wsparcia. Uważam, że grozi jej niebezpieczeństwo. Ktoś się boi, że ona coś wywiesi. Nie mogę prowadzić dochodzenia, jeżeli nie pomożecie mi jej chronić.

- Zrobi, co będzie mógł. Dam ci znać, co mi się udało zrobić.

David kiwnął głową, ruszył w stronę drzwi, po czym przystanął.

- Panie poruczniku...

- Słucham?

- Niech pan zacznie się gimnastykować albo zrezygnuje z kielbasek. Rośnie panu brzuch.

- Dziękuję. Jestem ci cholernie wdziaczny, że to zauważyła. A teraz zjedaj się.

- Ju wychodz .
- Nawiasem mówi c, co zamierzasz zrobi ?
- Postanowiłem posiedzie jaki czas pod mostem i zje kilka starych bułek w towarzystwie bezdomnych, którzy włócz si po ródnie ciu.
- To brzmi wspaniale.
- Tak. To pi kny sposób sp dzenia popołudnia.

David istotnie miał przed sob ci ki dzie . Sp dził kilka godzin pod mostem w Overtown, gdzie gromadzili si bezdomni i wykoleje cy: mordercy, gwałciciele i złodzieje. Siedz c na braku, obserwował swych niebezpiecznych s siadów.

Przymkn ł oczy, kiedy dwaj młodzi ludzie oblali wod szyby mercedesa, licz c na dolara za ich umycie.

Błada ze strachu kobieta, która prowadziła samochód, zapłaciła im.

W chwil pó niej ta sama para zabrała si do szyb zielonego jaguara. Tym razem siedz ca za kierownic kobieta zaczęła histerycznie krzycze i David postanowił wkroczy do akcji.

- Hej, wy dwaj, przesta cie rozrabia ! - zawołał.

Obaj m czy ni, czarny i biały, odwrócili si i spojrzeli na niego z niech ci . W wielkiej, starej kurtce wojskowej musiał wygl da do gro nie, bo natychmiast uciekli.

- Prosz pani - zwrócił si do kobiety - nie powinna pani je dzi sama po tej okolicy...

- Odczep si ode mnie, ty włócz go! - zawołała z furi . - We si do jakiej pracy!

Oto na jak nagrod mo e liczy miłosierny Samarytanin, pomy lał z ironi David.

Po południu z nieba znikn ły nawet najmniejsze chmurki. ar był niemiłosierny, a wilgotno powietrza jeszcze pogarszała sytuacj . Informator Danny'ego nie zjawiał si .

Miał ju zrezygnowa i przeje piechot półtora kilometra dziel cego go od dzielnicy Bayside - bo tam przezornie zostawił swój samochód - kiedy zauwa ył szczupłego, czarnego

chłopaka, od którego Danny kupował czasem informacje. Chłopak dostrzegł go równie i zaczął uciekać.

David dogonił go o dwie przecznice dalej, w samym sercu dzielnicy murzyńskiej. Wolał nie myśleć o tym, co może tu spotkać biegocego za czarnoskórym Latynosa, który nie znajdzie na swój obronę dobrego usprawiedliwienia.

- Spike, zatrzymaj się! Co ty robisz? Czy chcesz, żeby mnie zabili? - zawołał za uciekającym.

Jego słowa odniosły skutek. Chłopak stanął.

- Nie zaczepiaj mnie, człowieku - mruknął niechętnie, ale odwrócił się.

- Musz się zobaczyć z Williem - oznajmił David.

- Przede wszystkim musisz być ostrożniejszy, bracie! - powiedział Spike. Był bardzo przystojny, szczupły i czarny jak heban. W wieku czternastu lat miał już niemal metr osiemdziesiąt wzrostu. David był jeszcze partnerem Danny'ego, kiedy poznali Spike'a. Został zatrzymany za drobne wykroczenie i miał właśnie trafić do więzienia, kiedy Danny, zawsze walczący o sprawiedliwość, wkroczył do akcji. David oczywiście go poparł. Spike był najstarszym z sześciorga dzieci pochodzących od różnych ojców. Ciśko pracująca matka nie była w stanie wszystkich otoczyć opieką ani utrzymać. Ich trzypokojowe mieszkanie się składało z mebli, ale dotychczas żadne z dzieci nie zeszło na złe drogi, a Danny był pewien, że pobyt w więzieniu może wykończyć Spike'a.

Wspólnie z Davidem wychodził go na wolność. Spike nie powrócił do działalności przestępczej i zarobił sporo pieniędzy, słuchając, co piszczy w trawie, i dzieląc się zdobytymi informacjami z Dannyem. David nadal kontaktował się z nim od czasu do czasu. Chłopak zaczął chodzić do szkoły, okazał się zdolny i miał bardzo dobre oceny. Był równie na tyle bystry, że utrzymał w gronie rówieśników opinię twardego faceta.

Teraz podszedł do Davida, ostrzegawczo podnosząc rękę.

- Wracaj do siebie, Delgado. Przekaż swój problem Willie'emu, ale posłuchaj mnie, stary. Mówi na mnie cie, e

Ricky Garcia wkroczył na wojenne poligonie, bo gliniarze znów się go czepiają i utrudniają mu robotę. Podobno uważa, że to ty jesteś przyczyną wszystkich nieszczęść, więc miej oczy otwarte, rozumiesz? I siedź cicho. Willie ci znajdzie.

Wygłosivszy te tyrady, oddalił się biegiem. Nie chciał, żeby widziano, że rozmawia zbyt długo z kimś obcym. David nie zatrzymywał go. Nadal nieco zdyszany, ruszył w stronę Bayside.

Miał za sobą cztery tygodnie.

I wiedział, że czeka go cztery tygodnie.

Jimmy Larimore pojechał w ład za Spencer pod jej dom, ona jednak po wyjściu z pracy była tak pochłonięta myślami o nowym projekcie, że zapomniała o swoim młodym i przystojnym aniele stróżu.

Zdała sobie sprawę z jego obecności dopiero wtedy, kiedy weszła na górę i zaczęła zasłaniać okna, zamierzając się rozebrać. Zobaczyła, że stoi po drugiej stronie ulicy, oparty o swój samochód. Pomachał jej ręką, a ona odwzajemniła jego pozdrowienie.

Zamówiła telefonicznie dwie małe, ale wyszukane pizze. Kiedy je przywieziono, zaniósła mu jedną z nich. Podziękował jej z uśmiechem.

- Może pan wejdzie do rodzaka? - spytała.

- Wieczór jest piękny - odparł, uśmiechając się ponownie.

- Zrobiło się trochę chłodniej, ale wózek został na dworze.

Podziękowała mu i odeszła.

Przed wyjściem do łazienki zasunęła kotary w sypialni i raz jeszcze wyjrzała przez okno, spodziewając się, że zobaczy Jimmy'ego.

Nie było go.

W samochodzie, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, siedział David Delgado. Miejsce obok kierowcy zajmował jakiś młody człowiek, a David, pochłonięty rozmową z nim, nie zwrócił uwagi na Spencer.

Powoli zasłoniła okna i weszła do łazienki.

W dziesięć minut później zadzwonił telefon. Sygnał był tak głośny, że wzdrygnęła się nerwowo. Kiedy podniosła słuchawkę, usłyszała cichy, męski głos.

- Dobry wieczór, Spencer.
- David?
- Tak. Jestem pod twoim oknem. Czy obserwowała mnie?
- Ja ciebie, a ty mnie.
- No, fakt.
- Gdzie teraz jesteś?
- Nadal w tym samym miejscu. Mam telefon komórkowy.
- Ach, tak...
- Idź spać, Spence.
- A ty?
- Posiedź tu jeszcze przez jakiś czas.
- Rozkoszuj się wieczornym chłodem, co?
- Czy tak powiedział ci Jimmy?
- Aha.
- Czy by dziś próbowała uwodzić biednego Jimmy'ego?
- David, idź do diabła, dobrze? - powiedziała słodkim tonem i delikatnie odłożyła słuchawkę.

Niemal natychmiast telefon zadzwonił ponownie.

- O co jeszcze chodzi? - spytała Spencer.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem ktoś odchrząknął i spytał:

- Pani Huntington?
- Słucham? - zapytała powoli i ostro.
- Nazywam się Vichy. Gene Vichy. Pani Huntington, policjanci deptają po piętach.

Spencer milczała przez dłuższą chwilę.

- Może mają rację - powiedziała w końcu.
- Obaj z pani dziadkiem należą do tego samego Yacht Clubu, pani Huntington. Pomyślałem sobie, że chyba moglibyśmy tam porozmawiać. Oczywiście spotkalibyśmy się przypadkiem.

- Po co? - Zwidła jej zykami suche wargi.

- Bo chc pani przekona o mojej niewinno ci. I by mo e...
- By mo e?
- By mo e wiem co , co mogłoby pani zainteresowa . - Jego zdławiony miech przyprawił j o dreszcz. - B d tam w najbli szy poniedziałek, po lunchu. Prosz nikomu o tym nie mówi , bo nie przyjd . I niech pani przyjedzie sama. Oczywiście, o ile to pani interesuje.
- Dlaczego w poniedziałek?
- Dobranoc, pani Huntington.
- Prosz zaczeka ...

Poł czenie zostało przerwane.

Tydzie włókl si niezno nie, cho Spencer miała mnóstwo pracy. Była stale napi ta. Czekala, a co si wydarzy.

Nie odbyła z Davidem adnej powa nej rozmowy. Jimmy Larimore machał do niej co wieczór, kiedy zasłaniała okna, a potem zast pował go David. Dzwonił do Spencer zawsze punktualnie o jedenastej.

I zawsze pytał j szorstko, czy dobrze si czuje, ale w jego głosie wyczuwało si napi cie. Ledwie zd yła mu odpowiedzie , a ju odkładał słuchawk .

Była na niego w ciekła. Gdyby dał jej szans , wspomniałaby mu chyba o spotkaniu z Gene'em Vichy. Vichy zabronił jej tego, ale przecie nie musi nic wiedzie .

David mo e i tak w ka dej chwili zjawi si w klubie. On i jego ludzie zacz li j ledzi jeszcze baczniej ni dot d. Najwyra niej zatrudnił nowego człowieka; widziała go kilka razy pod domem s siadów.

Postanowiła nakłoni dziadka, by zaprosił j w poniedziałek do klubu na lunch, a potem znikn na chwil pod jakim pretekstem i dowiedzie si , co wie Gene Vichy. Lub czego nie wie. Była pewna, e nic jej nie grozi z jego strony, bo w klubie zawsze kr ciło si mnóstwo ludzi.

Cho wszystko wskazywało na to, e okazał si gro ny dla swojej ony.

Nie udowodniono mu winy. Policja nie zebrała wystarczająco dowodów, by prokuratura mogła postawić go w stan oskarżenia. Może więc był niewinny?

A może to on zabił Danny'ego?

W piątek rano z ulgą podniosła głowę znad projektów i stwierdziła, że Audrey wpadła do jej gabinetu po randkę od handlu nieruchomości, Sandy Gomez. Spencer powitała ją z radością, poprosiła sekretarkę o kawę i usiadła, słuchając opowieści Sandy o jej ostatnim odkryciu.

- Spencer, ucałujesz mnie, kiedy zobaczysz ten dom! - Machnęła ręką. - Dobra, nie musisz mnie całować, wystarczy kolacja. To dla ciebie idealny obiekt. Jest niedostępny. Nie wpuszczono tam jeszcze nawet sprzedawców. Właścicielka, która mieszka w nim od 1925 roku, wcale nie się wyprowadza. Przenosi się do Sun City. Spencer, musisz go zobaczyć! Kafle importowane z Malagi! Wspaniała architektura! Może się przerobić go na siedzibę firmy albo kupić dla siebie.

- Przekonała mnie! Kiedy może na niego obejrze?

Sandy, ciemnowłosa, energiczna kobieta, uśmiechnęła się szeroko i pomachała jej przed nosem kluczami.

- Kiedy tylko zechcesz, chętnie, kiedy tylko zechcesz! Jestem pewna, że go kupisz, więc zatrzymaj te klucze i złóż mi telefonicznie ofertę, abym mogła przygotować umowę.

Gdy tylko Sandy wyszła, Spencer zadzwoniła do dziadka i powiedziała mu, że wybiera się obejrzeć dom.

- Czy chcesz jechać natychmiast? - spytał, wyraźnie zaniepokojony.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Bo... bo...

Słyszeliśmy nie był człowiekiem, któremu brakowałoby właścicieli słów.

- Ach! - powiedziała cicho Spencer. - Chyba rozumiem, o co ci chodzi. David i jego zgraja nie ledzą mnie, kiedy jestem w biurze.

- Nie przez cały czas - przyznał Sly. Potem namyślał się przez chwilę. - Jestem tu ja i Jared, a Audrey potrafi być twardsza niż my obaj - dodał, chcąc nadać rozmowie bardziej artobliwy ton.

- No to niech Jared ze mną jedzie. Będzie musiał ocenić ten dom, jeżeli nasza firma ma w niego zainwestować.

- Doskonale - powiedział Sly po chwili wahania. - Jest w końcu twoim ciotecznym bratem.

- Zadzwoń do niego. Nie martw się. Dam sobie radę.

- Skontaktuj się ze mną po powrocie.

- Tak jest, sir - mruknęła cicho, a potem rozłączyła się i zadzwoniła do Jareda. Wyczuł w jej głosie podniecenie, więc zgodził się odłożyć inne zajęcia i pojechał z nią na wizytę lokalną.

Jadąc pod wskazany adres, uwiadomiła sobie, że interesujący ją obiekt leży o niecałe dwie przecznice od domu dziadka. Doszła do wniosku, że może go kupić dla siebie. Nie dlatego, żeby przestała kochać własny dom lub chciała zapomnieć o Dannym, lecz uznała, że może pora zacząć od nowa. Poza tym - Sly się starzeje. Jest w dobrej formie fizycznej, myśli sprawniej niż kiedykolwiek i z pewnością nie chciałby, żeby się nim opiekowała, ale gdyby mieszkała tak blisko...

- Stąd wygląda dobrze - stwierdził Jared, kiedy skręciła na podjazd i zatrzymała samochód.

Miał rację. Rezydencja była wielka i wspaniała, lecz wymagała odnowienia. Przepisy obowiązujące w Coral Gables były bardzo rygorystyczne i pozwalały malować domy tylko na określone kolory, ale trudno było powiedzieć, na jaki kolor pomalowano niegdyś ten budynek. Różowy? Brzoskwiniowy? Fasada pokryta była pleśnią, a dzikie wino wspięło się na balkony i balustrady z kutego żelaza, zasłaniając niemal całkowicie cztery greckie kolumny, które pełniły wartość przydatną.

- Czy masz klucze? - spytał Jared.

Znalazła je w torebce i podała mu.

Po pop kanych płytach chodnikowych doszli do drzwi. Zdobici dziedziniec mała fontanna w kształcie amorka o dziwo działała, a lekki szmer spadającej wody był miły dla ucha. Jared przekrzyknął klucz i weszli do holu. Był pokryty kurzem, ale niezwykle piękny. Kopulaste sklepienie wznosiło się wysoko ponad ich głowami, schody na górę biegnęły półkołem pod cięciem, a dwa zwieszony łukiem przejście, znajdujące się po obu stronach, wiodły do ogromnego salonu i do kuchni.

Weszli do salonu.

Był jednym z najwspanialszych salonów, jakie Spencer kiedykolwiek widziała; w gruncie rzeczy przypomina raczej sal balowy. Tu również były zwieszony łukiem przejście, które wiodły na oszklony taras, a belki stropowe nadal nosiły ładny wymyślony ozdób. Przez szklane drzwi, umieszczone po obu bokach sali, widać było po jednej stronie patio, a po drugiej stary, popkany, pusty basen kąpielowy.

- Gruntowna przebudowa-ostrzegł ją Jared.

- Ale przecież to nasza specjalność – stwierdziła Spencer. - Popatrz na ten salon! - Weszła nieco dalej i rozejrzała się z zachwytem. Sufit wznosił się do poziomu drugiego piętra, a w połowie ściany widać było korytarz pierwszego piętra, zakryty galerią z balustradą. Wyobraziła sobie trio, grające na przyjęciu w chłodny wieczór... otwarte drzwi wychodzące na trawniki, pole golfowe, przebudowane patio i odnowiony basen...

- Jared, ten dom to rewelacja! - powiedziała zduszonym głosem.

- Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która potrafi stanąć na pokrytej pajęczynami kupie gruzów i nazwać ją rewelacją.

- Wiesz przecież, jak ten dom mógłby wyglądać. - Spencer uśmiechnęła się do niego przekornie.

- A ty wiesz, że jeśli się trochę potargujesz i kupisz go tanio, może potroi jego wartość.

Wzruszyła ramionami, nie chcąc się przyznać, że myliła się o kupnie tego domu dla siebie.

- Chciałabym obejrzeć z bliska te ozdoby - powiedziała.

- To wejdźmy na górę - zaproponował Jared. Wydawał się znudzony. Widział już dużo, by ocenić wartość domu. Nie był entuzjastą. Lubił negocjacje związane ze swym zawodem; kupowanie, sprzedawanie i wynajem. Spencer lubiła sama praca. Jared wyrażał z nią kłopoty. Oboje wiedzieli, że kupno domu to wspaniała okazja, a jego odrestaurowanie będzie cenną wizytówką Montgomery Enterprises.

- Musimy postawić Sandy dobrą kolację za tę wiadomość - postanowiła Spencer, kiedy ruszyli na górę.

- Sandy i tak mnóstwo na nas zarabia - stwierdził sucho,

- Ale pracuje naprawdę ciężko i jest dobra, w swoim zawodzie - skwitowała Spencer, lekko marszcząc brwi. Zauważyła, że jej cioteczny brat jest tego dnia, w wyjątkowo kiepskim humorze. Nie miał na ogół tak krytycznego stosunku do ludzi.

Kiedy weszli na piętro, wydała cichy okrzyk zachwytu. Z jednej strony dostrzegła korytarz prowadzący do czwórki mieszkalnej, z drugiej biegła galeria, jeszcze większa niż wydawała się z dołu. A salon, z przepięknymi zdobionymi belkami stropowymi, przeszklonymi drzwiami i zwieszonymi łukami wejściami na taras, wyglądał naprawdę niewiarygodnie.

Spencer weszła na galerię. Jared ruszył za nią.

- Balustrada jest za niska - zauważyła.

- To sprawa perspektywy. Z dołu wydaje się wysoka - odparła, przesuwając dłoń po starej, drewnianej barierce. Zauważyła, że niektóre tralki są mocno spróchniałe. - To skandal, żeby tak pięknym dom był tak długo zaniedbany.

- Ta balustrada mogła się już dawno oberwać - stwierdził Jared, podchodząc do niej bliżej. Chwycił oburczony za poręcz i spojrzął w dół.

Spencer poczuła się trochę nieswojo.

- Jared, nie powiniene si tak wychyla . Wiesz, e wszystko trzyma si tutaj na słowo honoru.

- To dziwne, Spencer, e zrobili tak nisk balustrad . Rozumiem, e chodziło im o perspektyw , ale wyobra sobie, e mógł tu mieszka kto , kto miał małe dzieci. Wyobra sobie siedmio- czy o miolatka, bij tego si ze swoim starszym bratem. Wychodz na galeri , popychaj si i szarpi . Sam chce uderzy Harveya. Harvey robi unik. Sam przelatuje przez barier i spada. Bum! A droga w dół jest naprawd daleka.

Nagle zadr ał. Wygl dał jak człowiek gotów w ka dej chwili rzuci si z galerii.

- Jared!

- Spencer, powinna popatrze w dół. Bo e, a ciarki człowieka przechodz . Podejd i sama to zobacz.

Spojrzał na ni i wyci gn ł r k . W jego oczach l nił jaki dziwny blask. Nagle zacz ła si go ba , cho pami tała przecie dobrze, e jest jej bardzo bliskim krewnym.

- Spencer... - powiedział cicho i na jego ustach pojawił si dziwny u miech.

Wyra nie chciał złapa j za r k . Zacz ła si cofa . Zbyt pó no. Jego palce zacisn ły si na jej przegubie.

Spojrzała na niego. Widziała jego oczy, w których malowało si zdecydowanie. Trudno byłoby jej z nim walczy . Miał ponad metr osiemdziesi t wzrostu, był wysoki i silny, w doskonałej formie fizycznej.

- Jared... - zacz ła cicho.

- Spencer. - Jego głos zabrzmiał jak dochodz cy z daleka syk.

Poczuła na plecach zimny dreszcz.

- Spencer!

Tym razem był to dono ny, m ski, g ł boki głos. Dochodził z dołu.

Jared natychmiast pu cił jej r k i cofn ł si . Spencer g ł boko wci gn ła powietrze. Jej brat cioteczny najwyra niej si trz sł.

- Spencer! - ponownie zawołał ktoś z dołu.

Nie zbliżyła się zbyt blisko do balustrady, spojrzała ostro nie w dół. Jej serce nadal biło jak młot. Zanim jeszcze dostrzegła uniesioną ku górze, napiętą z niepokoju twarz i czarny kosmyk spadających na czoło włosów, wiedziała, kto to.

David.

Chwała Bogu.

Był tak daleko, a teraz w końcu się zbliżył.

W sam porę.

13

- To David - stwierdził Jared. - Hej, Delgado! Czy może sobie wyobrazić, że spędzasz dzieciństwo w takim domu?

Spencer odwróciła się od niego i ruszyła pośpiesznie na dół. Zderzyła się z Davidem w połowie drogi. Chwycił ją za ramiona, pomagając odzyskać równowagę,

Kiedy spojrzał jej w oczy, szukając w nich przyczyn panicznego lęku, poczuła się głupio. Przecież Jared nie chciał zepchnąć jej w dół ani rzucić się z galerii.

- Zniszczylibyśmy go - powiedział Jared, który zszedł po schodach w dół za Spencer i z uśmiechem ucałował David. Wydawał się tak niezdolny do jakiegokolwiek złego uczynku jak mały psiak.

- No cóż, ja na pewno nie mogę sobie wyobrazić dzieciństwa w takim domu - przyznał David. Ponownie spojrzał z uwagą na Spencer i ruszył w górę, w kierunku galerii, która wydała jej się tak piękna, gdy ujrzała ją po raz pierwszy.

- Nie podchodź za blisko do balustrady! - ostrzegła go.

- Nie martw się, David mocno stoi na nogach - stwierdził Jared. Spencer poczuła, że cała sztywnieje, kiedy Jared stanął obok Davida i zaczął mu coś pokazywać, a ten wychylił się nad balustradę, by dostrzec wskazany szczegół. Spencer uznała, że obaj znajdują się w niebezpiecznym miejscu.

- Przestańcie zachowywać się jak chłopcy i odejdźcie od tej balustrady! - zaczęła z irytacją w głosie.

Obaj odwrócili się i spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- Chcę ci tylko pokazać, jak zostały przyćmiewane te belki stropowe - wyjąknął Jared.

Spencer nie odezwała się. Poszła obejrzeć sypialnię, chcąc jak najdokładniej utrwalić w pamięci obraz całego domu. Jednak trudno jej się było skupić. Słyszała jakiś wewnętrzny głos, który oznajmiał, że jej cioteczny brat, z którym przyjaźniła

si całe życie, przed kilkoma minutami był gotów ją zabić. Ale przecież aden człowiek, który zamierzał dokonać morderstwa, nie mógłby zaraz potem wyglądać tak niewinnie. A może mógłby? Doszła do wniosku, że jej reakcja była historyczna. Przecież w chwili później Jared w taki sam sposób nakłonił Davida do spojrzenia w dół i nic się nie stało. Jared z pewnością ci nie zamierzał jej zabić.

Mimo to nadal czuła lęk.

Na pierwszym piętrze mieściła się sypialnia. Główny apartament obejmował salonik, z którego rozciągał się wspaniały widok na pole golfowe i basen. Łazienki nie były małe, ale nie były też przesadnie duże. Większość zbudowanych w latach dwudziestych ogromnych rezydencji miała podobne cechy: pomieszczenia parterowe, przeznaczone do przyjmowania gości, były luksusowe i przestronne, natomiast łazienki czy garderoby, uważane obecnie za niezwykle ważne, zajmowały stosunkowo małą powierzchnię. Ale w tym domu wszystko dałoby się idealnie przebudować. Główna sypialnia była tak ogromna, że można było powiększyć jej kosztem łazienek i dodać do niej sporo garderob.

Jared z Davidem weszli do pokoju i stanęli za nią. Jared oparł się o ścianę i spojrzał na swoich ciocię z siostrami z yczliwym rozbawieniem.

- Co ty tu jeszcze oglądasz? Przecież wiesz, że kupisz ten dom. - Zerknął na Davida. - A ponieważ nie podoba jej się balustrada na galerii, więc zmieni ją na samym początku przebudowy.

- Bez względu na to, czy mi się podoba, czy nie, musi zniknąć. Ale najpierw trzeba będzie wprowadzić tu elektryków i hydraulików, a także wymienić tynki. Dopiero potem zajmiesz się balustradą.

- Ona zajmie się balustradą? - powtórzył David, a później spytał Jareda: - Czy ty nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia?

- Zwykle mam - odparł z uśmiechem Jared, patrz c na Spencer. - A Sly te oczywi cie zgłasza swoje uwagi. Ale ten dom nie zostanie nabyty przez nasz firm , prawda, Spencer? Ona go chce kupi dla siebie.

- Naprawd ? - spytał David ze zdumieniem.

- By mo e - odparła ostro nie. David rozejrzał si po sypialni.

- Czeka ci mnóstwo roboty - powiedział.

- Przecie to nasza specjalno - przypomniała mu, powtarzaj c słowa wypowiedziane do Jareda.

- Sk d si tu wzi łe ? - spytał nagle Jared i zmarszczył brwi. - Wiem, e Sly kazał ci obserwowa Spencer, ale przecie była tu ze mn .

Spencer zacz ła si zastanawia , czy to mo liwe, aby Sly z jakich powodów nie ufał Jaredowi. Ale David odpowiedział niemal natychmiast:

- Reva wydaje dzi wieczorem przyj cie. Mój siostrzeniec obchodzi dziesi te urodziny, a Reva nie widziała Spencer od lat, wi c ma nadziej , e zechce przyjecha do niej ze mn . Wiem, e byłaby oczywi cie zachwycona, gdyby cie wy równie wpadli. Razem z dzie mi, oczywi cie.

Spencer i Jared spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Co ty na to, Spence? - spytał cicho David.

- Ja...

- My l , e Cecily b dzie szcz liwa, a dzieci na pewno oszalej z rado ci - odparł Jared. - O której mamy si zjawi ?

- Zaplanowała wszystko na wpół do ósmej. Ich dom jest w połowie kuba ski, a w połowie ameryka ski, wi c wszystko spó nia si przeci tnie o pół godziny. Co ty na to, Spencer?

- Ja... oczywi cie - odparła, czuj c si troch niezr cznie. Nie była pewna, czy Reva naprawd zaprosiła ich na swoje przyj cie. Mo e David powiedział to tylko po to, by Jared si nie domy lił, e ywi wobec niego jakie podejrzenia? - Ale musz przedtem wróci do biura. Chc zawiadomi Sandy, e postanowiłam kupi ten dom.

- Czy mylisz, że naprawdę kiedyś tu wprowadzisz? - spytał David.

- To... może może. Słyszałam tylko o niecałe dwie przecznice stąd, a ja uważam, że powinnam mieć go teraz blisko siebie.

David spojrzął na nią ze zrozumieniem i z uśmiechem kiwnął głową.

- A poza tym naprawdę pokochała ten dom - dodał Jared, kładąc dłoń na ramieniu Spencer. Kiedy jej dotknął, mimo woli zeszytniała. - Co ci jest? - spytał, marszcząc brwi.

- Nic. Chodźmy.

Zeszli do holu. Nie widziała jeszcze całego domu, ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, że chce go kupić. Chciała też jak najprędzej znaleźć się w swoim gabinecie, zamknąć drzwi i być sama. Nie do wiary, że podejrzewała o coś Jareda, musiała się mylić. I nie chciała, by David zauważył jej napięcie.

Pospiesznie wsunęła się za kierownicę, Jared usiadł obok niej. David jechał za nimi swoim samochodem.

Jared mówił przez całą drogę. Obejrzał dom dokładniej niż się dziła. Proponował, by przerobił garderoby na łazienki, a cz mniejszych pokoi na garderoby. Były to słuszne sugestie i firma Montgomery Enterprises z pewnością by się do nich zastosowała. Spencer też gotowa była to zrobić.

- Zawioz tam jakiego architekta w poniedziałek i postaram się jak najszybciej zawrzeć umowę - powiedziała.

- Czy rzeczywiście chcesz zatrzymać go dla siebie?

- Czy by miał coś przeciwko temu?

- Spencer, nowy dom jest mi potrzebny jak dziura w mojej kieszeni. Mam ponad pięćset metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej i płacam ogromne podatki. A Cecylia, jak dobrze wiesz, nie ma zamiaru do zabytków. Myślę, że dla ciebie byłby idealny. Chciałbym cię udzielić ci wszelkiej pomocy, nawet jeśli nie byłoby to miało nic wspólnego z firmą.

Nie, Jared nie chciał jej skrzywdzić. Nie chciał zepchnąć jej z galerii.

Kiedy dojechali do budynku firmy, David zatrzymał się na małym parkingu tu obok Spencer.

- Musz się zobaczyć z twoim dziadkiem - oznajmił, ruszajcie razem z nimi w kierunku wejścia. Spencer wyprzedziła ich, przemknęła obok Audrey, zamknęła drzwi swego gabinetu i oparła się o ścianę. Spojrzała na swoje dłonie i stwierdziła, że dr...

A je li Jared naprawdę próbował ją zabić ?

Ale dlaczego?

Usiadła za biurkiem i oparła głowę o blat. Dlaczego ludzie popełniają morderstwa? Policja zawsze mówi o motywie. Każdego mordercy ma jakiś motyw. Słyszała o tym wiele razy w związku ze sprawą Danny'ego. Przesłuchujący policjanci przeproszali ją kiedyś razem i mówili, jak człowiek może mieć jakiś motyw była ona ofiarą. Ale w tym przypadku sytuacja wyglądała inaczej. Ona nie miała motywu, ale miało go wiele innych osób. Motywem takiego człowieka jak Ricky Garda mogła być chęć zemsty. Trey Delia wyraźnie cierpiał na zaburzenia umysłowe. Niemal każdy podejrzany mógł się obawiać, że Danny coś o nim wie. Kto mógł go wreszcie nienawidzić tylko za to, że kochał sprawiedliwość.

A Jared? Dlaczego miałby jej nienawidzić ?

Tok jej myśli przerwało pukanie do drzwi.

- Spencer? - David, nie czekajcie na jej odpowiedź, stanął w progu.

- Spencer, pan Delgado nie chciał zaczekać, a go zaanonsuj! - zawołała z za jego pleców zirytowana Audrey. - Wezwałabym strażnika, ale je li się dobrze orientuj, on sam jest kimś w rodzaju strażnika.

Spencer patrzyła na nich w milczeniu.

- Musz z tobą porozmawiać - oświadczył David.

- Nie chciał odejść - dodała Audrey.

- Wejść - powiedziała Spencer, wykonując zapraszający gest.

David spojrział stanowczo na Audrey, która wzruszyła ramionami i prychnęła z gniewu. Dopiero kiedy Spencer uśmiechnęła się do niej, potrząsnęła głową i wyszła. Spencer stanęła za biurkiem i wskazała mu krzesło.

- Znowu naraz się na niebezpieczeństwo, Delgado - powiedziała. - Mogłam mieć na sobie tylko rącznik.

- Ryzyko nie wydawało mi się zbyt duże - odparł, zerkając na obrazy. Potem usiadł na krześle i pochylił się nad biurkiem w jej stronę. - No, dobrze. Chcę usłysze prawdę. Co się stało?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Co się stało. Kiedy wszedłem do tego domu, spojrzała na mnie tak, jakbym był Chrystusem i pojawił się na wiecie po raz drugi.

- Nic się nie stało - odparła. - Zrobiło mi się słabo, kiedy zobaczyłam tę balustradę. Prosiłam cię, żebyś do niej zbyt blisko nie podchodził, pamiętasz?

Splótł dłonie na kolanach i patrzył na nią w milczeniu. Oceniał usłyszane słowa. Nie wierzył jej. Może doszedł do wniosku, że teraz nie wydobędzie z niej prawdy.

- Coś dzisz o tym domu? - spytała.

- Jest wspaniały - odparł chłodno.

- Nie musisz silić się na sarkazm.

- Naprawdę uważam, że jest wspaniały - powiedział, unosząc rękę. - Musisz zmienić balustradę, ale widok z tej galerii jest fantastyczny. Wyobraziłem sobie tam jak mały kanapek ...

- Wiktoria skąd?

- Tak, co w tym rodzaju... może kilka półek z książkami... To mógłby być przebieg kłopot. Widziałam tam ogród na tyłach domu i cały salon. To wspaniały dom. Nie dla wszystkich. Nie kałdy potrafiłby się na nim poznać. Ale ty go doceniła.

- Hmm. - Uśmiechnęła się nagle. - To chyba pierwsza pochwała, jak od ciebie usłyszałam.

- Chwaliłem cię za wiele rzeczy, Spencer - powiedział wstając. - Ale musisz już iść. Mam do załatwienia kilka spraw.

Wpadłem tylko po to, żeby spytać, czy mogę po ciebie przyjechać koło siódmej.

- Nie musisz. Umieję prowadzić samochód... ale i tak jechałby za mną, prawda?

- Prawda.

- Wiadomo, wpadnij po mnie o siódmej.

Wyszedł, ale ona nie została sama. Gdy opuszczała biuro, czekał na nią Jimmy Larimore.

- Cześć, Spencer! Jak minął dzień?

- Nieźle.

Pojechał za nią do domu i zaparkował przed bramą. Ustawiła swój samochód na podjeździe i podeszła, by z nim porozmawiać.

- Jimmy, czy obserwujecie mnie teraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę?

- Co w tym rodzaju. - Wzruszył ramionami. - Lepiej spytaj o to Davida.

- Chyba tak robi. Dziękuję, Jimmy. - Ruszyła w kierunku domu, ale cofnęła się. - Masz dzień wolny wieczór. Czy pojedziesz się zabawić do miasta?

- Będzie na przyjęciu - odparł, marszcząc brwi. - Reva zawsze zaprasza wszystkich kolegów z pracy.

- Ach, tak - powiedziała cicho Spencer.

- Ale kiedy pojawi się David, będzie mógł pojechać do domu i wziąć prysznic - dodał z uśmiechem.

- Miło mi to słyszeć.

Spencer weszła do domu i wykąpała się. Potem włożyła dżinsy, bawełnianą bluzę i sportowe buty. David przyjechał punktualnie o siódmej. Miał na sobie dżinsy i niebieską koszulkę polo. Czekał na ganku.

Kiedy wsiedli do samochodu, spojrzała badawczo na jego ostry profil.

- Gdybym nie znała cię tak dobrze, mogłabym się dziwić, jeśli mnie boisz.

- Bo to prawda, Spencer. Panicznie się ciebie boję.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, odrywaj c od niego wzrok. - Nie wiedziałam, e przygoda erotyczna, która wydarza si raz czy dwa razy na dziesi lat, mo e by a tak okropna.

- To była bardzo miła przygoda erotyczna, Spencer - odparł łagodnym tonem. Patrzył na drog wysadzan drzewami i krzakami, które odzyskały ju dawn wietno , utracon podczas huraganu Andrew. Na płotach pi ły si kwiaty we wszystkich kolorach t czy. - Po prostu wol prze ywa przygody z kim , kto nie wybucha potem płaczem. Nie jestem ju dzieckiem, Spencer. Nie zapominam o całym wiecie, kiedy mam okazj wskoczy z kim do łó ka. Istniej rzeczy, których stanowczo sobie nie ycz . Na przykład płaczu.

- No có , ty te nie zawsze zachowujesz si tak, jak bym chciała! - Poczula si dotkni ta i speszona. ałowala, e zacz ła t rozmow . - Nie jeste ...

- Nie, nie jestem Dannym! - przerwał jej z gniewem. Widziała, e zaciska palce na kierownicy.

- Nie to chciałam powiedzie .

- Wi c co?

- Nie potrafi tego wyja ni - odparła, potrz saj c gwałtownie głow . - Ja... to wszystko jest trudne. ycie jest trudne... - Zdała sobie spraw , e to, co chce powiedzie , to, co my li, jest okropne. Wiedziała, e nie zdoła tego nigdy nikomu wytłumaczy . Kochała Danny'ego, ale kiedy bardziej kochała Davida i mogła go znów tak pokocha . Nie było to uczciwe wobec Danny'ego. A jednak...

- Co ty próbujesz powiedzie , Spencer?

Westchn ła, czuj c si nagle bardzo zm czona.

- Sama nie wiem. Po prostu... Jak daleko st d mieszka Reva? - spytała, załamana własn bezradno ci .

- Za nast pnym zakr tem.

Nigdy jeszcze chyba nie cieszyła si tak bardzo, e jest ju na miejscu. Reva wyszła z domu i powitała ich serdecznym u miechem. Mo e naprawd chciała zaprosi na dzi Spencer, Jareda i Cecily?

- Jak to dobrze, że przyjechała! - zawołała, obejmując ją mocno.

- Dziękuj za zaproszenie. Ojej! Co cudownie pachnie! - Spencer mówiła szczerze. W powietrzu unosił się wspaniały aromat potraw.

- Przyszła rodzina ze strony ojca, więc sama rozumiesz, że musisz się starać. Czy pamiętasz to haggis w baranich łowach, które gotował dziadek Michael?

- Nigdy nie musiałam tego próbować - przyznała Spencer.

- Dziadek był zawsze uprzejmy dla ciebie. Wejdziesz. Cała rodzina chce cię zobaczyć, David. Spencer, ty właśnie cię nie znasz jeszcze moich dzieci. Byli na pogrzebie Danny'ego, ale...

- Przerwała i zrobiła tak minę, jakby miała ochotę spoliczkować samą siebie.

- Chyba jesteś tam. Masz bardzo ładnego chłopczyka, prawda? Jest w gruncie rzeczy bardzo podobny do Davida.

- Nie mów tego mojemu młodzi! - Reva skrzywiła się lekko. - On uważa, że Damien to skóra zdarta z niego. Ale proszę cię, wejdź.

Ujęła Spencer za ramię i wprowadziła ją do wnętrza domu.

Był to rozległy bungalow. Salon przechodził w wielką bawialnię, prowadząc na duże patio i nad basen. Po ogrodzie biegało już dziesięć cioro dzieci. Dorodzi stali w grupkach wokół baru z winowego drewna i przy stolikach ustawionych w patio albo siedzieli na ogrodowych krzesłach. Reva zaprowadziła Spencer do miejsca, w którym stał jej mąż, George. Zaledwie zaczęli rozmawiać, ktoś odwołał ją do kuchni.

- Przepraszam cię, Spencer. Zaraz wracam. Ale jestem pewna, że zostawię cię w dobrych rękach.

Spencer pamiętała George'a. Poznała go na pogrzebie. Był młody, średniego wzrostu, miał jasne włosy, dodające mu wdzięku piegi i wyraziste, zielone oczy. Serdecznie ucałował jej dłoń.

- Cieszymy się, że mogła przyjść. Nie wiem, czy pamiętasz...

- Oczywiście cie - zapewniła go z u miechem.
- Ja musiałem ci zapami ta - oznajmił George. -Reva cz sto mi o tobie opowiadała.

Spencer poczuła, e na twarz wyst puj jej wypieki. Niew tpliwie musiał słysze o jej ostatnim spotkaniu z Rev przed wyjazdem do Newport... o tym okropnym dniu, w którym doszło do jej rozstania z Davidem.

- Och... - wykrztusiła niepewnie.
- Powiedziała mi, e była pierwsz osob w tym kraju, która traktowała j w taki sposób, e poczuła si nie gorsza od innych i doszła do wniosku, e mo e tu zosta . Mówiła te , e twój dziadek posłał j i Davida do szkoły, ale wytrzymała w niej tylko dzi ki tobie.

- Jak to? - spytała Spencer.
- Poniewa j zaakceptowała i została jej przyjaciółk - wyja nił z szerokim u miechem George. -A poniewa zrobiła to ty, w lad za tob poszli wszyscy inni. My l , e bardzo za tob t skniła.

- Ja... te za ni t skniłam - odparła Spencer, zdaj c sobie nagle spraw , jak bardzo brakowało jej towarzystwa Revy. Niezr cznie wzruszyła ramionami. - Czasem bywa trudno. Wiesz, jakie jest ycie. Praca. Terminy. W waszym przypadku dzieci i ich rozkłady lekcji.

- Tak, wiem. To bywa niełatwe. Ale mam nadziei , e teraz, kiedy poznała ju drog do naszego domu, b dziemy ci widywa cz cie.

- Dzi kuj . I ja mam tak nadziei .

- Spencer! Spencer!

Odwróciła głow .

Anna, drobna, pulchna, ciemnowłosa, energiczna kobietka stała tu za ni , wyci gaj c do niej obie r ce.

Spencer nie widziała jej od dziesi ciu lat. Ciocia Anna, rodzona siostra ojca Davida i Revy, była obok Michaela MacCloud ich najbli sz opiekunk w okresie dorastania.

Nia czyła ich, kiedy chorowali na odrębny witek, opatrywała rany i leczyła dusze.

Ucałowała Spencer i przycisnęła ją do swego obfitego biustu.

- Powrota! - zawołała głośno, nie wypuszczając jej z objęcia. - Biedactwo! Como esta?

- Wszystko w porządku - odparła Spencer.

- Jesteś chuda. Postaram się, żeby trochę przytyła. Usiada nad basenem, a ja przyniosę ci talerz z jedzeniem. I temu mojemu pomyłkowemu bratankowi, który przeważnie nie jada na stojąco. Idź tam, idź i usiądź z nim!

Reva zniknęła, a George został zaanektowany przez któregoś z gości. David stał obok basenu, obserwując bawiące się dzieci. Spencer wyszła na dwór, uśmiechając się do nieznanym, którzy odwzajemniali jej uśmiech i dotarła do wskazanego jej przez ciotkę Anne metalowego stolika. Przysunęła sobie krzesło i usiadła.

W sekundę później zjawiła się Anna, niosąc dwa talerze. Na każdym z nich znajdowała się porcja jedzenia, która wystarczyłaby dla połowy drużyny footballowej.

- Proszę! - zawołała, stawiając jeden z nich przed Spencerem.

- Moja porcja z kurczakiem, stek pikantny przyrządzony przez Natalię, czarna fasola z ryżem, która jest dziełem Revy, pieczone banany, ensalada, dobry kubański chleb i kiełbaski pieczone przez George'a. Jedz. - Podniosła głos. - David, chodź tutaj i zjedz razem ze Spencerem. Smacznego!

David odwrócił głowę i dostrzegł z pewnym zdziwieniem swoją ciotkę, która patrzyła na niego z miną zdeterminowanego buldoga.

- Przygotowałam ci talerz - oznajmiła Anna. Potem mrugnęła porozumiewawczo do Spencerem. - Zaczynasz się odchudzać w poniedziałek, zgoda?

- Po tym, co tu zjem, będzie musiała! - za nią miała się Spencer.

David podszedł do niej i przysunął sobie krzesło. Za ledwie usiadł, zaczęła go serdecznie ciskać następną ciotką, a po niej

zjawił si jego dziesi cioletni chrze niak, Damien, który wyskoczył przed chwil z wody. Był wysokim, szczupłym chłopcem o wielkich, ciemnoniebieskich, wyrazistych oczach. Próbował wytrze r ce, zanim przywitał si ze Spencer, a ona z u miechem u cisa ła jego wilgotn dło i zło yła mu yczenia urodzinowe.

- Dzi kuj , e pani przyszła. Bardzo si z tego ciesz - powiedział uprzejmie. Potem zawahał si , a ona zdała sobie spraw , e jest dociekliwym i inteligentnym dzieckiem. - Tia Anna powiedziała mi, e była pani przez dłu szy czas w ąłobie i e musimy zapewni pani miły wieczór. Mam nadziej , e nie ma pani adnych nowych zmartwie . Wszystkim nam było bardzo przykro. Nie wiem, czy pani to pami ta, ale rodzice przyprawdzili nas na pogrzeb.

- Owszem, pami tam - odparła Spencer. - Post pili cie bardzo pi knie, pomagaj c mi po egna si z Dannym. I nie martw si o mnie. Czas mija. T sknimy za naszymi bliskimi, ale uczymy si y dalej. I wiem, e sp dz tu bardzo miły wieczór.

- Danny był najbli szym przyjacielem wujka Davida. Mama mówi, e był jednym z najlepszych ludzi, jakich poznała w yciu. Mówi, e on mógł zmieni wiat i zacz ł go zmienia wła nie tu, na Florydzie.

Spencer kiwn ła głow , czuj c rosn c sympati do tego chłopca. Był uprzejmy i inteligentny, a przy tym niezwykle wra liwy jak na swój wiek. Przypominał jej kogo .

Davida.

Kiedy go poznała, był bardzo powa ny i nieco oszołomiony wiatem, do którego wci gn ł go niespodziewanie Danny, a przy tym nadzwyczaj dojrzały jak na swój wiek. Był małym chłopcem, który musiał zbyt szybko dojrze . Powa nym, ale równocze nie bystrym i inteligentnym. A poniewa sam był nara ony na stresy, potrafił zrozumie l ki i niepokoje innych.

- Danny ubiegałby si pr dzej czy pó niej o jaki urz d pa stwowy - powiedziała do Damiena. -I mógłby wiele zmieni . Był naprawd dobrym człowiekiem.

- Musi go pani bardzo brakowa .

Poczuła na sobie wzrok Davida, ale nadal patrzyła na chłopca.

- Wszyscy prze ywamy jego odej cie. Czasem bywam egoistk i zapominam, e inni te odczuwaj jego brak. Ale przecie dzisiaj s twoje urodziny. Danny lubił przyj cia i chciał, eby wszyscy si na nich dobrze bawili. Nie wiedziałam, co chciałby dosta , wi c przyniosłam ci kupon ze sklepu z zabawkami Toytown. B dziesz mógł sam wybra sobie prezent.

- Nie musiała pani niczego przynosi - oznajmił Damien, a ona doszła do wniosku, e jest najlepiej wychowanym dzieckiem, jakie zna. W tym momencie dojrzała jednak w jego niebieskich oczach błysk rado ci. – Ale bardzo si ciesz , e pani to zrobiła! Dzi kuj , pani Huntington!

- Nie ma za co.

- Damien, woda cieka z ciebie na nasze jedzenie, a na dodatek wszystko nam stygnie. Id si bawi , dopóki jeste młody! - pouczył siostrze ca David.

Chłopiec u miechn ł si , u ciskał wuja, zostawiaj c na jego ubraniu mokre, plamy, a potem pobiegł w stron basenu. David patrzył za nim z wyra n miło ci i dum . Potem spojrział na Spencer i uniósł brwi.

- Jak zd yła kupi prezent w tak krótkim czasie?

- Co prawda nie mam dzieci - odparła, wzruszaj c ramionami - ale posiadam przyjaciół, którzy je maj , wi c na wszelki wypadek zawsze nosz przy sobie kupony z tego sklepu.

- Hmm, to bardzo sprytne.

- Pomaga wybrn z kłopotliwych sytuacji. Czy Reva naprawd chciała mnie zaprosi , czy te Sly zaaran ował to wszystko po to, eby mógł mnie ledzi ?

- Reva naprawd chciała ci zaprosi , ale Sly istotnie do mnie dzwonił. Nie lubi spuszcza ci z oka, je li nie masz obstawy. Dlaczego o to pytasz? - W jego oczach pojawił si wyraz podejrzliwo ci.

- Po prostu byłam ciekawa - skłamała niewinnym tonem. Potem uśmiechnęła się i zmieniła temat. - Nie masz własnych dzieci, prawda? - spytała cicho.

- Nie oeniem się jeszcze, pani Huntington.

- To w dzisiejszych czasach nie jest już konieczne.

- Dla mnie jest. Widuję na ulicach wystarczająco dużo dzieci, które nie mają matek albo ojców. A niech mnie diabli! - zawołał nagle.

Spencer, nieco przestraszona, odwróciła głowę. Jared i Cecily prowadzili w ich kierunku swoje dzieci. Ashley dostrzegła Spencer i na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Z cichym okrzykiem podbiegła do ciotki, a Spencer podniosła ją i posadziła na swoich kolanach.

- Hej, mała! - powiedziała. - O co chodzi?

Ashley, nie odpowiadając, przytuliła się do niej z całej siły. Spencer spozjrzała na Davida i bezradnie wzruszyła ramionami.

Jared i Cecily przywitani się z państwem domu, a potem podszedli do ich stołu.

- Och, spójrzcie na to jedzenie! - westchnęła Cecily. - Już widzę, jak przybywa mi na wadze. Nic nie szkodzi, od jutra przejdę na dietę.

Jared podsunął jej krzesło, a potem usiadł po drugiej stronie stołu. William, ignorując swoich młodszych siostrzy, podszedł do Spencer i pocałował ją w policzek.

- Cześć, ciociu Spencer!

- Cześć, kochanie, co u ciebie? Czy masz ze sobą pielówkę? Może popływasz z chłopcami w basenie.

William kiwnął głową i zerknął na grupę dzieci. Na jego twarzy pojawiło się nieśmiałe uśmiechenie.

- Chodź, przedstawię ci wszystkim - powiedział David. - Przepraszam was na chwilę.

Wziął chłopca za rękę i poszedł z nim w stronę basenu. Spencer patrzyła, jak przedstawia go innym dzieciom i ponownie odniosła wrażenie, że cofa się o milion lat wstecz.

Damien uprzejmie powitał Williama, ale widać było, że zamierza go traktować tak samo jak wszystkich kolegów.

Pogłaskała Ashley po głowie, nadal wtulonej w jej ramię, i spojrzała pytająco na Cecylę.

- Co ci się stało tej małej?

- Jest chora z niepokoju o ciebie, odkąd podsłuchiwała naszą rozmowę o tym wypadku - westchnęła Cecylę.

- Ashley, kochanie, popatrz na ciocię Spencer. Sama widzisz, że nic jej nie jest, prawda?

Ashley kiwnęła głową, ale nie wypuściła ciotki z objęcia.

- Spence, przepraszam cię za nią - powiedział Jared, podnosząc wzrok na Davida, który właśnie nie siadał na swoim miejscu. - Nie możesz nawet jej pomóc, kiedy ona klei się do ciebie w ten sposób.

- Nic nie szkodzi - odparła Spencer. - Jakoś sobie poradzę.

Banany były pyszne i bardzo słodkie, ale Spencer i tak nie bardzo mogła jeść, bo nagle zrobiło jej się słabo. Czy by sprawiła to blisko Jareda? Czy by bała się swego krewnego? Co ci się ze mną dzieje? - pomyślała.

- To miło, że przyjechaliście razem z dziećmi - powiedział David do Cecyli i Jareda.

- Czuję się tu trochę jak na zjeździe koleżeńskim - oznajmiła Cecylę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

W tym samym momencie Reva, wyraźnie znużona, usiadła obok nich.

- Czy macie się ze mną? - spytała.

Cecylę potrząsnęła głową.

- Mówiłam ci, że czuję się trochę jak na zjeździe koleżeńskim. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz spotkali się w tym składzie. Oczywiście cię brakuje nam kilku osób.

- Na przykład Terry-Sue - westchnął zalem Jared.

- Widuję ją od czasu do czasu - oznajmiła Cecylę, kopiąc go pod stołem. - Ten wspaniały biust zwisa jej teraz niemal do kolan.

- Kochanie, nie b d zło liwa! - upomniął j ze miechem Jared.

- Ale my trzymali my si najbli ej - powiedziała Reva. - My w pi tk i... - Przerwała i zrobiła tak min , jakby chciała kopn sam siebie.

- My w pi tk ... i Danny - doko czyła spokojnie Spencer. - Reva, rozmowy o nim ju nie sprawiaj mi przykro ci. Przeciwnie, sprawiaj mi przyjemno .

- Ci gle nie mog w to uwierzy - szepn ła Reva, nadal czerwona z za enowania. - Słyszałam, e znalazła wspaniały dom.

- Mo e wspaniały dla Spencer - mrukn ła Cecily, otrz saj c si z niech ci . - Ona uwielbia stare, spróchniałe rudery. Ja wol nowoczesne łazienki, bicze wodne, interkom i wszystkie zdobycze cywilizacji.

- Przecie mo na miesza nowoczesno ze staro ci - wtr ciła Spencer. Był to stały temat ich sporów.

- Słyszałam, e wy te macie teraz wielki dom - powiedziała Reva do Cecily. Wyci gn ła r k i pogłaskała Ashley po włosach. Dziewczynka uniosła głow i u miechn ła si . - Cze , Ashley. Jestem Reva. Czy chcesz ze mn porozmawia ?

Ashley, po krótkiej chwili wahania, przeniosła si na jej kolana.

- Przyjed cie go zobaczy - zaprosiła ich Spencer. -To miły dom. Jest...

- Jest wolny od duchów! - ironicznym tonem stwierdził Jared.

Spencer spojrzła na niego ze zdumieniem.

- Przepraszam - mrukn ł.

- Ten nowy dom stoi blisko posiadło ci mojego dziadka - ci gn ła Spencer, nie daj c si zbi z tropu.

Reva pochylała si nad Ashley i zacz ła j delikatnie kołysa .

- I jest wolny od duchów - powtórzyła cicho, jakby przyznaj c racj Jaredowi. - My l , e przeprowadzka dobrze ci zrobi. - Zwróciła si do Ashley. - Jest tu jedna dziewczynka, której jeszcze nie znasz. Troch starsza od ciebie. Ma na imi Diana. Czy chcesz ze mn do niej pój ?

Ashley nie miało kiwn ła głow .

- Zaraz wracam - powiedziała Reva.

Podczas jej nieobecno ci zjawił si Jimmy Larimore i usiadł przy ich stole. Podeszli te dwaj inni pracownicy Davida, porozmawiali z nimi przez chwil i oddalili si .

Rozmowa przeskakiwała z tematu na temat; mówili o golfie, o dawnych czasach, o zmianach, jakie zaszły w mie cie. Cecily i Jared napełnili swoje talerze, a Spencer udawała, e je. Zerkąa od czasu do czasu na Jareda, a on za ka dym razem u miechał si do niej przyja nie.

Nie mogła je .

- Spencer! - zawołała Cecily. - Dlaczego gardzisz tymi wspaniałymi potrawami?

Do tej pory wszyscy mówili równocze nie, a teraz nagle zamilkli i patrzyli na ni badawczo.

- Chyba s dla mnie troch za tłuste - wyj kała. – Od dłu szego czasu nie miałam kontaktu z niczym, co po chodzi z Kuby.

David spojrzął na ni z ironi , jakby chciał powiedzie : och, moja droga, to nieprawda!

Wbiła oczy w talerz, a David najwyra niej zlitował si nad ni , bo zabrał go ze stołu, a potem przyniósł piwo dla Jareda i białe wino dla Cecily. Spencer, coraz bardziej zdenerwowana, te poprosiła o kieliszek wina.

Ciotki i inne dzieci z wolna rozchodziły si do domów. Spencer poznała Dian , o mioletni córk Revy, bli niaczo podobn do matki. Wygl dała jak porcelanowa laleczka. Mówiła cichym głosem i była ujmuj co uprzejma. Ashley natychmiast j polubiła.

Do północy wszyscy wyszli. Cecily mówiła co chwila, a musi położyć dzieci, a Jared za każdym razem powtarzał jej, a William i Ashley wietnie się bawi.

Przy stole zapanowała dziwna atmosfera. Może wszyscy wpadli w szpony nostalgii? Gdy tylko ucichł śmiech, kto zaczął zdanie od słów:

- A czy pamiętacie, jak wszyscy razem...

Były to miłe wspomnienia, a więc ktoś z nich to czytała się z Dannym. Jego imię stale powracało. Spencer skłamała mówiąc, a rozmowa o nim nie sprawia jej bólu, ale nie skłamała mówiąc, a sprawia jej przyjemność. Przezycywała mieszane uczucia, ale przyjemność dominowała nad bólem. Miała ochotę równocześnie nie miała się i płakała. Siedząc tu i rozmawiając o przeszłości, zdała sobie sprawę, a musi się z nią pogodzić.

David sprawił, a łatwiej jej było zapomnieć o Dannym. Obudził w niej wszystkie dawne uczucia. Podobnie jak wspomnienia o Dannym, były one równocześnie niebolesne i przyjemne. Doszła do wniosku, a jeżeli morderca Danny'ego zostanie schwytany, może uda jej się wrócić do normalnego życia.

Tymczasem nadal odczuwała lęk.

Wypiła zbyt dużo wina, choć David przyglądał jej się badawczo. W końcu nadeszła pora rozstania.

Kiedy wstała, poczuła działanie alkoholu, ale zmusiła się do zachowania równowagi. Była jednak zadowolona, a nie musi prowadzić samochodu.

Ashley, która znów przykleiła się do Spencer, zaczęła nagle płakać.

- Jest przemoczona - skomentowała Cecily.

- Nie umieraj, ciociu Spencer - poprosiła Ashley. Spencer poczuła przebiegający jej po grzbiecie zimny dreszcz. Dziewczynka wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby miała jakieś przecucie. Było to niepokojące. Spencer zmusiła się do zapanowania nad sobą. Danny zginął jako młody i zdrowy

człowiek. Potem Ashley usłyszała, że Spencer zagra a niebezpieczeństwo. To wszystko wyjaśniało.

Chyba że ojciec Ashley próbował zabić własną ciotkę i siostrę, ale... dlaczego?

- Nie umrę, kochanie. - Znowu poczuła chłód. Zdała sobie sprawę, że nie może złożyć dziecku takiej gwarancji i postanowiła skorygować swoją wypowiedź. - Ashley, obiecuję ci, że postaram się nie umrzeć.

- Dajesz słowo?

- Daj słowo - odparła powaźnie Spencer, unosząc rękę w górę jak podczas przysięgi.

Po eggnaniu przedłużyli się. Jared, Cecily i ich dzieci odjechali jako pierwsi.

- Raz jeszcze dziękuję, że przyszła - powiedziała Reva do Spencer, kiedy George i David szli już w stronę samochodu.

- A ja dziękuję za zaproszenie - odparła Spencer i nagle poczuła się niezręcznie. Z radości dowiedziała się od George'a, że Reva nie ma jej za złe tego, co zaszło przed laty, ale... - Reva...

Reva zaczęła nagle mówić bardzo szybko, jakby chciała wylać z siebie wszystko, co ma do powiedzenia, zanim obaj mogą czy nią zauważyć, że nie ma ich jeszcze przy samochodzie.

- Chciałabym powiedzieć, że powinnyśmy widywać się częściej, Spencer. Ci brakowało mi Ciebie. I to jest prawda, ale wiesz... Nie chcę Cię widywać w towarzystwie Davida.

- Reva!

- Nie chcę patrzeć, jak on cierpi, Spencer, a widzisz to za kawałek razem, kiedy jesteście w pobliżu.

Spencer była tak zdumiona, że nie potrafiła wykrztusić słowa. Reva westchnęła głębiej i niespodziewanie zarzuciła jej ręce na szyję.

- Przykro mi, Spencer! Naprawdę mi przykro.

- Hej! Jest już późno! Pospiesz się! - zawołał David, uniemożliwiając im dalszą rozmowę.

Reva wypiła z objęciem Spencer, która przeszła drogę dzieląc się od samochodu jak lunatyczka. David czekał na nią przy otwartych drzwiach. Bez słowa wsiadła do wnętrza.

Kiedy ruszyli, oparła głowę o fotel i zamknęła oczy. Poczuli się nagle bardzo zmęczona i bardzo smutna. Co się wydarzyło w czasie minionych lat? Dlaczego dawne cierpienia wróciły nagle, by przez ładowanie ich tak bezlitośnie?

Nie rozmawiali przez całą drogę. Kiedy dotarli do jej domu, David zatrzymał samochód u wylotu wykładanej płytami chodnika, prowadzącej do frontowych drzwi.

- Czy jesteś zadowolona, że poszła? - spytał.

- Tak, ale...

- Ale przestała lubić kubańskie potrawy.

- Chyba po prostu jestem zdenerwowana - powiedziała z uśmiechem i potrząsała głową. - Wszystko było wspaniałe. Niekiedy aż tylko, e...

- e co?

- e nie umiemy pójść naprzód. Przeszło ci to z czasem jak kula u nogi. - Wzruszyła ramionami. - Mniejsza o to.

- Czy przemawia przez ciebie wypite wino?

- Być może.

- Odprowadź ci do domu.

Wysiadła z samochodu, podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

- Nie zapomnij o alarmie, Spencer-przypomniał jej jak zwykle.

- Czy naprawdę siedzisz tu w samochodzie przez całą noc? - spytała, odwracając się do niego.

- Czasem - odparł, wzruszając ramionami. - Czasem jest tu Jimmy lub Juan. Poznała go dziś wieczorem. .. on też tutaj dyżuruje.

- Czy to on jeździ niebieskim samochodem?

- Niebieskim samochodem? - powtórzył David, natychmiast marszcząc brwi.

Spencer kiwnęła głową.

- Nie wiem, jakiej marki. Jest ciemnoniebieski i zakurzony. Chyba z połowy lat osiemdziesiątych.

- Czy nie masz na myśli samochodu sjadów? - spytał, coraz bardziej zaniepokojony.

- Chodzi ci o tych zamordowanych młodych ludzi, którzy mieszkają po drugiej stronie ulicy? Chyba artujesz. Ona ma mercedesa, a on volvo.

Nie zdążyła jeszcze skończyć zdania, kiedy David odwrócił się gwałtownie, a ona poczuła dreszcz po plecach. David coś usłyszał. Może ona też. Jaki szmer, może szelest liści poruszanych wiatrem. Tyle że w ogóle nie było wiatru.

- Wejdź do domu! - powiedział stanowczym tonem.

- David, ja chcę...

- Spencer, na miłość boską, wejdź do domu. A jeśli nie wrócisz za pół godziny, zadzwonię na policję. - Otworzył drzwi i wpełchnął do środka. - Nie zapalaj światła i włącz alarm. Już!

Zatrzasnął za sobą drzwi silniej niż należało.

Spencer stała przez chwilę w ciemności i drżała ze strachu. Słyszała oddalające się kroki Davida. Weszła do salonu i o mało nie włączyła światła, ale przypomniała sobie w ostatniej chwili, że jej tego zabronił. Zaczęła zasuwana kotary w oknach wychodzących na ulicę, a potem odwróciła się.

Widziała stodołę bawialni, której oszklone drzwi wychodziły na basenki piętrowe.

Miała wrażenie, że coś się tam porusza. Drzewa? Cienie?

Cicho ruszyła w kierunku oszklonych drzwi, chcąc zobaczyć, co dzieje się w ogrodzie.

Zatrzymała się pod sklepieniem łuku. Jej oczy przyzwyczajają się z wolna do ciemności. Widziała już basen, migoczący w przysłoniętym świetle nocy.

Po jego drugiej stronie czaił się za krzakami jakiś człowiek.

Czekał.

Postanowiła ostrzec Davida.

Odwróciła się gwałtownie, by przebiec przez dom i wypaść z krzykiem na ulicę.

Ale nie dotarła do drzwi. Miała wrażenie, że wpada na ścianę. Na jej ustach zacisnęła się jakaś dłoń, tłumiąc krzyk, który rozbrzmiał tylko w jej sercu.

- Powiedziałem ci, eby włączyła alarm! – szepnął David, puszczając ją i cofając się, który zatykał jej usta. Patrzył ponad jej ramieniem w głębokość ogrodu.

Spencer powoli otrząsnęła się z przerażenia.

- Niech ci diabli wezmą! – syknęła. - O mało nie przestraszyły mnie na śmierć!

- Może to ci nauczy włączyć alarm! - mruknął, patrząc jej w oczy. Potem wyrzwał na dwór. Odwróciła się i stanęła obok niego, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemno.

Ukryty za krzakami człowiek wyprostował się. Unikał odbitej od basenu po wiaty, nadal stał w gęszczu i był prawie niewidoczny.

- Jak mogłeś zejść go od tyłu? - spytał David cicho.

- Możeś wyjść na dwór przez przebiegarnię koło basenu - odparła Spencer. - Wchodzi się do niej w korytarzu.

David kocią krokiem podszedł bezszelestnie we wskazanym kierunku.

Chmura odsłoniła księżyc i w ogrodzie zrobiło się trochę jaśniej. Ciepło stało się nieco wyraźniejsze. Spencer była już pewna, że jest to morderczyni. Trzymał w ręku jakiś błyszczący przedmiot.

Rewolwer.

Pobiegła przez korytarz za Davidem. Dogoniła go, kiedy otwierał drzwi przebiegarnię.

- David! - wyszeptała gorączkowo. - Poczekaj! On ma rewolwer!

- Ja też mam rewolwer - powiedział z irytacją, odwracając się do niej.

- Wezwij policję. Niech oni się tym zajmą.

- Spencer, byłem kiedyś policjantem. Wiem, co robi. Jeśli będziemy zwlekać, ucieknie nam i niczego się nie dowiemy.

Prosz ci , posłuchaj mnie. Sied cicho i nie wtr caj si . Daj mi szans zaj cia tego faceta od tyłu i złapania go!

Cofn ła si , zagryzaj c wargi. David otworzył tymczasem drzwi bez najmniejszego skrzypni cia.

- Zamknij je za mn - szepn ł. - Prosz ci , Spencer, rób co mówi .

Znikn ł, a ona starała si zamkn drzwi tak cicho, jak on je otworzył. Nie była pewna, czy jej si to w pełni udało.

Pospiesznie przeszła ciemnym korytarzem do salonu i wyrzała na dwór. David okr ył obsadzony krzakami skrawek basenu i znalazł si tu za cieniem.

Chmura znowu zasłoniła ksi ycy i ogród zaton ł w ciemno ci. Wida było tylko odbijaj ce si w basenie wiatła. Spencer zacisn ła z by i zacz ła si modli . Sekundy zdawały si upływa niezwykle wolno.

Nagle usłyszała odgłos wystrzału i czyj zdławiony okrzyk.

- Niech ci diabli wezm , David! - wyszeptła z furi . Nic nie widziała i nie miała poj cia, co si dzieje.

Potem cofn ła si . W odbitym od basenu wietle ukazały si dwa cienie, ale nie były ju cieniami - miały wyra nie ludzkie kształty. David trzymał na muszce jakiego niezbyt wysokiego, niemłodego m czyzn w ciemnym, le uszytym ubraniu. Jego wi zie miał nalan twarz i małe oczka, z których jedno było podbite. David poprosił j gestem, by otworzyła oszklone drzwi i wpu ciła ich do domu.

Czuj c gło ne bicie serca, przekr ciła dr c dłoni klucz w zamku. David pchn ł m czyzn w kierunku wn trza.

- Zapal wiatło, Spencer.

Kiedy to zrobiła, David ujrzał twarz swego wi nia.

- Harris! - zawołał ze zdumieniem.

- Delgado? - wyjkął m czyzna z l kiem i nadzieją w głosie.

- Co ty, na miło bosk , tam robię ?

- Czy wezwa policj ? - spytała Spencer.

- On jest policjantem - oznajmił David.

- Och! - Spojrzała na Harrisa. - Co pan robił w moim ogrodzie?

- Miałem pani ochrania - odparł z za enowaniem Harris.
- Porucznik Oppenheim robi co mo e.

- To on ci tu przysłał?

Policjant wzruszył ramionami.

- Do diabła, patroluj cał dzielnic , ale kazano mi obserwowa przede wszystkim posiadło pani Huntington, szczególnie wtedy, kiedy jej nie ma w domu, a ty i twoi ludzie je dziecie za ni .

- Czy to ty masz niebieski samochód?

- Nie. - Harris potrz sn ł głow . - Je d nie oznakowanym be owym plymouthem.

- Gdzie on jest? - spytał David.

- Chwileczk - przerwała Spencer, podnosz c r k .

- Nie mówcie nic, dopóki nie wróc .

- Dok d si wybierasz?

- Skoro pan Harris jest policjantem, to chyba powinni my co zrobi , zanim jego oko jeszcze bardziej spuchnie. Id po lód. Nie mówcie nic, dopóki nie przyjd .

Oczywi cie nie posłuchali jej. Kiedy wróciła z kostkami lodu, byli pogr eni w o ywionej rozmowie.

- Po raz ostatni post puj w sposób humanitarny!- ostrzegła Harrisa, sadzaj c go na stoj cej obok kominka kanapie.

- Przepraszam - powiedział, patrz c na ni z poczuciem winy. - Powtórz wszystko, co mówiłem. Byłem w pani ogrodzie, pani Huntington, bo ledziłem kogo , kto wszedł tam przede mn .

Spencer zerkn ła na Davida, a potem przeniosła wzrok na Harrisa.

- Kto to był?

- Przykro mi, pani Huntington - odparł Harris, wzruszaj c z rezygnacj ramionami. - Zgubiłem go. Zwykle je d na patrol z partnerem, ale dzi brakowało nam ludzi. Kiedy t dy

przeje d ałem, zdawało mi si , e widz kogo , kto przeskakuje przez płot. Nie chciałem, eby uciekł na widok mojego samochodu, wi c zaparkowałem troch dalej i te przelazłem przez płot. Usłyszałem dochodz cy od strony basenu hałas, obszedłem dom i zobaczyłem kogo , kto próbował otworzy te oszklone drzwi. Nagle co go przestraszyło. Chmury przesłoniły ksi yc, wi c nic nie widziałem, a kiedy zrobiło si widniej, ju go nie było. Czekałem i obserwowałem ogród, a potem... - Przerwał i potrzn ł głów . - Potem zaatakował mnie David, a reszt ju pani zna.

- Czy nie powinni my zadzwoni na komend ? - spytała Spencer, spogl daj c na Davida. - Mo e przy l kogo , kto zbada odciski palców?

- Nic nam z tego nie przyjdzie - stwierdził Harris. - Miał r kawiczki.

- Było ciemno, a ty widziałe go z daleka... - David my lał gło no. - Sk d mo esz to wiedzie ?

- Był ubrany od stóp do głów na czarno. Musiał mie na twarzy mask . Mówi ci, David, gdyby jaki fragment jego ciała był odsłoni ty, dostrzegłbym to w wietle ksi yca.

- Cały czas u ywa pan rodzaju m skiego - zauwa yła Spencer. - Czy jest pan pewien, e był to m czyzna?

- Oczywiście - odparł Harris, ale potem zmarszczył brwi. - Tak mi si przynajmniej wydawało. Dalej my l , e był to chłop, ale... - Westchn ł. - Tak jak powiedziałem, miał - albo miała - na sobie mask i ciemny strój. Mog stwierdzi na pewno tylko tyle, e ta osoba była osłoni ta od stóp do głów i miała r kawiczki. Nie znajdziecie adnych odcisków.

- Ale mo e jest gdzie jaki odcisk stopy albo co w tym rodzaju. Nigdy nie wiadomo, na co natrafi ci chłopcy z wydziału kryminalistyki. Zadzwoni do nich i zgłosz prób włamania.

Harris westchn ł, a Spencer szybko dowiedziała si dlaczego.

Była wdzi czna policjantom. Wiedziała, e s le opłacani i przeci eni prac , e s przewa nie lojalni, sumienni i oddani

sprawie, e codziennie nara aj własne ycie, niemniej pragn ła jak najszybciej pój spa .

Tymczasem noc ci gn ła si w niesko czono .

Odpowiadała na pytania, cho wi kszo spraw wzi li na siebie David i Harris. Jej dom został wielokrotnie przeszukany. Zdejmowano odciski palców z drzwi i poszukiwano w ogrodzie odcisków stóp.

Przede wszystkim pozostawili je David i Harris, ale u miechni ty młody człowiek oznajmił Spencer, e znalazł jeden wyra ny odcisk obcasa, który mo e okaza si przydatny.

Kiedy ekipa ledcza zako czyła działalno , było ju po czwartej nad ranem.

Spencer dostała ostrego bólu głowy. Jego ródłem była po cz ci nadmierna ilo wypitego wina, po cz ci za brak snu. Robi c policjantom kaw , za yła kilka pastylek aspiryny, ale jedynym jej skutkiem były kurcze oł dka.

Ze smutkiem doszła do wniosku, e chyba ma wrzody i e jest zbyt młoda, by prze ywa tego rodzaju stresy.

Albo zbyt stara.

W ko cu ostatni samochód policyjny odjechał, a ona została z Davidem przy drzwiach. Miała nadzieję , e i on wkrótce si wyniesie.

- Wiem - powiedziała znu onym głosem. – Mam wł czy alarm. Obiecuj , e wi cej o nim nie zapomn .

Potrz sn ł głow i wyjrzał na dwór. Na wschodzie niebo zaczynało ju ró owie .

- Sam si tym zajm . Posiedz do rana na tej kanapie.

- Nie musisz tego robi . Przecie ty te jeste wyko czony. Wezwij kogo innego.

- Spencer, id do łó ka.

- David, nie mog pozwoli na to, eby tu siedział. Mam pokój go cinny. Mog ...

- Do diabła! - mrukn ł, przesuwasz palcami po swych zmierzwionych włosach. - Id do łó ka! Dam sobie rad .

- Ale byłoby ci wygodniej...

- Wygoda to ostatnia rzecz, jakiej mi teraz potrzeba! - warknął ze złości.

- W porządku! Bądź mój czennikiem! - odparła i pomaszerowała w kierunku schodów. Czując, że kiedy przyłożyła głowę do poduszki i zamknie oczy, stopnieje jak zła czarownica z bajki „Czarodziej z Oz”. - Bądź mój czennikiem! - powtórzyła, stojąc już na piętach.

David spojrzął na nią i zmrużył oczy. Skrzywił się lekko, kiedy usłyszał trzask zamykanych przez nią drzwi.

- Zostałem mój czennikiem, kiedy weszła do mojego biura, Spencer - szepnął cicho. - Odkładając na nowo wkroczyła w jego życie.

Poszedł do bawialni, położył się na kanapie i zaczął obserwować ogród.

Harris! Któż by pomyślał?

David był zadowolony, że Oppenheim potraktował jego słowa poważnie i że stara się zapewnić Spencerowi ochronę. Z biegiem czasu utwierdzał się w przekonaniu, że zagraża jej niebezpieczeństwo i że przytrafiającej się jej „wypadki” nie są wcale przypadkowe. Zastanawiał się, dlaczego Oppenheim nie poinformował go o tym, że przydzielił Spencerowi ochronę, ale potem domyślał się przyczyny. Porucznik nie chciał składać obietnic, których nie mógłby dotrzymać z braku ludzi.

Harris widział kogoś, kto wszedł do ogrodu. I mając odcisk obcasa. Może on oczywiście należał do mieciarza lub inkasenta, ale może te byłyby cenne wskazówki.

Cały nieskazitelnie czysty dom Spencer był posypany proszkiem do zdejmowania odcisków, David jednak był pewien, że z samego rana zostanie dokładnie sprzątnięty.

Kto, do diabła, mógł chodzić po ogrodzie? I dlaczego? Może jakiś przypadkowy złodziej? David, podobnie jak Spencer, kochał Coconut Grove, ale ta dzielnica nie była wcale taka bezpieczna. Włamania były tu na porządku dziennym. Może ktoś chciał po prostu ukraść nowy telewizor lub aparaturę stereo?

Nie. Czuję instynktownie, że ktoś upatrzył sobie coś w tym domu. Albo kogo.

Spencer.

Jej samochód stał na podjeździe, intruz mógł więc pomyśleć, że jest w domu. Sama. I może spokojnie pójść na górę. Łatwo jest ustalić czyje zwyczaje. Dobrze o tym wiedział.

Basen i nić w świetle księżyca. David zamknął oczy, by go nie widzieć. Przychodził tu czasem po południu z Dannym. Danny uwielbiał wodę i słodkie. Siedzieli, pili piwo i rozmawiali o ostatnim meczu drużyny Miami Dolphins lub Florida Panthers. Ale najczęściej o Martinach. Danny najbardziej lubił baseball.

Nagle przypomniał sobie z bolesnym wyrazem twarzy, w którym mierzwiście postrzelono Danny'ego.

Gdyby powiedział coś, co można by wykorzystać! Gdyby dał mu jakąś wskazówkę dotyczącą napastnika! Ale on wyszeptał tylko imię swojej żony. Spencer...

Wstał nerwowo z kanapy.

- Niech cię diabli, Danny! - powiedział cicho do księżyca. - Robi coś dobrego. Przysięgam na Boga, że robi coś dobrego. Gdyby tylko wskazał mi jakiś ład... Czego nie potrafi dostrzec? Zrobi wszystko, stary druhu, wszystko. Ja te cię kocham...

No właśnie, w tym tkwi sedno sprawy. Kocha ją. Zawsze ją kochał i czuje, że nigdy nie przestanie.

Słodkie wschodziło, a on wiedział, że tej nocy nic się już nie wydarzy, ale był zbyt zdenerwowany, by zostawić ją samą.

Chciał się położyć na kanapie, ale zmienił zdanie i wszedł cicho na górę. Zatrzymał się i bezszelestnie otworzył drzwi.

Spała jak kamień w obszernej, starej koszulce.

Koszulce Danny'ego.

Jej włosy rozsypane były na poduszce jak płynne złoto. Rysy nawet we śnie były napięte, jakby miała jakiś zły, męczący sen. Chciał wejść do pokoju, dotknąć jej delikatnie, zetrzeć napięcie z twarzy.

Byłby to zrobił.

Potem zobaczył stojącą obok łózkę z fotografią. Ona i Danny. Nie było to zdjęcie lubne, lecz wakacyjna fotka. Byli w jakimś zoo i mieli się z kozłą, który próbował zjeść kołnierzyk koszuli Danny'ego.

David cicho zamknął drzwi, zszedł po schodach i usiadł na ostatnim stopniu.

Myślała, że by może... by może zaczęła uwalniać się od myśli o Danny'ym. Od poczucia winy. Wtedy mogłaby przyznać sama przed sobą, że...

Dawne uczucia mogą słabnąć, ale nigdy nie wygasają. A uczucia, które ich łączą, są tak silne.

Fotografia stoi tam zapewne od dawna. Spencer pisał w koszulce Danny'ego z przyzwyczajenia.

Ale on wolałby...

Wolałby, żeby to była jego koszulka.

Chciał wstać i wyciągnąć się w kocu na kanapie, ale nie mógł się ruszyć; był zbyt zmęczony. Oparł głowę o cianę.

I tam właśnie znalazła go Spencer, kiedy się wreszcie obudziła. Było już popołudnie.

Spencer wiedziała, że jest przemęczona i że przez to jest kłębkiem nerwów. Może to właśnie nie było przyczyną kłopotów, a może to wcale nie jej wina. David obudził się w ciekły jak osa.

Kiedy zeszła cicho po schodach i poklepała go po ramieniu, poczuła się tak bliska miłości, jak chyba nigdy dotąd. Odwrócił się do niej jak komandos, gotów zabić przeciwnika.

- Spencer! - Przesunął palcami po włosach. - Dlaczego, do cholery, skradasz się za moimi plecami?

- Wcale się nie skradam. Schodziłam na dół.

Cofnął się, zacisnął zęby i zaczął masować sobie kark.

- Prosiłam przecie, żeby pojechał do domu - przypomniała mu.

- Tak, ale ja obiecałem twojemu dziadkowi, że nie pozwolę ci zabić.

- Pamiętałabym o włączeniu alarmu.

Jego mina wiadczyła wyraźnie, że w tym w jej doświadczeniach. Postanowiła trzymać się od niego na dystans, więc zeszła po ostatnich stopniach tuż przy barierze.

- Zrobi kawę - mruknęła niepewnie. - Możesz tymczasem wziąć prysznic. Jeśli chcesz czystą koszulkę, to jestem pewna, że ją znajdziesz. Ja...

- Nadal przechowujesz rzeczy Danny'ego?

- Nie miałam czasu się ich pozbyć - odparła wymijając co.

- Minęło już przeszło rok. Istnieje mnóstwo organizacji dobroczynnych, które mogłyby je wykorzystać. Danny byłby z tego zadowolony.

- Dziękuję - odparła, patrząc na niego lodowatym wzrokiem. - Zapamiętaj moje rady. A gdyby miał czuć się niebezpiecznie w koszulce Danny'ego, to w szafie leży twoja koszulka z napisem Miami Dolphins. Musiał ją od ciebie kiedyś poćwiczyć.

Odwróciła się i weszła do kuchni.

Rozlała trochę wody, robiąc kawę, ale w końcu ją zaparzyła. Wyrzuciła do ogrodu. Był piękny, spokojny i nastrojowy. Bogata roślinność i kryształowo czysta woda, połyskująca w promieniach słońca. Kolejny upalny dzień. Czterdzieści w cieniu - jak mawiali starzy mieszkańcy Miami. Nad patio wyłożył onych cegłami powietrze drgało z gorąca. Wiedziała, że jeśli sprzeda ten dom, będzie jej go brakowało. Przestrzeń znajdująca się za nim była całkowicie osłonięta drewnianym płotem. Harris i tajemniczy intruz przeskoczyli przez ten płot wczoraj wieczorem, ale ogród i tak wyglądał jak ustronny raj. Oboje z Danny'ego spędzili w nim wiele miłych chwil.

Czy Jared miał rację, twierdząc, że chce pozostawić duchy za sobą?

Być może. Ale ona czuła, że duch Danny'ego będzie jej towarzyszył do końca życia. Musiała się nauczyć żyć z nim. Był dobrym duchem i dlatego jego obecność była niekiedy tak bolesna. Może gdyby się z nim pogodziła...

Odwróciła się gwałtownie. David stał tuż za nią, trzymając w ręku kubek z kawą. Miał na sobie sportową koszulkę klubu Miami Dolphins. Był wykopany i ogolony, a jego ciemne włosy lśniły od wody.

- Jimmy jest już w drodze - oznajmił. - Ja muszę na chwilę wyjść. Jakich masz planów na dzisiaj?

Zadał to pytanie tonem dyktatora przesłuchującego swoich podwładnych. Spencer skrzywiła się na piersiach.

- Wiesz co? To robi się trochę mieszane.

- Nie dyskutuj ze mną. Nie chcę się kłócić.

- A ja nie chcę, żeby ktoś autokratycznie kierował moim życiem! To szaleństwo...

Przerwała. To było szaleństwo. Sama już nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale jedno było pewne. Bała się Jareda.

Jednak to nie on przeskoczył ubiegłego wieczora przez jej płot. Siedział w tym czasie za kierownicą samochodu, odwołując się do domu i dzieci.

- Co? - spytał David, przechylając głowę w bok i patrząc na nią uważnie.

- Nic - odparła gwałtownie.

- Spencer...

- Jimmy będzie tutaj, prawda? Gdybym wpadła nagle na jakiś desperacki pomysł, z pewnościami ci zawiadomi.

- Nie próbuj robić żadnych głupstw, na przykład wsiadać znowu do samolotu. Wyciągnij się z niego siłą.

- David...

- Do cholery, Spencer, nie mówisz przez cały czas działa przeciwko mnie!

Odwrócił się i podszedł do drzwi. W chwilę potem już go nie było.

Oppenheim miał wolny dzień. Siedział w ogródku swego domu, położył onego w południowej części Miami, i obserwował wnuka, który radośnie pluskał się w płytkim basenie.

Na widok Davida wydał głuchy jęk.

- Ju wiem, wiem - mruknął. - Czytałem meldunek Harrisa.

- A wiecie pan, kto próbował się włamać.

- David, uwielbiam Coconut Grove. Kocham je nawet w piątkowe i sobotnie wieczory, kiedy roi się w niej od ludzi, kawiarniane ogródki są zatłoczone, jedynki, z klubów bucha ogłuszająca muzyka, a samochody stoją w korkach. Ale pamiętaj, że jest to dzielnica o wysokiej przestępczości. Sam wiesz, ile tam jest napadów rabunkowych.

- Ta sprawa jest inna i pan o tym wie.

- David, spójrz prawdzie w oczy! Zatraskany dziadek zatrudnia cię, ponieważ w jakim zrujnowanym domu spadła jakaś belka! Spencer Huntington wtyka nos w nie swoje sprawy i pakuje się w kłopoty na cmentarzu! Nawala wynająć samochód - i to w Rhode Island! Potem ta próba włamania... A ty znowu zatruwasz mi życie!

- Nie zatruwam panu życia. Był tam Harris.

- No to czego jeszcze ode mnie chcesz? Robi co może!

- Chciałem się upewnić, czy pan wie, że miałem rację. Spencer zagraża niebezpieczeństwem.

- Jezu Chryste! - westchnął Oppenheim.

- Czy nadal obserwujecie jej dom?

- W miarę naszych możliwości.

- Dzięki. - David pomachał ręką brodzemu w basenie trzylatkowi i ruszył w stronę wyjścia.

- David!

- Słucham?

- Każ swoim ludziom mieć ją na oku aż do poniedziałku. Sobotnie wieczory są dla mnie najtrudniejsze. Znasz to miasto - weekendy to zabójstwo.

Istotnie, pomyślał David.

- Dobrze, dziękuję, będziemy ją ochraniać do poniedziałku - powiedział. - Ale muszę jeszcze pojechać do zakładu kryminologii.

- To był odcisk buta z firmy Frye - oznajmił Oppenheim. - Nie znaleźli żadnych odcisków palców, które mogłyby być przydatne. Mnóstwo twoich - ale nie martw się, nie jesteś podejrzany.

- Dziękuj - mruknął David, postanawiając tak czy owak wstąpić do zakładu kryminologii.

Kiedy dotarł na komendę, stwierdził z radością, że służy pełni Hank Jenkins, ten sam policjant, który ubiegłego wieczora zbierał odciski.

- Buty z firmy Frye, numer dziewięć - powiedział Hank, wzruszając ramionami. - Nie wiem, czy ci się to na coś przyda. To dobre buty, niezbyt tanie, ale chodzą w nich setki tysięcy ludzi. Dziewięć to do mały rozmiar. Głębokość odcisku dowodzi, że twój intruz jest nieduży i waży około sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt kilogramów. Mogła to nawet być kobieta.

- Kobieta? - spytał z niedowierzaniem David.

- Wśród złodziei zdarzają się kobiety.

- To nie był zwykły złodziej - owiadczył David.

Zerknął na zegarek, podziękował Hankowi i wyszedł.

Dziesięć minut. Bezwrotnie. Był późny wieczór. Po wyjściu tej. David nadal czuł się zmęczony. Był już za stary, żeby spać na schodach.

Pojechał pod dom Spencer, będąc przekonany - bardziej niż kiedykolwiek dotychczas - że nie może zostawić jej bez opieki.

Kiedy wyjechał z za rogu, dostrzegł zaparkowanego po drugiej stronie ulicy białego plymoutha.

Siedział w nim Harris. Na widok Davida uniósł kubek z kawą. David pomachał mu na powitanie.

Samochód Jimmy'ego stał na podjeździe, ale był pusty. David domyślił się, że jego człowiek jest w drodze.

Miał rację.

Kiedy nacisnął dzwonek, drzwi otworzył mu Jimmy. Miał na sobie obcisłe dżinsy i sportową koszulkę - rzeczy Danny'ego. Na widok Davida zrobił niepewny min.

- Pani Huntington zamówiła telefonicznie pizzę. Harris dyuruje przed domem, więc pomyślałem, że mogę wejść do rodka. Ale byłem czujny. Wiesz, jaki jestem odpowiedzialny.

David kiwnął głową. Wiedział, że Jimmy lada chwila zacznie się jąkać.

- Jest tak cholernie gorąco... Ona spędziła dzień nad basenem, trochę czytała, trochę pływała. Ja też trochę popływałem, zaprosiła mnie.

David nadal patrzył na niego w milczeniu.

- Przysięgam ci, że ani na chwilę nie przestałem być czujny.

- W porządku, Jimmy - mruknął w końcu David, choć nie był zachwycony tym sposobem ochraniającej klientki. - W porządku, bo jest tam Harris. Ale gdyby on odejść...

- Wiedziałbym o tym. Obiecał zadzwonić, gdyby go gdzie wezwano.

- Hmm.

- No cóż - wyjąkał niepewnie Jimmy - skoro już tu jesteś, to bdy się zbierał. - Spojrzał na swoje nagie stopy. - Zabior buty i pojedę do domu.

David ponownie kiwnął głową. Jimmy poszedł do ogrodu, poegnął się ze Spencerem i wrócił z butami w rękę.

- Dobranoc. Czy mam rano objeżdżać?

- Tak.

- Koło ósmej?

- Doskonale.

Jimmy zamknął za sobą drzwi. David włączył alarm i obszedł dom. Wiedział, że kiedy Spencer siedzi na dworze, skąd pana odbitej od basenu po wiacie, alarm nie na wiele się przydaje.

Wyszedł na dwór i spojrzał na nią. Jej dwuczęściowy kostium nie był szczególnie wyzywający w porównaniu z tym, co noszono na tutejszych plażach, ale kiedy ona miała go na sobie, budził erotyczne skojarzenia.

Siedziała z podcigniętymi kolanami, opierając o niego egzemplarz czasopisma architektonicznego. Obok niej stała na stoliku wysoka, oszroniona szklanka. Jej mokre włosy były zaczesane do tyłu. Nie miała makijażu. Wyglądała bardzo młodo, bardzo niewinnie.

Czy by była to pułapka? Chyba nie, bo kiedy podniosła głowę, jej kciuki były na jego widok.

- Co by było, gdybym kupiła sobie bardzo dużego dobermana? - spytała. - Czy wtedy poszedłby wreszcie do domu? Jeśli tak, to może emy jutro odwiedzi kilku hodowców.

Podszedł do niej, podniósł szklankę i wypił spory łyk. Mroziła herbatą. Liczył na coś mocniejszego.

Usiadł naprzeciwko niej na krześle, splótł dłonie na kolanach i zaczął jej się przyglądać.

- Ładny kostium. Pewnie znów uwodziła biednego Jimmy'ego, co?

- Może zauważyła za moimi plecami basen - odparła, patrząc mu prosto w oczy. - A ja mam na sobie kostium kąpielowy. Właśnie w takich strojach ludzie kąpią się w basenach.

- Niezły kostium.

- Całkowicie przyzwoity.

- No cóż, chyba lepszy niż rącznik... albo nie - przyznał ugodowym tonem.

- Wyjaśnijmy to sobie do końca. Czy naprawdę zarzucasz mi, że usiłuję uwieść twojego pracownika? - spytała z rozbawieniem.

I znowu ciekło ci.

- Jesteś biegła w sztuce uwodzenia - odparł, wzruszając ramionami. - Wiem o tym z pierwszej ręki.

- Ale dlaczego miałabym uwodzić Jimmy'ego? Przecież sam chyba zauważył, że nie byłam szczególnie zadowolona, kiedy znalazłam się z tobą w łóżku.

- Kiedy znalazłaś się ze mną w łóżku... hmm. To interesujące. - Pochylił się ku niej lekko. - Może na tym polega

twój problem, Spencer. Może chodzi o mnie. Może nie byłaby tak niebezpieczna, gdyby znalazła się w łoku z połowidrużnymi piłkarskiej.

Usiadła, odkładając czasopismo.

- Jesteś idiotą, David! Kompletnym idiotą!

Wstała i wykonała perfekcyjny skok do wody, a potem niebezpiecznym popłynęła w kierunku przeciwnego końca basenu, by znaleźć się jak najdalej od niego.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem doszedł do wniosku, że naprawdę jest idiotą.

Wstał i ciągnął przez głowę koszulkę klubu Miami Dolphins, zrzucił buty i skarpetki, potem szybko zdjął dżinsy i bieliznę.

Spencer przyglądała mu się z drugiego końca basenu szeroko otwartymi oczami.

- Co ty, do diabła, wyrabiasz? - spytała.

- Id popływać - odparł krótko.

Wskoczył do wody. Był pewien, że Spencer zanurkuje i odpływnie, chcąc mu uciec.

Ale nie zrobiła tego. Nadal opierała się o krawędź basenu i patrzyła na niego z uwagą.

Chciał coś powiedzieć. Cokolwiek. Jednak nie powiedział nic. Wyciągnął ręce, chwycił ją za ramiona i oparł plecami o wykładanymi niebieskimi kafelkami ścian basenu, przycisnął wargi do jej ust, włożył ręce do wody i zsunął z niej dół swojego kostiumu.

Zaczęła głaskać ją po plecach, a potem dotknął dłoni jej piersi. Równocześnie zaczął ją zaborczo całować, pragnąc, by udzielił się jej trawiczący ból po daniach. Wydała cichy okrzyk i na chwilę zeszywniała. Potem poczuł jej palce na policzku, ramionach i plecach. Chwycił jej rękę i powiodł nią w dół swego brzucha.

- Nie powinniśmy tego robić - wyszeptowała, odrywając się na chwilę od jego warg.

- Wiem.

Nie powinni tego robić, ale już było za późno, żeby się wycofać. Spencer pieściła go, a on rozpiął górny cz. jej kostiumu, pochylił się i wziął do ust różową, nabrzmiąły czubek jej piersi.

- David... to szaleństwo... - wyjąkała bez tchu.

- Tak. To jedna z form obłędu. Potrzebna głowa, a jej oczy wyrażały wahanie.

- To jest jeszcze większe szaleństwo niż myślisz - powiedział z uśmiechem. - Robi wci to samo i spodziewam się innego rezultatu. Będzie się kochali, potem ty zaczniesz płakać, a ja odejdę, wciąknę na samego siebie. Zgadza się?

- A więc nie...

- Nic nie mów. - Przycisnął palec do jej ust. - Po prostu uznaj mnie za wariata.

Uniósł ją gwałtownie i posadził na krawędzi basenu, potem rozchylił jej uda i ukrył między nimi twarz. Krzyknęła cicho i zaczęła dręć. W kilka sekund później chwycił ją za biodra i wciągnął do wody. Czuł się tak, jakby na całym świecie nie było nic innego, jakby umierał z miłości. W końcu jego siły wyczerpały się i nastąpiła kulminacja. Spencer obejmowała go oburczy, omdlała z rozkoszy.

Znieruchomiał. Przez długi czas nie był w stanie zrobić najmniejszego ruchu.

Może nie wierzył własnym oczom. Przyciskał twarz do wskiej szpary w płocie i obserwował w napięciu rozgrywać się przed jego oczami scenę. Był zadowolony, że udało mu się przemknąć pod dom za plecami siedzącego w samochodzie policjanta.

Pochylił się, żeby lepiej widzieć. Czujc dręć kolana i przyspieszone bicie serca, zrobił pół kroku do tyłu.

David w końcu drgnął. Powietrze było chłodne, a woda tylko odrobinę cieplejsza. Upała minęła i nastał chłodny wieczór.

Spencer zadrżała, a może znowu zaczęła łkać.

- Nie płacz - powiedział. - Błagam!

- Ja nie płacz.

Pochylił się, aby spojrzeć w jej oczy.

W tym momencie oboje usłyszeli dobiegający zza płotu trzask gałęzi.

David zaklął, w mgnieniu oka wyszedł z wody i włożył dżinsy. Nie próbował szukać butów ani koszuli, przeskoczył przez płot.

Kiedy spadał z drugiej strony, na ulicy rozległ się warkot silnika.

Potknął się o zraszacz do trawy, ustawiony na środku parceli. Potem zaczął przedzierać się przez krzaki.

Rozległo się szczekanie jakiegoś psa.

Gdy wybiegł na ulicę, z wyciem silnika przemknął obok niego jakiś samochód.

Niebieski samochód.

15

Spencer, nie szukaj c swego kostiumu, wyskoczyła z basenu, podniosła szlafrok i zasłoniła si nim. Było jej niedobrze. Czowała si upokorzona.

Kto tam był. Kto ich obserwował.

Niemal krzykn ła, kiedy David niespodziewanie przeskoczył przez płot i znalazł si w ogrodzie. Spojrzała na niego z przera eniem, ale on, ignoruj c j , podszedł do oszklonych drzwi.

- Wejd do domu i pozamykaj si na wszystkie spusty.
- Czy mam wł czy alarm?
- Sam to zrobi . Co, do diabła, stało si z Harrisem?

Zdała sobie spraw , e mówi nie tyle do niej, ile do samego siebie.

Zamkn ła na klucz drzwi od ogrodu i poszła za nim. Stał w wej ciu, patrz c ze zło ci na ulic .

- Znikn ł. Miał zadzwoni , gdyby go gdzie wezwano. Niech go diabli wezm ! Mogli my złapa tego człowieka!

- Czy widziałe ...
- Widziałem niebieski samochód, który szybko odjechał.

Nie ma adnych szans dogonienia go. Musz zadzwoni na policj , zameldowa o tym, e kto nas podgl dał i spyta , co si stało z Harrisem. Ty mo esz i spa , je li masz ochot .

Mówił tak rzeczowym, beznami tnym tonem, jakby nic mi dzy nimi nie zaszło. Spencer poczuła, e czerwieni si od stóp do głów.

- Nie mo esz dzwoni na policj . Co im powiesz?
- Powiem, e kto siedział w krzakach i zagł dał przez dziur w płocie! - odparł.
- Zacz n zadawa ci pytania.

David wzruszył ramionami.

- Nie martw się. Nie powiem im, co robiłaś. To Spencer, wdowa po Dannym.

Odwróciła się i podeszła do schodów. Czując, że za chwilę wybuchnie płaczem i wiedziała, że on nie zrozumie jej motywów. Sama nie potrafiła nazwać swych uczuć, a David w dodatku kpił sobie z niej.

Może jednak ma do tego prawo? Kiedy go głębiej zraniła, a on był człowiekiem ostroжным i nie chciał odsłonić się przed nią po raz drugi.

- Nie możesz winić mnie za dzisiejszy wieczór! - zawołała, idąc po schodach.

- Sam nie wiem. Myślę, że kostiumy bikini należą do tej samej kategorii co rękawiczki, szlafroki i nagość.

- David, jesteś ...

- Spencer, ja cię za nic nie winię, rozumiesz? Sam zawsze biorę odpowiedzialność za to, co robię.

Odwróciła się bez słowa, weszła do swego pokoju i zaczęła po nim chodzić w tę i z powrotem. Słyszała z dołu głos Davida.

Domyślała się, że rozmawia z Oppenheimem. Napady rabunkowe i zabójstwa należą do kompetencji dwóch różnych wydziałów, ale w tego rodzaju przypadkach, kiedy ledztwo toczyło się równoległe, obie jednostki organizacyjne działały z sobą współpracująco. Spodziewała się nowego najazdu policjantów, którzy będą szukać dalszych ładów. Nie miała nic przeciwko temu - byleby nie zadawali jej żadnych pytań.

Po chwili wahania podeszła do szafy i wyjęła z niej poduszkę, potem znalazła komplet bielizny po celowej i stanęła u szczytu schodów. Nie słyszała już głosu Davida rozmawiającego przez telefon.

- David?

Kiedy się zjawił, rzuciła mu poduszkę.

- Kanapa jest wygodniejsza niż schody - oznajmiła z ironią, kiwnęła mu obojętnie głową i wróciła do sypialni.

Leżąc w łóżku, patrzyła na fotografię zrobioną podczas pobytu z Dannym w jakimś zoo. Kiedy poczuła, że ma łzy w

oczach, dr c r k odwróciła zdjęcie i zaczęła szlocha .
Wiedziała jednak, że tym razem płacze z innego powodu.

Nie opłakiwała już miłości Danny'ego. Płakała nad sobą .

David położył się na kanapie, a potem obszedł cały dom, sprawdzając okna, drzwi, rygle, zamki i urządzenia alarmowe. W końcu położył się , by trochę wypocząć . Ta kanapa naprawdę była wygodna.

Doszedł do wniosku, że jeśli zamierza nadal kochać się od czasu do czasu ze Spencerem, powinien to robić w wygodnym łóżku. Sypiałby wtedy w znacznie lepszych warunkach.

Nie miał jednak ochoty ponownie obudzić się w łóżku Danny'ego obok kobiety, która była niegdyś jego żoną . Lepiej już będzie, jeśli znów uwiodzie ją w basenie, pomyślał z ironią .

I pomyśle , że chciał zganić biednego Jimmy'ego za brak czujności!

Przewracał się na kanapie, coraz bardziej męcząc się.

Kiedy spotkam Harrisa, skrzyknę mu kark! - pomyślał ze złości .

Sam już nie wiedział, co się dzieje w tym domu. Ubiegłego wieczora był tu ktoś w butach z firmy Frye, dziękował ich facet jeździący niebieskim samochodem. Ten sam człowiek?
Dwie różne osoby?

I dlaczego?

Rozległ się dzwonek. David, olepiony blaskiem słońca, zmrużył oczy i ruszył w stronę drzwi. Był pewien, że to Jimmy, który zjawia się , by objąć pracę . Wyrzął przez judasza.

Na prowadzącego do domu czekał Sly.

Miał na sobie biały koszulki ze złotymi ozdobami i beżowe szorty. Był jak zwykle wyprostowany, ale wydawał się trochę zbyt szczupły jak na swój wzrost. David wyłączył alarm i otworzył drzwi.

- Dzień dobry - powitał go Sly. - Wszystko w porządku?

- Och... tak. - David nie chciał na razie ujawniać wszystkich szczegółów.

- Kawa gotowa?

- Spencer jeszcze nie wstała - zaczął David, ale okazało się, że włą nie schodzi po schodach. Jej stopy były białe. Miała na sobie letni sukienkę, a jasne włosy zwiłała w koki ogon.

- Sły!

- Przyjechałem, żeby zaprosić was na niadanie.

- Przykro mi, Sły, ale powinienem natychmiast załatwić kilka zaległych spraw - powiedział David.

Sły spojrział na niego badawczo.

- Mój chłopcze, musisz ci powiedzieć, że wyglądasz okropnie.

- Dziękuj - odparł z ironią David.

- Spencer, przynajmniej ty nie odmawiaj - zwrócił się Sły do wnuczki.

- Nie miałam zamiaru. Może z ciebie nie pojedzie do kościoła. - Zerknęła na zegarek. - Albo przedtem. Włóż tylko buty i weźmiesz torebkę. Zamknij drzwi za Davidem, dobrze? A może chcesz, żeby zrobił ci kawę?

- Chyba artujesz - obruszył się Sły. - Piłem już robioną przez niego kawę.

- Jimmy powinien tu być już dawno, prawda? - spytała Spencer. - Może on chce wybrać się z nami?

Spojrziała na Davida i zadrżała. Sama nie wiedziała, po co go drażni.

- Włą nie jedzie - oznajmił David - więc ja pójdę. I na pewno chętnie pojedzie z wami na niadanie. - Spojrział na Spencer, a w jego oczach pojawiły się nagle chłodne błyski. - Zawsze korzysta z wszystkiego, co proponuje mu Spencer.

Odwrócił się i zniknął w bawialni, skąd wrócił po chwili, niosąc w ręku koszulki i buty. Nie zadał sobie nawet trudu, by ubrać się do kościoła. Poegnął się ze Sływem i wyszedł.

Spencer poczuła się gorzej niż kiedykolwiek dotychczas. Może naprawdę ma wrzód ośrodkowy. Wzruszenia już od dawna odbijały się na jej samopoczuciu, ale w znacznej mierze sama była sobie

winna. Zastanawiała się, jak ma powiedzieć Davidowi, że w końcu zaczyna się godzić ze śmierci Danny'ego.

Nie była pewna, czy cokolwiek potrafi mu wyjaśnić.

W domu David przebrał się i wziął prysznic, a potem pojechał do biura. Przeglądał aktę, nacisnął guzik automatycznej sekretarki. Pierwsi trzej rozmówcy chcieli zapytać o zakres wiadczonej przez niego usług. Postanowił poprosić Rev, by zadzwoniła do nich w poniedziałek.

Czwarta wiadomość pochodziła z policyjnej pracowni kryminologicznej. Policjanci ponownie przeszukali teren przylegający do ogrodu Spencer. Tym razem znaleźli tylko jeden niewyraźny ślad. Ustalili, że jest to odcisk męskiego buta z firmy Rockport, numer dwanaście.

Kiedy usłyszał piąte nagranie, zastygł w bezruchu. Mówił jeden z policjantów, którzy prowadzili śledztwo w sprawie wypadku w Rhode Island.

- Nie jesteśmy pewni, czy ma to jakie znaczenie, panie Delgado, ale firma wynajmująca samochody poinformowała nas o dość dziwnym zdarzeniu. Mechanik, który dokonywał przeglądu pojazdu wypożyczonego przez pani Huntington, zniknął w kilka dni po wypadku. Firma oczywiście wini za to nas, twierdząc, że wystraszyli my go pytaniami. Długo nie mogliśmy ustalić, kim ten facet jest. Wszystkie informacje, jakie podał, staraliśmy się o to posadzić, były fałszywe. Sprawdziliśmy numer jego ubezpieczenia i odkryliśmy, że należy on do kogoś, kto nie żyje już od niemal dwudziestu lat. Tak czy owak zdjęliśmy jego odciski z jakiego narzędzia, którym się posługiwał i okazało się, że był kiedyś skazany. Uciekł z więzienia, w którym odsiadywał długoletni wyrok za napad z bronią w ręku. I niech pan zgadnie, u kogo ostatnio pracował... U człowieka, którego pan z pewnością zna. Nazywa się Ricky Garcia. Na razie to wszystko, co mamy, ale gdybym mógł być panu na coś przydatny, proszę do mnie zadzwonić pod numer... David chwycił za słuchawkę.

Spencer sp działa w towarzystwie dziadka i Jimmy'ego cały dzie .

Upłyn ł on zadziwiają co przyjemnie i spokojnie. Podczas niadania zastanawiała si , czy nie wspomnie dziadkowi, e chciałaby w poniedziałek zje lunch w Yacht Clubie, ale bała si , e Sly poinformuje o tym Davida i przekre li w ten sposób jej szanse na spotkanie z Vichym. David najwyra niej uwa ał, e w pracy jest bezpieczna i nie ledził jej, kiedy była w biurze. Postanowiła wi c pojecha jak zwykle do firmy i poprosi dziadka o zabranie jej do klubu.

Po ko cieie i niadaniu pojechali obejrze dom, który chciała kupi . Nadal miała przy sobie klucze. Uwa ała, e ten dom po cz ci nale y ju do niej.

- Czy kupujesz go dlatego, eby by bli ej mnie? - spytał Sly.

- Przecie znasz mnie a za dobrze, eby to podejrzewa .

- Odpowiedz na moje pytanie.

- To, e b dziesz mieszkał blisko, traktuj jako korzy uboczn .

- A co zrobisz ze swoim domem?

- Chyba go sprzedam. Nie potrzebuj dwóch domów. A poza tym remont tej rudery b dzie kosztował maj tek.

Sly rozejrzał si i zatrzymał wzrok na galerii. Spencer zadr ała na wspomnienie l ku, jaki ogarn ł j , gdy stała na niej z Jaredem, i po raz kolejny doszła do wniosku, e l k ten był jedynie produktem jej wyobra ni. Musiałaby by obł kana, eby ba si kogo z najbliższej rodziny.

- Co si dzieje, Spencer? - spytał Sly, wyczuwaj c zmiany jej nastroju.

- Nic.

- Wygl dasz na wystraszon .

- Niełatwo mnie wystraszy . To ty ci gle przejmujesz si głupstwami.

- Nikt nie szanuje starego człowieka.

- Przesta narzeka . Jeste młodszy ni m czy ni, którzy mogliby by twoimi wnukami. Pami taj, e wiek to tylko stan umysłu.

- Ja o tym pami tam, ale moje nerki czasem zapominaj . I wiedz, młoda damo, e młodo nie jest gwarancj bezpiecze stwa.

- Tak, ale ja mam dziadka, który ka e mnie strzec w dzie i w nocy.

- Daj spokój, nie jest a tak le.

Przypomniała sobie l k, o jaki przyprawił j Jared i doszła do wniosku, e w gruncie rzeczy jest wdzi czna dziadkowi za opiek . Nie była jednak pewna, czy jest zadowolona, e tak cz sto strze e jej David.

- Poka ci teraz reszt domu. - Obejrzała si na Jimmy'ego. - Czy chcesz zobaczyć inne pomieszczenia?

- Oczywiście cie - odparł potulnie.

Z u miechem weszła do salonu. Dom nie sprawiał na Jimmym najmniejszego wra enia. Ogl dał go z uprzejmo ci.

Był po prostu wspaniałym aniołem stró em.

Tego wieczora postanowiła przyrz dzi kolacj . Pieczony udziec z jagniny, młode ziemniaki, szparagi, sałatka z sosem jej własnego pomysłu.

Nie wiedziała sama, czy jej spokój jest skutkiem pewno ci, e David si zjawi, czy te jego nieobecno ci. Jimmy i Sly bardzo chwalili posiłek.

Sly wyjechał koło dziewi tej, a Jimmy oznajmił, e b dzie czuwał przed domem.

O jedenastej zrezygnowała z czekania na Davida i poło yła si do łó ka. Przewracała si z boku na bok, marz c o odzyskaniu wewn trznego spokoju. Nie mogła tak dłu ej y . Co musi si zmieni ... i to szybko.

Po północy zasn ła, ale obudziła si około drugiej.

Wyjrzała przez okno. David stał przed domem, opieraj c si o samochód.

Z jednej strony miała ochotę zejść na dół i zaprosić go do rodka, z drugiej marzyła, by odszedł jak najdalej.

Wróciła do łóżka z mocnym postanowieniem, żeby się od niego z daleka. Poczuli ją jeszcze wieszki. Zamknęła oczy i próbowała zasnąć.

Po chwili poprawiła poduszkę, znowu zamknęła oczy, w końcu wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Następnie położyła się i znów zaczęła poprawiać poduszkę.

To była kolejna długa noc. Kiedy nadszedł ranek, czuła się fatalnie. Nawet kawa wydała się jej pozbawiona smaku.

David zaparkował samochód przed klubem.

Słyszeli go przed godziną i powiedział mu, dokąd jechał. W klubie było rojno jak zwykle. David uwiadomił sobie, że od dawna nie jadł tam lunchu i postanowił wykorzystać okazję.

Kiedy szedł wzdłuż wielkiego basenu, z którego widać było cumujące na przystani kosztowne jachty, usłyszał nagle swoje imię. Zatrzymał się i odwrócił głowę. Dostrzegł na jednym z łodziaków Cecylie Monteith. Miała na sobie sukienkę kostiumową i ciemne okulary, a jej skóra lśniła od olejku do opalania.

- Widzisz, że naprawdę tropisz Spencer jak pies go czy - powiedziała. - Nie widziałam cię tu od lat.

- Bo nie było mnie tu od lat.

- Ja lubię tu przychodzić. Szczególnie w lecie. Jest tu coś w rodzaju szkoły żeglarskiej, do której moim dziecku na pewno posłać.

- To wspaniale. Czy przyjechała ze Spencer i jej dziadkiem?

Cecylie pokręciła głowę.

- Nie mam nic wspólnego z ich interesami. Po prostu lubię się tu przebrać. Czy masz ochotę na drinka?

- Dzięki, ale muszę zobaczyć, co oni knują.

- To tylko lunch. Nudny, słaby lunch. - Cecylie zrobiła pogardliwy min, a potem uśmiechnęła się uwodzicielsko.

Potrafiła by brutalnie szczerą, bardzo zabawna i bardzo miłą. A kiedy chciała - bardzo zło liwa. Niewiele si zmieniała od czasów szkolnych, pomy lał David. Doszedł do wniosku, e by mo e wszyscy pozostali tacy sami.

- Usi d na chwil - powiedziała Cecily. - Martwi si o Spencer.

- Dlaczego?

- No chod , usi d na chwil !

Usiadł. Kelnerka, która podeszła, miała na sobie szorty. Zamówił piwo.

- Dlaczego martwisz si o Spencer? Sły istotnie s dzi, e grozi jej niebezpiecze stwo, ale my lałem, e wszyscy inni uwa aj to przekonanie za obsesj .

- Och, nie znam si na tym. Nie martwi si o jej bezpiecze stwo. Przecie ma ciebie, a ty jeste z pewno ci cudownym opiekunem.

- Cecily...

- Nie b d taki zasadniczy! Przecie artowałam.

S cz c piwo, u wiadomił sobie ze zdumieniem, e Cecily jest zachwycona, le c pónago w towarzystwie m czynny, który nie jest jej m em. Nadal była bardzo atrakcyjn kobiet , ale wyra nie brakowało jej pewno ci siebie.

- A wi c co chciała mi powiedzie ? - spytał, próbuj c skłoni j do podj cia tematu.

- Moim zdaniem Spencer jest... chora. Wiesz, co mam na my li.

- Nie, nie wiem, co masz na my li. O czym ty mówisz?

- Mo e popełniłam bł d - odparła z westchnieniem.

- Mo e.

Cecily westchn ła ponownie.

- Chyba nie powinnam rozmawia o tym z tob ...

- Cecily, najwyra niej zamierzasz mi co powiedzie bez wzgl du na to, czy twoim zdaniem powinna rozmawia o tym ze mn , czy te nie. Lepiej wyrzu to z siebie od razu, bo inaczej ci udusz .

- Och, lubi , kiedy tak przemawiasz!
- Cecily...
- No dobrze! - Przerwała na chwil , rozkoszuj c si swoj przewag , a potem ci gn ła dalej: - Wtedy, u Revy, nie tkn ła tego kuba skiego jedzenia, a Sly gdakał dzi jak stara kwoka, bo wczoraj rano nie tkn ła niadania.

- Cecily, do czego zmierzasz?
- Jestem ciekawa, z kim si spotyka, to wszystko. Powiadam ci, cudowny opiekunie - gotowa jestem si zało y , e moja kuzynka jest w bardzo delikatnej sytuacji. To znaczy w ci y, Davidzie, a ja zastanawiam si , kto mo e by tatusiem, bo Danny nie yje ju zbyt długo, eby mógł by ojcem tego dziecka. Nie s dzisz?

Miał ochot uderzy j w twarz, lecz jedynie z hałasem odstawił szklank i wstał.

- Skoro jeste tak ciekawa, to chyba powinna porozmawia o tym ze Spencer. Ale moim zdaniem ona mo e uzna , e to nie twoja sprawa.

- Miejmy nadzieję , e nie uzna tego za nie twoj spraw - słodkim tonem odparła Cecily.

- Dzi kuj za piwo - powiedział szorstko, a potem przerzucił marynark przez rami i ruszył w kierunku wej cia do klubu.

Spencer bez trudu namówiła dziadka, by zabrał ją do klubu, nie bardzo jednak wiedziała, pod jakim pretekstem zostawi go samego przy stole i uda się na umówione spotkanie z Vichym.

Wymknęła się w końcu dopiero przy kawie, mówiła mu, że musi pójść do toalety i załatwi kilka pilnych telefonów. Od tej pory wszystko poszło gładko. Vichy sam ją znalazł.

- Pani Huntington - usłyszała, idąc przez salę.

Vichy, elegancki siwy mężczyzna, był ubrany na biało. Nosił ciemne okulary, ale zdjął je, wstał od stolika i wskazał jej miejsce po drugiej stronie.

Usiadła i spojrzała na niego badawczo. Miał niezwykle atrakcyjną twarz, zmysłowe wargi i bystre oczy. Był naprawdę przystojny. Nie potrafiła odgadnąć jego wieku, ale doszła do wniosku, że mu się podoba kobiety.

Może nawet za bardzo.

- Czy mógłby zamówić dla pani kawę? - spytał. - A może coś mocniejszego?

- Pij kawę z dziadkiem. Niech pan po prostu powie, co pan ma do powiedzenia, panie Mchy.

- Mój Boże, widzę, że jest pani stanowczą kobietą. Pani mąż nie miał w sobie tyle siły, pani Huntington.

- Jeśli ma pan do mnie jak sprawę...

- Chciałem tylko powiedzieć, że nie zabiłem pani męża - o wiadczył, odchylając się do tyłu. - Nie zabiłem mojej żony i nie zabiłem pani męża. To bardzo dziwne. Jestem podejrzany o zabicie mojej żony ciosem w głowę i o zastrzelenie pani męża. To przypomina zagadkę detektywistyczną. Moja żona - w sypialni, tymczasem narodziła się. Pani mąż na ulicy - z broni palnej. Ale w prawdziwym życiu wszystko wygląda inaczej, pani Huntington. Prosiłem o to spotkanie, bo miałem nadzieję, że podczas beztroskiej rozmowy uwierzy pani w moją

szczerze. Zaczyna mnie m czy ten ci gły nadzór policyjny, do którego pani w znacznym stopniu si przyczynia. Chciałem prosi , eby nakłoniła pani policjantów do pozostawienia mnie w spokoju. Je li to si nie uda, zaskar pani do s du.

- Zaskar y mnie pan do s du? - spytała ze zdumieniem.

- Oczywiście.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i wstała.

- Panie Vichy, zapewniam pana, e nie ma pan szansy wygrania takiego procesu! Nie popełniłam adnego przest pstwa wymierzonego przeciwko panu, wi c mo e pan zachowa swoje gro by...

- Groził ci? - spytał kto tonem, który przypominał raczej warczenie psa ni ludzki głos. Odwróciła si gwałtownie.

Do diabła! - zakl ła w duchu. David!

- Nie... -zacz ła.

Vichy wyra nie pobladł. Wstał i spojrzał na Davida z niepokojem.

- Delgado, je li pan si do mnie zbli y, oskar pana o napa .

- Dotknij jej, zadzwo do niej, powtórz jeszcze raz jej nazwisko, a r cz ci, e ju nigdy nie b dziesz w stanie nikogo o nic oskar a , ty draniu! - sykn ł David.

- David! - upomniała go stanowczym tonem Spencer.

- Typowa brutalno policji - z u miechem stwierdził Vichy.

- Nie jestem ju gliniarzem, Vichy, wi c nie mo esz z mojego powodu oskar y policji o brutalno . I wiesz co? Oni w ko cu ci dopadn !

- Niestety, panie Delgado, pa skie pochodzenie rzuca si w oczy. Ludzie pa skiego pokroju nie powinni by wpuszczani do tego klubu.

- Panie Vichy, ludzie pa skiego pokroju nie powinni chodzi po ulicach. Zrobi wszystko, eby pan nie mógł si na nich pokazywa ! Chod , Spencer.

- David...

Nie wiedziała, co w niego wstąpiło. Zaciśnięła palce na jej ramieniu i szedł tak szybko, że z trudnością za nim nadążyła.

Czy był zły dlatego, że nie uprzedziła go o tym spotkaniu? Ale dlaczego był pewien, że zostało ono zaplanowane? Mogła przecież spotkać Vichy'ego przypadkiem. Nagle zdała sobie sprawę, że idzie w kierunku jachtów.

- David, Sły jest...

- Sły jest już w drodze do biura - odburknął David. - A ty pójdiesz ze mną.

- Poczekaj chwilę ...

- Nie!

Nie opierała się, dopóki nie dotarli do „Reckless Lady”, luksusowego jachtu jej dziadka. Miał dziesięć metrów długości i wygodnie mieściło się w nim sześć osób. David dobrze znał ten jacht. Sły był jego wujem cicielem od co najmniej piętnastu lat.

- Wskakuj - rozkazał.

- Nie. Mam tego dosyć. Mam tego wszystkiego dosyć. Wolę, żeby mnie zastrzelono...

- Zastrzel cię sam, jeśli nie wsiądziesz!

Wskoczył na dziób i wyciągnął do niej rękę. Miała okazję uciec, ale bała się, że David ją dogoni, zanim zdąży dobiec do klubu.

- Nie jestem odpowiednio ubrana. Nie mogę na chodź po pokładzie w butach na wysokim obcasie!

- Masz tu mnóstwo ciuchów. I więcej butów niż Imelda Marcos!

- Nieprawda!

- Chodź! - Chwyć ją za rękę i wyciągnął ją na pokład. Potem odcumował jacht, poszedł na rufę i włączył silnik.

Ostro nie ruszyła za nim. Zanim dotarła na rufę, odплыł od brzegu i skierował jacht w stronę zatoki.

- Dokąd płyniemy? - Musiała podnieść głos, by przekrzyknąć warkot silnika.

- Na morze!

- Ale dokąd? I dlaczego?

- Dowiem si , kiedy b dziemy na miejscu. Wtedy ci powiem.

Zeszła ostro nie po drabinie do kabiny. Min ła kuchni , jadalni i biurko, na którym le ały mapy. Po obu stronach w skiego korytarza mie ciły si dwie małe sypialnie; główna kajuta usytuowana była pod dziobem. David miał racj : istotnie miała na jachcie wygodne buty i troch sportowej odzie y. Wło yła białe szorty, koszul bez r kawów i tenisówki.

Kiedy wróciła na pokład, jacht płyn ł szybko, lizgaj c si po falach. Spencer usiadła na rufie, nadal zachodz c w głow , o co chodzi. Davida nie mogło tak rozw cieczy jej przypadkowe spotkanie z Vichym, musiał wi c wiedzie , e jest z nim umówiona. Ale skoro o tym wiedział, to dlaczego jej nie powstrzymał?

Stał przy sterze, wystawiaj c twarz na wiatr i nie patrz c nawet w jej kierunku. Kiedy min li Bear Cut, wył czył silnik.

Upał był niemiłosierny; powietrze wokół nich a drgało z gor ca. Powierzchnia morza, zalana promieniami sło ca, wygl dała jak pole usiane diamentami. Jacht kołysał si lekko na łagodnych falach.

David zarzucił kotwic , wstał i spojrział w kierunku widniej cej przed nimi małej, piaszczystej, zaro ni tej krzakami wysepki.

- David, powiedz mi, co si dzieje, i to natychmiast, bo inaczej przysi gam, e wyskocz i spróbuuj dopłyn do brzegu. Odwrócił si do niej gwałtownie.

- No dobrze. Dlaczego mi nie powiedziała ?

A wi c jednak chodzi mu o spotkanie z Vichym.

- Nie... nie widziałam powodu. Zadzwoił do mnie, ale...

- O czym ty mówisz?

- A o czym t y mówisz? - spytała ostro nie.

- Kto do ciebie zadzwonił?

- O czym ty mówisz? - powtórzyła, ignoruj c jego pytanie.

- Znów zaczynasz powtarza w kółko to samo. To czyste szale stwo -j kn ł, bezradnie unosz c r ce. Miał na sobie lekkie

ubranie, ale po wejściu na pokład zdjęła marynarkę. Teraz rozluźniła krawat, zdjęła go i rozpięła górne guziki koszuli.

- Kto do ciebie zadzwonił? Vichy?

- Ja... - Chciała skłama, ale dostrzegła jego wzrok i wiedziała, że nadeszła chwila prawdy. - Tak. Zadzwonił do mnie Vichy. W piątek. Powiedział, że będzie dziś w klubie i że chce ze mną porozmawiać. Postanowiłam go wysłuchać.

- Jezu Chryste... Spencer, powinnaś być mądrzejsza! Jeśli rzeczywiście chcesz poznać prawdę, musimy działać wspólnie. Jak, do diabła, mam cię chronić, skoro stale występujesz przeciwko mnie?!

- Może powiedziałaś mi coś, czego byś nie chciała powiedzieć tobie. Co, co mogłoby nam pomóc!

David usiadł nagle, opuścił głowę i przesunął palcami po włosach. Potem uniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

- W porządku, Spencer. Proszę cię, żebyśmy od tej pory postępowali jak członkowie jednej drużyny.

- Czy ty też będziesz mnie traktował jak członka swojej drużyny?

- Spencer, nie chcę, żebyś cię zabił. Robię to ze względu na Danny'ego.

- Wiem - stwierdziła spokojnie.

- Zagrajmy w dwadzieścia pytań - zaproponował.

- Dobrze - zgodziła się. Była zdezorientowana i zaniepokojona. - Powiedz mi, co...

- Nie, nie. Ja bym chciał pytać pierwszy, a ty musisz mi odpowiadać. Czy od śmierci Danny'ego czytałaś z kimś bliższe związki? Czy jest w twoim życiu ktoś, o kim mi nie powiedziałaś?

- Co? - spytała, nie wierząc własnym uszom.

- Z kim sypiałaś?

Spojrzała na niego ze zdumieniem i wstała, czując się tak, jakby otaczała ją lodowa ciana.

- Jak mieszkasz? - Rozpaczliwie usiłowała zachować panowanie nad sobą. - Nie masz prawa...

- Musz to wiedzie , Spencer. Czy w twojej przeszło ci jest kto , kto...

- Oskar asz mnie o romans z kim , kto mógł zabi Danny'ego? Kto mo e teraz próbowa zabi mnie?

- Nie - odparł łagodnym tonem.

- A wi c o co ci chodzi?

- Spencer, prosz ci , odpowiedz na moje pytanie.

- To nie twoja sprawa.

- Moja! - zawołał z furi .

Cofn ła si . Nie widziała go w takim stanie od... Od dnia, w którym znikn ła z jego ycia. Przed wielu laty.

- Niech ci diabli wezm , David! Nie wiem, do czego zmierzasz, ale w moim yciu nie ma nikogo innego. Był tylko Danny. A teraz... Och, sam wiesz! Jeste zadowolony? Czy mam przysi ga na Bibli ?

- Do diabła, Spencer! - powiedział cicho. Odwrócił si od niej i przez chwil patrzył na morze. Potem spojrział na ni , a kiedy si odezwał, mówił g ł bokim, wzruszonym głosem. - No dobrze, powiem ci. Nie mam zamiaru niczego da ani wtr ca si do twojego ycia, ale powiem ci jedno: nie masz prawa usuwa tej ci y.

- Co? - wykrztusiła Spencer.

- Cecily mi powiedziała.

Na szcz cie tu za ni stała ławka, bo inaczej upadłaby ze zdumienia na pokład.

- Co? - powtórzyła.

- Cecily mówiła mi...

- Ale... - zacz ła Spencer i urwała. A David, patrz c na ni , doszedł do wniosku, e Cecily zapewne miała racj , ale te Spencer niczego przed nim nie ukrywała; po prostu dopiero teraz u wiadomiła sobie tak mo liwo .

Potrz sn ła głow .

- Nie mów głupstw. Cecily nie mo e o niczym wiedzie . Nie rozmawiałam z ni prawie od trzech tygodni. Ja...

- Mo e powinna si zbada .

- Ty nie wiesz...

- Na miło bosk , przecie mam siostr . I mam oczy. Ogl dam telewizj . Kup jeden z tych aparatów ze znaczkami plus i minus albo z niebieskimi kreskami, czy z czymkolwiek innym.

- O Bo e! - wybuchn ła Spencer. - Plusy i minusy! Niebieskie kreski!

Ogarn ł go niepokój, bo nagle zacz ła si tak mia , e łzy spływały jej po policzkach. Ukryła na chwil twarz w dłoniach, a potem spojrzła na niego i znów wybuchn ła miechem.

- Spencer... - Zrobił krok w jej stron i chwycił j za ramiona. - Spencer, przesta !

- Ty nic nie wiesz! - szepn ła. - Nic nie wiesz!

Wyrwała mu si , wbiegła na pokład i wskoczyła do wody.

David zdj ł buty i skarpetki, a potem popłyn ł za ni .

Woda podziałała na niego koj co. Wyszedł w ład za Spencer na mał pla , która teraz, w poniedziałek po południu, była całkowicie pusta. Spencer siedziała na granicy wody i l du. Podci gn ła kolana pod brod i oparła głow na r kach. Mokra koszula i szorty przylegały do jej ciała, a z włosów zwisała k pa wodorostów.

- Spencer, prosz ci ... - zacz ł i usiadł przy niej.

Chwycił j za podbródek i zmusił do podniesienia głowy. W jej oczach malowała si taka rozpacz, e poczuł ból w sercu. Nie chciała mie z nim do czynienia i nie chciała by w ci y. Nie chciała mie jego dziecka. Pu cił jej podbródek i spojrzł na swe przemoczone spodnie, a potem na lady, które pozostawiły na piasku jego stopy. Przebiegał obok nich jaki mały krab.

- Powiedziałem ci, e nie chc ingerowa w twoje ycie - zacz ł od nowa.

- Nie o to chodzi! - Jej szept był ledwie dostyszalny. Spojrzł na ni i stwierdził, e patrzy w wod , a w jej oczach zbieraj si łzy. - Ty tego nie rozumiesz.

Przerwała i zwil yła wargi j zykiem.

- Spencer, co...

- Nie wiem, czy Cecily ma rację, czy jej nie ma - powiedziała, a on widział, że kłamie, bo na pewno zaczęła coś podejrzewać - ale ja...

- Co?

- Nigdy nie usunęłam...

Poczuł zawrót głowy. Dziękuję Bogu. Dziękuję Bogu za to, że przynajmniej to zostało wyjaśnione.

- Tego dnia... tego dnia Danny miał ci powiedzieć, że wraca do domu... Chcieliśmy...

- Chcieliście poczuć dziecko - dokończył David, patrząc na wodę.

- Do diabła! - syknęła, krzywiąc się ze złości. - A wiecie, co wiedziałe!

- On był moim najlepszym przyjacielem, Spencer. Tak, wiedziałem, że chcecie mieć rodzinę. - Zawahał się. - A tego dnia zastałem cię nagą... miałaś na sobie tylko czarny krawat.

- To po prostu jest niesprawiedliwe - szepnęła. - Danny tak bardzo chciał dziecka, a teraz... Czuj się tak, jakby Bóg się z nas wyśmiewał. To znaczy ze mnie.

David poczuł nagle złość. Wstał, chwycił ją za ramiona i podniósł z piasku.

- Danny nie żyje. Bardzo mi przykro. Tobie też jest przykro. Oboje go kochaliście i żadne z nas nie chciało, żeby stało mu się coś złego. Spencer, skoro tak go kochałaś, to pamiętaj, jaki on był. On chciałby, żeby była szczęśliwa!

Wyrwała mu się i postąpiła krok do tyłu. Nie chciała tego słuchać. I z pewnością nie teraz.

- Chcę jechać do domu - powiedziała.

- W porządku. - Wskazał gestem na jacht. - Przykro mi. Nie mamy wyboru; musimy wrócić tą samą drogą.

Kiwnęła głową, ale nie oderwała od niego wzroku. W innych okolicznościach by się uśmiechnęła - nigdy jeszcze nie widział, żeby Spencer Anne Montgomery Huntington była tak zagubiona.

Weszła do wody i zaczęła płynąć. Ponownie podmyła jej ładem, a kiedy dotarł do jachtu, wspiął się na rufę i wyciągnął do niej rękę. Zawahała się.

- Do diabła, Spencer.

Spojrzała na niego z furii i chwyciła jego dłoń. Gdy tylko wyciągnął ją na pokład, zniknęła w kabinie.

Wzięła prysznic i przebrała się. On nie zmienił przemoczonych spodni i nie włożył butów.

Kiedy podpływali do klubu, wyszła na pokład. Nie była umalowana i wydawała się przez to blada, ale już nie płakała.

Pomogła mu przycumować jacht, a kiedy zamierzał zeskoczyć na ląd i zostawić ją samą, zawołała go nagle.

- David!

- Co? - spytał ze znużeniem.

- Przepraszam cię. Nie wiem jeszcze dokładnie, co się ze mną dzieje, ale nie chciałam być taka wstrętna. Potrzebuję trochę czasu. I muszę ci chyba dowiedzieć, czy to prawda.

Kiwnął głową, zeskoczył na pomost i wyciągnął do niej rękę. Teraz miała na sobie miłą sukienkę z dzianiny i sandały. Poszła w kierunku parkingu i zatrzymała się.

- Słyszyś odjechał, pamiętasz? Odwiozł ci moim samochodem - szepnął jej do ucha.

Wzruszyła ramionami, ale bez słowa poszła za nim. Otworzył jej drzwi, a kiedy wsiadła, zajął miejsce za kierownicą.

- Do domu? - spytał.

- Tak. Albo nie. Muszę wstąpić do biura po samochód.

Wydaje się, że wraca w końcu do świata żywych, pomyślał, jadąc przez dzielnicę Coconut Grove w kierunku jej firmy. Panował tu spory ruch. Na krzyż tych ulicach, prowadzących w stronę zatoki, miało się kilka prywatnych szkół, więc o tej porze było tu sporo żółtych autobusów oraz samochodów, którymi rodzice przyjeżdżali po swoje dzieci.

Poczuł, że jego serce bije szybciej. Dzieci... świat roził się od dzieci. Lubił je. Zawsze je lubił. Podziwiał ich entuzjazm i

ufno, ich wiar w cuda i w magi. I zawsze chciał mieć własne dzieci, dzielił z nimi marzenia swego ojca o wolność, marzenia o sukcesie w Ameryce, które wszczepił swym wnukom Michael MacCloud. Chciał, by rozkoszowały się słodkim, egłowały, dorastały w tej mieszanej społeczności, w której wszystko było możliwe.

Kiedyś, dawno temu, chciał mieć dzieci ze Spencerem.

Cieszył się, że jego dłońe spoczywają na kierownicy, bo inaczej zacząłby drzeć, a on nie chciał jej pokazać, jak bardzo jest roztrzęsiony.

Dojechał pod budynek firmy i otworzył jej drzwi.

- Do zobaczenia pod twoim domem - powiedział.

Kiwnęła głowę i zaczęła zamykać drzwi samochodu, ale on przytrzymał ją ręką.

- Spencer?

- Tak?

- Nadal grozi ci niebezpieczeństwo. Sama o tym wiesz. Musz dotrzymać słowa, które dałem twojemu dziadkowi, bez względu na to, czy masz ochotę mnie widywać, czy nie.

- Ja przecie wcale nie protestuję - powiedziała cicho. Potem zamknęła drzwi i zniknęła w holu.

Patrzył za nią przez chwilę, a potem wziął telefon komórkowy i połączył się z Jimmym.

- Czy możesz tu szybko przyjechać? - spytał. - Od tej pory zamierzam jechać przez całą dobę.

- Jasne. Kiedy tylko ominą te szkolne autobusy.

David otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale zdał sobie sprawę, że Jimmy jest w drodze. Umiechnął się i wyjął telefon.

Odjeżdżając spod biura, uwiadomił siebie, że czeka go mnóstwo pracy. Musi złożyć wizytę Vichy'emu i znaleźć Willie'ego, a potem porozumieć się z komendą policji w Newport, a także swoimi byłymi kolegami z Miami.

Doszedł jednak do wniosku, że wszyscy mogą poczekać do jutra.

Spencer dostrzegła Jimmy'ego, gdy tylko wyszła z biura. Pomachała mu przyjaźnie ręką, choć nie była w beztrudnym nastroju.

Jadąc do domu zastanawiała się, jak Cecily mogła się czegoś domyślić, choć ona sama o niczym nie wiedziała. Stwierdziła w końcu, że jej kuzynka może się mylić. Miała przecież obsesję na punkcie wpływu rodzenia dzieci na urodzenie.

Spencer musiała jednak przyznać, że ostatnio czuła się do dziwnie. Nie była, ale też niezbyt dobrze. To jednak niczego nie dowodziło. Jej organizm funkcjonował zazwyczaj regularnie jak w zegarku. Tak regularnie, że w ogóle o tym nie myślała. Oczywiście, była ostatnio w ciętym stresie...

Dojechała do domu, wysiadła z samochodu i ruszyła w kierunku drzwi, widząc kłopotliwie, że Jimmy parkuje tuż za nią.

Szukając własnego klucza, podniosła nagle wzrok.

Na schodkach stał David. Wziął klucze z jej dłoni.

- David - szepnęła z niepokojem. - Muszę mieć trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć...

- Ja też - odparł. - Ale chcę wiedzieć, o czym mam myśleć.

- O co ci chodzi?

- O to, że musimy się dowiedzieć, czy mamy plus czy minus.

- Aleja nie mam...

- A ja mam - oznajmił, pokazując jej paczuszkę z apteki. - Chwila prawdy, Spencer. Potem zostawię ci w spokoju i dam ci duży czas. Przysięgam.

Miała wrażenie, że krew odpływa z jej twarzy... z całego ciała. Możliwość wyniku dodatniego...

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie zrobiła tego, bo wiedziała, że potem znów zacznie płakać.

Zmienił samochód. Był pewien, że Delgado widział niebieski limuzyn, więc jeździł teraz dziesięcioletnim czarnym mercedesem.

To zreszt nie miało znaczenia, bo i tak nie mógł ju parkowa w s siedztwie jej domu. Bał si nawet do niego zbli a , ale wcale mu to nie przeszkadzało w pracy. Tego dnia przebrał si za pracownika elektrowni, a potem zaparkował na s siedniej ulicy, w miejscu, z którego widział dom Spencer i stoj ce pod nim samochody. Wiedział wi c, kto i kiedy wchodzi i wychodzi.

Wzi ł do r ki komórkowy telefon.

- Pani Huntington jest w domu. Delgado przyjechał wcz e niej i czekał na ni pod drzwiami. Larimore pojawił si równocze nie z ni , ale potem odjechał. My ł , e Delgado i pani Huntington nigdzie ju nie wyjd .

- Na jakiej podstawie tak my lisz?

- Po prostu mam takie przeczucie.

Nastała chwila ciszy. Jego rozmówca dyskutował z kim , zasłaniaj c dłoni słuchawk . Potem powiedział:

- Zosta na miejscu.

I rozł czył si .

Obserwował dom zastanawiaj c si , czy nie podj ryzyka i nie podej raz jeszcze do płotu. Uznał jednak, e tym razem nie b d przebywa nad basenem. Wiedzieli, e ich ledził. Delgado o mało go nie dogonił.

Był ciekawy, co szef postanowi zrobi z t kobiet . Je li ka e j zlikwidowa ...

Byłaby to wielka strata. Miał nadziej , e uda mu si przedtem z ni zabawi .

Wyobra nia podsun ła mu tak ywe obrazy, e nie mógł usiedzie w samochodzie. Otworzył drzwi. Nie kazano mu podejmowa ryzyka, ale miał nowy samochód. W pobli u nie było policjantów. Jimmy ju odjechał, a Delgado z pewno ci jest... zaj ty.

Zrobił jeszcze jeden krok do przodu, stan ł na małym wzniesieniu i próbował zajrze przez płot.

Usłyszał za sob trzask gał zki i odwrócił si . Za pó no.

Co uderzyło go w twarz z siłą młota pneumatycznego. Zanim zapadł się w ciemność, usłyszał chrząstki i cichy kołatanie jego nosa.

17

- To jaki obłęd. Nic ci nie zawdzięczam i na nic nie musz się zgadzać.

- Wić miej się ze mnie.

- Dlaczego?

- Bo usiłuj zachować ci przy życiu.

- Nie bardzo mogł się z ciebie miewać. W tej instrukcji pisz, że test należy wykonywać rano.

Stali w kuchni. Spencer z wyraźną irytacją wyjął z jego ręki pudełko, a z pudełka instrukcję. Potem nalała sobie kieliszek wina, ale on natychmiast jej go zabrał. Chciała więc napić się wody sodowej, ale to też nie wzbudziło jego zachwyty.

- Czy mogła sobie szklankę zwykłej wody?

- Nie wiem. Czy w rurach nie ma ołowiu?

- Och, przestań!

- Nie przestaw.

- Nie wiemy nawet, czy...

- No to zrób ten test. - Odebrał jej instrukcję. - Spencer, popatrz. Po pierwszych kilku dniach nie trzeba przeprowadzać go z samego rana.

- Jest jeszcze za wcześnie - warknęła, wrywając mu kartkę.

- Kłamiesz.

- To wszystko jest po prostu niewiarygodne!

Chwyciła pudełko, wyszła z kuchni i ruszyła w kierunku schodów.

David szedł tuż za nią.

- Dokąd się wybierasz? - spytała, odwracając głowę.

- Nie ufam ci.

- Nie pójdziesz za mną dalej. To jest mój warunek.

Przysięgam, że nie ustąpię.

- Przysi gnij, e mnie nie oszukasz - za dał, zaciskaj c dło na por czy schodów tak mocno, e jego kostki zbiały.

Zawahala si .

- Spencer?

- Zgoda - powiedziales i gło no westchn ła.

Odszedł, a ona weszła do sypialni. Słyszała, jak David nerwowo kr y po salonie.

Zrobienie testu zajmowało tylko minut , ale jego wyniki mo na było sprawdzi dopiero po upływie trzech minut. Spencer umie ciła wi c mał , biał pałeczk na szafce i spojrzala do lustra, by obejrze sw blad twarzy.

Ze zdumieniem odkryła, e budzi si w niej podniecenie. Gdyby tylko były inne okoliczno ci...

Przymkn ła oczy. Sama nie wiedziala, jak si czuje. W głowie miała zam t. Dawniej bolała j nawet sama my l o nieudanych próbach z Dannym, obecna za mo liwo wydawala jej si ironicznym, niewiarygodnym artem. A jednak...

Bala si , cho sama nie wiedziala czego. By mo e miło mi dzy ni a Davidem była tak silna, e okazala si niszcz ca. Wtedy, przed laty, stali w obliczu zbyt wielkich trudno ci.

A teraz stał mi dzy nimi Danny, cho nie było go ju w ród ywych.

Nie wiedziala nawet, czego David naprawd chce. Obiecał, e nie b dzie ingerował w jej ycie. Chcial, eby urodzila dziecko, ale...

Czy s dził, e mo e im si uda ? e potrafi pozostawi za sob przeszło i stworzy dla siebie now przyszło ?

Ile czasu ju min ło? Dziewi dziesi t sekund...

Oplukala twarz zimn wod .

Usłyszała nagle stukanie do drzwi frontowych i głoś Davida.

- Spencer!

David był przekonany, e widzi w krzakach jaki cie , wi c szybko wyszedł z domu.

Zaj cie intruza od tyłu nie było trudne.

Nie zamierzał łamać mu nosa, ale facet odwrócił się tak gwałtownie, że sam nadział się na jego piętę.

Włokąc go po ziemi w kierunku domu stwierdził, że jest bardzo ciężki. Był nieprzytomny, ale David, czekając a Spencer otworzył drzwi, związał mu na wszelki wypadek ręce z tyłu. Jego własnym krawatem.

Spencer stanęła wreszcie w progu i dostrzegła zakrwawioną twarz mężczyzny. Wzdrygnęła się z przerażenia i spojrzała pytająco na Davida.

- To ten, który nas podglądał - wyjaśnił. - Na razie wiemy o nim tylko tyle, że jest Latynosem.

- Wezwij policję - wyszeptała Spencer.

- Nie! Poczekaj!

- Dlaczego? - spytała z niedowierzaniem. - David...

- Przynieś mi trochę zimnej wody, ręcznik i kilka kostek lodu.

- Bo że, co ty mu zrobiłaś?

- Ma złamany nos. - Westchnęła, widząc jej pełen przerażenia wzrok. - Spencer, nie chciałem tego, ale pamiętaj, że ten facet gotów był zapewne wykończyć ciebie albo mnie bez zmyślenia oka. Musz się z nim pogadać.

- David, nie chcę go w domu.

- Wnios go tylko do holu. Przynieś mi ten lód, dobrze?

Odwróciła się niechętnie i poszła do kuchni, David oparł tymczasem nieprzytomnego mężczyznę o ścianę. Kiedy Spencer przyniosła w ręczniku potłuczony lód, przycisnęła go silnie do twarzy swego więźnia.

Mężczyzna jęknął. W chwilę później otworzył oczy i usiłował usiąść prosto. Kiedy zobaczył Davida i Spencer, jęknął ponownie.

- Kim jesteś? - spytał David. - I dlaczego nas szpiegowałaś?

- *Batardo!* - wyśkażył mężczyzna. Próbował dotknąć obolałego nosa i odkrył, że ma związane ręce.

- Pani Huntington chciała wezwać policję - poinformował go David.

- *Bueno.*

- Ale ja jestem od tego powstrzymałem - ciągnął David - bo chcę przede wszystkim odkryć, co tam robiła. Jak tam twój nos, bardzo boli?

Latynos zeszywniał ze strachu. Był średniego wzrostu, miał ciemne włosy, ciemne oczy i ziemistą cerę. Spojrzał na Davida ze zmarszczonymi brwiami.

- Za co mnie chcecie aresztować, co? Za włóczęgostwo? Za wejście na cudzy teren? *Cono!* Jak długo, twoim zdaniem, zatrzymaj mnie w więzieniu?

- Właśnie dlatego nie spieszyć się z wzywaniem policji. Teraz, kiedy nie jestem już stróżem prawa, mogę robić z takimi gnojami jak ty, co mi się podoba. Dlatego pytam raz jeszcze: co tam robiła?

Młody człowiek wymamrotał coś po hiszpańsku. Spencer wiedziała, że to przekleństwo. Słyszała je kiedyś z ust Davida.

- Pytam po raz ostatni. Co tam robiła?

Młody człowiek nie odpowiedział. David zamachnął się, jakby chciał go uderzyć.

Latynos krzyknął głośno i spróbował - znów bez powodzenia - unieść rękę, by zasłonić obolały nos.

- Poczekaj!

- Mów!

- Jeśli będziesz z tobą rozmawiał, zabij mnie.

- Dla kogo pracujesz?

- Nie rozumiałem mnie. Jeśli będziesz z tobą rozmawiał, zostaniesz zabity.

David zastanawiał się przez chwilę, patrząc na niego badawczo.

- Możesz już teraz wezwać policję - powiedział do Spencer.

- Ale przecież chciałem się dowiedzieć ...

- Ju wiem. Jego pracodawca jest Ricky Garcia. Dzwoń po policję, Spencer. I po pogotowie. Trzeba się zająć tym nosem.

Radiowóz zjawił się pod jej domem w ciągu niecałej minuty. Tym razem nie musiała nic mówić. Stała obok Davida, który zeznał, że dostrzegł obserwującego tego dom mężczyznę i zaatakował go. Wyraził przekonanie, że jest to ten sam człowiek, który ledził Spencerkę już od dłuższego czasu.

Kiedy wyprowadzono intruza do samochodu, młody policjant zaczął rozmawiać na ganek z Davidem.

- Wie pan chyba, że nie mamy w gruncie rzeczy podstawy do zatrzymania go.

- Jemu nie będzie się spieszyło na wolność. W razie czego możemy powiedzieć, że chcecie go przesłuchać w związku z morderstwem Danny'ego Huntingtona.

- Myśli pan, że ten facet...

- Nie. Ale to, że ledził dom pani Huntington, ma coś wspólnego z tym morderstwem. Niech pan zadzwoni do Openheima. On coś wymyśli. A jeżeli ten człowiek znajdzie się znów na wolności, dajcie mi znać.

- W porządku, panie Delgado. Dobranoc, pani Huntington.

- Dobranoc panu. Dziękuję - odparła cicho Spencer, w której głowie kłóczyły się miliony różnych myśli.

Policjanci odjechali. Mężczyzna, który -jak się okazało - nazywał się Hernando Blanco, siedział na tylnym fotelu radiowozu.

- Przyjechali bardzo szybko - przyznała Spencer, zamykając drzwi. - Ale dlaczego jesteście taki pewni, że zatrudnia go Ricky Garcia?

- Ponieważ on był pewny, że zginie, jeżeli coś powie. - Zawahał się. - I jeszcze jedno.

- No?

- Człowiek, który miał kiedyś powiadomienie z Rickim, robił przegląd tego wynajętego samochodu, w którym omal nie zginął w Rhode Island. Zniknął natychmiast po wypadku,

ale tamtejsi policjanci znale li odcisk jego palca i odszukali jego kartotek .

- Ale to...
- To nie mo e by zbieg okoliczno ci - przerwał jej David.
- My lisz, e to Garcia zabił Danny'ego?
- Albo kazał go zabi .

Spencer zwil yła wargi. Odczuła wyra n ulg , z lekka zabarwion wyrzutami sumienia. Bardzo chciała, eby zabójc okazał si Ricky, gdy dowodziłyby to niewinno ci Jareda.

Nigdy nie s działa, e Jared mógł mie co wspólnego z zabójstwem Danny'ego, ale wtedy, w tym starym domu, miertelnie j wystraszył. A przecie pocz tkowo miała wra enie, e gotów jest sam rzuci si z balkonu w dół...

- Dlaczego miałby mnie ledzi ?
- Bo usułujesz rozgrzebywa dawne sprawy. Sama ci gle mi powtarzasz, e Trey Delia siedzi w wi zieniu dzi ki tobie. Mo e Ricky Garcia nie chce by nast pny.

- I co teraz?

- Porozmawiam jeszcze raz z Rickym - powiedział cicho. - Przejrz ponownie wszystkie akta. - Zawahał si . - Czy Dannytrzymał w domu jakie dokumenty?

- Zaraz po napadzie oddałam wszystkie teczki Oppenheimowi.

- Mo e zostały jakie dokumenty, których nie było w teczkach? Papiery stanowi ce jego prywatn własno ?

- By mo e - odparła po namy le. - Jakie wycinki z gazet, zapiski, stare notatki s nadal na górze, w jego gabinecie.

- A wi c zaczn od nich - o wiadczył David, a potem spytał cicho: - No i co?

- Z czym?

- Z tym testem.

- Ach, prawda, test! - zawołała cicho i pobiegła na gór . David min ł j w połowie schodów.

- David, to nieuczciwe! Ostrzegam ci ...

Ale on ju wbiegł do łazienki i dojrzał na szafce mał , biały paleczek . Podniósł j , odwracaj c si plecami do Spencer.

- David, to jest absolutnie...

Przerwała. Kiedy odwrócił si do niej, jego niebieskie oczy były niewiarygodnie ciemne, wargi białe, a rysy napi te.

- Co...?

- Wyra ny niebieski znak plus - powiedział cicho.

Niebieski...

Cho od tej pory min ł z gór rok, pami tała dobrze dzie , w którym przeprowadzała inny test i ujrzała mał , niebieski kresk , która oznaczała, e nadszedł wła ciwy moment. Twarz Danny'ego stan ła jej w oczach wyra niej ni kiedykolwiek dot d.

„Jestem niebieska, Danny... Niebieska”.

Potem Danny wyszedł na spotkanie z Davidem, a cały jej wiat przewrócił si do góry nogami.

Zadr ał gwałtownie i przestał by niebieski, a stał si czarny.

Ricky Garda uwielbiał dzielnic South Beach. Uwa ał, e nie ma na wiecie drugiego takiego miejsca. Przez otwarte drzwi kawiarni wpadały do rodka chłodne powiewy wieczornego wiatru. Ocean szeptał w oddali, a po falach przetaczały si kł by piany.

Na brzegu falowało morze ludzi, tak zmienne jak ocean. Spacerowali samotnie, parami, trójkami, w grupach. Długowłosi i krótkowłosi. Latynosi, Anglosasi, Niemcy, Kanadyjczycy. Tury ci i tubylcy. W skórce i w koronkach. Przechadzali si w wietle secesyjnych latarni, ubrani na be owo, na ró owo, na czerwono. Słuchali dobiegaj cej z klubów muzyki, której rytmy wychodziły na ulice. W dzie d wi czały cicho w tle, wieczorami pulsowały łomotem b bńów. I kobiety... Tak wiele kobiet...

Młode kobiety, stare kobiety. Blondynki, brunetki, rude. Pi kne, wysokie, szczupłe czarne kobiety. Kobiety z Haiti, Brazylii, Hondurasu. Błede, białe kobiety z północy. Kobiety w

obcisłych spodniach, w koszulach bez r kawów. Kobiety wsparte na ramionach swych kochanków, kobiety szukaj ce partnerów w wieczornym mroku...

Ricky rozkoszował si tym wszystkim. Lubił wieczór. Lubił muzyk . Lubił cafe eon łeche, któr podawano we wszystkich kawiarniach. Cz sto siadał przy stoliku samotnie. Czuł si bezpieczny, gdy wiedział, e jego dwaj pot nie zbudowani goryle s o krok od niego.

Czasem n kali go policjanci, ale nie zdarzało si to cz sto. Zło yli mu jedn wizyt po mierci Danny'ego Huntingtona, a potem był spokój a do chwili, gdy wdowa po Dannym wróciła do Coconut Grove.

Dwóch tajniaków zjawiło si tego wieczora i siadło niedaleko niego, psuj c mu widok.

Ale policja nie dysponowała adnymi dowodami przeciwko niemu, wi c jej funkcjonariusze musieli zostawi go w spokoju. Nie mieli wyboru. Zatrudniał dobrych prawników i gotów był pozwa policj do s du.

Teraz ponownie zakłócono mu wieczór. Jeden z jego ludzi zbli ył si i szepn ł mu do ucha:

- Hernando jest w areszcie.

- Hernando jest głupcem - powiedział Ricky. - Głupcy nie powinni y . - Strz sn ł male ki włos z r kawa swej szarej, jedwabnej koszuli. - Hernando nie tylko był głupi, ale w dodatku miał le w głowie. A to jest dla m czyzny najgorsze.

M czyzna skłonił si i odszedł. Wszystko było całkowicie jasne.

Ricky doszedł do wniosku, e powinien wzi sprawy w swoje r ce, i to ju niebawem. Ale póki co...

Zobaczył na trotuarze dziewczyn w obcisłych, czarnych, aksamitnych spodniach, uwydatniaj cych biodra. Miała faluj ce, czarne włosy i gładk , br zow skór . Chichotała do irytuj co, ale pomy lał, e to bez znaczenia. I tak nie b dzie z ni długo.

Dziewczyna min ła kawiarni tanecznym krokiem. Ricky uniósł r k . Wiedział, e jeden z jego ludzi pójdzie w lad za ni

i zaprosi ją do jego apartamentu. Oszołomi ją obietnicami i pieniędzmi, a ona przyjmie zaproszenie.

Ricky nigdy jeszcze nie pomylił się co do adnej kobiety.

Nie mylił się też co do Spencer Huntington. Czuł, że trzeba coś zrobić. I to zaraz.

Zamierzał zrobić to osobiście.

Cecily wyszła spod prysznicza. Zdała sobie sprawę, że tego dnia zbyt długo przebywała na słońcu i była na siebie zła. Wiedziała, że jej uroda nie będzie trwała wiecznie.

Sięgnęła po krem, a potem wyszła z łazienki, by obejrzeć jakiś program w stojącym w sypialni telewizorze. Jared leżał na łóżku i zmieniał pilotem kanały.

- Jesteś w domu? - spytała ze zdziwieniem.

- Jestem.

Przysiadła na krawędź łóżka i popatrzyła na niego badawczo.

- Wszystko załatwiłem?

- Nie.

- Do diabła, Jared! Przecież przez prawie cały dzień nie było jej w biurze!

Odwrócił się na bok i spojrzał jej w oczy. Wydawał się wyczerpany, ale mimo to był przystojny.

- Posłuchaj - powiedział. - Wróciła po lunchu naładowana energią i zachowywała się jak tornado. Biegała po biurze z szybkością tysiąca kilometrów godzin. Zagięła do akt, do komputera, do wszystkiego. Gdybym próbował zrobić coś załatwi, naraziłbym się na poważne kłopoty.

- Ale to musi być zrobione! - oznajmiła Cecily. - Jared, od tego zależy całe nasze życie!

- Ale życie Spencer...

- Nic mnie nie obchodzi twoja kochana mała Spencer i jej życie! Musisz teraz myśleć o nas, Jared! O naszych dzieciach. Wydaje mi się, że przysporzyłam dziś Spencer trochę kłopotów.

Wystarczaj co du o, eby przez jaki czas musiała zaj si swoimi sprawami. Ale ty musisz... musisz wszystko załatwi !

Jared j kn ł i ukrył twarz w poduszce.

- Zrobi to, Cecily - powiedział bezbarwnym głosem. - Zrobi to.

Mówił tonem człowieka wyczerpanego, który osi gn ł kres swoich mo liwo ci.

- Jared, potem wszystko ju b dzie dobrze. Przysi gam, e poradzimy sobie ze wszystkim... ale dopiero potem.

Przysun ła si do niego, a on poło ył głow na jej kolanach. Zacz ła masowa jego skronie.

- To mieszne, prawda? - spytał Jared. - Cholernie mieszne. Ale nadal ci kocham.

- To wcale nie jest mieszne - odparła, marszcz c brwi.

- Mo e kocham ci z przyzwyczajenia.

- Czy chcesz usłysze co naprawd miesznego? - spytała.

- Co?

- Ja chyba te ci kocham.

Zacz ł si u miecha , a potem wyci gn ł r ce i przygarn ł do siebie Cecily, by j pocałowa .

Czuł, e wszystko b dzie dobrze. Tak, wszystko b dzie dobrze, a ycie jako si uło y. Gdy tylko zako czy t spraw ze Spencer.

Spencer otworzyła oczy i stwierdziła, e le y na własnym łó ku. Nadal była lekko oszołomiona.

David siedział przy niej. Nie dotykał jej, ale wpatrywał si w ni z uwag .

- Dobrze si czujesz? - spytał.

Kiwn ła głow .

- Po prostu nie byłam na to przygotowana.

- Tak, to było wida . Ja naprawd mam z tob ci kie ycie, prawda? Kiedy si ze mn prze pisz, wypłakujesz sobie potem oczy. Dowiadujesz si , e jeste w ci y, i mdlejesz. Spencer, je li nie b dziesz uwa a , oszalej .

- David...

- Wiem - powiedział wstając. - Obiecałem, że zostawi ci sam. Chciałem ci tylko upewnić, że nic ci nie jest. Już wychodzisz.

- Ty nic nie rozumiesz - oświadczyła i usiadła z wysiłkiem.

- Nie, Spencer, mój problem polega na tym, że nie rozumiem. Nie jestem Dannym. Nie mogłoby być Dannym. I to nie jest dziecko Danny'ego. Jest twoje i moje, a to wystarczy. Nie potrafi ukryć radości ci. Chcę mieć dzieci, Spencer.

- Ale w tych okolicznościach...

- Nic mnie nie obchodzi okoliczności - powiedział cicho i ruszył w stronę drzwi.

- David! - Zatrzymał się, ale nie patrzył na nią. - Nie rozumiałeś mnie. Ja... ja chcę mieć to dziecko.

Poczuł przyspieszone bicie serca, ale bał się do niej zbliżyć. Nie chciał przypiera jej do muru.

- Nie wiem, czy to poprawi twoje samopoczucie, Spencer, ale chcę, żebyś coś wiedziała - zaczął, nadal stojąc w drzwiach. Musiał przerwać, nabrać powietrza i opanować drżenie głosu. - Kocham cię. Kochałem cię wtedy, przed wieloma laty, nigdy nie przestałem cię kochać i kocham cię nadal. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz się zastanawiała nad sytuacją, dobrze?

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Czuł, że drży.

Cicho zszedł na dół, skręcił do kuchni, podniósł kieliszek z winem, którego nie wypijał Spencer, i opróżnił go jednym haustem.

Spencer miała urodzić dziecko, a on miał zostać ojcem. Przypomniał sobie, że Spencer może zmienić zdanie, ale czuł, że tego nie zrobi. Uwielbiała dzieci, a one przepadały za nią. Oboje z Dannym próbowali...

Skrzywił się, a potem poszedł do bawialni, by spojrzeć na basen. Niemal słyszał głos Danny'ego i jego śmiech.

Przez chwilę myślał o bólu, na jaki musi narazić się Spencer to ironiczne zdanie losu. Była nareszcie w ciąży... ale nie miała urodzić dziecka Danny'ego.

Zamknął oczy, usiłując się z tym pogodzić.

Potem uspokoił się nagle. Tego popołudnia wyznał jej wreszcie prawdę. Kochał ją. Zawsze ją kochał. Kochał tę Danny'ego, był jego najlepszym przyjacielem. I nikt nie znał Danny'ego tak dobrze jak on.

Danny nie miałby im za złe odrobiny szczerości.

- Pogódź się z tym! - mruknął do siebie cicho.

Kochał Spencer, choć wielokrotnie próbował sobie wmawiać, że to nieprawda. Teraz ona ma urodzić jego dziecko, a on musi w końcu ją zdobyć, żeby miało go to kosztować nie wiadomo ile.

Ale przede wszystkim musi chronić jej życie...

Spencer doszła do wniosku, że David jest nieobliczalny. Najpierw wciągnął ją na jacht, potem zmusił do przeprowadzenia testu ciowego, wreszcie wymamrotał coś, z czego wynikało, że kochał ją przez całe życie - i zniknął.

Na szczęście - nie na długo. Złożył obietnicę dziadkowi i musi ją nadal ochraniać.

Kiedy zeszła wieczorem na dół, David nie wspominał ani o cie, ani o żadnych sprawach natury osobistej. Powiedział tylko, że chce zobaczyć wszystkie papiery, jakie zostały po Danny'm. Zaprowadziła go do gabinetu, otworzyła szafkę na akta i pokazała mu wszystkie wycinki, notatki i zapiski. Danny był wbrew pozorom człowiekiem bardzo zorganizowanym. Czsto jej tłumaczył, że w jego szale stwie jest metoda i miał rację: zawsze potrafił natychmiast znaleźć to, czego szukał.

- Nie ma tu właściwie nic ciekawego - powiedziała Davidowi.

- Co musi być. Ten, kto próbuje się włamać do tego domu, musi mieć jakiś powód.

- Ten facet tylko obserwował dom...

- Ale Harris powstrzymał włamywacza.

- W takim wielkim mieście codziennie jest wiele włamań.

- Zastanawiała się przez chwilę. - Twierdziłem dotąd, że kto usiłuje mnie zabić.

- Owszem, kto stara się pozbawić cię życia, ale jestem przekonany, że kto próbuje również dostać się do tego domu.

- Po śmierci Danny'ego wyjechałam i dom stał pusty przez kilka miesięcy. Dlaczego nie włamano się do niego wtedy?

- Dlatego, że dopóki nie zaczęła rozgrzebywać tej sprawy na nowo, ci ludzie nie bali się i nie widzieli żadnego powodu,

eby podejmowa jakiegokolwiek działania. - Wyj ł z szafy kilka teczek i wło ył je pod pach . - Chyba zaczn od tego.

Ruszył w stron drzwi. Spencer szła za nim.

- Wychodzisz?

- Spencer, ubranie mam nasi kni te sol i jestem bardzo zm czony. Poza tym obiecałem, e zostawi ci sam , a szczerze mówi c, ja te musz od ciebie troch odpocz .

To było wszystko. Wyszedł. Przez cał noc pod domem dy urował Juan. Nast pnego dnia, we wtorek, w drodze do pracy towarzyszył jej Jimmy.

Potrzebowała czasu. Powiedziała mu to otwarcie i mówiła serio. Chwilami była bliska hysterii; czuła si tak, jakby zdradziła Danny'ego tysi c razy w my lach i w rzeczywisto ci. Potem odzyskiwała na jaki czas zdrowy rozs dek. Czego szukała, czego chciała si dowiedzie , co pragn ła zrozumie . Wiedziała, e je li uda jej si do tego czego dotrze , odzyska spokój.

Prze ywała hu tawk nastrojów, ale tak e t skniła za Davidem. Chciała nim potrz sn , spyta go, czy mówił powa nie, zapewnij c j o swojej miło ci. Czuła, e co ich ł czy, e istnieje mi dzy nimi jaka wi , której nie rozerwały ani czas, ani odległo , a która ujawniła si na nowo z cał wyrazisto ci , gdy tylko zbli ył ich ku sobie splot wydarze .

Przez całe wtorkowe przedpołudnie nie była w stanie zmusi si do wydajnej pracy. Potem jednak musiała si skoncentrowa , bo Sandy poinformowała j telefonicznie o problemach z zakupem nowego domu. Z nie znanych jej przyczyn bank odmówił realizacji czeku, który wystawiła przed kilku dniami, chc c pokry koszt zaliczki ze swego osobistego konta.

- Nie mog tego poj - powiedziała do Sandy, marszcz c brwi. Wł czyła komputer i sprawdziła stan swego konta. Z danych, które ukazały si na ekranie, wynikało niezbitcie, e jest na nim wystarczaj ca suma pieni dzy.

- Wła cicielka zaczyna si niecierpliwi - mówiła z wyra nym alem Sandy. - Mo e kto przelał te pieni dze na inny rachunek? Czy mo esz wypisa czek z innego konta?

- Tak, zrobi to. Wpadnij do mnie. Czek b dzie gotowy za kilka minut.

Odło yła słuchawk . Mogła bez kłopotu pobra t sum z rachunku dziadka, ale nie chciała tego robi bez jego wiedzy. Wysła wi c pospiesznie ze swego gabinetu, przemkn ła obok zdumionej Audrey i zapukała do jego drzwi.

- Sły, mam jakie kłopoty z kontem. Moje dane nie zgadzaj si z danymi banku, wi c musz to wyja ni , a tymczasem chc u ciebie zaci gn po yczk . Du po yczk .

Sły uniósł brwi i rozsiadł si wygodniej w fotelu.

- Mo esz wzi , ile ci potrzeba, Spencer, i sama o tym wiesz. - Zmarszczył brwi. - Nie chcesz chyba powiedzie , e znikn ły pieni dze z funduszu powierniczego, który ustanowił dla ciebie Danny?

- Nie, nie ruszałam tego funduszu.

- Dlaczego? Przecie wiesz, e zostawił te pieni dze dla ciebie.

- Ale ja ich nie potrzebowałam, Sły. I czuj , e s w jaki sposób splamione jego krwi . Nie wiem jeszcze, co z nimi robi , ale zastanawiam si , czy nie podzieli ich mi dzy szpital dla dzieci i fundusz dla rodzin policjantów poległych na słu bie.

Sły kiwn ł głow .

- To mnóstwo pieni dzy, Spencer.

- Nigdy nie potrzebowałam tak wielkich sum, o jakich wydawanie podejrzewali mnie niektórzy znajomi - odparła pogodnym tonem.

Sły u miechn ł si .

- Dlaczego David był wczoraj tak przeję ty? - spytał, zmieniaj c nagle temat.

- Ja... - zaczę ła i przerwała. Nie miała ochoty rozmawia o tym z nikim. Nawet z dziadkiem.

Mo e szczególnie z nim. Cho bawiła j równie my l o tym, jak min zrobiłaby jej matka, gdyby zadzwoniła do niej i wyznała prawd . „Wiem, co wtedy my lała o perspektywach mojego mał e stwa z Davidem, mamó, ale nie martw si . Nie zamierzam za niego wychodzi za m , zreszt on wcale mi tego nie proponuje. Zamierzam tylko urodzi jego nie lubne dziecko”.

Tak, to z pewno ci zostałyby dobrze przyj te...

Postanowiła wykr ci si niewinnym kłamstwem.

- Spotkałam wczoraj w klubie Vichy'ego.

- Przypadkiem?

- No... Nie. Zadzwonił i umówił si ze mn .

- Rozumiem - powiedział.

- To wszystko? Nie masz zamiaru zwymy la mnie od idiotek?

- A czy musz to robi ?

- Nie musisz. Ale to nie było niebezpieczne. Naprawd . Wyznał mi tylko, e jest niewinny.

- Spencer, czy oczekujesz, e kto do ciebie zadzwoni i przyzna si do zabicia Danny'ego? - spytał.

- Nigdy nic nie wiadomo - powiedziała z uporem. - Co mo e si komu wymkn .

- Słyszałem, e David złapał w twoim ogrodzie jakiego intruza, którego naślął Ricky Garcia.

- Tak uwa a David.

- S dz , e ma racj . - Zamy lił si . - Rozmawiałem z nim przed chwil . Tego m czyzn znaleziono dzi rano w celi martwego. Został powieszony. Trzej współwi niowie nic nie widzieli.

Spencer poczuła, e robi jej si słabo.

- Musz wyj - szepn ła.

W chwil pó niej znów przeszła obok Audrey, wpadła do swego gabinetu, zamkn ła drzwi i oparła si o nie, przyciskaj c policzek do chłodnego drewna.

Nagle ogarn ło j jakie dziwne uczucie i odwróciła si gwałtownie.

W gabinecie czekał na ni cioteczny brat.

- Jared!

- Musz ... musz z tob porozmawia , Spencer. Usiadła sztywno za biurkiem i wskazała mu jedno ze stoj cych naprzeciwko krzeseł. Zauwa yła, e Jared ma dziwnie poszarzał twarz.

- To ja wzi łem te pieni dze, Spencer.

- Co?

- Wpadłem w długi. Przez hazard. Ciebie wtedy nie było, a nie mogłem dopu ci , eby dowiedział si o tym Sly. Nie jestem jego ukochan wnuczk . – Wyczuła w jego głosie gorycz. - Bo e, Spencer, bardzo mi przykro. Od tej pory robiłem, co mogłem, eby odda ci wszystko, do ostatniego centa, ale nie zd yłem na czas.

Zrobiło jej si tak zimno, jakby przepływały przez ni fale lodowatej wody. Chciała co powiedzie , ale nie mogła wydoby głosu, wi c siedziała w milczeniu.

- Czy chciałe mnie zepchn z galerii tego domu, który ogl dali my? - spytała, kiedy w ko cu odzyskała głos.

- Co?

- Słyszałe , o co pytałam. Czy próbowałe mnie zabi , Jared?

- Na Boga, Spencer, nie! - Pochylił si do przodu i przycisn ł dłonie do skroni. - Na Boga, nie! Czy tak my lała ? Przez chwil zastanawiałem si , czy nie skoczy w dół, ale za nic na wiecie nie skrzywdziłbym ciebie!

- Dlaczego nie przyszedłe do mnie, kiedy wpadłe w tarapaty? - spytała ochryplym głosem, rozpaczliwie pragn c mu uwierzy .

Uniósł r ce i potrz sn ł głów .

- Spencer, była wtedy pogr ona w rozpacz. To było tu po mierci Danny'ego. Nie słyszała , co si do ciebie mówi.

Potem wyjechała , a ja nie mogłem pobra tych pieni dzy z rachunku twego dziadka. Jest niemłody, ale ma orli wzrok. - Wstał. Wygl dał jak człowiek wyczerpany i stary.

A ja si bałam, e Sły b dzie zaniepokojony moim wygl dem, pomy lała Spencer.

- Nie powiedziałem o tym od razu Cecily, a kiedy si dowiedziała, omal nie doszło do rozwodu. Podejrzewała, e mam romans.

- Zdradzałe j ?

- Przez krótki czas - przyznał niech tnie. - Wtedy wła nie zacz łem uprawia hazard. Powiedziałem Cecily o tych długach, bo nie chciałem, eby nasze mał e stwo si rozpadło. - Usiadł ponownie na krze le. - Wiesz, z biegiem lat człowiek traci cz ciowo zapał do ycia... czasem szuka czego innego albo próbuje odzyska ten zapał. Kocham Cecily, ale znasz j . Gdybym stracił dobr opini , nie zostałyby przy mnie. Poszedłem najpierw do ojca, ale on jest ju na emeryturze i nie mógł pokry moich długów. Naprawd my lałem, e wszystko ci oddam, zanim si zorientujesz, ale wła nie wtedy postanowiła kupi ten przekl ty dom... Gdyby poczekała jeszcze kilka dni, wszystko byłoby w porz dku.

Siedziała jak ot piała i patrzyła na niego w milczeniu. Jared wstał, obszedł biurko, przykl kn ł obok niej i chwycił j za r k .

- Spencer, przepraszam ci . Przysi gam, e bardzo mi przykro. I nie rozumiem, jak mogła my le , e chc ci zrobi co złego.

Uwierzyła mu. Mo e dlatego, e chciała.

- Sk d wzi łe pieni dze, eby mi odda dług?

- Zaj ło mi to troch czasu, ale sprzedałem ziemi , któr kupiłem kiedy w celach spekulacyjnych w Jupiter. Miałem szcz cie. Potroiłem zainwestowan sum . - Westchn ł i opu cił wzrok. - Naruszyłem te fundusz przeznaczony na szkoł dla dzieci, ale i to nadrobi . - Wstał. - Czy powiesz o tym swojemu dziadkowi?

Potrzebna przecz co głow .

- Wi c poczekasz, a firma stanie si twoja, a potem mnie wyrzucisz?

- Mogłabym długo czeka na t chwil - odparła, u miechaj c si mimo woli. - Sły ma dziewi dziesi t kilka lat, ale podobno jego dziadek do ył stu trzynastu. Zanim on odejdzie, oboje b dziemy starzy i niedoł ni, a ja pewnie zapomn do tej pory o tym, co zrobię .

- Dzi kuj - powiedział cicho. Ruszył ku drzwiom, a potem zatrzymał si i odwrócił głow . - Spencer, przysi gam ci, e ci ko pracowałem w tej firmie. Dbalem o nasze inwestycje, znam histori architektury niemal tak dobrze jak ty, i wiesz, e zawsze wkładałem cał dusz w poczynania firmy. Mam wiele wad, ale nigdy nie chciałem by krewnym, którego toleruje si tu z łaski.

- Wiem o tym, Jared.

Kiwn ł głow i chciał jeszcze co powiedzie , ale nie znalazł odpowiednich słów.

- Mam do ciebie dwie pro by, Jared. Je li kiedykolwiek znajdziesz si znowu w trudnej sytuacji, to powiedz mi o tym uczciwie, do cholery!

- Dobrze. A druga pro ba?

- Id st d i wi cej o tym ze mn nie rozmawiaj. I nie wychylaj si przez balustrady, bo wystraszysz mnie na mier .

- Chyba doszła do numeru trzy i cztery - powiedział z u miechem. - Dzi kuj , Spencer.

- W takim razie jest jeszcze numer pi ty. Nie dzi kuj mi wi cej.

Kiwn ł głow i wyszedł. Kiedy zamkn ł za sob drzwi, Spencer opu ciła wzrok. Jej dłonie wyra nie dr ały. Czy Jared powiedział jej prawd ? Cał prawd ?

Uznała, e chyba tak. Ka da inna mo liwo byłaby dla niej zbyt bolesna.

David siedział przy swoim biurku i ziewał. Popijał kawę, mrużył oczy i patrzył na leżące przed nim papiery.

W prywatnej kartotece Danny'ego panował straszny bałagan.

Danny przechowywał w niej dziesiątki wycinków z gazet. Niektóre z nich dotyczyły tajemniczych zgonów, inne po prostu były przypadkami plądrowania grobów, przypisywanych Treyowi Delii i jego wyznawcom. David był zadowolony, że Trey Delia wciąż przebywa w więzieniu.

Może dalej rzuci swym imperium z za krat? - myślał. Nie, nie „może”. Z pewnością ci. Ale to nie znaczy, że zamordował Danny'ego lub chciał zabić Spencer.

Zaczynał ponownie przeglądać papiery. Znalazł jakiś artykuł poświęcony procesowi czarownicy, który odbył się za rządów Ludwika XIV. Nawet kochanka „Króla Słońca” była oskarżona o wyróbnienie eliksirów. Jeden z jej „afrodyzjaków” okazał się trujący, ale uniknęła kary za swoje przewinienie, choć straciła łaskę króla. Dziesiątki innych spłonęły na stosach.

David odłożył gazetę, a potem wziął ją ponownie do ręki i uważnie przeczytał ten artykuł. Chciał sprawdzić, czy czarownice plądrowały cmentarze w poszukiwaniu ludzkich szczątków. Nie znalazł nic na ten temat.

Niektóre wycinki dotyczyły zbrodni, które popełnił rzekomo Ricky Garcia. Inne - śmierci bogatej i towarzyskiej kobiety Gene'a Vichy'ego. Znalaziono ją w jej luksusowej sypialni - leżąca oparta o obudowę kominka, wykonaną ze skały koralowej. Choć w domu na Bayshore Drive rościło się od arcydzieł, zniknęły tylko jej brylanty. Nie odkryto żadnych odcisków palców, które mogły pozostawić osoby postronne. Pani domu została zabita stojąc na obudowie kominka i statuetki, ale morderca najwyraźniej miał rękawiczki. Na figurce znalazł tylko odciski pokojówki i pani Vichy. Gene Vichy był nieobecny. Nikt nigdy nie sugerował, że morderstwa dokonała pokojówka lub że Vickie Vichy uderzyła się w głowę sama.

Odłożył plik papierów, przetarł oczy i nacisnął guzik interkomu.

- Reva, czy mogłaby zrobić mi kawę ?

Chichot jego siostry był tak wyraźny, jakby siedziała tu obok.

- Cafe cubano, braciszku? Co, co nie pozwoli ci zasnąć ?
- Obojętnie, byle by było w tym dużo kofeiny.
- Zaraz ci przyniosę .
- Dzięki.

Wyłczył interkom i ponownie zaczął przeglądać wycinki, a potem zajął się swoimi własnymi notatkami, dotyczącymi całej sprawy.

Vichy zabił on. David był tego pewien. I było to niemal zabójstwo doskonałe. Koroner określił czas zgonu ofiary, a Vichy przebywał wtedy w klubie. Widziały go tam dziesięć osób.

David jednak nie pytał, gdzie był Vichy, ponieważ podejrzewał, że zlecił on to zabójstwo płatnemu mordercy. Niestety zaplanował wszystko tak starannie, że nikt - ani policja, ani prokuratura, ani prywatni detektywi wynajęci przez rodzinę Vickie - nie potrafił mu niczego dowiedzieć. Danny miał spotkanie z Davidem w dniu, w którym na niego napadli, aby wspólnie zastanowić się nad rozwinięciem tej zagadki.

Kiedy weszła Reva z kawą, masował sobie kark.

- Wyglądasz jak mierzwiak - powiedziała, przysiadając na krawędzi biurka.

Wyjął z jej dłoni małą filiżankę mocnej, aromatycznej, słodkiej kawy po kubańsku. Ta kawa potrafiła rozgrzać krew. Może w ogóle nie docierała do ołdka, lecz kofeina przenikała wprost do żył.

Tak czy owak, bardzo mu smakowała. Przełknął zawartość filiżanki jednym haustem.

- Wiesz co? - odezwała się Reva. - Wydaje mi się, że chcesz rozwijać tę zagadkę w ciągu jednej nocy. Powinieneś podchodzić do tego bardziej realistycznie. Pomyśl, ile czasu upłynęło od śmierci Danny'ego. Musisz zdać sobie sprawę z

tego, e by mo e tajemnica jego mierci nigdy nie b dzie wyja niona.

- Musi by wyja niona.

- Dlaczego?

- Bo inaczej Spencer nigdy nie b dzie bezpieczna.

- Czy chodzi ci o to, e nie b dzie bezpieczna, czy te o to, e nie b dziecie mogli uło y sobie ycia? - spytała Reva po chwili wahania.

David spojrział na ni uwa nie. Chciał zaprzeczy , ale wzruszył ramionami.

- O jedno i drugie - odparł.

- David... - zacz ła Reva, kieruj c si ku drzwiom.

- Słucham?

- Kiedy , dawno temu, powiedziałam du o złych rzeczy o Spencer...

- I co z tego?

- To, e teraz wszystko odwołuj .

Wyszła z gabinetu. David u miechn ł si i wrócił do pracy, ale litery migająy mu przed oczami. Nagle podniósł słuchawk i wykr cił numer Oppenheima. Upłyn ło kilka minut, zanim porucznik podszedł do telefonu.

- Wiesz co, Delgado? Ludzie, którzy odchodz z mojej jednostki, daj mi zwykle wi ty spokój!

- Niech pan wy wiadczy mi przysług i doprowadzi do ekshumacji ciała Vickie Vichy.

- Co?

- Niech pan to zrobi, poruczniku. Bardzo pana prosz . Potrafi pan znale sposób.

- Po co? Umarła, poniewa roztrzaskano jej głow t pym narz dziem, które zostało znalezione obok ciała. Było poplamione krwi i mózgiem! Nie potrzebowali my sekcji zwłok!

- Bo nikt nie podejrzewał otrucia. Jakim bardzo trudno wykrywalnym rodkiem.

Oppenheim zastanawiał si przez chwil .

- Je li niczego nie znajdziemy - powiedział w końcu
 - Vichy zaskarży prawdopodobnie całą radę miejską.
 - Przeglądałem prywatną kartotekę Danny'ego - wyjaśnił David - i mam pewne przeczuć. Myślałem, że on coś podejrzewał.
 - Vichy wynajmował płatnego mordercę. Wszyscy o tym wiemy, ale nie potrafimy tego dowieść.
 - A ja myślałem, że wynajmował mordercę, ponieważ swój metod nie potrafił u mierciwny wystarczająco szybko, a nie chciał zwikszać dawek trucizny. Poruczniku, niech pan spełni moją prośbę.
 - Pomyśl o tym.
 - Ale niech pan myśli szybko, dobrze?
- Zamiast odpowiedzi usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Zaraz potem połączyła się z nim Reva.
- Willie Kapu czeka na drugiej linii - powiedziała podnieconym tonem, zdając sobie sprawę, że David próbował nawiązać kontakt z tym informatorem.
 - Cześć, Willie! Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - spytał David. Nie słysząc odpowiedzi, przestraszył się, że Willie odłożył słuchawkę. - Willie, do diabła, jesteś tam? - cisnął. - Czekałem na ciebie pod tym cholernym mostem przez kilka godzin, więc lepiej się nie rozłóż czaj!
 - Dlaczego mnie szukałeś? - spytał Willie, wyraźnie zdezorientowany.
 - Dlaczego? Potrzebuję informacji.
 - Podobno jesteś zaprzyjaźniony z wdową po Huntingtonie. Ona wie, jak mnie znaleźć.
 - Co? - spytał David, czując nagle przyspieszone bicie serca.
 - Tak - odparł stłumionym głosem Willie. - Danny i ja byliśmy bliskimi współpracownikami. Musiał zadbać o to, aby wiedziała, jak się ze mną skontaktować. Może mu czasem pomagała... sam nie wiem.
 - Czy porozumiewała się z tobą ostatnio?

- Pewnie - stwierdził z dumą. - A jak myślisz, skąd by wiedziała, że trzeba iść na ten komentarz?

David zacisnął zęby i był zadowolony, że Spencer nie stoi obok niego. Miał ochotę nie potrzebować, a przecież mogłoby jej to zaszkodzić. Jej i dziecku.

Przestań o tym myśle! - zgaśnił się w duchu.

- Dlaczego do mnie teraz dzwonisz, Willie?

- A dlaczego ty próbowałeś mnie znaleźć?

- Ty odpowiedz pierwszy.

- Potrzebuję pieniędzy - przyznał Willie. - I mam pewne informacje.

- W porządku.

- Kiedy dostanę forsa?

- Przecież wiesz, że ci nie oszukam.

- Pani Huntington płaci lepiej.

- Tak? No cóż, a ja wybiję ci z głowy, jeśli nie odpowiesz na moje pytania i nie zaakceptujesz moich skromnych stawek - ostrzegł go David.

Willie zastanawiał się chwilę, po czym westchnął.

- Masz dar przekonywania, Delgado. Wiem tyle, że Ricky Garcia kazał swojemu człowiekowi obserwować dom Huntingtonów, odkąd Spencer Huntington ponownie w nim zamieszkał.

- Wiem o tym - odparł David, ponownie zaciskając zęby. - Ten człowiek już nie żyje.

- Ty go zabiłeś?

- Nie. Umarł w więzieniu.

- Jak?

- Powiesił się.

- Hmm, to może liwe. - W głosie Willie'ego pojawiła się nuta niepokoju. - Ale powinieneś wiedzieć, że Ricky mówi ci miernicę. Wspominał o tym kilka razy, a sam wiesz, jak funkcjonuje ten system.

- Potrafi o sobie zadbać. Co jeszcze?

- Według moich ródleń, Ricky chce porozmawiać z wdową po Dannym. Ma informacje, które gotów jest przekazać jej, a nie policjantom.

- Ja ju nie jestem policjantem.

- To nie ma żadnego znaczenia. On nadal uważa cię za gliniarza.

- To wszystko?

- Tak. Uwaga na niego, dobrze?

- Zgoda.

- Miej go na oku przez cały czas. Dwa i cztery godziny na dobę.

- W porządku. Willie... - Połczenie zostało przerwane. David bezradnie spojrział na słuchawkę.

Przez cały czas. Dwa i cztery godziny na dobę.

Wiedział, że Jimmy jest na stanowisku, ale nagle poczuł niepokój. Wstał, zrzucił z biurka połowę papierów, i szybko wyszedł z gabinetu.

- Jadę do Montgomery Enterprises - powiedział Revie. - Nie wiem, jak długo tam będzie. Gdyby mnie szukała i nie zastała w firmie, zadzwoni na mój numer komórkowy albo do Spencer.

Wybiegł natychmiast z biura i po chwili siedział już w samochodzie.

O tej porze dzieci wychodziły ze szkół, więc znów musiał przedzierać się przez ruch uliczny. Kiedy dotarł do siedziby Montgomery Enterprises, na parkingu nie było samochodów Spencer i Jimmy'ego.

Szybko wbiegł do budynku i zatrzymał się zdyszany przed biurkiem Audrey.

- Gdzie jest Spencer?

- Czy nie uważa pan, panie Delgado, że pani Huntington ma prawo do odrobiny prywatności? Przecież ledzi już jeden z pańskich psów go czycha. - Audrey zmarszczyła brwi. - Czy coś się stało? Jeśli pan powie, o co chodzi, może uda mi się ją znaleźć.

Sly stał w drzwiach swego gabinetu i słyszał rozmow Davida z sekretark .

- Pojechała do domu - powiedział - eby si spotka z po redniczk od handlu nieruchomo ciami. Musiała zmieni swoje plany dotycz ce inwestycji.

- Dzi ki! - zawołał David i ruszył ku drzwiom.

- David!

Odwrócił si .

- Czy co si stało?

- Nie - odparł z u miechem. - Chc po prostu przejd dy ur i zwolni Jimmy'ego.

Ju wychodził, kiedy Jared otworzył drzwi od swego pokoju.

- Czy co si stało, David? - spytał.

- Nie - odparł pogodnym tonem, u miechaj c si i machaj c lekcewa co r k . Ale z ka dym krokiem szedł coraz szybciej.

Z reguły nie wierzył w przeczucia, ale był przez dłu szy czas policjantem i wierzył w instynkt. A w tym momencie instynkt wzywał go do po piechu.

Przeklinał ruch uliczny przez cał drog do domu Spencer.

Kiedy dotarł na miejsce, słyszał ogłuszaj cy łomot własnego serca, a jego dłonie zacz ły si poci . Energicznie skr cił kierownic , z piskiem opon wjechał na chodnik przed jej domem i si gn ł po rewolwer.

I zacz ł si modli .

19

Po wyznaniu Jareda Spencer nie mogła dłużej wytrzymać w biurze. Myślała tylko o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu, w gabinecie Danny'ego.

David powiedział, że te dokumenty są ważne, ale nie zabrał z sobą wszystkich teczek. Miała nadzieję, że uda jej się coś wykryć w pozostałych.

Powiedziała dziadkowi i Audrey, że wychodzi. Na parkingu czekał na nią Jimmy.

- Cześć, Jimmy. Wracam do domu.
- Dobra.
- Czy nie nudzi cię miernie to cię czekać? - spytała po chwili wahania.

- Nie. Miałem już znacznie gorsze zadania.
- Naprawdę?
- Musiałem obserwować brzydkie kobiety.
- Och - mruknęła Spencer.
- To był tylko żart - zapewnił ją Jimmy.
- W porządku. Jedźmy do domu.

Właśnie czyła się w ruch uliczny. Tuż przed nią jechał szkolny autobus, ale nie przeszkadzało jej to. Na tym obszarze i tak nie wolno było przekraczać czterdziestu kilometrów na godzinę, a ona nie spieszyła się na żadne spotkanie.

Autobus stanął, potem ruszył, więc wlokła się za nim. Po chwili we wstecznym lusterku dojrzała następną. Jechała miernie nimi spokojnie, domyślała się, że Jimmy utknął gdzieś z tyłu.

Samochody znów ruszyły, więc i ona zaczęła posuwać się do przodu. W końcu skręciła w swoją cichą uliczkę, zatrzymała się na podjeździe i stwierdziła ze zdziwieniem, że Jimmy jeszcze jej nie dogonił.

Tymczasem za jej samochodem stan ł nowy czarny mercedes, który odci ł wyjazd na ulic .

Rozejrzała si . W okolicy panował całkowity spokój. Nie dostrzegła nigdzie pracuj cych w ogródkach ludzi ani bawi cych si dzieci. Jej s siedzi o tej porze byli jeszcze w pracy.

Spojrzała na mercedesa, a potem ruszyła w kierunku domu. Trzymała w r ku klucze, ale bała si , e nie zd y otworzy drzwi.

Z mercedesa wysiedli dwaj m czy ni i szybko zacz li si do niej zbli a . Chciała krzykn , a potem ruszyła biegiem w stron domu, pragn c jak najpr dzej znale si w rodku.

Nie przewrócili jej na ziemi - ka dy z nich po prostu chwycił j pod r k . Po chwili stan ła twarz w twarz z trzecim m czyzn .

Był szczupły i dobrze ubrany. Wygl dał na zamo nego, ale było w nim co odpychaj cego.

- Niech si pani nie boi. Przyjechałem tylko po to, eby z pani porozmawia , pani Huntington - powiedział szczupły m czyzna. - Nazywam si Ricky Garcia i wiem, e pani o mnie słyszała. Teraz prosz wsi do samochodu.

- Nie! - krzykn ła Spencer, zaczerpn wszy gł boko powietrza. Dr ała jak miotany wiatrem li i ugi nały si pod ni kolana.

Postanowiła jednak, e nigdzie z nim nie pojedzie. Je li zamierza mnie zabi , pomy lała, b dzie to musiał zrobi tu, pod moim domem. Mo e uda mi si zadrapa którego z nich i dostarczy policji jakiej wskazówki.

- Pani Huntington, ja chc tylko z pani porozmawia . Chc pani pomóc, a poza tym chciałbym, eby zostawiono mnie w spokoju i pozwolono mi prowadzi swoje interesy.

- Pa skie interesy to zabijanie ludzi.

- Czasem kto musi umrze - przyznał z alem - ale nie miałem nic wspólnego ze mierci pani m a.

- Gdzie jest Jimmy?

- Ten młody człowiek, który za pani jechał? Miał wypadek.

Przełknęła linę, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Jeśli coś mu zrobiliście...

- Drobnny wypadek, pani Huntington. Pękła mu opona i samochód wypadł na pobocze. Nic mu nie jest. Okazałem pani dobre wole, a teraz proszę pojechać ze mną.

- Nie zamierzam... - Przerwała, bo Garcia podszedł bliżej.

Miał na sobie wytworne, beżowe, jedwabne ubranie. Jego głos też brzmiał mi tak jak jedwab.

- Prosiłem pani grzecznie. - Wyciągnął z ukrytej pod marynarką kabury duży rewolwer i przyłożył go jej do skroni, pokazując równocześnie swoim ludziom, że mają się odsunąć.

- *Madre de dios!* Pojedź pani ze mną!

Obaj jego pomocnicy podeszli pospiesznie do samochodu. Jeden z nich usiadł za kierownicą, drugi otworzył tylne drzwi. Garcia dał jej gestem do zrozumienia, że ma iść za nimi.

W chwili, gdy mieli wejść do rodka, usłyszała pisk opon. David wjechał na chodnik przed jej domem i włączył nie wyskakiwał z samochodu. Obie rękami trzymał rewolwer, mierząc w Garcia.

- Puść go! - krzyknął.

Garcia zatrzymał się i powiedział cicho po hiszpańsku. Obaj mężczyźni bez słowa wymierzili z rewolwerów w Davida.

- Zabij go, Delgado - odezwał się Ricky Garcia po angielsku, równie cichym głosem. - Alfonso wpakuje ci kulę w głowę, Louis przestrzeli ci serce. Lepiej zejdziesz mi z drogi!

- Puść go! - powtórzył z furii David.

- Zginiesz!

- Być może, ale ty też, Garcia. Znasz mnie dobrze. Potrafię pociągnąć za spust, zanim te twoje głupki zdążą o czymkolwiek pomyśleć. Wiesz, do cholery, że trafi cię między oczy.

- I tak zginiesz!

- Mniejsza o to! Puść go! I to natychmiast!

Spencer zamarła i wstrzymała oddech. Stała tu obok Ricky'ego i czuła na skroni zimny dotyk lufy jego rewolweru. Bała się, że zaraz upadnie, bez względu na to, czy zostanie zastrzelona, czy nie.

Garcia zwolecił nagle uchwyt i pchnął ją w kierunku Davida. Drżała tak silnie, że z trudem stawiała kroki, ale zdobyła się na wysiłek i doszła do celu. David zasłonił ją własnym ciałem, nie przestając mierzyć w Ricky'ego.

- Jeśli masz coś do powiedzenia, Garcia, powiedz to teraz!
- Zadał.

- Dobra, powiem, co wiem! - wrzasnął ze złości Ricky. Potem spojrzał na Spencer i uśmiechnął się. - Nie zabiłem pani matkę, pani Huntington, ale od dnia jego śmierci moje życie zamieniło się w piekło! Zwłaszcza odkąd pani wróciła do miasta. Owszem, kazałem pani obserwować. Ostro nie. Pani mój był bystrym policjantem, ale nie do bystrym. Szuka pani zbyt daleko od domu. Chce pani się naprawdę dowiedzieć, kto zabił Danny'ego? Proszę rozejrzeć się wokół siebie. *Comprende*, Delgado?

Z tymi słowami odwrócił się i wsiadł do samochodu. Jego dwaj ludzie, nie przestając mierzyć do Davida, który też nie wypuścił broni z ręki, poszli za jego przykładem.

Podrasowany silnik mercedesa zaryczał głośno i samochód z piskiem opon odjechał sprzed domu.

- Czy nic ci nie jest? - spytał David stłumionym głosem.

Pokręciła głową. Była mu wdzięczna za to, że i tym razem przybył w porę i zdążył uratować.

- Nie - wykrztusiła - ale co z Jimmym? Garcia powiedział, że żyje, ale miał wypadek...

- Wejdzmy do domu - rozkazał David.

Dręczyła próbowała otworzyć drzwi. David chciał jej pomóc, ale w końcu zdołała przekręcić klucz i weszli do rodka.

David podszedł natychmiast do telefonu i nakręcił jakiś numer.

- Do kogo...

- Do samochodu Jimmy'ego. Nikt nie odbiera. Niech to szlag trafi!

Nagle usłyszeli gło ne pukanie do drzwi.

- Spencer! Jezu Chryste! Spencer!

Otworzyła pospiesznie. Na progu stał zdyszany Jimmy. Miał podbite oko, a po twarzy spływały mu strugi potu.

- Biegłem - wykrztusił z trudem. - Biegłem jak najszybciej...

- Nic si nie stało - uspokoił go David, podchodz c bli ej.

- Sk d, do cholery, wiedziałe , e masz przyjecha ? - spytał Jimmy, patrz c na niego z niedowierzaniem. -Nie mogłem do ciebie zadzwoni . Telefon si roztrzaskał. Cała prawa strona samochodu jest rozbita. Gdybym miał pasa era...

- Zadzwoni po policj - powiedziała Spencer. -Niech najd Ricky'ego.

- To był Ricky Garcia? - spytał Jimmy, nadal nie mog c złapa tchu. - O mój Bo e...

- Ju pojechał.

- O mój Bo e! - powtórzył Jimmy.

- Nic si nie stało - zapewniła go Spencer. - Zrobiłe wszystko co mogłe .

- To za mało.

- Zadzwoni na policj - powiedziała stanowczo. - Jaki biedny funkcjonariusz z patrolu dostanie szafu, kiedy zobaczy twój rozbity samochód i nie znajdzie kierowcy.

- Ja si tym zajm - o wiadczył David, wyjmuj c jej słuchawk z r ki. - Oni ju si przyzwyczaili do moich wariackich telefonów.

- A ja przynios Jimmy'emu wody – powiedziała Spencer.

Po jakim czasie David zacz ł ponownie przegl da teczki Danny'ego. Spencer pomagała mu, ale niewiele z sob rozmawiali.

Jimmy pojechał z policjantami na miejsce wypadku, by zło y zeznania i nadzorowa transport rozbitego samochodu.

David poinformował ju pracowników komendy o wizycie Ricky'ego.

Wkrótce do drzwi zadzwonił Jerry Fried, który pełnił tego dnia służbę. Spencer doszła do wniosku, że wygląda on jak bardzo zmęczony i smutny Kłapouchy z „Kubusia Puchatka”. Wysłuchał ich relacji i zapisał wszystko w notesie.

- Może uda mi się go aresztować pod zarzutem napaści z broni w ręku, ale on ma dobrych prawników. Nie będzie w stanie zatrzymać go długo w więzieniu.

- Wiem - powiedział David. - Ale zrób, co możesz.

- To w gruncie rzeczy nie moja działka. Nadal jestem pracownikiem wydziału zabójstw.

- Ta sprawa dotyczy właśnie zabójstwa. Zabójstwa Danny'ego Huntingtona.

- W myśli przepisów była to tylko napaść, Delgado.

- To była próba porwania - warknął David. - Fried, zrób, co możesz. Pamiętaj o tym, że Danny był twoim partnerem.

Zapadał już zmrok. Spencer i David zostali sami. Bolały jej nogi nie od siedzenia na podłodze, ale tylko w ten sposób mogła rozłożyć wszystkie papiery.

- Co to jest? - spytał nagle David.

- Co? - odpowiedziała pytaniem, podnosząc wzrok.

- Na tym wycinku jest jakaś adnotacja. To fragment kroniki towarzyskiej dotyczący jakiegoś przedstawienia baletowego, z którego dochód przeznaczono na cele dobroczynne. Vickie Vichy była na widowni. Danny coś tu napisał. Nie mogę tego odczytać, ale obok jego notatki widzę numer telefonu twojej firmy.

Spencer wstała i spojrzała na wycinek z ciekawości i nadzieją. Potem westchnęła, wyraźnie rozczarowana.

- Danny napisał tu „Audrey”. To imię mojej sekretarki. Pewnie do mnie dzwonił, a nikt nie może się z nim spotkać bez polecenia Audrey.

- Rozumiem. - David odłóżył wycinek na biurko, przeciągnął się i przetarł oczy. - W takim razie wracamy do punktu wyjścia.

- David?

- Tak?

- Ja... byłam przerażona, kiedy Ricky Garcia przyłożył mi łufę do głowy. Ale najgorsze było to, że czułam się kompletnie bezradna.

- Spencer, przysięgam, że nigdy więcej nie zostawi ci ani na minutę bez opieki - powiedział, patrząc jej w oczy.

- Tego nikt nikomu nie może obiecać. Gdyby to zrobił, postąpiłby nieuczciwie. Chcę, żeby mnie nauczył strzelać.

- Spencer, nigdy w życiu nie miała w rękach broni. Rewolwer może być niebezpieczny dla kogoś, kto nie umie się nim posługiwać.

- Ważne dlatego chcę się tego nauczyć. David, to dla mnie bardzo ważne. Proszę ci.

Wstał. I tak nie mógł nic znaleźć w kartotece.

- No dobrze. Chodźmy. Czy masz broń?

- Słuchaj, rewolwer Danny'ego. Pewnie powinnam była go zwrócić, ale wyjechałam z miasta.

- Przynieś go.

Zastanawiał się, czy nie zawieźć jej na strzelnicę policyjną. Mimo cisłych przepisów udałooby się chyba wprowadzić ją do rodzaka, ale zrezygnował z tego pomysłu. Pojechali do klubu strzeleckiego na Ósmej Ulicy.

Słuchała uważnie jego instrukcji i nauka nie była jej szła, ale on nie był zadowolony.

- To dziecko może się urodzić z wadą słuchu - zaartował, chcąc ją zniechęcić.

- Ale może dzięki temu będzie miało szansę w ogóle się urodzić - odparła, oddając kolejną strzałę.

- Ricky Garcia powiedział, żeby szukała winnego bliżej siebie - przypomniał sobie nagle David. - Kto z twoich bliskich mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Danny'ego?

Tym razem spudłowała.

- Spencer?

Potrzebuję głowę .

- Ricky Garcia jest mordercą i złodziejem. Dlaczego miałabym wierzyć w to, co mówi?

- Nie wiem - przyznał David. - A więc dlaczego wierzysz?

- Wcale nie wierzę ! - krzyknęła.

Wyjął z jej ręki policyjny rewolwer, zabezpieczył go i wyprowadził ją ze strzelnicy.

- Na dzisiaj dosyć . Robi się późno.

Kiedy jechali do jej domu, David miał wrażenie, że nagle jakąś uporczywą myśl. Nie potrafił jej dokładnie sformułować . Był z tego powodu zadowolony, bo odrywało go to od niewesołych rozważań o perspektywach związku ze Spencerem.

- Może nie powinna w tym tygodniu jeździć do pracy - powiedział, wchodząc za nią do domu i zamykając drzwi.

- Nie mogłoby nieobecna przez cały tydzień . Mam umówione spotkania. Słyszycie, potrzebuje.

- Słyszycie, żeby przede wszystkim była bezpieczna i żywa.

- Przecież jeśli całkowicie wycofam się z życia, zabójca Danny'ego odniesie zwycięstwo.

David milczał.

- Nie le sobie radziłam z tym rewolwerem. Bardzo go miała stale przy sobie.

David westchnął.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że ja będę ci wozili. Wszędzie.

Kiwnęła głową .

- Dobranoc, Spencer - powiedział, kierując się w stronę kanapy.

- Na górze jest pokój gościnny - szepnęła.

- Tu jest mi bardzo dobrze. Dobranoc, Spencer - powtórzył stanowczo.

Odwróciła się i wyszła.

Tydzie był długi i męczący. Spencer upierała się, żeby jeździć do pracy, a David nie odstąpił jej na krok. Spędził niemal cały dzień w South Beach, obserwując otoczenie, podczas gdy ona tłumaczyła grupie biznesmenów, jak odremontować należący do nich hotel i ile to będzie kosztowało. Byli dość sceptyczni, dopóki nie powiedziała im, że płyty, którymi wyłożona jest podłoga hotelu, zostały sprowadzone z jakiegoś hiszpańskiego zamku, a ich wartość stanowi znaczną sumę, jak zapłacili za cały hotel. Wtedy szybko pogodzili się z dotychczasowymi wydatkami i wyasygnowali dalsze środki, które miały trafić na konto Montgomery Enterprises.

Sly milczał, dopóki nie skończyła swego wystąpienia. Potem stanął obok Davida i oparł się o niego.

- Jesteś wart tyle złota, ile wazysz - powiedział. - A ty, nie chcesz przyjąć ode mnie pieniędzy. Chyba żaden klient nie zabierał ci tak wiele czasu.

- Danny był moim najlepszym przyjacielem - mruknął David, wzruszając ramionami.

- A Spencer?

- Spencer też jest przyjaciółkiem.

Sly parsknął gniewnie i wyprostował się, widząc, że biznesmeni wychodzą.

- Odeślij ich - powiedział. - Podejmij w końcu decyzję.

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz.

- Dlaczego?

- Bo ona nie zgodzi się za mnie wyjść.

- To nakłóć ją do tego! Zmusz ją, żeby była szczęśliwa, skoro nie ma innego sposobu!

- Sly, daj mi szansę - odparł z uśmiechem David. - Pozwól mi najpierw złapać tego mordercę. Danny nie jest jeszcze w gruncie rzeczy pochowany. Dla niego z nas.

Sly zaakceptował ten punkt widzenia. Ruszył w kierunku grupy swych kontrahentów, a David podążył za nim.

Cała grupa udała się na późny lunch do jednej z usytuowanych blisko plaży restauracji. Z jej okien widać było szalę cichych na wrotkach chłopców, umiędliwionych plażowców, podrywaczy, półnagie dziewczyny i rozkoszujących się słodkimi emerytów. Spencer siedziała wśród biznesmenów, a Sly czujnie ją obserwował. David uznał, że może odejść i zadzwonił do Oppenheima.

Porucznik najwyraźniej oczekiwał na jego telefon.

- Aresztowali my Ricky'ego, ale nie zabawił u nas długo.

- Tego się spodziewałem. Co z ekshumacją zwłok Vickie Vichy?

- Staram się to załatwić. Dam ci znać.

- Dzięki.

Wrócił do stołu. Rozmawiali przez całe popołudnie, więc kiedy zaczęli się żegnać, było już późno, Sly i Spencer wsiedli do samochodu Davida. Jechali autostradą w kierunku miasta, pogrzebieni jak w swoich myślach.

- Czy Jared zwrócił ci już wszystkie pieniądze? - spytał nagle Sly.

Spencer, zaskoczona, spojrzała na jego odbicie w lusterku.

- On... to znaczy...

- Tak czy nie? - nalegał Sly.

- Tak. Jak się o tym dowiedziało?

- O czym się dowiedział? - wtrącił David.

- Och, Jared zaciągnął bez upoważnienia drobny dług - odparł nonszalanckim tonem Sly. - Chyba myślałem o tym nie wiem. Uważałem, że powinien załatwić to ze Spencerem.

- I załatwił! - oznajmiła stanowczym tonem. Odwróciła się w stronę dziadka, marszcząc brwi. - Sly, nie chcesz chyba go zwolnić, prawda?

- Zrobiłbym to, gdyby się nie przyznał. Mimo interwencji twojej matki, jego ojca i całej przeklętej rodziny!

- Ale...

- Ale się przyznał - dokończył Sly, wzruszając ramionami.

- A ja pozwalam, ka demu popełnić jeden błąd. Tak zasad

wyznawalem przez całe życie. Jeden błąd i szansa naprawienia go.

- Już go naprawił - powiedziała Spencer, z niepokojem zerkając na Davida. Jego zmrużone oczy nabrały barwy kobaltu. Malowała się w nich wściekłość.

Odwiózł najpierw Słya, a potem Spencer. Wszedł do jej domu pogromiony w złowrogim milczeniu. Potem nagle wybuchnął.

- Spencer, do wszystkich diabłów, ile razy mam ci to powtarzać! Nie mogłem wygrać, jeśli ty ci głębiej grasz przeciwko mnie! Dlaczego, do cholery, nie powiedziała mi, co zrobił Jared?

- To nie miało żadnego znaczenia - odparła, wchodząc do kuchni.

- A Willie?

- Willie?

- Tak, Willie. Trafiła na ten cmentarz przypadkiem, co? Nawet załała kontakt z informatorem, który mógł ci narazić na prawdziwe kłopoty i o mały włos nie straciła życia. A w dodatku nic mi o tym nie powiedziała ...

- Nie pytałem mnie o niego!

- Ale pytałem ci o źródło twoich informacji! - zawołał podniesionym głosem i nagle zamilkł.

- O co chodzi? - spytała.

- Musz się dowiedzieć, co zrobił Jared - o wiadczył stanowczo.

- Po czył pieniądze.

- Dużo?

- Tak.

- Bez pytania?

- Ale wpłacił je z powrotem na moje konto. David, chyba nie sądzisz, że Jared zabił Danny'ego! Lubili się. Byli spowinowaceni. Dzieci Jareda mówiły do niego: wujku Danny!

- Są ludzie, którzy gotowi byliby dla zysku zabić własną matkę!

- Ale nie Jared - powtórzyła z uporem.
- Kiedy po czył te pieni dze?
- Mniej wi cej przed o miu miesi cami.

David odetchn ł gł boko.

- W takim razie...
- W takim razie co?
- W takim razie chyba masz racj . To, z czym mamy do czynienia, musiało mie swój pocz tek przed mierci Danny'ego. Id do gabinetu. Dobranoc.

Spencer patrzyła na niego, kiedy szedł na gór . Pomy lała z alem, e nawet nie spytał, czy nie chciałaby mu pomóc. Niemal powiedziała to na głos, ale powstrzymała si . Zagryzła wargi i weszła do kuchni, by zrobi sobie herbat . Zrezygnowała jednak i poszła spa .

W czwartek rano przyjechała do firmy Cecily. Wkroczyła do gabinetu Spencer z szerokim u miechem.

- Nie zapomnij o pikniku, który urz dza jutro wieczorem mój te .

- Pami tam o nim - odparła Spencer, patrz c na ni badawczo.

- Czy co si stało? - spytała Cecily niepewnie. Potem zni yła głos. - Je li jeste zła na mnie o to, e Jared po czył od ciebie pieni dze...

- Nie chodzi mi o pieni dze, Cecily. Jestem zła, bo nie miała prawa miesza si do moich prywatnych spraw i sugerowa Davidowi, e... e jestem w stanie, w którym twoim zdaniem jestem!

- Nic mu nie sugerowałam - odparła Cecily, wydymaj c wargi. - Powiedziałam mu to wprost, bez owijania w bawełn !

- Cecily...

- Miałam racj , prawda? Wierz mi, e znam si na takich sprawach. Sama przez to przechodziłam.

- Ale dlaczego powiedziała o tym Davidowi?

- Ja... - Cecily z westchnieniem osun ła si na krzesło. - My łałam, e je li b dziesz pochłoni ta kłótniami z Davidem albo zaczniesz z nim na nowo romansowa , nie zauwa ysz stanu swojego konta!

- Cecily!

- Och, Spencer, wiem, e to było głupie, ale wszyscy wpadli my w panik ... Jared, Jon i ja... Czy tego nie rozumiesz, Spencer? Jared jest twoim krewnym, ale nie jest spokrewniony z twoim dziadkiem!

Spencer westchn ła gł boko.

- W porz dku, Cecily.

- Nie zrobisz przykro ci Jonowi i nie opu cisz jutrzejszego przyj cia, prawda? Pami taj, zaczynamy zaraz po pracy.

- Dobrze, przyjd .

- Dzi ki, Spencer. I... jestem ci wdzi czna, e okazała si tak wyrozumiała. Jared nie jest ideałem, ale nie jest te zły.

- To ju przeszło , Cecily.

Cecily wstała, ruszyła w stron drzwi i nagle przystan ła.

- No i co? - spytała.

- Z czym?

- Czy miałam racj ?

- Daj mi spokój, Cecily.

W tym momencie do gabinetu zajrzała Audrey.

- Przepraszam, Spencer, ale Sandy chce z tob rozmawia . Jest na trzeciej linii.

- Dzi kuj .

- Wiem, e miałam racj - powiedziała z u miechem Cecily. Pomachała jej r k i wyszła.

Spencer pracowała tego wieczora do pó na, usiłuj c nadrobi zaległo ci w lekturze fachowych czasopism i ksi ek. Zapomniała o swoich prywatnych problemach. Przypomniała sobie o nich dopiero wtedy, kiedy podniosła wzrok i ujrzała stoj cego w drzwiach Davida.

- Czy nie s dzisz, e nie powinna teraz tak ci ko pracowa ? - spytał. - Na miło bosk , daj dziecku troch odpocz !

- Czy mógłby mówi troch ciszej? - spytała, rumieni c si mimo woli.

- Dlaczego? Przecie w całym biurze nie ma juz ywego ducha.

- Och! - Zerkn ła na zegarek. Była niemal ósma.

- Naprawd powinna nakarmi dziecko.

- Czy to znaczy, e ty jeste głodny?

- Oczywiście.

- Mo e pojedziemy do Taurusa? Blisko, doskonałe owoce morza, szybka obsługa.

David kiwn ł głow . Spencer odsun ła papiery i wstała, a potem wyj ła z torebki klucze, eby pozamyka wszystkie drzwi.

- Sły nie po egnął si ze mn , kiedy wychodził.

- Owszem, mówił ci dobranoc, ale była pogr ona w jakich ksi gach.

Wzi li z parkingu jego samochód i pojechali prosto do restauracji.

Miał za sob ci ki dzie . Spencer Huntington i Delgado przysparzali mu mnóstwa kłopotów. Gdyby pozwolono mu załatwi cał spraw po swojemu...

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawk i usłyszał znajomy głos.

- Jon Monteith urz dza jutro piknik. B d tam, i ty te musisz przyj . Cokolwiek wymy lisz, pami taj o bezpiecze stwie, na miło bosk ! B d tam małe dzieci. Postaraj si , eby wygl dało to na wypadek. Ju ty to potrafisz.

- Mam ju dosy ...

Przerwał, bo w słuchawce rozległ si stłumiony miech.

- Zrób to. Bo je li wpadniesz, to nigdy ju si nie pozbierasz!

Poł czenie zostało przerwane.

20

- Robi tu najlepsze oreganato z ryb na wiecie -mrukn ła Spencer, przegl daj c kart da . U miechn ła si do czekaj cej obok stolika kelnerki. - Prosz o białe wino i oreganato z ryb morskich.

- Ja prosz o białe wino i oreganato z ryb morskich - wtr cił si David - a ty wypijesz kaw . Nie, w kawie jest kofeina, prawda? To wobec tego lemoniad i ryb .

- David... - zacz ła Spencer.

- Nie pij, Spencer. Prosz - dodał po chwili wahania.

- Zapomniałam o tym.

Rozsiadł si na krze le i spojrział na ni badawczo.

- Czy nie powinna wybra si do lekarza?

Ze sceptycznym u miechem pochyliła si nad stolikiem.

- David, sp dziłam mnóstwo czasu u lekarzy. Danny i ja byli my w pewnym sensie naiwni jak dzieci we mgle. Byli my pewni, e co si nie zgadza. Nie próbuj my le negatywnie ani udawa , e nie jestem w ci y, ale nie chc przedwce nie wpada w zachwyty, dopóki nie jestem pewna.

- Przecie zrobiła test.

- Wiem. Ale lekarze twierdz , e tego testu nie nale y robi zbyt wcze nie. Wi kszo poronie nast puje niemal natychmiast, dlatego niektóre kobiety s dz , e ich cykl si opó nia. Trzeba i do lekarza stosunkowo wcze nie, ale nie a tak wcze nie.

- Czy by chciała powiedzie , e kiedy wszystko b dzie ju wiadomo, by mo e wpadniesz w zachwyty?

- Oczywiście.

- Mimo e jest to moje dziecko, a nie dziecko Danny'ego?

Spencer zastanawiała si przez chwil , a potem powiedziała cicho:

- Chciałabym mieć dziecko z Dannym. Był wspaniałym człowiekiem i co powinno po nim zostać na wiecie. Niestety, to nie było mu dane.

- Spencer, jak długo żyjemy, co zawsze po nim zostanie - odparł David, delikatnie zaciskając palce na jej dłoni. - Ci, którzy go znali, zawsze będą o nim pamiętać. I nie zapomnę o jego marzeniach.

Kiwnęła głowę i cofnęła rękę, bo nadeszła kelnerka z ich napojami.

- Mogłabym pani podać wino ukradkiem - powiedziała, mrugając do Spencer.

Spencer rozumiwała jej potrzebę głębi.

- Nie, nie trzeba. Bardzo dziękuję.

- Chodźmy do baru z sałatkami - zaproponował David. - Jarzyny są zdrowe dla was obojga.

- Czy chcesz być dziurawcem czy bocianem? - spytała Spencer.

- Jednym i drugim.

Udało im się tego wieczora nie rozmawiać o Dannym, o ledztwie ani o ich dziwnym związku. David opowiadał o swojej siostrze, Spencer mówiła o planach przebudowy starej posesji, położonej obok pola golfowego.

Kiedy wrócili do domu, David powiedział jej dobranoc i poszedł do bawialni.

Zawahała się i spojrzała w jego stronę. W pokoju było ciemno; jego sylwetka majaczyła na tle odbitych od basenu wiatel. Widziała jednak jego szerokie ramiona, ciemne włosy, zarys pleców.

- Popelniam błąd - powiedziała do siebie. - Ale przecież błąd został już popelniony.

Weszła za nim do pokoju.

- Nie chcę spać sama - szepnęła.

Odwrócił się do niej. Nie widziała w mroku rysów jego twarzy.

- Spencer, ty nie pisz sama - powiedział cicho. -Danny nadal le y w tym łó ku obok ciebie.

- Jest tu inny pokój. Z prawdziwym łó kiem - mrukn ła. Kiedy nadal milczał, wybuchn ła. - Do diabła, David, nie zamierzam ci błaga ! B d tam. Zrobisz, co zechcesz.

Odwróciła si i weszła po ciemnych schodach na pi tro, min ła sw sypialni , otworzyła drzwi pokoju go cinnego, zdj ła buty i rozebrała si . Potem wzi ła prysznic, wytarła si i weszła do łó ka.

Czekała, ale David nie przyszedł.

Czuła si jak idiotka. Ale jak zm czona idiotka. W ko cu zasn ła.

Le ała pogr ona we nie. No có , jest głupcem. Dawno ju doszedł do takiego wniosku.

Zawahał si , a potem wszedł do pokoju. Widział w mroku rozrzucone na dywanie cz ci jej garderoby.

Zdj ł marynark i koszul . Potem buty. Upu cił je z hałasem na podłóg . Nie poruszyła si . Rozebrał si do naga, po czym przysiadł na kraw dzi łó ka, by zdj skarpetki. Spencer spała jak pi ca Królewna.

Ta my l wzruszyła go. Z u miechem w lizn ł si pod kołdr i pocałował j .

Nie był to pocałunek z bajki o pi cej Królewnie, ale odniósł zamierzony skutek. Zaborczo wpił si w jej usta i obj ł jej szyj . Mrukn ła co cicho i chwyciła go za ramiona.

Nadal była senna, ale szybko si budziła. Nachylił si nad ni i rozwarł nogami jej uda. Spencer przytuliła si do niego i cisn ła nogami jego biodra.

- David? - wymamrotała, otwieraj c oczy.

- A kogo si spodziewała ? Czy masz wra enie, e le ysz w łó ku z duchem?

Napi ła mi nie, rozgniewana jego artem, ale on delikatnie przycisn ł dło do jej policzka.

- Spencer - powiedział cicho. - Sama mnie tu zaprosiła , ale obiecaj, e nie zaczniesz potem płaka .

- Nie zaczn - szepn ła po chwili.

Ponownie pocałował j w usta, a potem obj ł i przycisn ł do siebie z całej siły. Uniósł jej biodra i zespolił si z ni delikatnie, a ona obj ła nogami jego plecy i przywarła do niego całym ciałem.

Nigdy jeszcze nie było mu z nikim tak dobrze...

Doprowadził ich oboje na kraw d rozkoszy, a potem uwolnił si z jej u cisku, by pie ci jej piersi. Po chwili jej usta zaczęły przesuwa si po jego nagim ciele. Dotkn ły ramion, potem brzucha, w ko cu zamkn ły si na jego m sko ci. Wplatał r ce w jej włosy, tłumi c okrzyk rozkoszy. Potem kochali si ponownie. Widział bł kit jej oczu, powoli zachodz cych mgł . Osi gaj c punkt kulminacyjny, poczuł pulsuj cy, spazmatyczny skurcz jej ciała.

Mijały minuty. Przestraszył si , e sprawia jej ból. Zsun ł si i poło ył głow na poduszce.

Spencer le ała z otwartymi oczami. Dotkn ł jej policzków.

- Nie płacz .

- To dobry pocz tek - stwierdził pogodnie.

Przytuliła si do niego z u miechem.

Ze zdumieniem stwierdziła, e jest ju bardzo pó no i e David znikn ł.

Była jeszcze bardziej zaskoczona, kiedy odkryła, e wyszedł nie tylko z łó ka, ale i z domu.

Wzi ła prysznic, ubrała si , zeszła na dół i otworzyła drzwi. Jimmy siedział na progu, czytaj c jak powie kryminaln . Spencer z rozbawieniem spojrziała na tytuł.

- „Inspektor Tyre i morderstwo na strychu” - przeczytała gło no.

- Całkiem niezła - mrukn ł, wzruszaj c ramionami.

- A ja my lałam, e ludzie twojego zawodu... Wszystko jedno. Gdzie jest David?

- Powiedział, e musi na chwil wpa do biura. Ale prosz si nie martwi . Jeste my tu obaj z Juanem. Widzi pani? Stoi przy samochodzie. Kto musiałyby by naprawd dobry, eby załatwi nas obu równocze nie.

- Z pewno ci . Wejd , je li masz ochot . Kawa b dzie gotowa za kilka minut.

Odmówił. Był jeszcze ostro niejszy ni zwykle.

Dzie zdawał si mija bardzo szybko. David zadzwonił w południe, by powiedzie jej, e znalazł w kartotece Danny'ego co dziwnego.

- Zgadnij, co jeszcze si stało - za dał.

- Co?

- Oppenheim zdobył jednak nakaz ekshumacji Vickie Vichy.

- Naprawd ?

- By mo e wezw mnie wkrótce do zakładu medycyny s dowej.

- Nie zapominaj, e mam dzi rodzinn uroczysto .

- Pami tam. Przyjad tam. Jimmy i Juan b d pełni wart przed domem, a Oppenheim postara si zapewni nam dyskretn obstaw policyjn . Ju przeproszał mnie za to, e musiał wtedy odwoła Harrisa.

- Wiesz, gdzie mnie znale .

- Nadal nie płaczesz? - spytał cicho.

- Nadal nie płacz - odparła po chwili wahania.

- Do zobaczenia. Obiecuje , e pojawi si niezbyt pó no. - Odłożył słuchawk i spojrział na swoje notatki, potem nacisnął guzik interkomu. - Reva, potrzebuję danych na temat pewnej osoby. Wszystkiego, co uda ci się zdobyć. Poczynając od daty i miejsca urodzenia.

- O kogo chodzi?

Po chwili namysłu podał jej nazwisko.

- I sprawdź, czy ta osoba jest jakiegoś związku z facetem, który nazywa się Gene Vichy - dodał.

Jon z radości powitał Spencer i natychmiast odciągnął ją na bok.

- Spencer - wyszeptał. - Kochanie, jestem ci tak wdzięczny...

- Wujku, prosiłam Jareda, żeby o tym zapomniał i żeby ty zrobił to samo.

- Ale gdybyś się dowiedział...

- Śly wie.

- Mój Boże...

- Wszyscy popełniamy błędy. Śly i o tym wie.

Jon odetchnął głęboko i uśmiechnął się.

- Spencer, jeszcze kiedy była mała, wszyscy mówili, że masz prawdziwą klasę. Mieli rację, kochanie.

- Wujku, proszę ci ...

- No dobrze. Czy chcesz mi pomóc w smaeniu hamburgerów? Przy okazji opowiesz, co u ciebie słychać. Wszyscy byli przerażeni tym wypadkiem w Rhode Island. Czego się dowiedzieliście? Czy policja już coś zdiagnozowała? A David?

Spencer stanęła obok wuja przy grillu i usiłowała zrelacjonować mu przebieg wydarzenia. Potem zjawiły się dzieci. Ashley nie miała podszedła do Spencer, ucałowała ją serdecznie, uśmiechnęła się i ponownie zarzuciła jej ręce na szyję. Nie odstępowała ciotki ani na krok, dopóki Cecyli nie zawołała dzieci do domu, by przebrały się w stroje kąpielowe.

Śly, Jared i Jimmy siedzieli w salonie, oglądając w telewizji jakiś program sportowy. Jimmy i Juan cięgnęli słomki i Juanowi przypadł pierwszy dywan na dworze. Obserwował wejście do domu, czekając na nieproszonych gości.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Pójdź otwórz - powiedział Jon. - Przepraszam cię na chwilę.

Spencer widziała przez oszklone drzwi ogrodowe, jak podchodzi do wejścia. Spodziewała się Davida, ale ku swemu zaskoczeniu zobaczyła Audrey.

Ruszyła w kierunku domu, ale Audrey szła już pospiesznie w jej stronę. Po drodze zatrzymała się, aby ucisnąć biegącą na jej powitanie Ashley. Potem zostawiła dziecko nad basenem i zbliżyła się do Spencer, która stała obok grilla, czekając na nią.

- Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała z uśmiechem, machając plikiem jakichś papierów – ale wiem, jak ważny jest dla ciebie ten dom, który chcesz kupić. Dzwoniła włączyła nie Sandy i...

Przerwała i wyścięgnęła papiery w kierunku Spencer, która spojrzała na nią ze zdumieniem.

Audrey trzymała w ręku ukryty pod papierami rewolwer i mierzyła prosto w nią.

- Musimy porozmawiać – mówiła dalej słodkim tonem. - Nie tutaj. Idź w kierunku przystani. Ruszaj!

- Audrey, nie...

- Spencer, mógłbyś ci pomóc na miejscu, ale mogłabym zabić jakieś dziecko. Wiesz, że nie blefuję. Idziemy.

- Nie zastrzelisz mnie...

- Kochanie, nie miałam najmniejszych oporów strzelając do Danny'ego, i bez zmruczenia oka zastrzelił cię. Ruszaj. Chyba że chcesz, żeby zginęła również Ashley. Zrobi to, Spencer. Nie miej najmniejszych wątpliwości. Co mam do stracenia? Może na krzywe elektrycznym tylko raz, bez względu na to, ile zabije się ludzi. Ale nie mam czasu. Ruszaj!

- Dlaczego? - spytała Spencer.

- Idź, dowiesz się po drodze.

- Audrey, jeśli znajdziesz mnie zastrzeloną ...

- Ale skąd! - Audrey uśmiechnęła się lekko, a w jej oczach zalał ją błysk zadowolenia. - Utoniesz!

Tuż po piątej Oppenheim zadzwonił do Davida i zaprosił go do zakładu medycyny sądowej.

Koroner, Cyril Burges, kroził włączył nie ciało jakiegoś młodego człowieka, które znaleziono w rzece. Czekali, aby skończyć, aby porozmawiać z nim o wynikach sekcji zwłok Vickie Vichy.

Burges, łysiej cy, otyły m czyzna, podszedł do nich po chwili i powitał u ciskiem dłoni.

- Zdaje si , e mieli panowie racj . Podawano jej trucizn . Codziennie, w małych dawkach. Rutynowe badanie krwi lub moczu nie wykazałoby niczego. Ale nie było to przypadkowe. Musiał to robi kto bliski. Zapewne kto , kto z ni mieszkał.

- M ? - spytał Oppenheim.

- To chyba trafne przypuszczenie - odparł Burges.

- Wy lijcie list go czy za Vichym - polecił Oppenheim mundurowemu funkcjonariuszowi policji, który im towarzyszył. Młody człowiek natychmiast wyszedł, by wykona rozkaz.

- Miałe racj - niech tnie przyznał Davidowi Oppenheim.

- Ale nadal nie rozumiem, dlaczego zabił Danny'ego.

- Danny o tym wiedział.

- Ale nie powiedział adnemu z nas. I nie wspomniał o Vichym w chwili mierci.

- Nie, powtarzał stale imi Spencer, jakby chciał j ostrzec.

- David przerwał, zastanawiaj c si nad znaczeniem własnych słów. - Jakby chciał j ostrzec...

W tym momencie podszedł do nich jaki urz dnik w wielkich okularach w rogowej oprawie.

- Czy który z panów nazywa si Delgado?

- Ja - odparł David.

- Dzwoni pa ska sekretarka. Prosz t dy.

- Reva? - spytał, podnosz c słuchawk .

- David, nie uwierzysz w to, co ci powiem. Miałe racj ! Audrey nie jest osob , za któr si podaje. Audrey Betancourt wyst powała ostatnio jako Audrey Highland, a przedtem jako Audrey Grant. Chodziła do szkoły jako Audrey Ennis; przeję ła to nazwisko od swoich zast pczych rodziców, kiedy jej ojca pozbawiono prawa do opieki nad ni . Ale urodziła si jako Audrey Vichy! Nie mog w to uwierzy . Jest córka Vichy'ego!

- Reva, jeste niezawodna. Jad na piknik, który urz dza Jon Monteith, eby porozmawia ze Spencer. B d z tob w kontakcie.

Po egnał si pospiesznie z Oppenheimera i wybiegł do samochodu. Była pora najwi kszego ruchu. Wiedział, e na autostradzie panowa b dzie piekielny tłok.

David wydostał si w ko cu z ostatniego korka drogowego. W tym samym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy.

- Słucham?

- David, tu Reva.

- Co si stało?

- Dzwoniłam do Jona Monteitha, eby spyta Jimmy'ego, czy wszystko w porz dku. Powiedział e tak, ale potem poł czenie zostało przerwane. Podejrzewam, e dzieje si co złego...

- Nie mog tego poj - mówiła Spencer, schodz c w dół po trawniku swego wuja. Z ci kim sercem zdała sobie spraw , e niedługo znajdzie si poza zasi giem wzroku zebranych na pikniku go ci. - Dlaczego miałyby zabi Danny'ego? Co on ci zrobił?

- Co zrobił? Chciał mnie wysła na krzesło elektryczne! - podniesionym głosem oznajmiła Audrey.

- Za co? - Spencer odwróciła si gwałtownie. - Za bł d w jakich papierach?

- Nie zatrzymuj si , Spencer.

Doszły ju do przystani. Otaczała j g sta ro linno , a tropikalne drzewa stoj ce tu nad wod zaślaniały dokładnie powierzchnni morza.

- Audrey, to szale stwo.

- No có , podobno nie jestem całkiem normalna.,

Spencer była ju w połowie pomostu. Nagle odwróciła si .

- Audrey, ja dobrze pływam. Wszyscy o tym wiedz . Nikt nie uwierzy, e poszłam z tob na spacer i uton łam.

- B d sama na wpeł ywa i bliska hysterii. Gotowa opowiada z płaczem do ko ca ycia, jak uratowała mnie, ale sama poszła na dno.

- Audrey, zastrzel mnie. Nie mam zamiaru si dla ciebie topi .

- Nie masz wyboru.

- Audrey, dlaczego? Dlaczego zabiła Danny' ego?

- Musiałam to zrobi , bo kocham mojego ojca. Kochałam go jako dziecko, ale rozł czyli nas. Odnalazłam go, kiedy tylko dorosłam. Ale adne z nas nic nie miało... ja byłam tylko sekretark . Potem ojciec poznał Vickie. Star , wstr tn krow . - Audrey otrz sn ła si . - Była ohydna. Dostawałam dreszczy za ka dym razem, kiedy musiałam si z ni spotka .

- Twój ojciec poznał Vickie? Vickie Vichy? - spytała Spencer, czuj c nagle, e robi jej si słabo.

- Wtedy nie nazywała si jeszcze Vichy. Musiał si z ni o eni . Dla pieni dzy. Potem ona umarła. Ojciec próbował j ottru , ale nie chciała rozsta si z yciem. Był niespokojny. Za ka dym razem, kiedy rozmawiał z Dannym, wiedział, e Danny jest bliski odkrycia prawdy i e znajdzie jaki sposób, eby ekshumowa t star suk . Danny odwiedził go kiedy i zacł mówi o tym, e mo na podawa ludziom trucizn w małych, niewykrywalnych dawkach. Opowiadał o wszystkich morderstwach, jakie popełniono w ten sposób w historii. Musiał zgin . Za du o wiedział.

W tym czasie pracowałam ju u ciebie, wi c miałam ułatwione zadanie. Znałam zwyczajnie Danny'ego i wiedziałam du o o tobie. Umawiałam ci na wi kszo spotka z lud mi. Mogłam w razie potrzeby bez trudu dotrze do ka dego z was. Kiedy Danny zgin ł, my łałam, e wszystko b dzie dobrze, e oboje z ojcem jeste my ju bezpieczni, ale potem ty wróciła do miasta i zacł ła si do wszystkiego wtr ca . Chciałam dosta si do twojego domu, bo byli my pewni, e Danny zostawił jakie papiery, jakie notatki dotycz ce jego podejrze . Potem nagle wtr cił si do tego David Delgado... a ja musiałam si ukrywa przed tym głupim bandziorem, którego wynaj ł Ricky Garcia. - Zacł ła si mia . - Ty my łała , e zrobił to Jared! Co

za bzdura! Nie potrafi ci powiedzieć, jak dobrze si bawiłam, widz c, e coraz bardziej go podejrzewasz!

Spencer miała nadzieję, e je li nakłoni Audrey do mówienia, zjawi si wreszcie jaka pomoc. Postanowiła spróbowa. Walczyła w ko cu o swoje ycie.

- Kiedy spadła ta belka, Sły podejrzewał, e kto chce mnie zabi. Czy to ty maczała w tym palce?

- To była dobra robota, ale nie udało si.

- A wypadek samochodowy w Rhode Island?

- Nietrudno znale płątnego zamachowca.

- Przecie jego pracodawc był Ricky Garcia.

- Ka dy mógł go wynaj. Wa ne s tylko pieni dze. A ojciec ma ich teraz mnóstwo.

- Nic dziwnego, e Garcia był taki w ciekły.

- To mie. A ja mam klas, Spencer. Podobnie jak ty. Chcesz wiedzie, co jeszcze zrobiłam? Próbowałam si włama do twojego domu, ale zatrzymał mnie ten nieudolny detektyw. Ale w gruncie rzeczy, odk d ojciec odziedziczył pieni dze po Vickie, wszystko stało si proste.

- Musi by dobrym ojcem, skoro ka e swojej córce zabija ludzi.

Audrey przestała si u miecha i spojrzała na ni z nienawi ci.

- Ty tego nie potrafisz zrozumie. Jeste my sobie bardzo bliscy. On mnie kocha. Zawsze mnie kochał, - Zacz ła mówi gło niej, jakby chc c przekona Spencer i siebie, e ma racj. - Nie masz prawa krytykowa mojego ojca! Ty nie rozumiesz takiego człowieka jak on, ty nie rozumiesz... nas!

- O mój Bo e! - westchn ła Spencer. Patrz c na Audrey, słuchaj c jej słów, zdała sobie spraw, e nie mówi ona o normalnych stosunkach mi dzy ojcem a córka. Przypomniała sobie eleganckiego, pewnego siebie m czyzn, którego poznała w klubie. M czyzn, który uwa ał najwyra niej, e wszystko, co mu słu y, jest słuszne.

- Spencer, nie patrz tak na mnie! - zawołała rozkazujuco Audrey. - Ty nie rozumiesz...

- Chyba nie, ale zdaje mi się, że zaczynam rozumieć. Wyobraź sobie, jak się to wszystko zaczęło. Zapewne napastował cię seksualnie jeszcze jako dziecko.

- Nigdy mnie nie napastował!

- Gwałt jest formą napastowania, Audrey.

Domyśliła się, że trafiła w sedno. Musiał ją zgwałcić, zrobił z niej posłuszną swą woli maskotkę. Z własnej córki.

- Ty dziwko - syknęła Audrey. - Nie chciałam cię zabijać. Wydawało mi się, że cię lubi, ale myliłam się. Ty uważasz się za najmądrzejszą na świecie, a jesteś taka sama jak inni. Chcesz ocenić moje postępowanie, ale wszyscy się mylicie. Kocham moją ojca, a on kocha mnie. Zaslługujesz na śmierć.

Spencer dostrzegła za plecami Audrey jakiś ruch. Ktoś przedzierał się przez krzaki.

- Audrey! - zawołała, chcąc zagłuszyć zbliżające się kroki. Ale jej podstępnie spalili na panewce.

Audrey odwróciła się. Spencer poczuła przypływ nadziei, ponieważ zbliżył się do nich Jerry Fried. Dawny partner Danny'ego.

- Jerry! - zawołała z ulgą w głosie.

Audrey spojrzała na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Och, Spencer! To dziwne, że taka bystra dziewczyna jak ty może być tak cholernie głupia! Jak myślisz, dlaczego Danny nigdy nie ufał Friedowi? Bo nie był idiotą. Biedny Jerry brał łapówki, a teraz nie może się już wycofać. W gruncie rzeczy ma wyrzuty sumienia, ale wiesz co? To właśnie on ma cię utopić!

Spencer patrzyła na idącego pomostem Frieda i powoli docierało do niej, że Audrey mówi prawdę. Jerry Fried nie był zadowolony ze swej roli, ale przyszedł po to, żeby ją zabić.

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła biegiem w stronę koca pomostu.

- Jasna cholera! - krzyknęła Audrey.

Rozległ się strzał. Kula przeleciała z gwizdem obok głowy Spencer. Ta nie wiedziała, jaka jest w tym miejscu głębokość wody, ale postanowiła zanurkować. Wskoczyła do oceanu i szybko zaczęła pływać do dół.

Po chwili jednak ktoś złapał ją za nogi i mocno szarpnął. Ujrzała pod sobą twarz Jerry'ego Frieda. Próbowwała się wyrwać, ale on wciąż gał ją coraz głębiej...

- Gdzie jest Spencer? - spytał David, wpadając do domu Jona.

Wszyscy oglądali mecz, ale na dźwięk jego głosu Slys poderwał się gwałtownie, a Jimmy odwrócił głowę.

- Jest na dworze - odparł spokojnie Jon Monteith. - Smaży hamburgery i rozmawia z Audrey.

Z Audrey... David poczuł zimny dreszcz. W tym samym momencie do domu wbiegła z krzykiem Ashley.

Spencer wrywała się z całej siły. Wypłynęła na powierzchnię i zaczęła trochę powietrza, ale Fried chwycił ją znowu. Tym razem złapał za włosy i zanurzył jej głowę w wodzie. Zachowywał się ostro na jej ciele. Nie chciał, by na jej ciele znaleziono ślady.

- Do diabła, zabij ją! - krzyknęła Audrey, która też miała wskoczyć do wody. - Skończ z tym! Lada chwila ktoś może tu przyjść!

Spencer znów się wyrwała, wynurzyła głowę z wody i głęboko odetchnęła. Potem zaczęła szybko pływać.

Wtem poczuła na sobie rękę Frieda. Tym razem złapał ją za ramiona. Zanurkowała, a potem z wysiłkiem próbowała wypłynąć.

Chciała zacząć powietrza, ale zachłystnęła się wodą. Czując, że traci siły.

W pierwszej chwili nie dostrzegł ich. Potem zobaczył, że w wodzie coś się rusza. Ujrzał wynurzając się głowę. Spencer. Zaczęła biec.

Nagle poczuła, że jest wolna. Jerry Fried został od niej odcignięty i walczył zaciekle z kimś innym.

Z Davidem.

David wpełznął głową Frieda pod wodę, z taką siłą, jakby zamierzał go utopić.

Audrey rzuciła się nagle na Davida z dzikim okrzykiem i zepchnęła go na bok. Fried wypłynął na powierzchnię i ponownie chwycił Spencer za ramię. Zdołała zaczerpnąć trochę powietrza, zanim znów wciągnięty pod wodę. Walczyła z nim ze wszystkich sił. Okładając go rękami, uderzyła w jakiś twarde przedmiot. Był to jego rewolwer. Wyrwała broń z kabury, ale nie mogła oswobodzić ręki z uścisku Frieda. Zaczęła się dusić; miała wrażenie, że woda wypełnia jej płuca. Wszystko zaczęło się kręcić. Jak przez mgłę usłyszała głuchy łomot i zobaczyła obok siebie Audrey. Była pewna, że zaraz utonie.

Ale nie utoniła. Ujrzała na ramionach Frieda czyje dłonie, które odcięły go od niej ponownie. Wypłynęła na powierzchnię i nabrała trochę powietrza. Audrey unosiła się bezwładnie na wodzie w pewnej odległości od niej. Domyśliła się, że David ogłuszył ją, by zaatakować Frieda. Walczyli ze sobą zjadliwie. Fried był potężnie zbudowany, ale David miała więcej siły. Spencer nie zamierzała ryzykować. Zebrała w sobie wszystkie siły, podpłynęła bliżej i wymierzyła z rewolweru w głowę Jerry'ego.

- Puść go, David! - krzyknęła. - Puść go! Zastrzel cię, ty draniu! Odpowiadasz za śmierć Danny'ego tak samo jak ona, więc zabij cię bez wahania!

Fried wyglądał jak szaleniec. Odwrócił się do Davida i napierał na niego z całą siłą, wpełznął go pod wodę.

Spencer zanurkowała ponownie i znalazła ich w mrocznej głębinie, splecionych w miernym uścisku.

David pokazał jej gestem, żeby wypłynęła. Fried odwrócił się, gotów ponownie wyciągnąć ją po nią rękami.

Byli tak blisko, że woda stłumiła niemal całkowicie huk wystrzału.

- Wcale nie musiała do mnie strzelać - poskarżył się David.

- I wcale do ciebie nie strzelałam. Strzelałam do niego, ale go nie zabiłam. Ty jesteś tylko drań ty.

- Tak uważasz? Moja łydka okropnie krwawi.

- Zachowujesz się jak małe dziecko.

Siedzieli owinięci w koce za domem Jona, trzymając w rękach kubki z gorzką kawą. Wycie syren już ucichło. Jerry Fried i Audrey Vichy alias Betancourt zostali odwiezieni do aresztu.

Audrey - jak sama przewidziała - była na wpół żywa.

Jerry został postrzelony w ramię, ale jego życiu to nie groziło niebezpieczeństwo.

Kiedy Spencer wypłynął, na pomoście czekała na niego zapłakana Cecylia. Byli tam również Jared, wuj Jon i Sły, co najbardziej przerażyło Spencera, bo bała się, że dziadek dostanie ataku serca. Ale Sły był człowiekiem odpornym. Szybko zebrał się i ucałował również mocno jak reszta rodziny.

Jej rodziny. Dzieci, Cecylia, Jared, Jon. Wszyscy w jakiś sposób nadużyli jej zaufania, ale kochali ją, a ona sama nie mogła uwierzyć, że tak bardzo ją to cieszy.

- Nigdy tego nie pojmę - mruknęła.

- To było bardzo proste. Danny podejrzewał, że Vichy zabił swojego syna, ale nie mógł mu tego dowiedzieć, bo Vichy nie zamordował jej osobiście. Zrobiła to Audrey. Ona jest obłąkana, Spencer. Jestem pewien, że psychiatrzy określą jej chorobę dokładniej, ale wszystko wskazuje na to, że ojciec napastował ją seksualnie, kiedy była dzieckiem. Nie mogła się zmusić do nienawiści wobec niego, więc zakochała się w nim. I była gotowa zrobić dla niego wszystko.

- Ale Jerry...

- Vichy płacił mu za informacje na temat Danny'ego. Jerry wysładował w głębszym bagnie, niż zamierzał. Kiedy raz wziął łapówkę, musiał brać dalej albo naraził się na wpadek.

Wła ciwie jest mi go al. Nie potrafi ci wytłumaczy , co czuje policjant wobec swego kolegi, który przyczynił si do mierci takiego człowieka jak Danny.

- Kiedy do niego strzelałam, cała si trz słam.

- Nie musiała tego robi - powtórzył z irytacj David. - Dałbym sobie z nim rad .

- Nie chciałam ryzykowa . Straciłam ju przez tego drania jednego m a.

- Nie jestem twoim m em - przypomniał jej David, patrz c na ni znacz co.

- Jeszcze nie.

- No wi c?

- Przecie si ze mn o enisz, prawda?

Wahał si przez chwil , po czym jego twarz rozja nił szeroki u miech.

- Do diabła, tak! B d miał on , która nie wybucha ju płaczem za ka dym razem, kiedy si kochamy. Jak mógłbym odrzuci tak ofert ?

- David! - ostrzegła go Spencer.

Pochylił si i pocałował j .

- Kocham ci , Spencer. Zawsze ci kochałem i zawsze b d ci kochał.

- Postarali my si , eby Danny mógł wreszcie odpoczywa w spokoju, prawda? - spytała, opieraj c si o jego rami .

Kiwn ł głow , czuj c na policzku dotyk jej mi kkich włosów.

- Umieraj c wyszeptał twoje imi , bo bał si o ciebie. Chciał, eby ci pomógł. Przykro mi, e trwało to tak długo.

- Ale ju jest po wszystkim.

- Tak, jest ju po wszystkim. - Poglaskał j łagodnie po włosach. - Powinni my si chyba pobra jak najpr dzej, eby twoja matka otrz sn ła si z szoku, zanim urodzisz dziecko.

- Strach pomy le , e Córka Ameryka skiej Rewolucji doczeka si wnuka, który b dzie na wpół Kuba czykiem - za miała si Spencer.

- Nie b d okrutna wobec mojej te ciowej.

Znów zacz ła si mia . Było jej dobrze. Bardzo dobrze. Odstawiła kubek z kaw , owin ła Davida swoim kocem i usiadła mu na kolanach.

- Kocham ci - powiedziała. - Kiedy byłam on Danny'ego, traktowałam ci tak okropnie, bo bałam si , e nadal ci kocham. A teraz wiem, e kochałam was obu. A dzi w nocy dowiedziałam si e chc y , chc kocha , chc wszystkiego, co wi e si z yciem. Przez cały czas miałe słuszno . Danny by to rozumiał. Danny by tego chciał.

W jego oczach zal nił bł kitny kobalt. Kiedy si odezwał, jego głos był gł boki i d wi czny.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Wszystko?

- Tylko to, e mnie kochasz.

- Kocham ci - powtórzyła z u miechem. - O Bo e, David. Kocham ci .

I zacz ła go całowa .

Jest moja, my łał David, obejmuj c j mocno. A to jest najwspanialszy pocałunek w moim yciu...

Całowali si nadal, kiedy dostrzegł ich wchodz cy wła nie do ogrodu Sly. Cofn ł si szybko, ale nie przestał ich obserwowa .

Był z siebie zadowolony. Mimo podeszłego wieku potrafił zapanowa nad sytuacj .

Zachichotał w duchu i odszedł cicho, zostawiaj c ich samym sobie.